



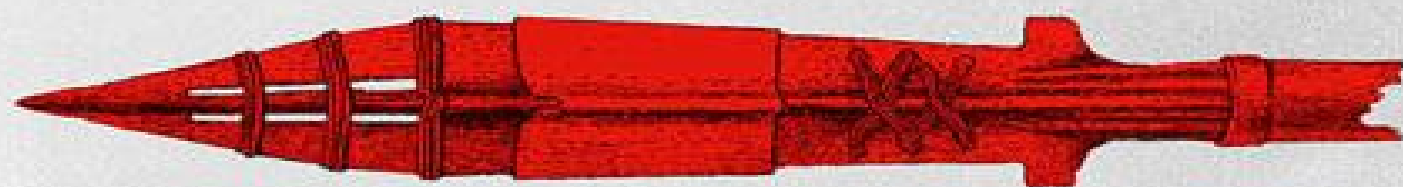
**STEVE**

Takie thrillery lubię

**DAN BROWN**

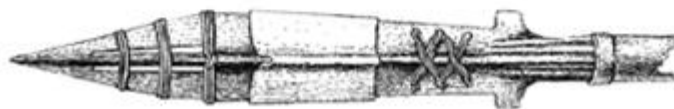


**BERRY**



**PROTOKÓŁ  
WARSZAWSKI**

# STEVE BERRY



## PROTOKÓŁ WARSZAWSKI

Przekład  
Maciej Studencki

Znak HORYZONT  
Kraków 2022

*Dla Franka Greena, człowieka, który potrafił inspirować*

# PODZIĘKOWANIA

Po raz kolejny składam serdeczne podziękowania Johnowi Sargentowi, szefowi wydawnictwa Macmillan, Sally Richardson, prezesce St. Martin's Publishing, Jen Enderlin, która dowodzi redakcją w St. Martin's, oraz mojemu wydawcy z Minotaura, Andrew Martinowi. Składam wyrazy wdzięczności również Hectorowi DeJeanowi z reklamy, Jeffowi Dodesowi i wszystkim osobom z działu marketingu i sprzedaży, a zwłaszcza Paulowi Hochmanowi i Danielle Prielipp, ponadto Anne Marie Tallberg, guru wydań w miękkiej oprawie, Davidowi Rotsteinowi, twórcy okładki, a także Mary Beth Roche i jej innowacyjnym ludziom z Audio.

Kłaniam się nisko Simonowi Lipskarowi, mojemu agentowi i przyjacielowi, mojej redaktorce Kelley Ragland i jej asystentce Madeline Houpt, doprawdy cudownym osobom.

Pozwolę sobie wymienić jeszcze kilka dodatkowych osób: Meryl Moss i jej nadzwyczajny zespół fachowców od reklamy (zwłaszcza Deb Zipf); Jessica Johns i Esther Garver, dzięki którym Steve Berry Enterprises działa płynnie; Anna Slotorsz, która sprawiła, że nasze wizyty w Krakowie przebiegły tak sprawnie; Patrycja Antoniak dwa razy oprowadziła nas po kopalni soli w Wieliczce, odpowiadała na moje nieskończone pytania, a potem przejrzała pierwszą wersję powieści w poszukiwaniu błędów; Jan

Kucharz, jeden z górników, który pokazał nam ukryte skarby; Iwona Zbela z Wieliczki, która okazała nam wielką gościnność; Jolanta Pustuła-Szeląg, dysponująca niemal encyklopedyczną wiedzą na temat Włóczni Świętego Maurycego; a także ojciec Szymon Stefanowicz, nasz przewodnik podczas cudownego spaceru po Jasnej Górze.

Jak zawsze dziękuję wyjątkowej kobiecie, mojej żonie Elizabeth.

Dedykacja tej powieści ma słodko-gorzki posmak. Dwadzieścia dziewięć lat temu pewien nauczyciel z lokalnego college'u zaprosił mnie na wykłady z twórczego pisania. Przyjąłem to zaproszenie i tak zaczęła się przyjaźń, która całkowicie zmieniła moje życie. Najważniejsza sprawa: nikt nie potrafi nauczyć drugiej osoby pisania. To niemożliwe. Są jednak tacy, którzy potrafią nauczyć kogoś, jak ma się nauczyć pisania.

Takim nauczycielem był dla mnie Frank Green.

Przydzielał mi trudne zadania i surowo je oceniał, ale gdyby nie on, nigdy nie wydałbym ani jednej książki.

Spod jego ręki wyszło wielu wspaniałych pisarzy, jego wychowanków. W 2017 jeden z nich napisał książkę *Wednesdays With Frank* (Środy z Frankiem), zawierającą refleksje tych z nas, którzy uczęszczali w środowe wieczory na warsztaty pisarskie Franka. Mam nadzieję, że ta książka wciąż jest w sprzedaży: jeżeli tak, rozważcie jej zakup. Dochód trafia do syna Franka i jego rodziny.

Brakuje mi Franka.

Ale mój nauczyciel wciąż żyje.

W moim umyśle.

Codziennie.

Jeszcze Polska nie zginęła,  
Kiedy my żyjemy.  
Co nam obca przemoc wzięła,  
Szablą odbierzemy.  
– fragment hymnu Polski

# PROLOG

**Poniedziałek, 9 sierpnia 1982**

**Warszawa, Polska**

**Godz. 15.45**

**J**anusz Czajkowski wolałby nie patrzeć na rozgrywającą się przed nim makabryczną scenę, ale wiedział, że wtedy byłoby jeszcze gorzej.

Przywieziono go do więzienia mokotowskiego właśnie w tym celu: żeby dobrze przyjrzał się temu miejscu o długiej, niemal legendarnej historii. Rosjanie wybudowali więzienie na początku XX wieku, po nich używali go naziści, a po wojnie również komuniści. Od 1945 roku właśnie tam przetrzymywano, torturowano i tracono członków politycznego podziemia, inteligentów i wszystkich, których uznano za zagrożenie dla władzy kontrolowanej przez Sowieców. Szczyt ponurej sławy tego miejsca przypadł na lata stalinizmu, kiedy tysiące zatrzymanych przebywały w celach „na Rakowieckiej”, jak nazywała wówczas więzienie większość Polaków. Czasem jednak padała również niemiecka nazwa: *Nacht und Nebel*. Noc i mgła. Miejsce bez powrotu. Wielu więźniów zamordowano w znajdującej się w piwnicy kotłowni. Potworności te zakończyła oficjalnie

śmierć Stalina, ale w rzeczywistości było inaczej: przez kolejne dekady przewożono tam na „przesłuchanie” kolejnych złapanych dysydentów.

Tak jak tego, który trafił tu przed Januszem.

Nagi mężczyzna w średnim wieku leżał zgięty wpół na wysokim stołku, a jego nadgarstki i kostki przywiązano do zakrwawionych drewnianych nóg mebla. Nad nim stał strażnik z nogami szeroko rozstawionymi nad głową więźnia, uderzając go po plecach i pośladkach. To niewiarygodne, ale ofiara milczała. Strażnik przerwał bicie i odsunął się od związanego mężczyzny, a potem kopnął go w bok głowy.

Ślina i krew rozprysły się szeroko.

Mimo to wciąż nie rozległ się żaden dźwięk.

– Łatwo wywołać strach – powiedział wysoki mężczyzna, który stał obok Janusza. – Ale jeszcze łatwiej go udawać.

Wysoki, ponury mężczyzna miał na sobie mundur majora Ludowego Wojska Polskiego. Fryzura na jeża w wojskowym stylu, starannie przycięty czarny wąsik. Był starszy od Janusza, średniej budowy ciała, choć muskularny. Otaczała go aura arogancji i zarozumiałości, którą Czajkowski tyle razy wyczuwał u przedstawicieli „czerwonej burżuazji”. Oczy majora, dwa czarne punkty, lśniły jak diamenty, nie zdradzając cienia emocji. Takie oczy potrafiły więcej ukrywać niż zdradzać. Janusz zastanawiał się, jak trudno jest tamtemu upierać się przy kłamstwach. Na plakietce widniało nazwisko „Dylecki”. Czajkowski nie wiedział nic o majorze, poza tym, że to ten oficer go aresztował.

– By wywołać strach – zaczął znów Dylecki – trzeba przekonać wielu ludzi, że się boją. Wymaga to sporo pracy. Należy doprowadzić do tego, żeby ludzie zobaczyli i poczuli na własnej skórze, jak to jest się bać. Musi popłynąć krew. Rządy terroru, jeśli wolisz. Upozorowanie lęku jest o wiele



łatwiejsze. Musimy tylko uciszać tych, którzy podają strach w wątpliwość, tak jak ten biedak.

Strażnik na nowo zaczął chłostać więźnia czymś, co wyglądało jak szpicruta z metalowym łożyskiem na czubku. Napuchnięte ślady po wcześniejszych uderzeniach zaczęły krwawić. Do bijącego funkcjonariusza dołączyło trzech innych, wymierzając ofierze kolejne ciosy.

– Zauważyłeś, jak starannie wykonują swoją pracę? – zapytał major. – Używają dość siły, by bity odczuwał ból, ale nie tyle, by go zabić. Nie chcemy, żeby zmarł, wręcz przeciwnie: niech zacznie mówić.

Więzień najwyraźniej cierpiał, ale nie dawał tego po sobie poznać, tak jakby nie chciał sprawić oprawcom satysfakcji.

– Zapomnieliście o nerkach! – zawołał Dylecki.

Jeden ze strażników skinął głową i skoncentrował uderzenia na tej części pleców.

– To wyjątkowo wrażliwy narząd – wyjaśnił major. – Wystarczy odpowiednie uderzenie i nie trzeba delikwenta wiązać czy kneblować. Nie ruszy się ani nie pisnie. A ból jest potworny.

W jego przeszywającym głosie nie było ani grama emocji. Czajkowski zastanawiał się, jak można do tego stopnia wyzbyć się człowieczeństwa. Dylecki był przecież Polakiem, strażnicy również, podobnie jak ich ofiara.

Szaleństwo.

Cały kraj trzymały w ryzach tylko przemoc i propaganda. Stworzona od zera Solidarność próbowała ograniczyć sowieckie wpływy, ale osiem miesięcy temu Moskwa uznała, że ma dość ustępstw, i zarządziła rozprawę z oponentami. W ciągu jednej nocy uwięziono dziesiątki tysięcy ludzi, bez stawiania im zarzutów, a jeszcze więcej osób aresztowano, po czym wywieziono z kraju. Ludzie po prostu znikali. Zakazano działalności wszystkim prodemokratycznym ruchom politycznym oraz internowano ich

przywódców, w tym słynnego Lecha Wałęsę. Wojsko przejęło władzę szybko i w dobrze zorganizowany sposób. Teraz żołnierze patrolowali ulice wszystkich większych miast. Wprowadzono godzinę milicyjną, zamknięto granice państwa oraz lotniska i ograniczono dojazd do głównych aglomeracji. Linie telefoniczne zostały odcięte lub objęte podsłuchem, listy cenzurowano, a zajęcia w szkołach i na wyższych uczelniach zawieszono.

Były również ofiary śmiertelne.

Nikt jednak nie znał ich dokładnej liczby.

Zarządzono sześciodniowy tydzień pracy. Media, służba zdrowia oraz instytucje użyteczności publicznej, kopalnie, porty, koleje i najważniejsze fabryki przeszły pod nadzór wojskowy. Represje przybierały rozmaite formy, w tym również testy lojalności. Zawierał on zobowiązanie powstrzymania się od wszelkiej działalności, którą władze mogłyby uznać za zagrożenie. W ten sposób wyłowiono wielu działaczy, w tym Janusza. Najwyraźniej jego odpowiedzi nie były satysfakcjonujące, chociaż starał się łączyć najlepiej, jak potrafił.

Bijący zrobili sobie przerwę.

Czajkowski zebrał myśli i zapytał:

– Kto to jest?

– Profesor matematyki. Aresztowany po wyjściu ze spotkania Solidarności. To z definicji okoliczność obciążająca.

– A czy on cokolwiek wie?

– Na tym polega specyfika przesłuchań – wyjaśnił Dylecki. – Często jest to po prostu poszukiwanie użytecznych informacji. Zobaczymy, co w ogóle wie...

Cisza zawisła w powietrzu.

– A poza tym przesłuchanie może służyć także innym celom. Na przykład zastraszaniu tych, którzy tylko patrzą. W ten sposób łamiemy ich

opór i sprawiamy, że stają się bardziej ulegli.

Teraz Czajkowski zrozumiał, dlaczego się tu znalazł.

Dylecki zmrużył oczy, koncentrując wzrok na Januszu.

– Nienawidzisz mnie, prawda?

Nie było sensu kłamać.

– Oczywiście.

– Mam to gdzieś. Zależy mi raczej na tym, żebyś się bał.

Czajkowski poczuł, jak drżą mu kolana.

Teraz major znów przeniósł wzrok na więźnia i skinął dłonią. Jeden ze strażników kopnął stołek, posyłając pobitego człowieka na betonową podłogę. Odwiązano go, a wówczas jego pokrwawione ciało wygięło się z bólu. Mimo to nie zaczął krzyczeć, nie powiedział też ani słowa.

Imponujący pokaz siły woli.

Dylecki ze swoim pozorowanym strachem nie mógł się z tym równać.

Czajkowski zdobył się na odwagę i zapytał:

– Czego ode mnie chcecie?

– Chcę, żebyś miał oczy i uszy otwarte... I mówił mi o tym, co zobaczysz i usłyszysz. Chcę otrzymywać sprawozdania na ten temat. Chcę wiedzieć wszystko o twoich przyjaciółach, a naszych wrogach. Stoimy w obliczu dużego kryzysu i potrzebujemy ludzi takich jak ty.

– Ale ja jestem nikim!

– I dlatego idealnie nadajesz się na szpiega. – Dylecki się roześmiał. – A poza tym kto wie? Pewnego dnia możesz zostać kimś naprawdę wielkim.

Janusz wiedział, co powtarzają ci, którzy popierali wprowadzenie stanu wojennego: Polskę otaczają ZSRR, NRD i Czechosłowacja, kraje kontrolowane przez Sowieców, a stan wojenny ma uratować Polskę przed interwencją armii państw należących do Układu Warszawskiego, taką jak w 1956 roku na Węgrzech czy w 1968 w Czechosłowacji, gdzie Sowieci

zmiażdżyli opozycję. Nikt jednak nie wierzył w te nonsensy. Rządzącym chodziło tylko o zachowanie władzy.

Komunizm musiał uciec się do przemocy, by przeżyć.

Polski komunizm wydawał się przedziwną mieszanką socjalizmu i faszyzmu: mała grupa kontrolowała wszystkich ludzi i wszystkie zasoby, a olbrzymia większość cierpiała głód i ubóstwo.

Więzień na podłodze się poruszył. Jego ciało skręciło się jakby w potwornym ataku artretyzmu. Jeden ze strażników kopnął mężczyznę w brzuch, a wówczas pobity zwymiotował. Jakaś część umysłu Janusza rozpaczliwie pragnęła pomóc ofierze, inna jednak chciała tylko uciec, nawet gdyby Czajkowski miał zrobić lub powiedzieć to, co musiał. Dylecki, jak wymagający nauczyciel, kwestionował każde zdanie i każdy wniosek, utrzymując Janusza w niepewności, aż ten nie miał innego wyboru, jak tylko powiedzieć, czego od niego oczekiwano:

– Dobrze. Zrobię, co pan chce.

Dylecki stanął ze złączonymi dłońmi i wbił przenikliwe spojrzenie w Janusza.

– Zapamiętaj, że jeśli skłamiesz, spróbujesz mnie oszukać albo się przede mną ukryć, to skończysz przywiązany do tego stołka. – Przerwał, uśmiechnął się nieznacznie i zmienił ton: – Ale dość już tych gróźb. Postąpiliście słusznie, towarzyszu. Jak mówią słowa pieśni: jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy...

– Co nam... obca... przemoc... wzięła... szablą... odbie... rzemy...

Słowa te dobiegły z ust więźnia, leżącego na podłodze w kałuży własnych wymiocin i krwi. Pobity nie próbował nawet ukryć triumfu w głosie, kiedy powtarzał kolejne wersy polskiego hymnu.

Słowa święte dla każdego Polaka.

Janusz wziął je sobie do serca.

# **Współcześnie**

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

**Wtorek, 4 czerwca**

**Brugia, Belgia**

Cotton Malone nienawidził, kiedy dwa plus dwa równało się pięć. Tymczasem w ciągu długiej kariery w amerykańskim wywiadzie spotkał się z tym kłopotliwym rezultatem wiele razy. No cóż, ryzyko zawodowe, a może po prostu pech. To bez znaczenia. Z takiej rozmytej matematyki nikomu nigdy nie przyszło nic dobrego.

Tak jak teraz.

Cotton stał pośrodku kościoła, który Belgowie nazywali Heilig-Bloed Basiliek, Bazyliką Świętej Krwi, posepnego gmachu z XII wieku, gdzie przechowywano jedną z najświętszych relikwii w Europie. Zabytkowy kościół stał na rogu placu Burg, pomiędzy starym ratuszem a rzędem nowszych sklepów. Malone przyjechał do Brugii na największe antykwaryczne targi książki w Europie. Odwiedzał je już wcześniej wiele razy. To była jedna z jego ulubionych imprez, nie tylko w związku z tym, że uwielbiał samo miasto, ale również dlatego, że podawano tu najlepszy deser na świecie.

*Dame Blanche*. Biała Dama.

Lody waniliowe skąpane w ciepłej belgijskiej czekoladzie i udekorowane bitą śmietaną. W Stanach taki deser nazywano *sundae* i traktowano normalnie – ale nie tutaj. Miejscowi wynieśli przygotowywanie go do rangi sztuki: każda kawiarnia serwowała swoją wersję, a Cotton planował skosztować kolejnego wcielenia Białej Damy jeszcze tego wieczoru, po kolacji.

Teraz jednak oglądał przedstawienie, o którym dotąd tylko słyszał. Kiedyś spektakl ten odbywał się raz na tydzień, ale obecnie prezentowano go codziennie, albo przed południem, od 11.30 do 12.00, albo po południu, między 14.00 a 16.00. Tak przynajmniej głosił plakat przed wejściem.

Spektakl miał nawet tytuł.

Adoracja Najświętszej Krwi Pana Jezusa.

Według apokryfu po ukrzyżowaniu ciało Chrystusa wydano Józefowi z Arymatei, który oczyścił je z najwyższą czcią, zbierając całą krew płynącą z ran w naczynie, a to przekazał ponoć spadkobiercom. W zależności od wersji krople krwi trafiły do Brugii albo w XII wieku przez Jerozolimę, albo w XIII stuleciu przez Konstantynopol.

Nikt nie wiedział, czy ta opowieść jest prawdziwa.

Krew pozostała w Brugii na wieki, w razie potrzeby ukrywana przed kalwinistami, rewolucjonistami i najeźdźcami. Przez cały ten czas pielgrzymowały do niej rzesze wiernych, zachęczone papieską bullą z XIV wieku, gwarantującą odpust tym, którzy pomodlą się przed relikwią. Cała ta sprawa wydawała się bardziej niż dziwna: Biblia nie wspominała wszak ani słowem o zachowanej krwi Chrystusa.

Nie odstraszało to jednak wiernych.

Bazylika składała się z dwóch kaplic: dolnej, ciemnej, zbudowanej w stylu romańskim, i górnej, gotyckiej i jasnej. Dwa razy ją zniszczono

i dwa razy odbudowywano. Malone rozejrzał się po górnej kaplicy. Wysokie sufity trzech bogato zdobionych naw kierowały wzrok gości ku niebu. Imponujące okna z witrażami przepuszczały złote promienie popołudniowego słońca. Nad głową rozciągał się przyozdobiony przepięknymi polichromiami sufit, który przypominał wnętrze przewróconej łodzi. Na jednej ze ścian powieszono brązową ambonę w kształcie kuli ziemskiej. Za złotym ołtarzem wznosiła się seria kolorowych fresków, przedstawiających, jakżeby inaczej, Chrystusa roniącego krew. Rzędy drewnianych ławek przed prezbiterium wypełniali turyści, a jeszcze więcej odwiedzających wałęsało się po kościele, pstrykając zdjęcia.

Wróćmy jednak do dziwnej matematyki, w której dwa plus dwa równa się pięć.

Zacznijmy od trzech mężczyzn.

Różnili się od pozostałych gości. Byli młodzi, mieli pospolite rysy twarzy i kilkudniowy zarost. Ich czujne miny wyraźnie wskazywały, że w przeciwieństwie do otaczających ich turystów mieli pilniejszy powód wizyty niż tylko zwiedzanie. Cotton od razu to dostrzegł: napięcie widoczne w sylwetkach tej trójki jednoznacznie wskazywało, że nie są zwykłymi gośćmi. Ostatecznym sygnałem ostrzegawczym było ich rozmieszczenie: zajęli strategiczne pozycje wokół kaplicy, pod ścianami, skupiając się bardziej na sobie nawzajem niż na szacownym otoczeniu.

Malone spojrział na zegarek – 14.00.

Rozległ się dźwięk dzwonu.

Czas na spektakl.

W bocznej nawie, pod łukami, otworzyły się drzwi, z których wyłonił się ksiądz.

Rozpoczęła się adoracja.



Prałat w ornacie niósł prostopadłościenną szklaną gablotę, w której na poduszce z czerwonego pluszu leżała relikwia: fiolka z kawałkami wełny nasączonej krwią miała około piętnastu centymetrów długości i pięciu centymetrów średnicy. Wykonano ją w Bizancjum z kryształu górskiego, jej końcówkę owinięto złotą nicią, a wyloty zapieczetowano woskiem. Znajdowała się wewnątrz większego szklanego cylindra, zakończonego złotymi koronkami z postaciami aniołów. Malone przeczytał dość na temat zewnętrznej szklanej osłony, żeby orientować się, co oznaczają rzymskie cyfry, wygrawerowane na metalu.

To była data – 3 maja 1388.

Kapłan z pełną nabożnej czci miną przeszedł przez kaplicę ku białemu marmurowemu ołtarzowi w stylu barokowym, znanemu jako Tron Relikwii, również pokrytemu czerwoną tkaniną. Delikatnie postawił na nim gablotę, po czym usiadł w krześle, gotów poprowadzić modlitwę wiernych.

Najpierw jednak każdy z nich musiał złożyć ofiarę.

Po lewej stronie uformowała się kolejka do innego księdza z tacą. Ludzie rzucali na nią euro, po czym przechodzili po schodkach i spędzali kilka chwil w milczeniu, sam na sam z relikwią. Cotton zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby ktoś nie dał na tacę, ale mimo to chciał oddać cześć krwi. Czy zawrócono by go z drogi?

Trzej Muszkietierowie zmienili pozycje i przenieśli się wraz z tłumem z głównej nawy do bocznej kaplicy. Kilku pomocników kierujących wiernymi uciszało podniesione głosy, pozwalało jednak robić zdjęcia, kręcić filmy, pokazywać palcem, gapić się i dawać na tacę.

Ale rozmawiać już nie.

Jeden z trzech mężczyzn stanął w kolejce do adoracji, a dwaj pozostali z tyłu, w pobliżu łuków oddzielających boczną nawę, obserwując spektakl z odległości kilku metrów. Między Tronem Relikwii a tłumem znajdował

się stojak ze świecami wotywnymi, mieszczący ponad sto małych szklanych kloszy. W wielu z nich migotały płomienie. Kilku gości podeszło i zapaliło własne świece, oczywiście wrzuciwszy najpierw monety do metalowej puszk.

Ludzie wciąż podchodzili do relikwiarza, zatrzymując się tylko na chwilę, by zmówić modlitwę i się przeżegnać. Dwóch mężczyzn, którzy pozostali z tyłu, miało plecaki. Chociaż wielu turystów również je nosiło, było coś niepokojącego w sposobie, w jaki ci dwaj poprawiali paski.

Po odbyciu służby w marynarce, a potem w biurze prawnym JAG Malone przez dwanaście lat pracował dla Departamentu Sprawiedliwości w jednostce Magellan Billet. Następnie wybrał wcześniejszą emeryturę i został właścicielem antykwariatu w Kopenhadze. Czasem tylko pracował dla rządów i agencji wywiadowczych. Takie zlecenia zapewniały mu niezłe dodatkowe dochody, ale tym razem przebywał w Brugii całkowicie prywatnie, by zwiedzić miasto... Wszystko jednak wskazywało na to, że znalazł się we właściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

Coś się tu działo.

A bazując na doświadczeniach niemal pięćdziesięciu lat życia, instynktownie wiedział, że nie jest to nic dobrego. Trudno się pozbyć starych przyzwyczajień.

Mężczyzna w kolejce dotarł do księdza z tacą i rzucił na nią monetę, a potem wspiął się po schodkach ku marmurowemu ołtarzowi, przy którym na posterunku trwał nieruchomo prałat. Dwóch pozostałych Muszkieterów zdjęło plecaki i je rozpięło. Alarmowy dzwonek w głowie Cottona zabrzmiał donośniej, a agent usłyszał głos robota ze starego serialu SF *Zagubieni w kosmosie*: „Niebezpieczeństwo, Willu Robinsonie!”.

Jeden z mężczyzn wyjął z plecaka pistolet, drugi metalowy cylinder. Wyrwał zawleczkę i wrzucił pojemnik do bocznej kaplicy.

Granat?

Z cylindra wystrzeliły kłęby dymu.

Nie.

Dywersja.

Myśli Cottona przerwał ostry dźwięk dwóch pistoletowych wystrzałów prosto w sufit, z którego opadł deszcz gipsowych odłamków i drewnianych drzazg. Natychmiast wybuchła panika: jakaś kobieta zapiszczała przesywająco, a potem rozległ się chór przerażonych krzyków, z każdą chwilą głośniejszych. Tłum rzucił się w kierunku jedyne wyjścia, bogato zdobionych kręconych schodów, które prowadziły na dół. Setka ludzi naraz usiłowała wydostać się z kaplicy. Rozpętało się pandemonium.

Padł następny strzał.

Gęsta chmura wpłynęła do głównej nawy, zasłaniając widok na boczną kaplicę i relikwiarz. Cotton ruszył prosto w dym. Przez rosnący tuman dostrzegł, jak Muszkietier, który wcześniej stał w kolejce, odpycha księdza. W tym momencie ściana zdenerwowanych gości stanęła Malone'owi na drodze. Spanikowany tłum uciekał od centrum całego zamieszania. Cotton przepchnął się między ludźmi, widząc, że pozostali dwaj napastnicy przesuwają się ku trzeciemu, który tymczasem stłukł szklaną osłonę relikwii. Prałat rzucił się naprzód, próbując powstrzymać kradzież, ale jeden z mężczyzn walnął go na odlew w twarz, posyłając duchownego na podłogę.

O co tu chodziło?

Klasyczna kradzież z rozbojem?

Tak to właśnie wyglądało.

I to kradzież skuteczna.

Jak cholera.

Trzej Muszkietierowie ruszyli ku bocznym drzwiom, przez które wszedł wcześniej ksiądz – z pewnością prowadziły do wewnętrznych pomieszczeń bazyliki. Prawdopodobnie była to alternatywna droga na dół. Co oznaczało, że napastnicy odrobili pracę domową.

Cotton minął ostatnich przerażonych turystów i dotarł do kaplicy. Oddychał z trudem, odkasłując dym, a oczy mu łzawiły. Najpierw chciał sprawdzić, co z księdzem, więc przedostał się do ołtarza i znalazł starszego mężczyznę na podłodze.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Półprzytomny prałat ze spuchniętym prawym okiem złapał go mocno za ramię.

– Musisz... ją... odzyskać!

Trzej złodzieje zniknęli.

Policjanci na pewno byli już w drodze, ktoś musiał ich już zawiadomić, ale niewiele mogli zrobić, żeby złapać rabusiów, którzy za chwilę rozplyną się w tłumie na ulicach Brugii.

Malone poczuł, że ma ochotę wkroczyć do akcji.

No to koniec zwiedzania.

– Odzyskam ją!

# ROZDZIAŁ DRUGI

## Słowacja

Jonty Olivier nienawidził, kiedy w imię interesów musiał zastraszać innych ludzi. Uważał się za wyrefinowanego dżentelmena, osobę o wyszukanym smaku, konesera starych win i dobrej kuchni, wykształconego człowieka, który w wolnym czasie zajmował się kulturą antyczną. Nawet jego nazwisko nawiązywało do najwyższych sfer filmu. „Olivie-e” – jak sir Laurence Olivier. Poza wszystkim był wytrawnym profesjonalistą. Jego specjalność? Informacja. Jego reputacja? Był jednym z fachowców dostarczających dokładnie takich danych, na jakich zależy klientowi.

Czy potencjalny partner albo kupiec nie ukrywa czasem znacznych przychodów? Nie ma problemu, zaraz sprawdzimy. Ile karabinów automatycznych i amunicji sprowadzili w zeszłym miesiącu do Nigerii bojownicy Boko Haram? Łatwizna. Czego będą domagać się w trakcie zbliżających się rozmów dwustronnych Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii? Nieco trudniejsze, ale da się zrobić. Co knują w Kaszmirze separatysty z Hizbul Mudzahedin albo jak rynki walutowe UE wycenią euro

na koniec dnia? Trudne pytania, ale odpowiedzi będą wystarczająco bliskie prawdy. Poza tym jeżeli Jonty nie wiedział czegoś na sto procent, dawał klientom zniżkę, ponieważ nawet najogólniejsza lub częściowa informacja była o wiele lepsza niż żadna. Jego motto? *Scientia potentia est*. Sir Francis Bacon miał rację.

Wiedza to potęga.

Jej zdobywanie było jednak czasem pewnym wyzwaniem. Zwykle wystarczyło odpowiednio zapłacić, bo chciwość pozostawała najczęstszą ludzką motywacją. Sprawdzała się również wymiana bezgotówkowa. Jonty nie miał nic przeciwko twardym negocjacjom – tak działała ta branża.

Ale szpiedzy? Czuł do nich wstręt.

Siedzący przed nim mężczyzna miał ręce i nogi przyklejone taśmą do metalowego krzesła. W ustach niknął mu sięgający do przełyku kabel o starannie dobranej grubości – dość cienki, żeby nie wywołać odruchu wymiotnego, ale jednocześnie dość gruby, by przynieść pożądany efekt. Z jednej strony miał przewodzącą prąd metalową końcówkę, z drugiej był podłączony do prostownika. Amatorzy pracowali zwykle nad człowiekiem od zewnątrz, przygniatając, wykręcając kończyny, bijąc lub kopiąc w celu uzyskania informacji. Olivier wolał jednak bardziej wyrafinowane podejście. Taka technika wywoływała dużo głębszy i intensywniejszy ból, a poza tym nie pozostawiała śladów.

– Kto cię przysłał?

Nie było odpowiedzi.

Spojrzał na współnika. Vic DiGenti pracował z nim od wielu lat. Ich ścieżki skrzyżowały się po raz pierwszy w poprzedniej pracy. Jonty dowiedział się wówczas, że Vic potrafi załatwić niemal wszystko. I chwala Bogu. Każdy potrzebował pomagiera: Flip miał Flapa, Batman – Robina. A Jonty miał Vica, chudego, żylastego faceta z prostymi czarnymi włosami

i wąskimi szarymi oczami. Małomównego, zawsze zachowującego najwyższą dyskrecję, absolutnie lojalnego, a do tego całkowicie wyzbytego chciwości.

Skinął dłonią i Vic przekręcił włącznik prostownika.

Oczy mężczyzny przywiązanego do krzesła rozszerzyły się, kiedy prąd popłynął cienkim kablem w głąb jego przełyku. Ciało napięło się konwulsyjnie w więzach. Nie rozległ się najcichszy nawet jęk, ponieważ jednym z ubocznych efektów tego środka perswazji była całkowita niezdolność do wydania z siebie głosu. Vic wiedział, kiedy przestać. Po pięciu sekundach odciął prąd.

Konwulsje ustały.

Z kącików ust mężczyzny popłynęła ślina.

Wyglądało to trochę niesmacznie, można się jednak było tego spodziewać.

– Czy domagasz się następnej demonstracji? – zapytał Olivier. – To się da załatwić, bez najmniejszego problemu. Ale błagam, nie każ mi tego robić.

Tamten pokręcił energicznie głową, oddychając z wyraźnym wysiłkiem.

Bielone ściany wokół nich śmierdziały wilgocią i zgnilizną. Jonty najchętniej już by stąd wyszedł.

– Zapytam jeszcze raz. Bardzo liczę na twoją odpowiedź. Jasne?

Więzień skinął potakująco głową.

– Dla kogo pracujesz?

Znów milczenie.

Jonty westchnął z rozpaczą.

Przez następne pięć sekund Vic znów traktował ciało mężczyzny elektrycznością. Musieli być ostrożni, ponieważ prąd stały potrafił zabić, kiedy ktoś nie potrafił się z nim obchodzić.

Złapali szpiega wczoraj w Bratysławie. Przybyli tam razem z Vikiem, żeby dopracować ostatnie szczegóły. Obaj zauważyli, że ktoś się nimi interesuje, potem zidentyfikowali prześladowcę dzięki wypolerowanym karoseriom samochodów i ostrożnym spojrzeniom, a wreszcie dołączyli do tłumu przechodniów przed rzędem sklepowych wystaw i potwierdzili, że mają ogon. Zawsze czujny Vic zdołał uchwycić problem w porę, bez przyciągania uwagi postronnych osób.

– Z pewnością rozumiesz, że zostałeś bez pomocy – zauważył Jonty. – Nikt nie przyjdzie ci na ratunek. Czy naprawdę muszę przeprowadzić kolejną demonstrację?

– Chciałem tylko sprawdzić... co robicie. Dowiedzieć się... ile można – odpowiedział mężczyzna głosem zdławionym przez kabel w przełyku, ze słyszalnym wschodnioeuropejskim akcentem.

– To oczywiste. Co odkryłeś?

– Nic... zupełnie nic!

Jonty głęboko w to wątpił.

– Czy zgłosiłeś to nic?

– Jeszcze nie.

Z pewnością kłamał.

– Komu miałeś to zgłosić?

Bez odpowiedzi.

Mężczyzna był wyjątkowo uparty.

Olivier znów skinął, a Vic po raz kolejny przekręcił włącznik. Ciało więźnia zadrgało spazmatycznie w więzach, szarpnęło się, a potem zeszywniało. Tym razem pozwolili, żeby mężczyzna cierpiał kilka sekund dłużej, ale nie dość długo, by jego serce się zatrzymało. Facet opadł bezwładnie na krzesło, nieprzytomny, lecz DiGenti przywrócił go do przytomności, wymierzając mu dwa mocne policzki.



W najbliższej przyszłości czekało ich wiele emocji. Wysłali siedem zaproszeń i niemal wszyscy zaproszeni okazali zainteresowanie. Potwierdzenie udziału w aukcji odesłało jednak tylko trzech ważnych kontrahentów, a termin mijał jutro o północy, za niecałą dobę.

– Nie lubię szpiegów – wyznał Jonty więźniowi. – Pozyskują informację, a potem po prostu oddają ją pracodawcy. To moi główni konkurenci. Na szczęście nie jesteś dobrym szpiegiem. Zapytałem już trzy razy. Jeżeli zmusisz mnie, żebym zrobił to jeszcze raz, zostawię prąd włączony, aż umrzesz.

Pozwolił sobie na ten blef.

Zawsze trzymał się jednej reguły, chociaż nigdy się nią nie chwalił: nikogo nie zabijał. Mimo to potrafił doprowadzić związanego mężczyznę do stanu, w którym ofiara sama poprosi o śmierć.

Zbliżająca się operacja była najbardziej skomplikowanym projektem, jakiego kiedykolwiek się podjął. W gruncie rzeczy były to dwa projekty w jednym. Oba szczegółowo zaplanowane, z mnóstwem zmiennych, a w dodatku jeden zależał od drugiego. Ale za to jaka nagroda go czekała! Jedna z transakcji mogła mu przynieść co najmniej dwadzieścia milionów euro, a druga... Trudno powiedzieć, ale zysk mógł iść w setki milionów. Dość, żeby przez resztę życia mógł robić, co chce. Ten szpieg mógł jednak narazić wszystko na szwank.

Spojrzał znacząco na Vica.

– Nie, proszę... Nie! – wybełkotał więzień.

Jonty wrócił do niego wzrokiem.

– Odpowiedz na moje pytanie.

– Przysłał mnie Reinhardt.

To nazwisko wywołało u Oliviera dreszcz.

Jego nemezis.

Ostatnia osoba, którą by podejrzewał.

Znów popatrzył na Vica.

A potem przełącznik pstryknął po raz kolejny.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Cotton wybiegł z zadymionej kaplicy przez boczne drzwi i znalazł się w małym pokoiku. Na wieszakach wisiały szaty liturgiczne, co oznaczało, że to tu księża przebierają się przed mszami. Malone sam był ministrantem do trzynastego roku życia, a potem zaczął zadawać sobie pytania. Katolicyzm radził sobie naprawdę dobrze z pytaniem „co?”, gorzej było z „dlaczego?”, tymczasem Cotton, jak każdy nastolatek, miał wiele wątpliwości. Kiedy katolicyzm ich nie rozwiązał, uznał, że ta religia mu nie odpowiada, i od niej odszedł. Teraz, kiedy pytano go o wyznanie, zawsze mówił: „Urodziłem się w katolickiej rodzinie, ale już nie praktykuję”. Może to wyjaśniało, dlaczego bez namysłu skoczył na pomoc i znalazł się w samym środku tego chaosu.

Czy był coś winien Kościołowi?

Niekoniecznie... Ale i tak ruszył do akcji.

Wybiegł z zakrystii krótkim korytarzykiem, kończącym się kolejną klatką schodową. Wyglądała zupełnie inaczej niż ozdobne główne wejście, ku któremu ruszył tłum, gdy zaczęło się zamieszanie. Wąskie drewniane schodki prowadziły w dół. Zbiegł po nich z łomotem, znalazł drzwi wiodące na zewnątrz i zmrużył oczy, kiedy uderzył w nie blask popołudniowego słońca, Plac przed starym ratuszem wypełniało morze

ludzi. Przerażeni turyści z górnej kaplicy zbili się w nerwową grupę. Przeczesał wzrokiem tłum, szukając śladu po Trzech Muszkieterach, aż dostrzegł ich na odległym końcu brukowanego placu, na chwilę przed tym, jak skręcili za róg i zniknęli mu z pola widzenia. Nie dostrzegł relikwiarza. Zapewne znajdował się w jednym z plecaków.

Brugia to klejnot architektury gotyckiej. Po jej historycznym centrum, wzniesionym na planie owalu, poruszało się niewiele aut, ale było tam mnóstwo pieszych i rowerzystów. Tę część miasta okalały drogi, które wyprowadzały z niej ruch samochodowy. Starówkę przecinały liczne kanały, którym Brugia zawdzięczała swoje miano Wenecji Północy. Była to jedna z największych atrakcji turystycznych Belgii: plątanina zakręconych uliczek z kolorowymi domkami. Na starym rynku odbywały się niegdyś targi, turnieje, a nawet egzekucje. W okolicy przetrwało wiele kamieniczek z polichromowanymi fasadami. Całe kwartały takiej architektury stanowiły żywe muzeum, wpisane zresztą na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Cotton nie miał najlepszych doświadczeń z zabytkami.

Nie żeby próbował demolować je specjalnie.

Czasem zdarzały się jednak wypadki.

Pobiegł za trzema złodziejami i skręcił za ten sam róg. Szli około stu metrów przed nim, między rzędami domów o stromych dachach. Najwyraźniej uważali, że ucieczka im się powiodła, bo zachowywali się swobodnie, nie widać było po nich choćby odrobiny paniki. Malone zdecydował się zmniejszyć dystans i ruszył za nimi biegiem. W bocznej uliczce nie było tłumów; znajdowała się z dala od głównych atrakcji i prowadziła ku zewnętrznej obwodnicy.

Zdołał zmniejszyć dystans do niecałych pięćdziesięciu metrów.

Jeden z tamtych dostrzegł pościg i zwrócił na niego uwagę pozostałych kompanów.

Ruszyli biegiem.

Wspaniale.

Cotton przyśpieszył.

Ulica kończyła się łukowatym mostem, co oznaczało, że zbliżają się do kanału. Rabusie przebiegli na drugą stronę, a potem zniknęli po prawej. Malone pomknął jeszcze szybciej i zobaczył, że schodzą po kamiennych stopniach na nabrzeże, gdzie czekała na nich łódź. Cała trójka wskoczyła do środka i odbiła od brzegu, przepływając pod mostem i znikając po jego drugiej stronie.

Dwóch z nich pomachało mu na pożegnanie.

Malone dostrzegł po swojej stronie kanału jeden z wielu otwartych dwudziestomiejscowych stateczków, które czekały, aż kolejna grupa turystów kupi bilety, by w ten sposób zwiedzić miasto. Przed kasą stała cała kolejka, ale sprzedaż jeszcze się nie rozpoczęła. Przepchnął się na jej czoło, a potem dalej. Kasjer krzyknął ostrzegawczo, lecz Cotton go zignorował i pośpiesznie zbiegł po oślizgłych, cuchnących wilgocią schodkach. U ich stóp czekał mężczyzna, zapewne organizator wycieczek, który widząc intruza, próbował go powstrzymać stanowczym gestem. Cotton uderzył go kolanem w brzuch, a tamten zgiął się wpół.

– Bardzo mi przykro – wymamrotał Malone.

Wskoczył do statku, którego silnik pracował na luzie, i rzucił dwie cumy, po czym złapał za manetkę i popchnął ją do przodu, sprawiając, że maszyna zaterkotała żwawiej. Łódź skoczyła naprzód, a Cotton zakręcił kołem sterowym, kierując dziób w stronę, w którą popłynęli złodzieje. Płynął już kiedyś takim stateczkiem, zwiedzając w ten sposób Brugię. Zwykle poruszały się w zółwym tempie, żeby turyści mieli czas podziwiać widoki, a on zawsze zastanawiał się, czy w silnikach kryje się więcej mocy.

Teraz mógł sprawdzić to osobiście.

Przesunął manetkę do oporu.

Śruba zawirowała, a dziób się uniósł, przecinając brązową wodę wąskiego kanału i pozostawiając za stateczkiem pienisty kilwater. Przepłynął pod tym samym mostkiem, wyłaniając się po drugiej stronie, gdzie kanał ostro zakręcał w lewo i wił się pomiędzy budynkami z szarego kamienia, których linie łagodziły kobierce zielonych pnączy. Kolejny ostry zakręt w prawo, a potem dłuższa prosta, również obramowana domami o drewnianych fasadach i ścianach pokrytych dzikim winem.

Przepłynął pod zardzewiałymi przesłami kolejnego łukowatego mostu.

Trzej rabusie wypłynęli znacznie wcześniej, ale najwidoczniej nie rozwinęli zbyt dużej prędkości, uważając, że uwolnili się od pogoni.

Dzięki temu Malone mógł zmniejszyć dystans.

Kanał miał trochę ponad piętnaście metrów szerokości. Po obu stronach widać było wysokie kamienne mury i pochyłe drzewa. Na skrzyżowaniu nagle z prawej strony pojawił się inny stateczek wycieczkowy. Cotton odbił w lewo i o włos minął dziób tamtej jednostki. Fontanny wody wyrzucanej przez śrubę jego łodzi zmoczyły większość pasażerów drugiego stateczku, więc machnął przepaszająco dłonią, ani na chwilę nie zwalniając. Wyprostował ster i skoncentrował się teraz na miejscu, gdzie kanał się rozszerzał, tworząc większy zbiornik przed kolejnym skrzyżowaniem, tym razem w kształcie litery T. Rabusie już tam na niego czekali – ustawili motorówkę prostopadle do jego kursu, a dwóch z nich wycelowało w niego pistolety.

Zaczęli strzelać.

Malone zmierzał całą naprzód w ich kierunku, szybko zmniejszając dystans. Skulił się za przednią szybą, a pociski ze świstem przelatywały obok. Łódź rabusiów skoczyła do przodu, zagradzając lewą odnogę kanału, a tamci kontynuowali kanonadę. Było za późno, by odbić w prawo.

W długim, prostokątnym zbiorniku miał za mało miejsca, żeby zawrócić, nie uderzając w obmurowany brzeg.

Nie miał wyboru.

Skoczył do wody.

Pozbawiona sternika łódź przyśpieszyła, ale przepłynęła tylko około dwudziestu metrów, zanim uderzyła w kamienne nabrzeże i eksplodowała. Cotton schował się pod powierzchnią wody, przypominając sobie, co przeczytał kiedyś o kanałach: do lat osiemdziesiątych nieczystości wylewano bezpośrednio do nich. Miał nadzieję, że czterdzieści lat oczyszczania wyeliminowało ryzyko infekcji.

Po chwili wydobył głowę na powierzchnię.

Złodzieje odpłynęli.

Wyjście z wody mogło jednak stanowić problem. Malone nie widział żadnych drabin ani stopni na murach okalających tę część kanału.

Usłyszał syrenę i odwrócił się w kierunku źródła dźwięku.

W jego stronę zmierzała policyjna łódź, błyskając niebieskimi światłami. Dymiący wrak stateczku, którym przyplłynął tu Cotton, szybko pogrążył się w wodzie. Policyjna jednostka zakręciła i zatrzymała się w pobliżu, a dwóch funkcjonariuszy wycelowało w niego pistolety. Żaden z policjantów nie wyglądał życzliwie.

Kwestia wyjścia z wody została rozwiązana.

Ale co z nim teraz zrobią?

To mógł być problem – i to poważny.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Jonty nalał sobie solidną porcję nalewki znanej jako krupnik. Ten alkohol zawsze mu smakował: jedyna w swoim rodzaju mieszanka miodu, ziół i korzennych przypraw, rozcieńczona, zagotowana, a potem odsączona i wymieszana z wódką. Legenda głosiła, że recepturę stworzyli benedyktyni z Białorusi, a stamtąd zawędrowała ona do Polski. Zwykle krupnik podawano na ciepło, ale Olivier wolał pić go w temperaturze pokojowej.

Skosztował łyżeczek. Mocny napój wydawał się łagodzić nastrój, zaokrąglać wszystkie ostre emocje. Jonty wciąż czuł irytację na myśl o nieprzyjemnych wydarzeniach, które miały miejsce w piwnicy. Wścibski szpieg został związany i zamknięty w celi – do czwartku. Potem puszcza go wolno. Informacja, zdradzona przez torturowanego mężczyznę, była niepokojąca pod wieloma względami. Vic miał zamiar zająć się tą sprawą.

Reinhardt.

Jakby nie miał już innych nieprzyjaciół.

Gandhi ujął to najlepiej: „Ziemia dostarcza dość zasobów, by zaspokoić ludzkie potrzeby, ale nie ludzką chciwość”.

To wyjaśniało motywację jego arcywroga.

Rozejrzał się po starej bibliotece.



Zamek Szturniej był wspaniałym miejscem. Forteca z XIII wieku w stylu gotyckim składała się z trzech skrzydeł umieszczonych wokół pięciokątnego dziedzińca, który zamykała majestatyczna główna brama. Twierdza zajmowała strategiczne miejsce na skalistym wzgórzu bezpośrednio nad rzeką Orawą, pięćdziesiąt kilometrów na południe od granicy z Polską, bezpiecznie schowana w głębi kraju. W rogach zamku stało pięć baszt zwieńczonych dachami hełmowymi, a okalający najwyższą z nich ganek przywodził na myśl obraz uwięzionej księżniczki. Budowla oparła się najazdom husytów, Kozaków i Turków, którzy przez wieki pustoszyli te okolice. Wyglądało na to, że właściciele zamku nigdy nie zaznali biedy; wszystkie komnaty wypełniały gobeliny i cenne zabytkowe przedmioty, świadczące o dostatniej przeszłości. To tutaj ukryto polskie klejnoty koronne, kiedy w XVII wieku Rzeczpospolitą najechali Szwedzi. Stulecie później uwięziono tu przyszłego króla Madagaskaru. Należący niegdyś do lokalnej arystokracji zamek został w latach pięćdziesiątych przejęty przez komunistów w ramach reformy rolnej. Na szczęście nigdy nie zmieniono zapisów w księgach wieczystych, toteż po przywróceniu demokracji nieruchomości oddano poprzednim właścicielom, którzy niestety nie potrafili jej utrzymać. Obecnie zamek wynajmowano wraz ze służbą i kucharzami firmom i osobom, które mogły pozwolić sobie na taki koszt.

Jonty wyszedł przez przeszklone drzwi na górny taras, na którego końcu stały donice z kolorowymi roślinami. Za nimi jak okiem sięgnąć rozciągały się lasy brzozowe, jodłowe, sosnowe i świerkowe, rosnące od wieków w jurajskiej dolinie. Północna Słowacja była wyjątkowo malownicza. Od północy pod niebo wznosiły się Tatry, najwyższe pasmo Karpat, mekka pieszych turystów i narciarzy. Szczyty pokrywał śnieg.

Olivier z konieczności prowadził samotniczy tryb życia. Podchodził do niepowodzeń z kobietami filozoficznie: zawsze go opuszczały. Natomiast

mężczyźni wcale go nie interesowali. Uwielbiał tylko dwie rzeczy: znajdować to, co trudno było odnaleźć, a potem sprzedawać zdobytą informację za jak najwyższą cenę. W przeciwieństwie do Reinhardta wolał sam szukać okazji do ubicia interesu niż zerować na innych. Zawarł już w życiu niezliczone transakcje, na swój sposób zyskowe. Działał oczywiście na pograniczu prawa, ale nigdy nie uważano go za zagrożenie. Ze wszystkich sił starał się zachowywać apolityczność, nie opowiadać się po żadnej ze stron i nie wspierać żadnych ideałów. Był neutralny niczym Szwajcaria. We wszystkich ważnych sprawach – poza zyskiem.

Rozkoszował się wspaniałościami, jakie oferowało życie. Nigdy nie musiał martwić się o pieniądze, kupował to, co chciał i kiedy chciał. Podróżował tam, dokąd sobie zażyczył. Francis Bacon miał rację. „Pieniądze są wspaniałym sługą, lecz kiepskim panem”. A teraz Jonty miał przeprowadzić największą transakcję w życiu.

Telefon zadzwonił cicho. Wydobył go z kieszeni. Najnowsza komórka. Zmieniał je co trzy dni w ramach oficjalnie wyznawanej paranoi. Najlepiej ujmowała ją zasada, której trzymał się przez całe życie: „Nikt mnie nie znajdzie, dopóki sam nie będę tego chciał”.

– Święta Krew została pozyskana przez kontrahenta – powiedział Vic. – Dostałem e-mail z potwierdzeniem od Rosjan.

Jonty się uśmiechnął.

Kolejne, już piąte, potwierdzenie. Zostali tylko Amerykanie i Niemcy.

– Były jakieś problemy?

– Wygląda na to, że w Brugii wszystko poszło jak po maśle.

Dobrze.

– Musimy się upewnić, że nikt nie zna naszych planów – zwrócił się do Vica. – Trochę się martwię naszym gościem w piwnicy... i tym, kto go wysłał.

Podczas wyjazdu z Bratysławy zachowali szczególną ostrożność. Szpieg jechał związany i zakneblowany na tylnym siedzeniu, do tego przed jazdą upewnili się, że nikt ich nie śledzi, a do samochodu nie podrzuciono pluskwy.

– Lepiej, żebyś miał rację, Vic. Reinhardt jest stanowczo zbyt blisko, jak na mój gust.

– Rozumiem. Wkrótce będę wiedział coś więcej.

– A co z dzisiejszym wieczorem?

– Wszystko dopięte na ostatni guzik. Za kilka godzin ruszam na północ. Świetnie.

Zakończył rozmowę i wrócił do środka, stawiając pustą szklankę na orzechowym kredensie. Wybrał zamek z wielu powodów. Po pierwsze, był przepiękny. Po drugie, leżał o dwie godziny jazdy od Krakowa, ale w bezpiecznej lokalizacji – w innym kraju. Po trzecie, w odległości dziesięciu kilometrów nie mieszkał nikt inny. A po czwarte, było tu mnóstwo miejsca: sala balowa z wysoką galerią, komnata biesiadna, tuzin sypialni na górze, okazała kuchnia, a także najważniejsze: przejścia dla służby, które pozwalały poruszać się niezauważalnie pomiędzy pomieszczeniami.

Jonty uwielbiał tajemnice.

Wiedza niedostępna innym była doprawdy ekscytująca. A on wiedział o czymś jako jedyny człowiek na świecie. Wszyscy inni dawno już nie żyli. Pewien skrawek informacji dostał się w jego ręce dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Z początku wydawał się nieważny, lecz nagle stał się bezcenny. Oliviera zawsze pociągało zarabianie dzięki sprytowi, a także niebezpieczeństwo i chwała, jakie towarzyszyły takiemu trybowi życia... Nie wspominając już o zysku. Nienawidził jednak oślizgłej, ciasnej pętli strachu, która czasami zaciskała mu się na żołądku.

Reinhardt.

Problem.

Poradzi sobie z nim, jeżeli to będzie konieczne.

Najpierw jednak musi zrujnować prezydenta Polski.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

**Warszawa**

**18.30**

Prezydent Janusz Czajkowski wybiegł z pałacu i skierował się do oczekującego samochodu. Zaplanował tę wycieczkę wyjątkowo starannie, czyszcząc kalendarz z zaplanowanych na resztę dnia wydarzeń, tak jakby chciał mieć wolny wieczór, zjeść w samotności kolację i położyć się wcześniej spać. W związku z tym nie towarzyszył mu żaden z zadufanych asystentów, nie miał też obstawy mediów. U jego boku pozostała tylko ochrona – agenci BOR-u, czyli Biura Ochrony Rządu. Na tę nieoficjalną wycieczkę przydzielono mu dwóch uzbrojonych ludzi oraz volvo bez oznaczeń.

Trzecia Rzeczpospolita Polska pojawiła się w 1989 roku, a więc – jak na państwo – była dość młoda. Przedtem istniała również II Rzeczpospolita, ale rozprawiły się z nią druga wojna światowa i sowiecka okupacja. Od czasu ponownych narodzin Polska miała dziewięciu prezydentów. Konstytucja przewidywała pięcioletnią kadencję z możliwością jednego

ponownego wyboru, ale tylko jeden z jego ósmiu poprzedników zdołał zapewnić sobie reelekcję.

O polskiej polityce dało się powiedzieć wiele, ale nie to, że jest stabilna.

Większość codziennych obowiązków należała do premiera, którym zwykle zostawał szef partii mającej większość w Sejmie – ale teoretycznie mógł nim być ktokolwiek. Konstytucja zapewniała prezydentowi prawo weta, które mogło zostać odrzucone większością trzech piątych głosów w Sejmie. Prezydent był również zwierzchnikiem sił zbrojnych, uprawnionym do ogłoszenia powszechnej mobilizacji. Nominował i odwoływał ambasadorów, ułaskawiał przestępców i mógł podważyć niektóre wyroki sądów. Co istotne w obecnej sytuacji, prezydent był także najwyższym reprezentantem państwa polskiego, dysponującym władzą ratyfikowania i zrywania umów międzynarodowych.

Co za fart.

Wsiadł do samochodu i odjechał spod pałacu bocznym wjazdem.

Jego pierwsza kadencja zbliżała się ku końcowi.

Warunki, jakie musiał spełnić każdy kandydat na prezydenta, były proste: polskie obywatelstwo, trzydzieści pięć lat ukończone najpóźniej w dniu pierwszej tury wyborów i zebranie podpisów stu tysięcy zarejestrowanych wyborców. Zwycięzca musiał zdobyć absolutną większość w powszechnym głosowaniu. Jeżeli żaden z kandydatów nie osiągnął ponad pięćdziesięciu procent poparcia w pierwszej turze, organizowano drugą, pomiędzy dwoma konkurentami, którzy zdobyli wcześniej najwięcej głosów. Czajkowski został wybrany po wyrównanym głosowaniu w drugiej turze, a teraz na horyzoncie majaczyła ponowna bitwa. Wyłaniali się kolejni przeciwnicy: były premier, popularny prawnik, trzech posłów, muzyk punkrockowy przewodzący jednej z głośniejszych partii mniejszościowych, eksminister, który zadeklarował wcześniej, że

wystartuje tylko wtedy, jeżeli Czajkowski go wkurzy. Najwyraźniej tak się właśnie stało, ponieważ krzykacz właśnie zbierał sto tysięcy podpisów.

Wszystko wskazywało na to, że nadchodzący sezon polityczny nikogo nie znudzi.

Na szczęście prezydent cieszył się pewną popularnością. Ostatnie badania opinii publicznej wykazały, że ma pięćdziesięciopięcioprocentowe poparcie – niezła przewaga, choć nie przytłaczająca. Właśnie z tego powodu siedział teraz w samochodzie, obserwując, jak za oknem przemykają kolejne kilometry drogi. Jechał na zachód, ku miasteczku o nazwie Józefa. Po trzech tygodniach poszukiwań odnaleziono źródło problemu: były komunistyczny pacholek, nieżyjący zresztą od dziesięciu lat. Nadzieja, że zabrał swoją wiedzę do grobu, okazała się płonna. Na jaw wyszły pewne stare informacje, i to nie tylko przypadkowe fakty czy liczby. Było wśród nich coś, co dotyczyło bezpośrednio Czajkowskiego, a nawet mogło doprowadzić go do upadku. Zwłaszcza podczas emocjonujących wyborów, które majaczyły na horyzoncie.

A on tak głupio wierzył, że przeszłość umarła i odeszła na zawsze!

Teraz jednak wydawała się zagrażać wszystkiemu.

Czas spotkać się z nią twarzą w twarz.

Samochód przejechał przez Józefę, miasteczko, które przysiadło na szczycie nadwiślańskiej skarpy. Szczyciło się długą historią i atrakcyjnym starym centrum z ruinami zamku i katedrą, ale jego głównym tytułem do sławy była pobliska rafineria, zatrudniająca setki pracowników. Dom, którego szukał, znajdował się w południowej dzielnicy, przy bocznej drodze z dala od rzeki. Kierowca zaparkował pomiędzy drzewami, tak by samochód nie przyciągał uwagi. Janusz wysiadł – owionęło go ciepłe wieczorne powietrze – i poszedł ku frontowym drzwiom domu. Czekał już tam na niego ubrany w czarny garnitur z czarnym krawatem mężczyzna

o nieprzeniknionym, chłodnym i profesjonalnym wyrazie twarzy. Michał Zima, szef BOR-u.

Prezydent wszedł do domu.

Proste wnętrze, podobne do tego, w którym się wychował: w południowej Polsce, w pobliżu Rzeszowa. Jego rodzice byli rolnikami, nie rewolucjonistami, ale wszystko to zmieniło się w latach osiemdziesiątych. Komunistyczne państwo nigdy nie pozwalało na prywatną własność gruntów, lecz by poskromić rosnące niepokoje, obiecano ludziom taką możliwość – poprzez kupno lub dziedziczenie. Wszystko to jednak było kłamstwem. W końcu jego rodzice i inni rolnicy się zbuntowali i odmówili sprzedaży żywności po zaniżonych, ustawowych cenach, zamiast tego oddając plony strajkującym.

Odważny postępek, który okazał się decydujący.

– Gdzie ona jest? – zapytał Czajkowski.

– Od tyłu, na zewnątrz.

– A pozostali?

– W środku – odparł Zima, wskazując dłonią.

– Jak znalazłeś to miejsce?

– Właściwie to miałem szczęście. Czasem tyle wystarczy.

Prezydent zrozumiał aluzję. „Nie zadawaj zbyt wielu pytań”.

Objął spojrzeniem wnętrze domu i zauważył na stole galerię zdjęć oprawionych w ramki. Jedno z nich przyciągnęło jego wzrok. Podeszedł i przyjrzał się bliżej portretowi mężczyzny w mundurze. Major polskiej armii w koszuli o milicyjnym kroju wystającej spod wojskowej kurtki. Rozpoznał nijaką twarz pod krótką fryzurą i wypięlegnowanym wąsikiem. Spotkał tego mężczyznę w więzieniu mokotowskim.

Aleksy Dylecki.

Nie widział go od kilkadziesiąt lat, niczego też o nim nie słyszał.



Druga wojna światowa zniszczyła Polskę doszczętnie. Większość kraju legła w gruzach, zasoby zrabowano, a do tego pozostało tu niewielu ludzi, by wszystko odbudować. Sowieci obiecali Polsce odrodzenie, wielu im uwierzyło, ale pod koniec lat siedemdziesiątych kłamstwa stały się zbyt oczywiste, a Polacy stracili wreszcie cierpliwość. Ludzie pracowali całe dnie, sklepy świeciły pustkami, a w domach panował chłód w związku z brakiem węgla i ciepłej odzieży, w tym płaszczy. Obywateli szpiegowano na każdym kroku, karmiono propagandą, a dzieciom w szkołach prano mózgi. Polakom zagrażała nie tylko brutalna siła, ale i głód: rząd decydował o tym, ile kto może zjeść, wprowadzając reglamentację niektórych produktów. „Wszyscy mamy jednakowe żołądki” – to hasło przypominało się wielu ludziom. A gdy ludzie są głodni, gdy głodne są ich dzieci, to zrobią wszystko, by zaspokoić głód.

I tak właśnie zrobili.

Czajkowskiemu podobało się to, co napisał Orwell.

„Wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre zwierzęta są równiejsze od innych”\*.

Właśnie taką zasadę wyznawał Aleksy Dylecki.

Politycy i milicja zawsze byli uprzywilejowani. Otrzymywali większe racje, robili zakupy w specjalnych sklepach, mieszkali w lepszych domach i mieli większe prawa. Ta grupa miała nawet nazwę. Słowo „nomenklatura” pochodziło od sowieckiego określenia na system obsadzania różnych stanowisk, na które wybierano ludzi nie ze względu na ich rzeczywistą wartość, ale lojalność wobec reżimu. Grupa ta stała się nieformalną klasą rządzącą, znaną jako „czerwona burżuazja”. Dopóki ustrój się nie zawalił, jej charakterystyczną cechą były korupcja i okrucieństwo.

A prezydent właśnie patrzył na kogoś, kto do tej grupy należał.

Pamiętał słowa, które padły wiele lat wcześniej w więzieniu mokotowskim.

„Kto wie? Pewnego dnia możesz zostać kimś naprawdę wielkim”.

Pokręcił głową na myśl o ironii losu. Na szczęście Dylecki już nie żył.

– Zna go pan? – zapytał Zima.

Czajkowski wtajemniczył w swoją historię tylko jedną osobę i nie był nią Zima, więc zignorował to pytanie. Zamiast odpowiedzi rozkazał:

– Pokaż mi, co znalazłeś.

Odłożył zdjęcie na stół.

Podążył za BOR-owcem do małej rupieciarni, pełnej rodzinnych pamiątek. Stały tam dwie zardzewiałe szafy na dokumenty.

– Pełno w nich papierów – wyjaśnił Zima. – Raporty, korespondencja, notatki służbowe. Od końca lat siedemdziesiątych do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego. Pomieszane daty i wydarzenia, bez widocznych prawidłowości. Dylecki pracował dla Służby Bezpieczeństwa przez dłuższy czas i z pewnością znał wiele jej tajemnic. Najwyraźniej usunął część kartoteki, kiedy upadł komunizm.

Podczas chaotycznego okresu upadku Związku Radzieckiego i odrodzenia Polski przepadło wiele dokumentów. Obecnie niewiele osób przejmowało się przeszłością, wszyscy byli zadowoleni, że minęła. Liczyła się tylko przyszłość, lecz taka krótkowzroczność to zasadnicza pomyłka.

Bo historia również miała znaczenie.

– Czy ktokolwiek przeglądał te teczki? – zapytał Czajkowski.

– Tylko ja, ale szybko i pobieżnie. To wystarczyło, by ustalić, że mogą zawierać informacje, których pan szuka.

To ciekawe.

– Skąd wiesz, że czegokolwiek szukam?

– Nie wiem. Zakładam tylko, na podstawie tego, czego dowiedziałem się do tej pory.

Powinien sprawdzić, co wie ten człowiek... ale nie teraz.

– Każ załadować wszystko z tych dwóch szaf do bagażnika mojego samochodu.

Zima skinął głową, potwierdzając rozkaz.

– Czy wdowa po Dyleckim sprzedała jakiegokolwiek dokumenty z tych zbiorów?

– Nie, ale zrobił to ich syn. Trzymamy go pod kluczem.

To było coś nowego.

– Aresztowaliśmy go kilka godzin temu – ciągnął Zima, prowadząc prezydenta do salonu. Na kanapie leżała niebieska nylonowa torba. BORowiec rozpiął zamek błyskawiczny i zademonstrował zawartość: pliki banknotów. – Pół miliona. Przywieźliśmy to z domu młodego Dyleckiego.

Teraz wszystko zaczynało się zgadzać. Rodzice byli dobrymi, lojalnymi komunistami, ale ich syn już nie. Minęło wiele lat, ojciec zmarł, a matka się postarzała. W szafach z dokumentami mogły kryć się kluczowe informacje, zdolne zmienić wszystko... Zwłaszcza jeżeli gdziekolwiek w tych papierach pojawiało się nazwisko Janusza Czajkowskiego. Syn Dyleckiego musiał tylko znaleźć kupca.

– Przyznał się do czegoś?

Zima przytaknął.

– Dobił targu z niejakim Vikiem DiGentim, znanym jako wspólnik Jonty’ego Oliviera.

– Wypowiadasz to nazwisko tak, jakbyś go znał.

– Bo znam. Facet handluje informacjami. Do pewnego stopnia wiarygodnymi. Nasz wywiad czasem go wykorzystuje. Matka była całkowicie nieświadoma tego, co zrobił syn. Dowiedziała się o tym wczoraj

wieczorem, kiedy zaproponował jej część pieniędzy. Nie była zadowolona. Kilka godzin przed aresztowaniem urządziła mu niezłą awanturę.

– Pokaż mi resztę – rozkazał prezydent.

Zima poprowadził go przez tylne drzwi do niewielkiej stodoły krytej blachą falistą. Drzewa i krzaki osłaniały budynek od strony ulicy. Drzwi były szeroko otwarte, więc Czajkowski wszedł do środka. Wewnątrz słaba żarówka próbowała z miernym skutkiem rozproszyć cienie. Trochę narzędzi, taczka, stary, zardzewiały samochód i martwa kobieta wisząca na sznurze przywiązanym do krokwi, z dłońmi bezwładnie opuszczonymi wzdłuż ciała i nienaturalnie wygiętą szyją.

– Zrobiła to w nocy – wyjaśnił Zima. – Zapewne kiedy dowiedziała się o aresztowaniu syna. A może w imię lojalności wobec męża. Już się tego nie dowiemy.

Najwyraźniej wdowa po Dyleckim wspięła się na dach starego samochodu, przywiązała linę, a potem wykonała krok naprzód – prosto w śmierć.

Czajkowski pokręcił głową.

Teraz wszystko zależało od wyniku akcji trwającej właśnie w Belgii.

---

\* G. Orwell, *Folwark zwierzęcy*, przeł. B. Zborski, Warszawa 2018.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Cotton siedział w areszcie, wciąż jeszcze mokry po kąpieli w kanale. Powinien wziąć prysznic, ale jego kwatery w niczym nie przypominała markowego hotelu. Mimo wszystko, jak na celę, nie wydawała się taka zła: jego obecne lokum było przestronne i czyste, miało działającą toaletę. Zdarzało mu się siedzieć w dużo gorszych warunkach.

To tyle w kwestii długu wobec Kościoła katolickiego.

Dochodziła 19.00, więc przebywał tu sam od kilku ładnych godzin. Belgijscy policjanci nie byli w najlepszym nastroju, kiedy wyłowili go z kanału. Natychmiast skuli mu ręce za plecami i próbowali go przesłuchać. Ale Malone wiedział, kiedy trzymać język za zębami. Oczywiście w którymś momencie będzie musiał wyjaśnić, co zaszło. Może chociaż prałat z bazyliki zezna, że poprosił Cottona o pościg za złodziejami relikwiarza. Na razie policja wiedziała tylko, że ukradł statek i rozbił go o brzeg kanału – kiedy funkcjonariusze zjawili się na miejscu, strzelanina dawno już ustała, a trójka rabusiów zniknęła.

Jedynym problemem dla policjantów był sam Malone.

Zabrali mu portfel, a paszport został w hotelu. Znali przynajmniej jego imię i nazwisko: Harold Earl Malone. Przewidziano „Cotton” nie widniało ani na jego duńskim prawie jazdy, ani w żadnych innych oficjalnych papierach.

Ludzie zwykle pytali, skąd się wzięło, na co zawsze odpowiadał tak samo: „To długa historia”. Rzeczywiście, długa, a w dodatku dotyczyła jego ojca. Wciąż pamiętał dzień, kiedy miał dziesięć lat, a w domu zjawiło się dwóch oficerów marynarki i powiedziało jemu i matce, że okręt podwodny jego ojca zatonął z całą załogą. Nie było ciała ani pogrzebu, wszystko utajniono. Malone odkrył prawdę po blisko czterdziestu latach, a doświadczenie to zasiało w nim głęboką nieufność wobec władzy. Każdej władzy.

Co poniekąd wyjaśniało, dlaczego nie odpowiadał na pytania belgijskich policjantów.

Miał nadzieję, że w swoim czasie poznają prawdę i to wystarczy. Cóż innego mu pozostało? Policja w Brugii na pewno już wiedziała o kradzieży. Święta Krew była najważniejszym przedmiotem w mieście, co roku setki tysięcy ludzi przyjeżdżały, żeby ją zobaczyć, a od XIV wieku noszono ją po mieście podczas uroczystej dorocznej procesji. Ale jeżeli wiedzieli, że przepadła, dlaczego nie przyszli jeszcze na pogawędkę? Przecież chyba by chcieli, żeby podzielił się z nimi swoją wiedzą?

A może nie?

Jego myśli przerwał głośny szczęk.

Metalowe drzwi w korytarzu otworzyły się i zaraz zamknęły.

Potem rozległy się kroki, wolne i miarowe. Ktoś się zbliżał.

Cotton podniósł wzrok i dostrzegł jakąś kobietę.

Była niska, miała pewną siebie minę i ciemne włosy przetykane siwizną. Wyglądała na ponad sześćdziesiąt lat, chociaż wiedział, że w jej aktach w Departamencie Sprawiedliwości, które kiedyś widział, w rubryce przeznaczonej na datę urodzenia wpisano „nie dotyczy”. Każdy był czuły na jakimś punkcie – w jej przypadku chodziło o wiek. Dwóch prezydentów proponowało jej stanowisko prokuratora generalnego, ale odrzuciła obie

oferty. Dlaczego? A kto to wiedział? Zwykle robiła to, co chciała, dzięki czemu była naprawdę dobra w swojej działce.

Wstał i podszedł do kraty.

– Czy nie poznaliśmy się w takiej właśnie sytuacji?

Stephanie Nelle uśmiechnęła się i przytaknęła.

– O ile dobrze pamiętam, w więzieniu hrabstwa Duval.

Malone wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Byłem wtedy przemądrzałym prawnikiem marynarki.

– ...który właśnie zastrzelił kobietę.

– Daj spokój, to ona zaczęła strzelać pierwsza. Próbowwała mnie zabić.

– No proszę, tyle lat później rozbiłeś skradzioną łódź w kanale.

Najwyraźniej kłopoty to twoja specjalność.

– Co z trzema złodziejami i skradzionym relikwiarzem?

– O to właśnie chodzi, Cotton. Nie było żadnej kradzieży.

Ta wiadomość go zaskoczyła. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, co jest grane.

– Wyciszyłaś sprawę?

Skinęła głową.

– Odwiedzałam właśnie naszą ambasadę w Brukseli, kiedy policja przysłała nam wiadomość. Dowiedzieli się, że byłeś kiedyś jednym z naszych, i wysłali zapytanie do Atlanty, a biuro skontaktowało się ze mną. Oczywiście nie miałam pojęcia, że tu jesteś, ale mimo to się do ciebie przyznałam.

Wzruszył ramionami.

– Znalazłem się w złym miejscu, ale w dobrym czasie. Ot, przypadek, ale ci złodzieje świetnie wiedzieli, co robią. Dobrze zaplanowali ten skok.

– Opowiedz mi o tym.

Wyjaśnił jej, co się działo w bazylice i później, a ona słuchała go z drugiej strony więziennych krat. Kiedy skończył, zapytał:

– Co robisz w Brukseli?

– Odpowiedź na to pytanie będzie cię sporo kosztować.

Teraz zrozumiał. Nie bez powodu wypytała go o wszystko, nie otwierając drzwi do celi. Kilka lat wcześniej, kiedy odchodził z Departamentu Sprawiedliwości na wcześniejszą emeryturę, sądził, że spotkania ze Stephanie Nelle staną się rzadkością. Przestał dla niej pracować między innymi dlatego, że miał dość ryzyka, a poza tym chciał spróbować czegoś innego. Przez całe życie był zagorzałym bibliofilem, a teraz, kiedy miał własny antykwariat w Kopenhadze, jego praca wreszcie dotyczyła książek. Przybył do Belgii, by upolować parę rzadkich tomów, którymi interesowało się kilku jego stałych klientów: *Drakulę* z 1897 roku, pierwszą edycję *Hobbita* z 1937 i oryginalne wydanie *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Wszystkie były bardzo kosztowne i bardzo trudne do znalezienia. Malone miał jednak reputację kogoś, kto potrafił zdobyć to, czego chciał kolekcjoner. Tymczasem zamiast odwiedzać targi książki, siedział w areszcie, a jego była szefowa najwyraźniej dysponowała kluczami.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Zawsze lubiłam twoje bezpośrednie podejście. Pozwala zaoszczędzić mnóstwo czasu.

Kiedy prezydentem był Danny Daniels, jednostka Magellan Billet pozostawała na każde jego zawołanie. Stephanie nie zawsze cieszyła się tak zażyłymi stosunkami z władzą wykonawczą. W gruncie rzeczy większość prezydentów wcale jej nie lubiła. Relacje z Danielssem na początku jego kadencji również nie należały do przyjaznych, ale Nelle zdołała zdobyć sobie jego zaufanie. Druga kadencja prezydenta dobiegła końca i obecnie



był młodszym senatorem z Tennessee. Jako rozwodnik nawiązał osobistą relację ze Stephanie, która, jeśli wierzyć plotkom, rozkwitła w miłość. Cottonowi bardzo się to podobało – uważał, że zasługiwała na szczęście. Praca nie powinna definiować życia.

A przynajmniej tak sobie powtarzał.

Stephanie była jedną z niewielu osób na świecie, które nazywał przyjaciółmi, a przy tym jedną z mu najbliższych. Mnóstwo razem przeszli, a cała jego kariera agenta wywiadu stała się możliwa dzięki niej. Swego czasu postawiła na młodego prawnika z marynarki i stworzyła mu okazję, by został naprawdę dobrym agentem wywiadu. Tak dobrym, że co jakiś czas prosiła go o pomoc, mimo że oficjalnie przeszedł na emeryturę.

– Nie odpowiedziałś na moje pytanie – stwierdził. – Ani nie zaproponowałeś, że mnie stąd wyciągniesz. Zakładam, że te dwie sprawy się łączą. Przejdźmy do rzeczy. Ile proponujesz?

– A nie możesz potraktować tego jako przysługi?

Teraz on rzucił jej ironiczne spojrzenie.

– Mam rachunki do zapłacenia. Przyjechałem tutaj, żeby kupić książki dla ludzi, którzy mi za to płacą. Pozwolę sobie dodać, że sporo. Jestem tu w interesach.

– Sto tysięcy.

– Ile to potrwa?

– Kilka dni. Najwyżej do czwartkowego wieczoru.

– Poziom niebezpieczeństwa?

– A to akurat dość skomplikowane.

Stephanie zwykle nie przesadzała ani nie bagatelizowała szczegółów, więc jeżeli użyła przymiotnika „skomplikowane”, należało to traktować jako ostrzeżenie. Ale w ciągu wszystkich lat służby Cotton nauczył się, że

w najbardziej oczywistych sprawach kryło się najwięcej niebezpieczeństw.  
Dlatego określenie „skomplikowane” brzmiało lepiej.

– Sto pięćdziesiąt – skontrował. – Trochę więcej ze względu na tę komplikację.

Skinęła głową.

– Okej. Mam spore problemy.

– Wyciągnij mnie stąd, a pomogę ci je rozwiązać.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cotton opuścił więzienie razem ze Stephanie i znalazł się na jednej z ulic Brugii. Tłumy turystów rozkoszowały się pięknym wieczorem. Policjanci nie byli szczęśliwi, że domniemany przestępca wychodzi bez żadnych konsekwencji, ale żaden z nich nie odważył się sprzeciwić Stephanie Nelle. Przyjechała z Brukseli i reprezentowała władzę tak wysokiego szczebla, że nie mógł jej podskoczyć byle szef policji.

Chociaż ubranie Malone'a już trochę na nim przeszło, jego blond włosy wciąż znajdowały się w nieładzie. Powoli opuszczał go adrenalinowy haj, który zawsze towarzyszył mu podczas akcji. Powtarzał sobie już nieraz, że za nim nie tęskni, ale to było kłamstwo. Kiedy czuł presję, dawał z siebie wszystko, chociaż próba złapania trzech złodziei nie poszła mu najlepiej. Nagłe pojawienie się Stephanie rzucało jednak na tę sytuację nowe światło.

Działo się coś naprawdę dużego.

Kto nie chciałby wziąć w tym udziału?

W końcu dotarli na zatłoczony centralny plac.

Brugia powstała w IX wieku jako forteca, zbudowana, by bronić wybrzeża przed wikingami. Wtedy miasto leżało jeszcze nad morzem. Przez wieki, które minęły od tamtych czasów, brzeg morza się przesunął, a przybrzeżne błotne równiny zmieniły się w suchy ląd z żyzną glebą,

dzięki czemu w średniowieczu miasto stało się dużym ośrodkiem handlowym. Ludzie gromadzili się na brukowanym rynku od tysiąca lat. Stojąc tu, Cotton wyobrażał sobie sprzedających połów rybaków, rozkładających plony rolników i zagranicznych kupców sprawdzających jakość flamandzkiego płótna. Tutejsze jarmarki i świąteczne festyny przyciągały tłumy z całej Europy. Brugia była wówczas czymś w rodzaju europejskiego Nowego Jorku, centrum życia społecznego, politycznego i gospodarczego dla całej prowincji.

Popatrzył na plac.

To, co teraz widział, było w większości efektem renowacji z lat dziewięćdziesiątych. Dzięki niej zachowano nastrój dawno minionych czasów, a także sprawiono, że ulice stały się przyjazne dla pieszych turystów. Okolicy nie szpeciły reklamy, neony ani wysokie budynki. Urok tego miejsca polegał na jego bezpretensjonalnej prostocie, na zachowaniu historycznego charakteru miasta i braku śladów zaniedbania. We wnętrzach domów o stromych dachach kryły się hotele, banki, sklepy z pamiątkami i nie tylko, a także bary i kawiarnie. Wykorzystano każdy skrawek miejsca, tak jakby nie wystarczyła wartość samej zabudowy, bezcennego zabytku z zamierzchłej epoki. Charakterystyczna dzwonnica wcinała się ostrym kształtem w wieczorne niebo na ponad osiemdziesiąt metrów. Jak przekonał się kilka lat wcześniej, warto było się na nią wspiąć. Jeśli powietrze było przejrzyste, z dzwonnicy rozciągała się wspaniała panorama flamandzkiego wybrzeża.

– Słucham – powiedział w końcu do wciąż milczącej Stephanie. Czas, żeby wyłożyła karty na stół.

– W Waszyngtonie panuje niezłe zamieszanie – stwierdziła.

Uśmiechnął się.

– To coś nowego?

Media na bieżąco relacjonowały posunięcia administracji Warnera Foxa, szczegółowo opisując kolejne potknięcia prezydenta, który niemal codziennie zmieniał zdanie i kadry, choć w ruchach tych trudno było dostrzec jakąkolwiek spójność. Fox mówił jedno, a jego doradcy i członkowie gabinetu drugie. Państwo wydawało się dryfować bez sternika w niewiadomym kierunku, a decyzje podejmowano na chybił trafił. Najczęściej na chybił.

– Bardzo źle to wygląda? – zapytał.

– To idioci, nie mają pojęcia, co robią. Banda aroganckich głupców, która jakimś cudem dorwała się do władzy.

Zachichotał.

– Powiedz mi, jak się naprawdę czujesz.

– Prokurator generalny nigdy w życiu nie był na sali sądowej ani nie pełnił urzędu publicznego. Wcześniej pracował jako prawnik w korporacji, ukończył Yale na sto czterdziestym piątym miejscu ze stu pięćdziesięciu dwóch osób w jego roczniku. Jego jedyny atut polega na tym, że te same studia ze sto trzydziestą trzecią lokatą ukończył Warner Fox. W kolegium prawniczym mieszkali w jednym pokoju w akademiku. Facet jest całkowicie lojalny wobec prezydenta. Nigdy niczego nie kwestionuje, robi tylko to, co mu każą.

– A ty wciąż w odstawce?

Był w Waszyngtonie w dniu zaprzysiężenia nowego prezydenta i na własne oczy widział jego niekompetencję. Fox okazał się ugodowy; wyglądał na człowieka o otwartym umyśle i zgodził się pozostawić Stephanie na czele Magellan Billet, chociaż początkowo próbował wyeliminować zarówno ją, jak i całą agencję.

Pokręciła głową.

– Nawet nasze sukcesy spotykają się ze sceptycyzmem. Obcięto mi budżet o jedną trzecią, co poważnie ograniczyło moje możliwości, ale właśnie o to chodziło. Chcą, żebym odeszła...

Wiedział, co Nelle ma na myśli.

– ...ale boją się senatora Danny'ego Danielsa.

– Tak, nadal muszą się z nim liczyć. Nie chcą go do siebie zrazić, warto go mieć za sprzymierzeńca.

– A za chłopaka?

Uśmiechnęła się.

– Też.

– Jesteś z nim szczęśliwa?

– Bardzo.

– Miło to słyszeć.

Naprawdę tak uważał. Stephanie wiodła przedtem raczej samotne życie. Jej mąż zmarł dawno temu, a syn mieszkał we Francji i niełatwo było go odwiedzić. Cotton nie kojarzył, żeby była z kimkolwiek w związku, dopóki nie pojawił się Danny. A wierzył, że każdy ma swoją drugą połówkę. Najlepiej dowodziło tego jego własne życie: rozwiódł się z pierwszą żoną dawno temu i przez wiele lat uważał miłość za uczucie nieodwołalnie minione. A potem pojawiła się Cassiopeia Vitt i wszystko zmieniła.

– Jak tam Cassiopeia? – zapytała Stephanie, najwyraźniej czytając mu w myślach.

– Zdziorna jak zawsze. Przyjeżdża w ten weekend do Kopenhagi.

– Musisz więc skończyć do piątku?

– Coś w tym rodzaju.

Tłumy wypełniały plac; ludzie jedli wczesną kolację albo właśnie kończyli zwiedzanie i zakupy. Przyglądał się twarzom i próbował ocenić zagrożenie, ale tłum był zbyt duży, żeby być czegokolwiek pewnym.

Sytuacja wyglądała inaczej niż w katedrze – w ograniczonej przestrzeni łatwiej porównać ludzi i znaleźć istotne różnice.

– Dzieje się coś ważnego, co będzie miało poważne konsekwencje – powiedziała. – To, co widziałeś w bazylice, to kolejna kradzież relikwii.

Milczał, czekając na dalszy ciąg.

– Dokonano również czterech innych.

Interesujące.

– Wszystkie informacje na ten temat utajniono – dodała. – Dla ścisłości: nie zgadzałam się z tą taktyką. Wybrała ją wszechwiedząca administracja Foxa, która wkroczyła do akcji i narzuciła takie środki.

– Czy w innych miejscach, gdzie przechowywane są relikwie, podniesiono poziom zabezpieczeń?

Stephanie pokręciła przecząco głową.

– Nikomu nie przekazano takiej sugestii. Ci mądrze zdecydowali, że to nadałoby sprawie niepotrzebny rozgłos.

– Biorąc pod uwagę, co się tu właśnie wydarzyło, to nie była najmądrzejsza decyzja.

– Sporo takich podjęto ostatnio w Waszyngtonie.

Najwyraźniej czuła się mocno sfrustrowana, a to odbiegało do normy. Szefowa Cottona była zwykle wzorem samokontroli: bezpośrednia, pragmatyczna, do bólu prawdomówna i do porzygu uczciwa. Prawie zawsze zachowywała profesjonalny chłód i była apolityczna do szpiku kości, co mogło być zarazem walorem, jak i problemem.

– Co tu się dzieje? – zapytał Malone.

– Co wiesz o *arma Christi*?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Jonty wszedł do zamkowej sali i zasiadł przy solidnym stole o kształcie wydłużonego prostokąta, twarzą do zachodzącego słońca. Przy tym olbrzymim dębowym blacie mogło zmieścić się przynajmniej dwadzieścia osób. Olivierowi podobały się również zdobiące ściany jasne malowidła w bogatych ramach. Przedstawiały toczących epickie bitwy wojowników z mieczami i włóczniami. Intensywne kolory i swobodne, mocne pociągnięcia pędzla dobrze oddawały potęgę i rozmach tych starć. Niestety, Jonty siedział przy kolacji sam. Zwykle rozmowy podczas posiłku sprawiały mu wiele przyjemności, do weekendu musiał jednak pozostać w ukryciu, co oznaczało między innymi, że będzie jadał samotnie.

Kucharz przygotował dzisiaj pieczeń wieprzową z gotowanymi ziemniakami, pyszne danie, bardziej polskie niż słowackie. Tutaj, tak blisko granicy, kultury się mieszały. Cholerni komuniści niemal zniszczyli wschodnioeuropejską kuchnię. Co za straszne czasy. Wszystko było racjonowane, oczekiwanie w długich kolejkach stało się częścią codziennego życia, niemal rodzajem sztuki. Nikt nie wiedział, kiedy przyjdzie dostawa żywności ani czy komukolwiek uda się cokolwiek kupić. W restauracjach obowiązywały stałe, odgórnie narzucone karty dań, których nie wolno było zmieniać. Książki kucharskie akceptowane przez



władze wyliczały dokładnie ilość i rodzaj składników dla każdego dania. Nie trzeba dodawać, że w tych warunkach kulinarna kreatywność została całkowicie zdławiona.

Dzięki Bogu, że to się zmieniło.

Usiadł i rozłożył na kolanach czarną płócienną serwetkę. Przy jego nakryciu stał już kieliszek czerwonego wina. Ludzie dzięki odpowiedniej zachęce, na przykład jedzenia i alkoholu, potrafili opowiedzieć nieznanemu niemal wszystko. Nie było już świętych tajemnic: najlepiej dowodziły tego Facebook, Twitter i inne media społecznościowe. To, czego nikt nie wykrzyczałby przed frontowymi drzwiami do sąsiadów z naprzeciwka, teraz umieszczano na całą wieczność tam, gdzie mogły to przeczytać miliardy. Jonty uwielbiał Internet. Tak wiele można się było z niego dowiedzieć tak niskim kosztem i bez zostawiania śladów.

Jadł idealnie przyrządzoną wieprzowinę. Dostarczył już kucharzom menu przystawek na czwartek: wyrefinowany spis międzynarodowych przekąsek, słodkich i nie tylko, pasujący do gustu gości z całego świata. Nabył również zapas kosztownych alkoholi, win i szampanów – miał wszystko, czego mogli sobie zażyczyć. Przekąski i napoje doskonale ułatwiały przeprowadzenie transakcji, podobnie jak atmosfera. Między innymi z tego powodu wybrał tę zabytkową fortecę w lasach północnej Słowacji – w takich okolicznościach dobrze podejmowało się ważne decyzje.

Dokończył danie z nadzieją na dokładkę. Jako człowiek światowy uznawał za punkt honoru zapoznanie się z wyrefinowanymi uciechami tego świata. Niestety te, które lubił najbardziej, były dość kaloryczne, czego efektem okazał się jego rosnący obwód w pasie. Ostatnio nadwaga zaczęła być dla niego poważnym problemem: krawiec Jonty'ego miał sporo pracy z poszerzaniem jego licznej garderoby. Olivier był stanowczo zbyt ciężki

jak na swój wzrost, co zawdzięczał strasznej diecie i głębokiej niechęci do ćwiczeń. Krótko mówiąc, okropnie się roztył. Mięsiste, nieco obwisłe wargi, szeroki nos i bystre oczy świadczyły o tym, że zarabiał na życie przebiegłością, nie siłą. Fryzurę miał prostą, z przedziałkiem na środku; włosy siwiały mu nieco przedwcześnie. Zaczynał wyglądać na swój wiek – całe pięćdziesiąt trzy lata.

Prowadził doprawdy interesujące życie.

W dzieciństwie doświadczył ubóstwa. Jego matka, świeć Panie nad jej duszą, płakała tak często, że zaczął wierzyć, że to przez niego. Stale opowiadała o śmierci lub odejściu. Zawsze się zastanawiał, czy zostanie ją w domu po powrocie ze szkoły. W końcu dojrzał i zrozumiał, że używała tych wszystkich środków, by kontrolować wszystkich mężczyzn: Jonty'ego, jego brata i ojca.

Ta taktyka miała na niego decydujący wpływ.

Jeżeli nie zależało na nim jego matce, to dlaczego miałyby zależeć komukolwiek innemu? Jeżeli ona mogła odejść, to równie dobrze mógł to zrobić każdy człowiek. Dlatego jego związki, osobiste i profesjonalne, miały mocno powierzchowny charakter. Głównie z jego winy, ponieważ wolał ograniczać ich intensywność i się nie angażować.

Mimo to życie traktowało go przychylnie. Zwykle mógł wybierać spośród całego wachlarza propozycji. Olivier lubił myśleć o sobie jako o człowieku szlachetnej postawy, prawego charakteru, kulturalnym, wyrafinowanym i czarującym. Wszystkie te cechy były jednak częścią iluzji, jaką wokół siebie stworzył. Z czasem zaczął doceniać romantyzm sytuacji, kiedy ktoś na niego polował, a potem role się odwracały. Dawno temu odrzucił definicję dobra, jaką wyznawała większość społeczeństwa. Zamiast niej przyjął kodeks sformułowany na podstawie własnych trudnych doświadczeń. „Dobro” oznaczało w nim bezpardonową, bezlitosną walkę

na kły i pazury z przeciwnościami losu, z zastosowaniem wszystkich możliwych podstępów. Nigdy się nad sobą nie rozczulał i nie miał zamiaru tego zmieniać. Jego przepis na życie był prosty: rób to, co konieczne, uśmiechaj się, nawet gdy nie chcesz, a potem spróbuj czegoś nowego. Najlepiej ujął to Budda: „Największym bogactwem jest wiedza, a największym ubóstwem – ignorancja”. Einstein dodał do tego jednak ważne rozróżnienie: „Informacja to nie wiedza”. Święta prawda, ponieważ największe sukcesy odnosił ten, kto dysponował największą wiedzą.

Inwestycja w wiedzę zawsze przynosiła duże zyski.

Jonty lubił powtarzać potencjalnym klientom, że cena światła jest niczym wobec kosztów pozostawania w ciemności. Informacja była jak pieniądz: żeby utrzymać wartość, musiała krążyć, co zwiększało nie tylko jej ilość, ale także cenę. Przetrzywanie informacji sprawiało, że taniała. Dzięki Bogu istnieli jednak majętni kupcy chętni na niemal każdy towar.

Dokończył kolację i użył srebrnego dzwoneczka, który spoczywał obok kielicha z winem. Pojawił się służący w liberii, a Jonty poprosił go o odniesienie talerza i przyniesienie kolejnego, z następną porcją pieczeni wieprzowej. Czekał na dokładkę, siedząc w złoconym krześle z wysokim oparciem i planując następne dwa dni. Niemal wszystko było gotowe, lecz Olivier martwił się nieprzewidzianymi problemami, takimi jak związany mężczyzna w piwnicy.

Oraz Reinhardt.

Usłyszał kroki i założył początkowo, że to kelner wraca z jego daniem... Ale to byłoby cholernie szybko. Zamiast służącego do komnaty wszedł Vic i zbliżył się do stołu.

– Życzysz sobie kolację? – zapytał Jonty.

– Nie, dziękuję. Zjem później.

Kelner wrócił z talerzem.

– Och, usiądź i zjedz! A ty przynieś mojemu przyjacielowi porcję pieczeni – rozkazał Olivier, zadowolony z towarzystwa. – I nie zapomnij o winie.

DiGenti wiele razy towarzyszył mu przy posiłkach. Jonty wiedział, że jego wspólnik nie odmówi.

– Stawka jest obecnie naprawdę wysoka, Vic. Wyższa niż przy jakiegokolwiek transakcji, którą do tej pory zawarliśmy. To ekscytujące, nie uważasz?

Specjalnie używał zawsze liczby mnogiej, a nie pojedynczej. To wskazywało, że są zespołem: w ten sposób wszyscy czuli się uwzględnieni. Wzmacniał to poczucie, zawsze szczerze dzieląc się zyskiem z pomocnikami. To dlatego tak wielu ludzi uwielbiało z nim pracować i było wobec niego lojalnych. Zresztą Olivier okazywał Vicowi wyjątkową szczodrość, ponieważ liczył na niego pod wieloma względami: uważał na przykład, że może testować na nim nowe pomysły.

– Pomyliłem się, sądząc, że potrafimy zachować tę sprawę w dyskrecji – przyznał ściszym głosem. – Ale naprawdę myślałem, że mamy wszystko pod kontrolą.

– Jeżeli Reinhardt dowiedział się, że byliśmy w Bratysławie, to wie także, że jesteśmy tutaj.

– Zgoda. I to właśnie mnie niepokoi. Na co więc czeka?

– Prawdopodobnie na raport swojego agenta.

Słuszna myśl.

– Dlatego wkrótce zaczniesz się zastanawiać, co się z nim stało.

Vic przytaknął.

– A wtedy przyśle następnych.

Kelner powrócił z dokładką. Jonty zachęcił Vica do jedzenia, ale sam stracił apetyt. Potrzebował pewności, a tego nie dało się podać na talerzu.

– Pozostały dwie relikwie *arma Christi* – powiedział. – I mniej niż doba, żeby reszta potwierdziła udział w spotkaniu. Czekamy jeszcze na Niemców i Amerykanów. Co, jeśli zrezygnują? Podjąłem ryzyko, nawiązałem osobisty kontakt i wysłałem im specjalne zaproszenie. Może postąpiłem nierozważnie?

Zastanawiał się, czy to Waszyngton jest odpowiedzialny za pojawienie się Reinhardta. Ale jakim cudem? Przeciek? O tak, to się mogło zdarzyć. Przyszło mu do głowy stare perskie przysłowie: „Człowiek, który nie wie, ale nie wie, że nie wie, to głupiec. Wystrzegaj się go!”. Mądre ostrzeżenie. „Człowiek, który nie wie, ale wie, że nie wie, to uczeń. Naucz go!” No oczywiście. „Człowiek, który wie, ale nie wie, że wie, śpi. Obudź go!” Tak właśnie mógł opisać swój obecny stan. „Człowiek, który wie – i wie, że wie, to nauczyciel. Ucz się od niego!”

Tak właśnie zamierzał postąpić.

– Kiedy wyjeżdżasz na północ? – zapytał Vica.

– Niedługo.

Początkowo Vic miał załatwić wszystko, co zaplanowali na dzisiejszy wieczór, samodzielnie.

Ale Jonty zdecydował o zmianie planów.

– Chcę jechać z tobą – oznajmił.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

*J*ako pierwsza relikwie zaczęła gromadzić Helena, matka Konstantyna I Wielkiego. Nosiła tytuł Augusta Imperatrix i miała swobodny dostęp do cesarskiego skarbcza, toteż mogła zająć się zbieraniem obiektów cennych dla nowej chrześcijańskiej tradycji.

By wypełnić to zadanie, w wieku osiemdziesięciu lat (w roku 326) wyprawiała się do Palestyny z pierwszą chrześcijańską misją archeologiczną. W Jerozolimie zleciła zburzenie istniejącej świątyni nad grobowcem Chrystusa w pobliżu góry Kalwarii i wzniesienie nowego kościoła. Według legendy podczas budowy odkryto pozostałości trzech różnych krzyży. Czy na jednym z nich zmarł Jezus? Nikt tego nie wiedział. Aby to ustalić, cesarzowa nakazała sprowadzić na plac budowy kobietę bliską śmierci. Kiedy ta dotknęła pierwszego i drugiego krzyża, jej stan się nie zmienił, ale kiedy położyła dłoń na trzecim, natychmiast wyzdrowiała. Helena ogłosiła, że to właśnie Krzyż Prawdziwy, i rozkazała wybudować w tym miejscu Bazylikę Grobu Świętego.

*W ten sposób rozpoczął się kult relikwii.*

*Począwszy od zmartwychwstania Chrystusa, chrześcijaństwo opierało się na cudach. Relikwie stały się ważną częścią tych wierzeń, wypełniając próżnię powstałą po zakazaniu pogańskich idoli. Do roku 1000 święte przedmioty były spotykane powszechnie, lecz krucjaty przyniosły do Europy*

nową ich falę: tysiące przedmiotów, od zębów, przez kończyny, kości, krew, po całe ciała. Jeśli jakiś kościół posiadał taką pamiątkę, oznaczało to, że będą go odwiedzać pielgrzymi, a wraz z nimi popłynię stały strumień pieniędzy. Nic zatem dziwnego, że pojawiło się także tak wiele podrabianych relikwii – łatwiej przecież było stworzyć własną niż przywieźć prawdziwą z dalekiej wyprawy.

Protestantyzm przyniósł zmianę – relikwie przerażały reformatorów. Jan Kalwin powiedział, że gdyby złożyć razem wszystkie części Krzyża Prawdziwego, to wypełniłyby spory statek. A przecież z Ewangelii wynikało, że mógł go nieść jeden człowiek! Po wystąpieniu Marcina Lutra w 1517 roku relikwie w większości utraciły poprzednie znaczenie, ale ostatecznie siedem z nich zdobyło specjalny status.

Krzyż Prawdziwy, korona cierniowa, Kolumna Biczowania, Święta Gąbka, Włócznia Przeznaczenia, gwoździe i Święta Krew.

*Arma Christi.*

*Broń Chrystusa.*

*Narzędzia Męki Pańskiej.*

Zgodnie z listem do Koryntian dla tych, którzy wyrzekli się oręża tego świata, arma Christi były obroną przed pokuszeniem”.

Cotton słuchał uważnie wyjaśnień Stephanie.

– *Arma Christi* wciąż istnieją, chociaż nadal trwa dyskusja, czy są autentyczne. Watykan rozwiązał ten problem, ogłaszając własną, oficjalną listę.

Fragmenty Krzyża Prawdziwego były rozsiane wszędzie. Największy i najbardziej godny uwagi znajdował się w klasztorze św. Turybiusza z Liébany w hiszpańskiej prowincji Kantabria. Poszczególne ciernie korony wydawały się równie powszechne, a wiele wspólnot utrzymywało, że ich relikwia jest prawdziwa, ale pieczęć autentyczności otrzymał tylko cień

z kaplicy św. Antoniego w Pittsburghu w stanie Pensylwania. Fragment Kolumny Biczowania, rzekomo odnalezionej przez samą Helenę, pozostawał w rzymskiej bazylice św. Praksedy. Święta Gąbka zawędrowała z Palestyny do Konstantynopola, a potem do Francji. Ostatecznie została w katedrze Notre Dame.

Długo dyskutowano nad tym, czy Chrystus został ukrzyżowany trzema czy czterema gwoździami. Legenda głosi jednak, że Helena znalazła w Palestynie cztery gwoździe. Jeden z nich ponoć wrzuciła do morza, by uciszyć sztorm, drugi został osadzony w bojowym hełmie Konstantyna, trzeci – wmontowany w głowę jakiegoś posągu, a czwarty stopiony i uformowany w wędzidło dla konia Konstantyna. Mimo to w Europie znajdowały się dziesiątki gwoździ. Watykan zakończył dyskusję, uznając za jedyny prawdziwy gwóźdź wystawiany w katedrze w Bambergu.

– Szósta relikwia, Święta Krew, jest tu, w Brugii – powiedziała Stephanie – a przynajmniej była przez ostatnie dziewięć stuleci. Siódma to Włócznia Przeznaczenia.

– Ktoś kradnie te relikwie?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– W ciągu ostatnich trzech miesięcy zrabowano pięć z nich. Pozostają dwie: gwóźdź i Włócznia.

Jak to kiedyś napisał Ian Fleming? „Pierwsze spotkanie to przypadek, drugie zbieg okoliczności, ale trzecie to już akcja wroga”<sup>\*</sup>.

– Musimy iść – powiedziała. Opuścili rynek i poszli z powrotem ku Bazylice Świętej Krwi. Stamtąd Stephanie poprowadziła go osłoniętą uliczką, znaną jako Blinde-Ezelstraat, ulica Ślepego Osła, która wychodziła na mały plac, gdzie stała nakryta dachem betonowa kolumnada.

Targ rybny.



Malone znał jego historię. Przez stulecia świeże morskie ryby sprzedawano na głównym rynku Brugii. Wieki temu był to drogi towar, dostępny tylko dla bogatych. Większość handlujących skarżyła się jednak na smród, toteż w pierwszej połowie XIX wieku kupcy rybni przenieśli się tutaj, z dala od tłumów. Targ działał po dziś dzień, ale tego wieczoru nikt nie oferował połowu. Tablica informowała, że handel odbywa się tu tylko przez kilka dni w tygodniu, od ósmej rano do południa. Pod kolumnadą zebrał się tłum, ludzie korzystali z pustych betonowych blatów. Na pobliskim bruku bawiły się dzieci.

– Idziemy w jakieś konkretne miejsce? – zapytał.

Zatrzymała się obok kolumnady.

– Sytuacja w Polsce staje się coraz poważniejsza.

Usłyszał w jej głosie zaniepokojenie.

– Administracja Foxa chce wrócić do pomysłu systemu obrony antybalistycznej.

Cotton pokręcił z niedowierzaniem głową.

W 2007 roku USA rozpoczęły rozmowy o systemie obrony przed pociskami balistycznymi, którego elementy miały znajdować się między innymi w Polsce. Planowano zainstalować w silosach dziesięć stanowisk rakiet przechwytyjących, naprowadzanych przez znajdujący się w Czechach radarowy system śledzenia. Koncepcja ta zakładała ochronę przed pociskami nadlatującymi z Iranu, ale sprzeciwiała się jej przede wszystkim Rosja. Tamtejsze władze uznały ten pomysł za amerykański pokaz siły. W odwecie rosyjski prezydent zagroził rozmieszczeniem w Kaliningradzie ofensywnych pocisków krótkiego zasięgu, które szachowałyby jakikolwiek potencjalny system obronny. Głębokie zastrzeżenia zgłosiła także Unia Europejska: Francja, Niemcy i Włochy sprzeciwiły się rozmieszczeniu amerykańskich rakiet, uważając je za

provokację, a nie strategiczny ruch obronny. Zamieszanie trwało, dopóki administracja Obamy ostatecznie nie wycofała się z projektu.

– Znowu chcą wsadzić kij w mrowisko? – zapytał Malone.

– Tak, naprawdę zamierzają się do tego posunąć. W ten sposób wyślą Moskwie sygnał, że miasto ma nowego szeryfa. Tym razem skończy się inaczej: świat zobaczy, że z Foxem trzeba się liczyć.

– Przecież to drażnienie niedźwiedzia. Jeżeli dobrze pamiętam, niemal wszyscy opowiadali się przeciwko tym rakietom. Nikt nie uważał, że to dobry pomysł.

– Fox nienawidzi Unii Europejskiej i NATO. Spędził kilka ostatnich miesięcy, zrażając do siebie niemal wszystkich naszych sojuszników. Ni cholery go nie obchodzi, czego chce Unia albo Rosja.

Stali teraz na tyłach starego miejskiego ratusza o ostro zakończonym, wysokim dachu. W jego wieżyczkach, iglicach i sterczynach igrały światło i cień. Ruszyli dalej ulicą pełną przygotowujących się na cwieczorny szczyt barów i kawiarni. Na bruku rozstawiono stoliki, a przy niektórych goście jedli już kolację. Zbliżała się 20.00 i Cotton również poczuł głód.

– Tym razem najważniejszym elementem tego równania jest prezydent Polski – powiedziała Stephanie. – Samodzielnie może podjąć lub wstrzymać decyzję o rozmieszczeniu amerykańskich rakiet.

– A chce tego?

– To zależy – odparła.

Dziwna odpowiedź. Malone spróbował więc z innej strony:

– Co mają rakiety w Polsce do relikwii *arma Christi*?

– Sporo. Te kradzieże zdarzyły się z konkretnego powodu. Dziwnego, ale jednak konkretnego.

Cotton wyraźnie wyczuwał, że za tą historią kryje się coś jeszcze.

– Kiedy masz zamiar mi o tym opowiedzieć?

– Już niedługo. Chodź.

---

\* Ian Fleming, *Goldfinger*, przeł. Jan Kraśko, Warszawa 1990.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Cotton i Stephanie minęli kilka kawiarni ze stolikami i wiklinowymi krzesłami pod kolorowymi markizami. Zignorowała je wszystkie, kierując się do jednego z obrosniętych bluszczem budynków nad kanałem. Na żelaznym szyldzie na ceglanej fasadzie widniał napis „La Quincaillerie”. Sklep z narzędziami. Dziwna nazwa dla restauracji.

Wnętrze miało tradycyjny wystrój: belki poczerniałe od dymu, stoliki z marmurowymi blatami i kelnerzy w czarnych wykrochmalonych fartuchach. Na ścianach z czerwonej cegły wisiały zdjęcia i pamiątki zbierane przez pokolenia. Wieczne powietrze wpadało przez okna, otwarte na ten sam kanał, którym wcześniej płynął w pogoni za rabusiami. Po jego drugiej stronie Malone dostrzegł inne ceglane budynki z restauracyjnymi tarasami i ogródkami.

Przy jednym ze stolików pod oknem czekał na nich jakiś mężczyzna. Średniego wzrostu, o szczupłej, gładko ogolonej twarzy, bladej skórze i krótkich brązowych włosach, w ciemnym garniturze i krawacie. Wstał, kiedy do niego podeszli.

– Cotton, to Tom Bunch – dokonała prezentacji Stephanie. – Pracuje w Białym Domu.

Uścisnęli sobie dłonie i usiedli.

– Tom jest zastępcą asystenta prezydenta i zastępcą doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego – wyjaśniła Stephanie.

Powtórzyła słowo „zastępca” dwukrotnie i z naciskiem, a Malone doskonale wiedział, co miała na myśli. Struktura organizacyjna Magellan Billet była prosta: szefowa miała całkowitą kontrolę nad jednostką. Żadnych zastępców, żadnych wiceprezesów. Wszystkie decyzje pochodziły z jednego źródła.

– Jestem w Belgii z powodu Toma – powiedziała. – Biały Dom poprosił Departament Sprawiedliwości o pomoc, a prokurator generalny przydzielił to zadanie naszej agencji, rozkazując nam współpracować właśnie z Tomem.

To oznaczało, że prezydent chciał, by zadanie to wykonali ludzie z Magellan Billet. Tu należało zadać sobie ważne pytanie (co Stephanie z pewnością zrobiła): dlaczego podjął taką decyzję, skoro było wiadomo, jaki ma stosunek do niej i do całej jednostki?

Kelner przyniósł karty dań i zapytał, czego się napiją. Bunch zażądał drogiego francuskiego wina. Stephanie poprosiła o gazowaną wodę, a Cotton wybrał tę bez gazu. Napoje nasycone dwutlenkiem węgla nigdy mu nie odpowiadały. Nie znajdował również upodobania w alkoholu, kawie, papierosach ani żadnej substancji pochodzącej z laboratorium chemicznego.

Bunch przeglądał menu, więc Malone również zdecydował, że nie będzie się ograniczał. Był głodny, a dania w karcie wyglądały na solidne i sycące – żadnych specjałów dla smakoszy, i dzięki Bogu. Jego uwagę przyciągnęło danie o nazwie *kalfsblanket*, cielęcina w sosie śmietanowym, a wśród deserów dostrzegł również Białą Damę. Kelner powrócił z napojami, a Bunch poprosił o kilka minut do namysłu, zanim wybiorą dania.

– Wyglądasz, jakbyś pomarszczył się od wilgoci – zagaił Bunch. – Stephanie wspominała, że skąpałeś się w kanale.

– Tak, w ramach wycieczki po mieście. Zwiedzałem kanały z bliska – odparł Cotton, próbując obrócić całą sprawę w żart.

Tamten jednak nie wydawał się rozbawiony.

– Nie wiem nic na twój temat, ale Stephanie twierdzi, że jesteś najlepszym człowiekiem do tej roboty. Zakładam, że wiesz, kim jest Jonty Olivier?

Zadał to pytanie aroganckim tonem, sugerującym, że każdy powinien znać to nazwisko.

– Nie. Może mnie oświecisz? – zaproponował Cotton, dostrzegając uśmiezek na twarzy Stephanie. Doskonale wiedziała, jak bardzo Malone musi się opanowywać.

– Jestem nieco zaskoczony, że nigdy nie słyszałeś o Olivierze.

Cotton zauważył zarozumiały ton rozmówcy. Bunch zaczynał mu już działać na nerwy.

– Jonty Olivier to broker.

– W jakiej branży? Książki, sztuka, nieruchomości?

Bunch się zaśmiał.

– Naprawdę wypadłeś z obiegu. Jak długo jesteś na emeryturze?

– A jak długo ty jesteś zastępcą doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego? Od stycznia? Całe pół roku. Co robiłeś przedtem?

– To nieistotne. Teraz pracuję w Białym Domu i to ja tu dowodzę. Tylko to się liczy.

Malone wyjął z kieszeni telefon – wodoodporny, więc na szczęście przetrwał kąpiel w kanale – i otworzył wyszukiwarkę. Wpisał „Tom Bunch, Biały Dom” i znalazł mnóstwo odnośników. Zdecydował się na Wikipedię. Dlaczego nie? Można zobaczyć, co sądzą o nim masy. Dotknął ekranu,

otwierając stronę. Hasło w Wikipedii było krótkie i jakoś go to nie zaskoczyło.

Bunch w trakcie kampanii prezydenckiej pod pseudonimem E Pluribus Unum publikował artykuły popierające Foxa. Krytykował jego konkurentów z prawa i z lewa, ale oszczędzał pro-Foxowskich konserwatystów. Odmalował te wybory jako bitwę o ocalenie Ameryki, a w jednym z artykułów określił je jako „wyborczy lot 93”, nawiązując do samolotu porwanego 11 września 2001 roku, który rozbił się, ponieważ pasażerowie zaczęli walczyć z porywaczami. Napisał w nim: „Zaatakujcie kabinę pilota albo umrzecie”, a następnie: „I tak możecie umrzeć. Wy – albo przywódca waszej partii – możecie przedostać się do kokpitu, ale nie będziecie wiedzieli, jak pilotować samolot ani jak nim wylądować. Nie macie żadnej gwarancji poza jedną: jeżeli nie spróbujecie, śmierć jest pewna”. Oświadczenie to wydaje się wysoce niejasne. Zanim dołączył do zespołu Białego Domu, Bunch pracował dla Burdi Macro LLC, spółki zarządzającej prywatnym majątkiem Richa Burdiego, który wspierał znacznymi sumami komitet wyborczy Warnera Foxa.

– Co robisz? – zainteresował się Bunch.

– Czytam o tobie.

Bunch zerknął na Stephanie.

– Marnujemy czas. Ten facet się nie nadaje.

– No proszę – zdziwił się Cotton – to samo myślałem o tobie. Teraz już wiem dlaczego.

Jego ejdetyczna pamięć podsunęła mu artykuły prasowe, w których przytaczano opinie prezydenta Foxa na temat Rady do spraw Bezpieczeństwa Narodowego: „Za duża”. „Zbyt podzielona”. „Niewydolna”. „Trzeba ograniczyć jej władzę”. Fox nie lubił się spotykać, wysłuchiwać informacji i opinii ani przeglądać papierów. Eksperci zgodnie

orzekli, że prezydent pragnie prowadzić politykę zagraniczną samodzielnie, bez oglądania się na innych. Kilku senatorów publicznie ogłosiło, że główny lokator Białego Domu jest niekompetentny, zaściankowy i chwiejny w poglądach. Administracja nie podejmowała decyzji lub podejmowała je zbyt późno, a w większości przypadków były one złe. Urzędnicy woleli zaspokajać próżność szefa, a nie formułować i realizować jasne cele polityki bezpieczeństwa narodowego. Kto za to odpowiadał? Niekompetentni ludzie we władzach, całujący tyłek zwierzchnika. Idealny przykład takiego indywiduum siedział teraz przy stoliku naprzeciwko Cottona.

– Masz jakiegokolwiek pojęcie, co właściwie robisz? – zapytał Buncha.

– Mam bezpośredni dostęp do prezydenta Stanów Zjednoczonych i jestem tutaj z jego osobistego polecenia. To wszystko, co musisz wiedzieć.

Malone czuł, że powinien wyjść i zapomnieć o stu pięćdziesięciu tysiącach dolarów. Wróci do hotelu, weźmie prysznic, pójdzie spać, a jutro, tak jak planował, odwiedzi targi. To nie był jego problem. I tak zrobił już za dużo. Im robił się starszy, tym gorzej znosił głupców, tym mniej cierpliwości miał dla miernoty i tym bardziej nie lubił owijać w bawełnę. Siedział jednak dalej w restauracji z trzech powodów: po pierwsze, dostrzegał frustrację w oczach Stephanie. Po drugie, czuł głód, a cielęcina w sosie śmietanowym brzmiała wspaniale, nie wspominając już o Białej Damie na deser. Był jeszcze trzeci powód – niespodzianka.

No dobra, najpierw coś innego.

– Opowiedz mi o Jontym Olivierze – poprosił Stephanie, wracając do tematu i ignorując Buncha.

– To Brytyjczyk, ma również paszport Szwajcarii, dzięki matce, która stamtąd pochodziła. Wypłynął jakieś piętnaście lat temu jako gromadzący informacje i handlujący nimi broker. CIA i NSA regularnie korzystały



z jego usług, bo okazał się solidnym i rozsądnym kontrahentem. Nie ma żadnych politycznych sympatii, osobistych motywacji, moralności ani skrupułów. Jest biznesmenem, kupuje i sprzedaje, handluje i zarabia pieniądze. Pracuje z ludźmi, korporacjami i rządami, dla niego to bez znaczenia. Raporty donoszą, że to człowiek o arystokratycznym guście i rubasznym języku.

Cotton się uśmiechnął.

– Gdzie mieszka?

– Przez cały czas podróżuje – wtrącił Bunch. – Woli wynajmować luksusowe rezydencje i mieszkać w pięciogwiazdkowych hotelach niż mieć własną posiadłość. Zachowuje daleko posuniętą dyskrecję i działa przez Internet, korzystając z przelewów bankowych i pośredników.

Malone zauważył, że jego rozmówca wypluwa fakty na temat tamtego tonem kogoś, kto nigdy nie służył w armii, a opowiada wojenne historie.

– Unika także łamania prawa – dodał Bunch. – Zwykle działa na jego granicy, ale nigdy jej nie przekracza. Ostatnio skontaktował się z Białym Domem. Znają się z prezydentem jeszcze sprzed wyborów.

Interesujące.

– Są przyjaciółmi?

– W przeszłości dobijali już targu. Olivier rozmawiał o tym bezpośrednio z prezydentem.

– Czy to rozważne? – zapytała Stephanie, najwyraźniej zaskoczona. – Cała ta sytuacja przypomina raczej wyrafinowany szantaż.

Jaka sytuacja?

– Prezydent wie, jak robić interesy – odparł Bunch, najwidoczniej zirytowany. – To jego mocna strona. Preferuje osobiste kontakty i lubi sam oceniać sytuację.

– Naprawdę nie masz najmniejszego pojęcia, co robisz – ocenił Cotton.

– Twoja niesubordynacja mnie obraża! – oświadczył jego rozmówca.

Malone wzruszył ramionami.

– Z tego, co mi wiadomo, nie pracuję dla ciebie.

– I wątpię, żeby do tego doszło.

Czas na trzeci powód.

Niespodziankę.

Siedzieli naprzeciwko otwartego okna. Zawieszony w nim wiatrowe dzwonki z brązu brzęczały melancholijnie. Od czasu do czasu kanałem przepływał wycieczkowiec z floty pomniejszonej dzisiaj o jeden statek. Po spokojnej brązowej wodzie pływały białe łabędzie: długoszyje, masywne, wielkołape ptaki. Ich pełen gracji wygląd zaprzeczał kłótlivej naturze.

Za kanałem Cottonowi znów mignęła znajoma twarz.

Zauważył ją już kilka chwil wcześniej.

Kolejny łabędź, jeżeli można tak powiedzieć.

Szczupła i zgrabna, pełna chłodnej elegancji. Pewna siebie. Popielatoblond włosy opadały jej w swobodnym nieładzie na ramiona. Pełne usta były nieco zbyt szerokie w stosunku do nosa, lecz ta drobna niedoskonałość tylko dodawała jej uroku. Czasem przypominała mu samotną wilczycę o błękitnych oczach. Pod wieloma względami była niczym forteca, wielokrotnie oblegana i atakowana, ale nigdy nie zdobyta.

Iwona Nowak.

Siedziała sama przy stoliku na tarasie, spoglądając ponad kanałem prosto na niego.

– Poczekaj chwilę – rzucił do Buncha.

I wstał od stołu.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cotton wyszedł z restauracji i skręcił w prawo. Dotarł brukowaną uliczką do kładki, która kończyła się przy obwodnicy okalającej stare miasto. Samochody mknęły nią z warkotem w obu kierunkach. Stamtąd chodnik prowadził do kolejnej kładki, z powrotem na starówkę, ku budynkom stojącym po przeciwnej stronie kanału, nad którym znajdowało się La Quincaillerie.

Po chwili znalazł bar, tym razem noszący swojską nazwę Le Quai, czyli Bulwar. Była to urządzona w dawnej siedzibie cechowej gwarna tawerna, która, jak wskazywał zapach, specjalizowała się w rybach. Goście siedzieli zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Malone minął pulpit kierownika sali i przeszedł na taras. Stolik, który dostrzegł z przeciwnej strony kanału, okazał się pusty, a siedząca przy nim wcześniej osoba zniknęła. Już miał wyjść, kiedy zauważył kartkę wetkniętą pod spodeczek. Widniało na niej jego imię.

Podszedł i wyjął papier.

Miło cię znów widzieć, Cotton.

Uśmiechnął się na widok kobiecego charakteru pisma i zerknął nad wodą ku otwartemu oknu La Quincaillerie. Stephanie patrzyła w jego stronę. Poza nią widział tylko poruszające się dłonie Toma Buncha, który

coś do niej mówił, zwracając uwagę tylko na to, co bezpośrednio go dotyczyło. Cotton współczuł szefowej, że musiała rozmawiać z imbecylami. Danny Daniels świetnie rozumiał, jak powinno załatwiać się takie sprawy. Dlatego był dla nich idealnym partnerem w Białym Domu. Razem z Magellan Billet mieli na koncie wiele wspaniałych dokonań. Oczywiście Daniels nie łaknął uznania, zależało mu tylko na rezultatach.

Malone opuścił taras i wrócił tą samą trasą do Stephanie i Buncha. Usiadł przy stoliku.

– Na czym skończyliśmy? Mówiłeś, zdaje się, że Jonty Olivier skontaktował się z Białym Domem?

Bunch rzucił mu pytające spojrzenie.

– Gdzie byłeś?

– W toalecie.

Taka odpowiedź wydawała się satysfakcjonować tego kretyna. Stephanie zdecydowanie chciała wiedzieć więcej, ale spojrzenie Cottona wyraźnie mówiło: „później”.

– Zgadza się – powiedział Bunch i dodał: – Olivier nawiązał z nami kontakt dwa miesiące temu. Wysłał osobistą wiadomość.

Wyjął telefon, odblokował go i puścił w obieg. Na ekranie widniało zdjęcie czarno-złotego zaproszenia wydrukowanego edwardiańską czcionką:

Zapraszam na aukcję informacji  
dotyczącej prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej  
Janusza Czajkowskiego.

Jeżeli jest pan zainteresowany, proszę o odpowiedź na poniższy adres:

[missilesornot@de.com](mailto:missilesornot@de.com)

– Wygląda na to, że nadawca ma coś na sprzedaż – podsumował Cotton. Odwrócił się do Stephanie. – Coś, co dotyczy systemu obrony

antybalistycznej?

Skinęła potakująco głową.

– Ta wiadomość przyszła mniej więcej miesiąc po tym, jak Biały Dom ogłosił nowy plan rozmieszczenia rakiet. W tym czasie połowa Europy, Chiny i Rosja wypowiedziały się przeciwko niemu. Zdaje się, że Olivier dostrzegł okazję i zorganizował aukcję, by sprzedać jakąś istotną informację, która mogłaby mieć wpływ na tę decyzję. Jak wspomniałam wcześniej, wygląda to na wyrafinowany szantaż wobec prezydenta Polski.

– Kiedy Biały Dom odpowiedział na podany adres – kontynuował Bunch – Olivier odezwał się osobiście.

– Albo ktoś, kto się za niego podawał – uzupełniła Stephanie.

Cotton zrozumiał sugestię kryjącą się w jej tonie. Odpowiedź wysłano bez zachowania odpowiednich środków bezpieczeństwa.

– To był Olivier – odparł Bunch. – Rozmawiali z prezydentem telefonicznie. Chcemy dostać te dokumenty.

– Co zawierają? – zapytał Malone.

– Kłopotliwą informację. Z gatunku tych, które kończą kariery polityków – oświadczył Bunch. – James Czajkowski ma zamiar ubiegać się o reelekcję. Musi wygrać te wybory, a potem zrobić dokładnie to, czego chcemy. A jeżeli nie, to niech ustąpi już teraz, bo człowiek, który będzie pełnił obowiązki prezydenta zamiast niego, jest wobec nas życzliwy. Będzie się nam z nim dużo łatwiej dogadać.

Ktoś przeczytał ich raporty wywiadowcze. Brawa dla tego pana, pomyślał Cotton. Zauważył jednak, jak Bunch wymawia nazwisko polskiego prezydenta. Nie „Czajkowski”, jak rosyjski kompozytor, raczej „Szakowsky”. Poza tym pomylił angielskie imię „James” z polskim „Januszem”. A wydawałoby się, że „zastępca asystenta prezydenta i zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego” powinien

przynajmniej wiedzieć, jak brzmią imię i nazwisko zagranicznego dygnitarza.

– A co dokładnie chcecie, żeby zrobił prezydent Polski? – zapytał Buncha.

– To tajna informacja.

– Cotton ma najwyższy poziom dostępu – wyjaśniła zirytowanym tonem Stephanie.

– Jak to możliwe? Nie pracuje nawet dla rządu! Zdobyć takich uprawnień wymaga odpowiednich kwalifikacji.

– Jakich? Publikowania w sieci gówna oblanego wazeliną i pracy w charakterze doradcy finansowego jakiegoś bogatego dupka? – wtrącił Malone.

Bunch poczerwieniał na twarzy.

– Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Pracuję obecnie dla prezydenta Stanów Zjednoczonych. Może to spotkanie było złym pomysłem.

Wstał od stołu.

– Nie będziesz jadł? – spytał Cotton. – To może przynajmniej zapłacisz rachunek?

Bunch odsunął mankiet marynarki i spojrzał na zegarek.

– Nie sądzę. Ani to, ani to. Stephanie, znajdź kogoś innego,

– Nie.

Mocna, jasna, dobitna odpowiedź. Jej ton jednoznacznie sugerował, że w tej sprawie nie będzie negocjacji.

– Słucham? – zapytał Bunch z niedowierzaniem.

– Której głoski w tym słowie nie rozumiesz? – odparła. – Zatrudniłam Cottona. Skorzystamy z jego usług.

– Mam zadzwonić do Białego Domu?

Wzruszyła ramionami.

– To twoja decyzja. Zauważ tylko, że kończy ci się czas, a Cotton jest najlepszy. Mamy szczęście, że go tu dzisiaj złapaliśmy.

– Wcale tak nie uważam!

– W ogóle nie uważasz na otoczenie – zakpił Cotton.

Bunch łypnął na niego.

– Masz wielbicielkę. Nazywa się Iwona Nowak. Pracuje dla AW.

Dostrzegł, że Bunch nie ma pojęcia, o czym mowa.

– To skrót. Dla Agencji Wywiadu, polskiej jednostki zajmującej się wywiadem zagranicznym – wyjaśnił.

– I jest tutaj? – zapytał tamten.

– Była i zniknęła – powiedział Malone, pokazując w stronę okna. – Poszedłem tam, ale już jej nie zastałem.

– Wstała od stolika i odeszła, zanim tam dotarłeś – uzupełniła Stephanie. – Przedtem mi jeszcze pomachała. Ta dziewczyna ma tupet!

– Znacie tę kobietę? – spytał Bunch.

– Znajomość z takimi jak ona to mój profesjonalny obowiązek – oświadczyła Stephanie. – Cotton ma rację. To znakomita agentka. Pojawiła się po okresie Solidarności, a teraz pracuje dla nowego państwa polskiego. Jej obecność tutaj to wiadomość dla nas.

Bunch usiadł z powrotem przy stole.

– No to słucham.

Malone prawie się uśmiechnął. Oczywiście, że dupek posłucha, nie ma przecież pojęcia, co jest grane.

– Prezydent Czajkowski musi wiedzieć o aukcji – wyjaśniła Stephanie. – Być może również dostał zaproszenie. Najlepiej podbić cenę, zapraszając do licytowania tego, który ma najwięcej do stracenia. Dlatego Czajkowski przydzielił do tego zadania swoją agentkę numer jeden. Iwona tutaj, w Brugii, kiedy ktoś kradnie Świętą Krew? To nie przypadek.

– Czy to ona ukradła relikwię? – zapytał Bunch.

Cotton pokręcił głową.

– Raczej nie.

Inaczej już dawno by jej tu nie było. To niewiarygodne, że ten idiota nie potrafił dodać dwóch do dwóch, skoro tym razem wynik na pewno wynosił cztery.

– To oczywiste – westchnęła Stephanie. – Mamy teraz jeszcze większy problem.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Czajkowski od powrotu do prezydenckiego pałacu dwie godziny wcześniej siedział samotnie w prywatnym gabinecie. Jego żona wyszła tego wieczoru do opery. Na szczęście uwielbiała sztukę i poświęcała jej wspieraniu wiele czasu. Prezydenta takie rzeczy nie interesowały. Niestety, ich małżeństwo nie było udane. Oboje uznali, że w zasadzie dobiegło końca, ale przecież lubili swój status: on – prezydenta, ona – pierwszej damy, toteż zawarli umowę, coś w rodzaju porozumienia: będą prowadzić życie prywatne oddzielnie. Każde z nich miało własne zainteresowania i własnych kochanków, oczywiście z zachowaniem dyskrecji. Nigdy nie stawiali się nawzajem w kłopotliwym położeniu ani nie podawali w wątpliwość swojego statusu. Czajkowski wiedział, że jego żona kogoś sobie znalazła, i cieszył się jej radością. On też był w związku z kimś innym. Ale na co dzień zajmowała go przede wszystkim polityka, nie miłość.

Na całe szczęście.

Cała Polska wydawała się pochłonięta polityką.

W kraju działały dwie główne partie, PO i PiS, ale poza nimi istniało również mnóstwo średnich i małych partyjek oraz innych nonsensownych stronnictw. Około czterdziestu, jeśli dobrze pamiętał, prezentujących

poglądy z całego politycznego spektrum, do wyboru, do koloru: katolicy, konserwatyści, liberałowie, komuniści, socjaliści, korporacjoniści, nacjoniści, socjaldemokraci, feministki, antyaborcjniści... Wystarczyło wymenić dowolną ideologię, a na pewno znalazłaby się wyznająca ją partia.

Prezydent miał swoją ulubioną.

Dawno, dawno temu.

Polską Partię Przyjaciół Piwa. Początkowo jej celem miała być promocja kulturalnego picia piwa w pubach w stylu angielskim zamiast wódki – po to, by zwalczać alkoholizm. Pojawiła się w 1990 roku, zaraz po upadku komunizmu. To niewiarygodne, ale rozczarowanie elektoratu doprowadziło do tego, że na to stronnictwo zagłosowało trzy procent wyborców, tym samym zapewniając mu szesnaście miejsc w Sejmie. Program partii, zakładający zapewnienie wszystkim dostępu do piwa dobrej jakości, stał się symbolem wolności skojarzeń i artystycznej ekspresji, tolerancji intelektualnej i wyższej stopy życiowej. Do popularności PPPP przyczynił się również przekazywany z ust do ust slogan wyborczy: „Jeżeli nasza partia zdobędzie władzę, może nie będzie lepiej, ale na pewno będzie śmieszniej”. Co typowe, stronnictwo to jednak szybko rozpadło się na frakcje i ostatecznie całkowicie zniknęło ze sceny politycznej.

Podobny los wydawał się czekać Polskę.

Wzrost i upadek.

Kolejne Rzeczpospolite.

Ten kraj zawsze otaczały wrogie nacje. Szwedzi na północy, Kozacy na wschodzie, Prusacy na zachodzie i Turcy na południu. W dodatku od wschodu i zachodu brakowało mu naturalnych granic, które zatrzymywałyby ewentualnych napastników.

Najeźdźcy przez wieki skwapliwie z tego korzystali.

Co gorsza, większość terytorium Polski była płaską, otwartą równiną, idealnie nadającą się na pole bitwy, co ułatwiało okupantom nakładanie jarzma na polski kark.

Pierwsza Rzeczpospolita została starta z mapy w 1795 roku, kiedy Rosja, Prusy i Austria podzieliły je między siebie. Taki los nie spotkał wcześniej żadnego europejskiego narodu. Postanowienia tajnego porozumienia między zaborcami podkreślały „konieczność uchylenia wszystkiego, co może nasuwać wspomnienie istnienia Królestwa Polskiego”\*. Dokładnie tak postąpiono: Prusacy przetopili polskie insygnia koronne, Austriacy zamieniali pałace w koszary, a Rosjanie kradli, co tylko mogli. A potem wszyscy razem ogłosili, że Polska była dotąd barbarzyńskim krajem, który należało ocalić.

Szansa odzyskania państwowości pojawiła się w XX wieku, ale najpierw Polskę najechały Niemcy, a potem Sowietci dokończyli dzieła: wyzwolili kraj spod władzy nazistów i już w nim zostali. W 1948 roku komuniści całkowicie kontrolowali Polskę. Co gorsza, zwycięscy alianci narysowali w Poczdamie granice na nowo, oddając dawne terytoria i dodając część nowych, przesuając całe państwo dobre dwieście kilometrów na zachód i tworząc całkiem nową Polskę, inną od przedwojennej. Jej pierwszy prezydent bezwarunkowo wspierał Stalina i wprowadził surowe represje, by zastraszyć obywateli. Robotnicy rzekomo współrządzili państwem, ale w rzeczywistości nie mieli nic do powiedzenia. Stopa życiowa obniżała się z roku na rok: większość budżetu przeznaczano na zbrojenia, a węgiel i inne dobra wywożono za darmo do Związku Radzieckiego. Pierwsze ziarna buntu zostały zasiane w 1956 roku, ale wykiełkowały dopiero po ćwierćwieczu, a zakwitły po kolejnej dekadzie. W końcu ostatecznie zrzucano komunistyczne jarzmo i ustanowiono po raz kolejny republikę. Radykalna zmiana ustroju z władzy jednej partii na

liberalną demokrację, w której panował pluralizm, zainspirowała nowe idee. Żadna pojedyncza partia nigdy nie osiągnęła całkowitej władzy – zamiast tego Polską rządzono na zasadzie płynnego, zmieniającego się kompromisu.

Dlatego właśnie myśli prezydenta zaprzętała wyłącznie polityka.

Często porównywał ją w myślach do trzymania pod wodą naraz dziesięciu balonów napompowanych powietrzem. Jeden zawsze się wy+mykał i wyskakiwał na powierzchnię, a kiedy udawało się go wciągnąć z powrotem pod wodę, od razu uciekał inny. Wydawało się to niemożliwością, ale jeżeli chciał rządzić tym państwem, musiał wciąż próbować. Obecna koalicja rządząca, składająca się z ośmiu różnych partii, wydawała się w najlepszym razie krucha: zbieranina nerwowych jastrzębi, gołębi i partyjnych działaczy. Teraz nowy amerykański prezydent uznał, że należy wymusić na Polsce zgodę na instalację na jej terytorium kolejnej wersji systemu obrony balistycznej. Wiele lat wcześniej, kiedy ten pomysł pojawił się po raz pierwszy, Czajkowski był podsekretarzem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Wówczas koncepcja ta została ostatecznie odrzucona przez wszystkich, w tym również samych Amerykanów.

A teraz martwi zaczęli wstawać z grobów.

Dotyczyło to nie tylko amerykańskiego systemu obronnego.

Prezydent Janusz Czajkowski był święcie przekonany, że przeszłość już mu nie zagraża. Powinna przeminąć wraz z komunistami. Instytut Pamięci Narodowej i Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu poświęciły wiele lat na badania archiwów z czasów nazistowskich i komunistycznych. Czajkowski był obecny, kiedy Sejm dał tym instytucjom pełen dostęp do informacji. Przez ostatnie dwadzieścia lat komisja zgromadziła miliony stron dokumentów, przesłuchała tysiące

świadków i doprowadziła do skazania blisko stu pięćdziesięciu osób za zbrodnie przeciwko pokojowi i ludzkości.

Wszystko szło pięknie i ładnie.

Ponieważ żadne śledztwo nie obejmowało Czajkowskiego.

Przynajmniej do tej pory.

Przeżuwał tę myśl, nienawidząc jej gorzkiego posmaku. Od dawna nie czuł takiego obrzydzenia. Jego ponure rozmyślenia przerwało delikatne pukanie do drzwi. Otworzyły się i prywatny sekretarz prezydenta zaanonsował szefa BOR-u.

W końcu. Może uzyska jakieś odpowiedzi.

Michał Zima wszedł do gabinetu, a sekretarz zostawił ich samych.

– Mam złe wieści – zaczął Zima. – Odnaleziono młodego Dyleckiego. Martwego. Powiesił się.

– Jak to? – zapytał wstrząśnięty Czajkowski.

– Nic nie wskazywało, żeby zamierzał popełnić samobójstwo. Po przesłuchaniu kazałem go zamknąć w areszcie śledczym, a on przywiązał prześcieradło do kraty.

Prezydent potarł zmęczone oczy. Cholera. Powinien żałować zarówno matki, jak i syna, ale to właśnie syn sprowadził na nich kłopoty.

– Zakładam, że zbyt ciężko mu poczuć winy po śmierci matki – powiedział Zima. – Ta wiadomość wytrąciła go z równowagi. Poprosił, żeby dać mu trochę czasu, ale nic nie wskazywało, że ma zamiar się zabić. Chciałem wypuścić go z aresztu.

– Dlaczego?

– Nie popełnił żadnego przestępstwa. Nagieliśmy prawo, przywołując go na przesłuchanie, ale uważałem, że usprawiedliwia to... sytuacja.

– Jaka sytuacja?

– Jakąkolwiek informację sprzedał, mogę tylko zakładać, że stanowi ona bezpośrednie zagrożenie dla pańskiej prezydentury.

– Albo całego państwa!

– Gdyby to była prawda, zapewne znałbym już więcej szczegółów. Wyczuwam, że to sprawa osobista.

To prawda, ale Czajkowski nie miał zamiaru się tłumaczyć.

Teczki z wiejskiego domku zostały przywiezione do pałacu i ułożone w stosy na parkiecie gabinetu. Przejrzał je wszystkie pobieżnie i ustalił, że nie było w nich niczego, co by się z nim wiązało. Co oznaczało, że najważniejsze rzeczy już zniknęły. Zostały sprzedane komuś o nazwisku Jonty Olivier – przynajmniej tyle dowiedział się Zima.

– Czy przed śmiercią powiedział ci, co właściwie przekazał Olivierowi? BOR-owiec pokręcił głową.

– Nie doszliśmy do tego w trakcie przesłuchania. Planowałem go o to wypytać zaraz po powrocie ze spotkania z panem, ale wtedy już nie żył.

Teraz ta śmierć wydawała się całkiem szczęśliwym zrzędzeniem losu, ale Czajkowskiemu nie podobało się, kiedy ktoś umierał w areszcie. To przywoływało wspomnienia z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Co to były za czasy.

Ogólnokrajowy chaos i strajki doprowadziły wówczas do uformowania się Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, który wyrósł na potężną, niezawisłą siłę polityczną. By zatrzymać jego wzrost, władze wprowadziły w 1981 roku stan wojenny, ale dwa lata represji nie uspokoiły ciągłych napięć społecznych. W 1989 roku władza została zmuszona do przeprowadzenia pierwszych od końca drugiej wojny światowej częściowo wolnych i demokratycznych wyborów parlamentarnych. Strona rządząca nie mogła ich kontrolować ani manipulować ich wynikami.

Rok później upadł Związek Radziecki i Lech Wałęsa, przywódca Solidarności, wygrał wybory prezydenckie.

Zaraz potem załamały się, jeden po drugim, inne komunistyczne reżimy we Wschodniej i Środkowej Europie i w ten sposób zimna wojna dobiegła końca.

W czasach komunistycznych Służba Bezpieczeństwa była głównym organem autorytarnego państwa, służącym utrzymaniu władzy przez rządzących, rozsiewającym strach i terroryzującym obywateli. Czajkowski znał dane: pod koniec istnienia SB zatrudniała dwadzieścia pięć tysięcy agentów i miała około osiemdziesięciu pięciu tysięcy informatorów. Usiłując zdławić opór, zinfiltrowała wszystkie aspekty życia w Polsce. Miejsca takie jak więzienie mokotowskie prosperowały znakomicie. W Polsce sprzeciw zawsze był gwałtowniejszy niż w innych państwach bloku wschodniego, ponieważ kraj ten nie miał tradycji komunistycznej. W gruncie rzeczy głoszona przez Marksa zasada „Od każdego według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb” była sprzeczna z wyznawanymi przez Polaków ideami niezależności.

Wszystko to należało do czasów dawno minionych.

Chociaż dzisiaj mały fragment tej przeszłości powstał z martwych.

A Czajkowski czuł się przez to okropnie.

– Chcę wiedzieć, gdzie jest ten facet, Jonty Olivier – rozkazał.

– Pracujemy nad tym.

– Chcę również dossier na jego temat. Wszystko, co masz, i to szybko.

Zima posłusznie skinął głową.

– Oczywiście.

– Możesz już iść.

Jedną z dobrych stron prezydentury była możliwość zakończenia konwersacji, kiedy Czajkowski sobie tego życzył. Szef BOR-u wyszedł

z gabinetu.

Wieczór upływał prezydentowi na gonitwie w błędnym kole frustracji. Stoczył już jednak dość politycznych bitew, by wiedzieć, że ten, kto gra, czasem przegrywa.

Miał jednak nadzieję, że wydarzenia w Brugii przechylą szalę na jego korzyść.

Wziął w dłoń telefon i wybrał numer.

Chwilę później Iwona Nowak odebrała połączenie.

– Powiedz mi, że wszystko idzie w dobrym kierunku – poprosił prezydent.

---

\* Cyt. za: Jan Kucharzewski, *Od białego do czerwonego caratu*, Gdańsk 2000, s. 142 (przyp. tłum.).



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Cotton rozsiadł się wygodnie w fotelu, rozmyślając nad dylematem Stephanie. Niewątpliwie była w trudnym położeniu: z jednej strony zawodowcy, z drugiej – idioci. Oba rodzaje ludzi na swój sposób niebezpieczne.

Niemal dwadzieścia lat wcześniej Stephanie wyłuskała go spośród innych oficerów marynarki i dała mu szansę zostania kimś więcej niż zwykłym prawnikiem. Przyjął tę ofertę i stawiał czoła wyzwaniom, dowodząc swojej skuteczności w roli agenta wywiadu. W efekcie w jego karierze nastąpiło nagłe przyśpieszenie, związane z przesunięciem z Departamentu Sprawiedliwości do Magellan Billet. Stephanie stworzyła tę jednostkę, specjalny wydział wspomnianego departamentu, by zajmować się szczególnie poufnymi sprawami. Pod jej osobistym nadzorem pracowało dwunastu agentów. Malone działał jako członek grupy przez dwanaście lat, aż pocisk przeszył mu ramię podczas akcji w Mexico City. Zdołał zlikwidować strzelców, ale w rzezi, która potem nastąpiła, zginęło siedem osób, a dziewięć zostało rannych. Jedną z ofiar był młody duński dyplomata, Cai Thorvaldsen. Dziesięć tygodni po masakrze przed drzwiami domu Cottona w Atlancie pojawił się zgarbiony starszy mężczyzna. Usiedli

w gabinecie, a Malone nawet nie pytał, jak Henrik Thorvaldsen go odnalazł.

– Przyjechałem, by spotkać się z człowiekiem, który zastrzelił mordercę mojego syna – powiedział wtedy Thorvaldsen.

– Po co?

– Żeby ci podziękować.

– Mógł pan zadzwonić.

– Z tego, co zrozumiałem, niemal zginąłeś.

Cotton wzruszył ramionami.

– A teraz nie będziesz już pracował dla rządu. Rezygnujesz ze stopnia i pozycji. Odchodzisz z wojska.

– Sporo pan wie.

– Wiedza jest największym bogactwem.

Na Cottonie nie zrobiło to wrażenia.

– Dzięki za pochwały i bardzo mi przykro, że stracił pan syna, ale wie pan, mam w ramieniu dziurę, która trochę mi dokucza, i brakuje mi cierpliwości. Powiedział pan swoje, więc może się już pożegnamy?

Thorvaldsen nie ruszył się z kanapy, potoczył tylko wzrokiem po gabinecie i sąsiednich pokojach, widocznych przez łukowate przejście. Wszystkie ściany były zajęte przez półki z książkami. Mury wydawały się służyć tylko za tło dla tych półek.

– Też je kocham – powiedział gość. – Zbierałem książki przez całe życie.

– Czego pan chce?

– Czy rozważałeś najbliższą przyszłość?

Malone powiódł dłonią wokół pokoju.

– Myślałem o otwarciu antykwariatu. Mam do sprzedania sporo książek.

– Świetny pomysł. Mam akurat jeden antykwariat na zbyciu, gdybyś zechciał.

Cotton nie dowierzał, ale zdecydował się grać według reguł rozmówcy. W oczach starszego pana było jednak coś, co powiedziało mu, że gość nie żartuje. Poznaczona żyłkami dłoń sięgnęła do kieszeni płaszcza i Thorvaldsen położył na kanapie wizytówkę.

– To mój prywatny numer. Jeżeli będziesz zainteresowany, zadzwoń.

Malone zadzwonił, potem sfinalizował rozwód, zrezygnował z pracy, sprzedał dom i przeniósł się z Georgii do Danii.

Nigdy tego nie żałował.

Wcześniej, w bazylice, wspomnienia z Mexico City powróciły niepowstrzymaną falą. Ludzie w niebezpieczeństwie. On sam na miejscu. Zdolny do działania.

Zrób coś!

No i zrobił.

Ale w Mexico City popełnił kilka błędów. Poprzysiągł więc sobie, że nigdy ich nie powtórzy. Jednym z nich było to, że nie docenił przeciwnika.

– Słuchaj, Bunch – powiedział teraz. – Mamy tu znakomitą agentkę obcego wywiadu, która postąpiła wbrew wszelkim regułom, żeby powiadomić nas o swojej obecności. Zrobiła to z jakiegoś powodu, najwyraźniej związanego z Polską.

Restauracja zaczęła wypełniać się gośćmi, toteż robiło się gwarno. Bunch nie zważał na to, sącząc drogie wino. Cotton nie lubił rozmawiać o tak poufnych sprawach w publicznych miejscach.

– Nie powinniśmy zmienić lokalu? – zapytał, patrząc na Stephanie.

Odpowiedziała mu miną, z której wyraźnie dało się wyczytać pytanie: „Czy myślisz, że to ja tu dowodzę?”.

– Możemy rozmawiać tutaj – oznajmił Bunch.

Malone wzruszył ramionami, odpowiadając szefowej: „Dlaczego nie, do cholery? Kompletna amatorszczyzna!”.

– Cotton, kiedy odpowiedzieliśmy na zaproszenie do udziału w aukcji, przekazano mi, że w odpowiedzi przyszedł e-mail z informacją o cenie wejścia do gry. Mamy dostarczyć organizatorom pewien artefakt. Nie będzie artefaktu, to licytacja odbędzie się bez nas.

Teraz zrozumiał.

– Jedna z relikwii *arma Christi*.

Skinęła głową.

– Mamy przybyć z włócznią. To znaczy z Włócznią Świętego Maurycego, która obecnie jest w Krakowie. W Polsce.

To mogło wyjaśniać, dlaczego Iwona pojawiła się w Brugii.

– Z siedmiu relikwii pięć już skradziono – ciągnęła Stephanie. – Kto to zrobił? Nie mamy pojęcia. Dowiemy się, kiedy każdy z uczestników licytacji dostarczy swoją relikwię. W każdym razie zostały dwie: Włócznia Przeznaczenia, która będzie naszym biletem, i gwóźdź z katedry w Bambergu, w Niemczech. Musimy zdobyć włócznię najpóźniej jutro przed północą. Mamy nieco ponad dwadzieścia siedem godzin, od teraz. Jeżeli nie, nie będziemy mogli wylicytować tych dokumentów.

– Zaczekajcie, aż aukcja się zacznie, a potem dowiedzcie się, gdzie się odbywa, i zróbcie nalot.

Bunch parsknął pogardliwie.

– To nie takie proste. Lokalizacji nie podano. Dostaniemy tę informację dopiero po zdobyciu relikwii.

Powiedział to takim tonem, jakby chciał dodać: „Że też muszę wyjaśniać coś tak oczywistego!”.

– Mówisz mi, że nie potraficie znaleźć miejsca, gdzie odbędzie się aukcja? – zdziwił się Cotton. – Państwo, które ma największą sieć

wywiadowczą na świecie?

– Sądźmy, że pozostali zaproszeni reprezentują sprzeczne interesy – wtrąciła Stephanie. – Niektórzy chcą zdobyć tę informację, a inni mogą zechcieć ją zniszczyć. Wyłączenie organizatorów z gry może nie być łatwe. Zakładam również, że ten cały Jonty Olivier zabezpieczy się odpowiednio przed uderzeniem wyprzedzającym. Na pewno wie, że może mieć kłopoty.

– A wy nie macie pojęcia, co kupujecie.

– To nieprawda – zareagował Bunch. – Wraz z zaproszeniem dostarczono próbkę.

– A co planowaliście zrobić, gdybym się nie pojawił? – zaciekawiał się Cotton.

– Myślałam o kimś innym, kto mógłby z nami pracować – przyznała Stephanie. – To właśnie załatwiałam w Brukseli.

– Jestem tutaj z tego samego powodu – dodał Bunch. – Wejdę na aukcję z relikwią i będę licytował.

To był naprawdę zły pomysł, i to z wielu powodów.

– Takie mamy rozkazy z Białego Domu i od prokuratora generalnego – uzupełniła Stephanie.

Malone zrozumiał sugestię: nie ma sensu tego roztrząsać. Musiał jej to jednak powiedzieć:

– To spowoduje mnóstwo problemów.

Bunch wydawał się rozdrażniony.

– Tak, łapię, oboje uważacie, że nie powinienem brać w tym udziału, ale nie macie tu nic do powiedzenia. Prezydent mówi, że mam to zrobić, więc lepiej, żebyśmy stworzyli wykonalny plan.

– Czy to znaczy, że nagle da się ze mną pracować?

– Pewnie, Malone. Dlaczego nie? I tak nie mam wyboru. Stephanie ma rację: nie ma już czasu.

Kogo ten dupek chciał oszukać?

– W tym układzie, jeśli zawiodę, zwalisz całą winę na nią. Ona mnie wybrała.

Bunch wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Coś w tym rodzaju.

– Cotton, odwaliliśmy już wstępną robotę – powiedziała Stephanie. – Wiemy, gdzie trzymają włócznie i jak można ją przejąć.

– Widziałem kiedyś, wiele lat temu, Włócznie Świętego Maurycego – przypomniał sobie Malone. – Znajduje się w Muzeum Katedralnym na Zamku Królewskim na Wawelu.

– W tej chwili nie, na nasze szczęście. Wiadomość od Oliviera jasno wskazuje, że musimy ukraść relikwię, zanim dostarczy nam jakichkolwiek dalszych wskazówek. Zakładam, że sama kradzież ma być czymś w rodzaju dowodu. Oczywiście nie możemy pożyczyć włóczni z muzeum ani poprosić Polaków o współpracę. Dlaczego mieliby to robić? Uzyskanie informacji przez Foxa absolutnie nie leży w ich interesie. Jestem przekonana, że Iwona dostała rozkaz, by nas powstrzymać.

– Chyba że Polska dostała własne zaproszenie – dodał Cotton.

– To możliwe – przyznała. – Ale instynkt mi podpowiada, że tak się nie stało.

– Myślisz, że Czajkowski zna cenę, jaką Amerykanie muszą zapłacić za wejście?

Pokręciła głową.

– Nie, co prawdopodobnie tłumaczy również, dlaczego Iwona się tu znalazła. Święta Krew zniknęła, więc agentka skoncentruje się teraz na włóczni i gwoździu w Bambergu, czekając, aż wykonamy jakiś ruch.

– Jest przekonana, że to my ukradliśmy Świętą Krew – dodał Bunch.

To było pierwsze sensowne zdanie, jakie padło z jego ust.

– Ma rację – stwierdził Malone.

Stephanie przytaknęła.

– To możliwe, ale będziesz musiał to ustalić.

To oczywiste, że szantaż związany był z polityką, a sama informacja – dość obciążająca, żeby przyciągnąć uwagę wielu graczy. Cotton nauczył się jednak już dość dawno, żeby przed przystąpieniem do gry poznać jej stawkę.

– Może zdradzisz mi naturę tej informacji na temat Czajkowskiego? Powiedziałaś, że masz próbkę.

Bunch uniósł dłoń, oddalając pytanie.

– Mówiłem już, że jest tajna, a ty nie musisz jej znać. Potrzebujemy cię tylko po to, żeby zdobyć włócznie.

Teraz Malone wiedział, na czym stoi. Wstał od stołu.

– W takim razie powiem „pas”.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jonty wysiadł z samochodu.

Po kolacji on i Vic wyruszyli z zamku na północ, przekroczyli granicę Polski i pojechali dalej w kierunku Krakowa. Zanim jednak dotarli do miasta, zбочyli na wschód i znaleźli się w miasteczku o nazwie Wieliczka. Olivier zawsze miał problem z językiem polskim: znajome litery oznaczały tak wiele różnych dźwięków. „Wieliczka” była dobrym przykładem.

Tamtejsza kopalnia soli zawsze go fascynowała. Legenda głosiła, że w XIII wieku książę krakowski Bolesław zapragnął ożenku. Zaaranżował więc ślub z Kingą, królowną węgierską. Kinga, kobieta praktyczna, poprosiła ojca o niezwykły posag, który zapewniłby dobrobyt jej nowej ojczyźnie, a on podarował jej kopalnię soli, leżącą jednak na Węgrzech, daleko od Polski. W podzięce Kinga wrzuciła pierścionek zaręczynowy do jednego z szybów kopalni. Wiele lat później, już w Polsce, odwiedziła Wieliczkę niedługo po odkryciu tam złóż soli. Jeden z górników wręczył jej wówczas bryłę tego cennego surowca zawierającą jakiś lśniący przedmiot. Bryłę rozłupano, a ze środka wypadł... pierścionek Kingi, który przebył pod ziemią długą drogę z Węgier do Polski.

Ta fantastyczna opowieść wyjaśniała dwie kwestie.



Po pierwsze, dlaczego święta Kinga została patronką polskich górników solnych, a po drugie, dlaczego w Wieliczce przez ostatnie siedemset lat działała kopalnia soli.

Co za miejsce!

Dziewięć poziomów, pierwszy sześćdziesiąt metrów pod ziemią, ostatni – ponad trzysta. Dwieście pięćdziesiąt kilometrów labiryntu tuneli wijących się w górotworze, prowadzących do ponad dwóch tysięcy komór, wydrążonych przez czterdzieści pokoleń górników. Złóża soli tak naprawdę odkryli przez przypadek miejscowi rolnicy, którzy zaczęli je wydobywać. Przed tym odkryciem sól uzyskiwano z wody morskiej lub importowano. Potem Polska zyskała mniej kosztowne i bardziej wydajne źródło.

Sól. Szare złoto.

Powstaje w wyniku reakcji zasady i kwasu. Chlor łączy się z sodem, dając w efekcie chlorek sodu, podstawową przyprawę i jedyny minerał, który ludzie są w stanie strawić.

Dzięki Bogu.

Ciało nie potrafi wytwarzać soli. Trzeba mu jej dostarczyć. Dlatego jej produkcja była taka ważna. Dorosły człowiek traci codziennie dwieście pięćdziesiąt miligramów tego związku i musi uzupełniać te braki. Gdyby zabrakło sodu, krew nie przenosiłaby tlenu, nerwy nie przekazywałyby impulsów, mięśnie (w tym również serce) by się nie poruszały, a układ trawienny nie działał. Wartość soli wynikała z tego, że organizm ciągle ją tracił i musiał uzupełniać. Zawsze była jednym z najbardziej pożądanych towarów, unikalnym, ponieważ nawet po rozpuszczeniu w wodzie można ją odzyskać przez odparowanie.

W Polsce tylko królowie mogli wydobywać i sprzedawać sól, dzięki czemu ich majątek rósł, a poddani mieli pracę. Tu, gdzie teraz stał Jonty,

w średniowieczu co roku pozyskiwano z głębi ziemi siedem do ośmiu tysięcy ton soli. Eksploatację złóż prowadzono jeszcze w XX wieku.

Była już niemal 20.00 i kopalnię zamykano. Co roku odwiedzały ją prawie dwa miliony gości, wyłącznie w ramach wycieczek z przewodnikiem. Ostatnie oficjalne grupy, jak informowała tablica na ścianie, wyruszały o 19.30. Kopalnię można było zwiedzać również w późniejszych godzinach, ale tylko po wcześniejszym uzgodnieniu. Olivier zakładał, że jego pośrednik w Polsce zaaranżował wszystko jak trzeba.

Podążył za DiGentim do pięknego secesyjnego budynku nad szybem Regis, wydrążonym w XIV wieku i stanowiącym najstarszą drogę na dół. Kiedyś górnicy spuszczaali się w głąb ziemi na linach, lecz obecnie zadanie to przejęły windy, tutaj zarezerwowane dla specjalnych gości. W innych miejscach działały jeszcze dwa zespoły dźwigów: jeden obsługiwał codzienne hordy turystów, a drugi – górników, którzy wciąż pracowali pod ziemią, dbając o stan korytarzy i bezpieczeństwo zwiedzających. W nadszybiu było jeszcze kilku gości, którzy właśnie zdejmowali oliwkowozielone kombinezony i kaski, rozmawiając z ożywieniem. Najwyraźniej właśnie wrócili z wycieczki w podziemia.

Na Jonty'ego i Vica czekał mężczyzna w kombinezonie, tyle że beżowym. Na piersi miał plaketkę z imieniem „Konrad”. Olivier wiedział, że turystów oprowadzało po kopalni na zmianę kilkuset przeszkolonych i dyplomowanych przewodników. Większość z nich pracowała tu tylko dorywczo. Konrad był wśród nich wyjątkiem: wciąż zatrudniony na etacie górnika oprowadzał gości specjalnych w ramach obowiązków PR-owych. Na szczęście dzięki dwóm nieudanym małżeństwom i beztroskiemu trybowi życia miał również poważne długi. Kilka tysięcy euro kupiło im jego absolutną lojalność.

Jonty'ego trochę martwiło, że ktoś z zewnątrz znajdzie się tak blisko tych wydarzeń, ale sytuacja była nadzwyczajna. W jego branży liczyło się przede wszystkim wycucie czasu. Ważna dzisiaj informacja nazajutrz stawała się bezwartościowa. Sztuka polegała na tym, żeby sprzedać ją, kiedy była jeszcze gorąca. Dlatego właśnie Olivier był tak szczodry dla tego skorumpowanego faceta – wolał się zabezpieczyć. Vic od pewnego czasu pilnował Konrada i nie zauważył nic niezwykłego. Jednak pojawienie się szpiega i wzmianka o Reinhardcie wywołały u Jonty'ego nową falę paranoi.

– Nie sądziłem, że pan się pojawi – powitał go Konrad.

– Czy to jakiś problem? – zapytał Jonty.

– Zaplanowałem specjalną wycieczkę dla jednej osoby, ale mogę to zmienić. Dajcie mi chwilę.

I zniknął w biurze.

Jonty podszedł do wielkiej tablicy z planem tuneli pod nimi i zapowiedzią tego, co ich za chwilę czekało:

Ubrani w robocze kombinezony i uzbrojeni w stosowny ekwipunek, goście kopalni w Wieliczce zaraz po zanurzeniu się w ciemność najstarszego istniejącego szybu Regis przestają czuć się jak turyści. Szlak ten, poprowadzony z dala od tłocznej trasy turystycznej, pozwala zwiedzającym odkryć codzienne życie kopalni. Samodzielnie zmierzają oni koncentrację metanu, wydobędą i wywiozą urobek, oznaczą nowe ścieżki i zbadają nieznaną wcześniej komory. Poznają również codzienną rutynę życia w podziemiach, tajemnice i tradycyjne górnicze rytuały, a nade wszystko posmakują prawdziwej pracy górnika.

To brzmiało jak wielka przygoda.

Każdy z gości otrzyma kombinezon ochronny, lampę i kask. Załóżcie ciepłe ubranie, ponieważ temperatura pod ziemią wynosi od 14 do 16

stopni. Zaopatrzenie się również w wygodne wodoodporne obuwie.

Tak, zrobił to.

Jonty Olivier przebył długą drogę.

Rozpoczął karierę jako czarnorynkowy handlarz, obracający towarami wykradzonymi z amerykańskich baz wojskowych w Europie. Do wyboru, do koloru. Kolejka chętnych wydawała się nieskończona. Zarobił na tym mnóstwo pieniędzy i zdołał uniknąć więzienia. Następnie przerzucił się na ludzi – został rekruterem. Jeśli ktoś potrzebował doświadczonego złodzieja, wykwalifikowanego specjalisty od uzbrojenia lub wysokiej klasy hakera, Jonty znajdował odpowiednią osobę za odpowiednią cenę. Niewiarygodne, że nikt przed nim nie oferował takich usług. Wszyscy sądzili, że przestępcy znają się nawzajem i potrafią na skinienie sformować cały gang. Nieprawda. Nie mogli się reklamować, znajdowali się pod stałą obserwacją stróżów prawa i raczej nie postępowali uczciwie; wszystko to sprawiało, że trudno było znaleźć dobrego pomocnika. Nie dało się przecież poprosić o referencje. Olivier rozwiązał ten problem i zarobił przy tym jeszcze więcej pieniędzy. Miał tylko jedną zasadę: nigdy nie pracował dla morderców, terrorystów ani kidnaperów. W ciągu dekady stworzył najlepszą agencję pośrednictwa pracy dla przestępców.

A potem znów zmienił pracę – zaczął handlować informacjami.

Kolejna branża, w której nie było zbyt dużej konkurencji.

Niestety, żaden uniwersytet nie proponował studiów na tej specjalności. Żadne związki zawodowe nie sponsorowały praktyk zawodowych. Nie istniały żadne tradycje, z których mógłby czerpać. Uczył się na własnych błędach. I owszem, popełnił kilka pomyłek, ale żadnej z nich dwukrotnie. Stał się jednym z może sześciu ludzi na świecie, którzy byli w stanie dostarczyć klientowi każdą wartościową informację. Teraz zaś znajdował

się o krok od przeprowadzenia największej transakcji życia – zakładając, że uda mu się utrzymać wydarzenia pod kontrolą przez następne dwa dni.

W życiu każdego człowieka zdarzają się punkty zwrotne. Dla Jonty'ego decydujący miał się okazać właśnie ten moment.

Tymczasem wrócił do nich Konrad.

– Wszystko załatwione. W szatni czekają na was zestawy górnicze. Załóżcie kombinezony, zabierzcie kaski i lampy. Spotykamy się przy windzie.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Cotton wyszedł z restauracji.

Stephanie nie próbowała go zatrzymać, a w jej oczach dostrzegł głębokie zrozumienie. Sto pięćdziesiąt tysięcy absolutnie nie wystarczyło, żeby zrekompensować mu konieczność pracy z facetem takim jak Tom Bunch. Właściwie to nawet jej współczuł, ale Stephanie była dużą dziewczynką i potrafiła sobie radzić. Ciekawe, kogo chciała teraz zaprosić do jednego zespołu z Bunchem?

Boże dopomóż im.

Zastanawiał się, dlaczego została na stanowisku. Mogła przejść na emeryturę, znaleźć sobie coś innego do roboty. Zarobiłaby fortunę w sektorze prywatnym. Znał jednak odpowiedź: praca w Magellan Billet stanowiła jej całe życie. Stephanie była lojalnym żołnierzem, kimś, kogo chce się mieć po swojej stronie. W normalnej sytuacji zrobiłby dla niej wszystko... ale poziom jego tolerancji na bzdury spadł już dawno temu do zera. Poza tym doprawdy nie nadawał się do niańczenia Toma Buncha.

Wokół zapadał północnoeuropejski zmierzch. Powietrze tego czerwcowego wieczoru było suche i przyjemne. Ulice tętniły życiem, przechadzały się nimi tłumy ludzi, wokół kręcili się obwoźni sprzedawcy i szybko przemykali rowerzyści. No cóż, w każdym razie spędził

interesujące popołudnie. Pewnie, tęsknił za pracą, ale z drugiej strony wolał nie mieć do czynienia z takimi dupkami jak Bunch. Spotkał ich już w życiu dosyć. Nie podobało mu się, że zostawił Stephanie na straconej pozycji. Nie nalegała, żeby został, a on doskonale wiedział, że ma u niej w związku z tym dług wdzięczności.

No trudno, nie pierwszy i nie ostatni.

Szedł dalej, wracając tą samą trasą, którą przemierzyli wcześniej ze Stephanie: przez targ rybny, koło starego ratusza i Bazyliki Świętej Krwi. Kościół był cichy i nieruchomy. Frontowe wejście zamknięto już na noc, ale przed nim uwijał się jeszcze tłum turystów z aparatami. W pobliżu nie dostrzegł policji i nic nie wskazywało, by wcześniej tego dnia zdarzyło się tu coś niezwykłego. Podążył kolejną gwarną uliczką, między sklepami, wciąż próbującymi przywabić ostatnich klientów. Wychodziła na centralny plac, po którego przeciwnej stronie znajdował się jego hotel.

Powinien zadzwonić do Cassiopei. Rozmawiali przynajmniej raz dziennie. Bardzo za nią tęsknił. Nie przywykł do takich emocji, ale nauczył się je cenić. Na szczęście oboje zostawiali sobie sporo przestrzeni. Nie trzymali się kurczowo razem. Troszczyli się o siebie nawzajem, ale jednocześnie każde z nich miało własne życie. Cottonowi przychodziło nawet czasem do głowy słowo na „M”. Małżeństwo byłoby poważnym krokiem, lecz oboje znajdowali powody, by unikać tego tematu. Ich związek stanowił mieszankę potrzeb, obaw i nieśmiałości. Malone kilka lat wcześniej się rozwiódł, a jego ekszona mieszkała w Georgii z ich synem Garym. Wszystko było w końcu w porządku... chociaż wymagało to wiele wysiłku.

Nie chciał, żeby coś takiego się powtórzyło.

Pora wrócić do właściwego celu wizyty w Brugii. Miał budżet na zakup trzech książek – to powinno wystarczyć. Ich odsprzedaż

z dwudziestopięcioprocentową marżą zapewniłaby mu niezły dochód jak na kilka dni pracy. Jeżeli wszystko mu się uda, dokona zakupów i wróci do Kopenhagi jutro po południu. Podróżował pociągiem, więc mógł wybrać dowolną godzinę, ale koniecznie musiał być w domu do piątku. Tego wieczoru Cassiopeia przylatywała na kilka dni do Danii.

Niecierpliwie na to czekał.

Turyści zgromadzili się pod pomnikiem Jana Breydela i Pietera de Conincka, rzeźnika i tkacza, dwóch flamandzkich rewolucjonistów, przywódców czternastowiecznego powstania przeciwko Francuzom. Cotton wątpił, czy ktokolwiek z gapiów orientował się, kim były postacie na pomniku. Obrzeża placu zdominowały bary i restauracje, które wypełniał gwarny rój gości. Okrążył posągi i już miał skręcić w prowadzącą do hotelu boczną uliczkę, kiedy jego uwagę zwróciła pewna kobieta. Spośród tłumu wyróżniały ją długie nogi, szczupła sylwetka i blond włosy. Miała na sobie jedwabną bluzkę, dzinsy oraz wysokie buty i oddalała się właśnie od rzędu masztów flagowych w kierunku jednej z uliczek, które rozchodziły się promieniście od placu.

Iwona Nowak.

Specjalnie pokazała mu się w restauracji. Jego widok przy jednym stoliku z Bunchem i Stephanie z pewnością wzbudził jej podejrzenia. To naturalne. Wtedy nie miał okazji się przed nią wytłumaczyć, więc może teraz? Patrzył za nią, aż zniknęła w tłumie, potem jednak jego uwagę przyciągnęło coś innego: za Iwoną podążało dwóch z Trzech Muszkieterów.

Daj spokój, chłopie.

Idź swoją drogą.

Aha, akurat.

Poszedł za nią.



Dostrzegł Iwonę na rogu bocznej uliczki – była w odległości może pięćdziesięciu metrów, dwóch rabusiów wciąż szło za nią. Z obu stron ciągnęły się budynki, pomiędzy którymi przechadzało się dość ludzi, żeby pozostać niezauważonym. Iwona musiała jednak wiedzieć, że ma towarzystwo, bo złodzieje nie starali się ukryć.

Skręciła i zniknęła w jakiejś bramie.

Tamci dwaj również.

Nic się tu nie zgadzało. Mimo to Cotton kontynuował spacer, aż dotarł do ozdobnej łukowatej bramy, prowadzącej pod jednym z zabytkowych domów o spadzistych dachach. Przeszedł kilkanaście metrów, ale nikogo nie było widać. Kryte przejście zaprowadziło go na dziedziniec, który okalały inne stare domy. Z przeciwnej strony zobaczył kolejną bramę, a w ścianach po prawej i lewej troje zamkniętych drzwi. Gdzie oni wszyscy się podziali? Usłyszał szcęknięcie i się odwrócił: za nim stało dwóch Muszkieterów, jeden z nich z pistoletem w dłoni.

– Tędy – powiedział uzbrojony facet, pokazując bronią jedne z drzwi.

Nie miał wyboru.

Odwrócił się.

Drzwi się otwarły i pojawiła się w nich Iwona.

Podeszła i delikatnie przesunęła dłonią po jego policzku.

– Przykro mi, Cotton. Musiałam to zrobić.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Czajkowski zdawał sobie sprawę, że nie może teraz rozsiąść się wygodnie i biernie obserwować biegu wydarzeń. Stawką było jego dotychczasowe życie, a może nawet przyszłość całego kraju. Jakiś facet nazwiskiem Jonty Olivier miał zamiar go zniszczyć. Spodziewał się gróźb ze strony partii politycznych, wrogich parlamentarzystów, liderów opozycji, ba, nawet mediów, nie zawsze mu sprzyjających, ale nigdy nie przypuszczał, że tak niebezpieczny okaże się jakikolwiek cudzoziemiec.

Dawno nie wspominał spotkania w więzieniu mokotowskim. Wiele razy zastanawiał się, co spotkało przywiązanego do stołka profesora matematyki. Ostatnim razem, kiedy go widział, strażnicy zmuszali ofiarę, by sama czołgała się z pokoju przesłuchań z powrotem do celi. Co za upokorzenie. Był wtedy taki młody i tak się bał. Major Dylecki z SB przyprowadził go tam, żeby złożyć mu pewną propozycję.

Albo postąpi według rozkazu, albo spotka go to samo.

Aresztowano wtedy i torturowano niezliczenie wielu ludzi. Bito ich i przypalano, lecz do najbardziej popularnych metod „przesłuchania” należało wyrywanie paznokci, miażdżenie czaszek, zakładanie ciasnych kajdanek, które wrzynały się więźniom w skórę aż do krwi, zmuszanie ofiar do biegania po schodach w górę i w dół, pozbawianie snu, trzymanie

godzinami na baczność, ograniczanie racji żywnościowych, wlewanie wiader zimnej wody do cel, pozostawianie w izolatkach i wszystko, co można wymyślić, żeby kogoś złamać. Tortury te zadawano brutalnie i z premedytacją, bez śladu wyrzutów sumienia i bez ograniczeń. Tych, którzy stracili przytomność, budzono zastrzykami adrenaliny. Przed wielogodzinnymi sesjami „przesłuchań” wielu dostawało środki pobudzające, żeby nie zasnąć. Torturujący ściśle przestrzegali wskazówek oficerów prowadzących przesłuchanie, takich jak Dylecki.

Co za hańba.

I po co to było?

Tamtego dnia dzielny mężczyzna na podłodze wygłosił trafną przepowiednię. „Co nam obca przemoc wzięła, szablą odbierzemy”. I tak się właśnie stało. Komunistów ostatecznie obalono, a Polskę zwrócono narodowi.

Ale jakim kosztem?

Podczas stanu wojennego wiele osób spędziło w więzieniu całe lata, zanim nie objęła ich powszechna amnestia. Czajkowski do dziś nie wiedział, co stało się z Dyleckim, lecz najwyraźniej major świetnie się orientował w poczynaniach swojej ofiary, skoro zachował dokumenty, które powinny zostać zniszczone dawno temu.

„Pewnego dnia możesz zostać kimś naprawdę wielkim”.

Co za skurwiel.

Więzienie mokotowskie wciąż istniało, ale obecnie wykorzystywano je jako areszt przejściowy. Od dawna nikogo tam nie torturowano. Na jednej z zewnętrznych ścian umieszczono wielkie tablice upamiętniające ofiary. Liczne książki na podstawie wspomnień opisywały niewyobrażalne warunki, które panowały w tamtejszych betonowych celach. Nikt nie wiedział dokładnie, ile osób tam zmarło, a niewielu oprawców zapłaciło za

potworne zbrodnie. Niestety, wymiar sprawiedliwości przypominał wówczas wirujący liść na łasce nieprzewidywalnych podmuchów wiosennego wiatru. I oto wiele dekad później Czajkowski musiał wrócić do tych spraw.

Jak to możliwe?

Miał pięćdziesiąt sześć lat, był szanowanym obywatelem Polski i zdołał osiągnąć najwyższy obieralny urząd w państwie. Matka chciała, żeby został księdzem, ponieważ za jej czasów najprostsza ścieżka do edukacji prowadziła przez Kościół. Wszystkie dzieci uczono w szkole posłuszeństwa wobec państwa i podporządkowania swojej pracy zbiorowości. Nikt nie wspominał o indywidualności. Ludzie nie potrafili kierować własnym życiem. Czajkowskiemu udało się jednak ukończyć studia i zrobić podczas stanu wojennego karierę w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, studenckim odpowiedniku Solidarności. To stanowisko oraz praca w podziemnej oficynie wydawniczej przyciągnęły uwagę Dyleckiego. Młody Janusz miał dość radykalne poglądy, jak niemal każdy w tamtym czasie. Kraj się zmieniał, świat się zmieniał, a on chciał mieć w tym udział.

W ten sposób udało mu się dostać do kręgów władzy. Po raz pierwszy wybrano go do Sejmu, kiedy miał trzydzieści lat. Po spędzeniu czterech kadencji w parlamencie został podsekretarzem stanu, wiceministrem obrony narodowej, sekretarzem generalnym dwóch partii politycznych, a potem wrócił do Sejmu, gdzie doszedł do stanowiska wicemarszałka. Pochodził z dobrej, szanowanej rodziny, która nigdy nie splamiła się skandalem czy czymś hańbiącym. Jego dziadek zasłużył się w walce podczas wojny polsko-bolszewickiej, a ojciec – w czasie drugiej wojny światowej.

Kościół katolicki był dla niego wszystkim.

Pamiętał doskonale wieczór w maju 1981 roku, kiedy nadeszła wiadomość, że Jan Paweł II został postrzelony. Ukochany syn jego ojczyzny walczył o życie. Czajkowski podążył właśnie na zebranie Solidarności, ale tam nie dotarł: zamiast tego poszedł do kościoła, gdzie setki ludzi pogrążyły się w modlitwie, a ksiądz odprawiał mszę. Nad ołtarzem wisiało mroczne malowidło przedstawiające ukrzyżowanie. Pamiętał, jak myślał wówczas, że Polskę czeka kolejna katastrofa. Życie ich papieża było zagrożone, gospodarka w ruinie. Radzieckie czołgi gromadziły się nad granicą – wydawało się, że kraj jest w naprawdę trudnym położeniu. Tymczasem Czajkowski widział przed sobą dziwnie uspokajający obraz ukrzyżowanego mężczyzny. Był to nie tylko symbol chaosu czekającego naród, ale także obietnica odkupienia. Przypomniał sobie wtedy, co napisał kiedyś jeden z wieszczów: „Polska Chrystusem narodów”.

Jakie to prawdziwe.

I jakże ironiczne wydawało się to, że mógł powtórzyć los Chrystusa, zdradzonego i zamęczonego. Czuł się teraz, jakby wkrótce miał zostać ukrzyżowany.

Wszyscy byli wtedy tak młodzi! Szef największego oddziału Solidarności w Warszawie miał tylko dwadzieścia pięć lat, przywódca związku w Stoczni Gdańskiej – zaledwie dwadzieścia jeden. Większość wysokich rangą działaczy Solidarności miała dwadzieścia kilka lat, najwyżej trzydziestkę. Lech Wałęsa, przywódca całego związku, najstarszy wiekiem, liczył sobie trzydzieści siedem lat. Z komunizmem walczyli młodzi ludzie, zbuntowani i wściekli, ale również niedoświadczeni i podejmujący czasem błędne decyzje. Nikt nie wiedział, dokąd to wszystko zmierza i jak się skończy. Solidarność wiele razy wydawała się zgubiona, podobnie jak cały naród. Kontrolowane przez władze media oskarżały

związek o wszystko, co możliwe, w tym również o problemy z zaopatrzeniem ludności w żywność.

Tymczasem w społeczeństwie popularny stał się inny slogan: „Rząd dba o prawo, partia zajmuje się polityką, a Solidarność troszczy się o ludzi”.

Czajkowski jednak wiele razy się zastanawiał, czy to prawda.

Niewiele osób potrafiło wyrazić wolę ludu, ale wszyscy wiedzieli, czego naród nie chce – odizolowanej od społeczeństwa, arbitralnej, scentralizowanej władzy, która sięga po represje.

Dekady złego zarządzania i korupcji ostatecznie wyszły komunistom bokiem. Czerwona burżuazja rozkwitała, a wszyscy inni za to płacili. Głupcy z rządu zapożyczyli się za granicą i wydawali zbyt dużo, aż w końcu zostało im tylko tyle pieniędzy, żeby spłacać odsetki od miliardowego długu. W końcu gospodarka się załamała, z rynku zniknęły dobra konsumpcyjne, a żywność stała się trudno dostępna. To zmobilizowało falę gniewnych młodych ludzi i ta dziesięciomilionowa rzesza rzuciła rząd na kolana.

Czajkowski był wtedy częścią tej rewolucji.

A potem został głową państwa.

Ale na jak długo?

Jesteś za komunizmem czy przeciwko?

W latach osiemdziesiątych zadawano to pytanie wiele razy, lecz w następnej dekadzie przestano. Obecnie nie miało znaczenia.

Polska była wolna.

Ale czy rzeczywiście?

Poczuł ból w piersi, tak jakby ktoś owinął jego serce nie siecią naczyń wieńcowych, lecz drutem kolczastym. Przeszłość uniosła plugawy łeb i przypomniała mu, że wciąż istnieje. Musiał to naprawić.

Zakończyć tę sprawę.

Zrobić wszystko, co trzeba.  
Naprawdę wszystko.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Cotton wszedł do budynku, po czym – wciąż prowadzony przez faceta z bronią – po schodach na pierwsze piętro, do apartamentu pełnego nijakich mebli, jakie zwykle kupują skąpi wynajmujący, którzy spodziewają się najgorszych najemców. Czuć było mocny zapach stęchlizny. Czy ktokolwiek tu w ogóle mieszkał? Wewnątrz dostrzegł znajomą twarz. Mężczyzna swobodnym gestem zaprosił go do wnętrza.

– Malone, miło znowu widzieć.

Cotton nie odwzajemniał tego uczucia.

– Ile to już, trzy lata? Czy nadal mówią na ciebie Iwan, czy zmieniasz imię przy każdym zleceniu?

– To moje imię.

Kiedy ostatni raz miał do czynienia z tą bestią, rozmawiali w cieniu kopenhaskiej Okrągłej Wieży, a potem w Amsterdamie, w doprawdy rozpaczliwej sytuacji. Malone pamiętał toporną, okraszoną ciężkim rosyjskim akcentem angielszczyznę tamtego i wschodnią aparycję mężczyzny – niskiego i krępego, z siwiejącą czarną czupryną. W czerwonej, pełnej plam gębie tkwił szeroki nochal, a w jej dolnej części widać było cień jednodniowego zarostu. Iwan nie poddawał się dyktatowi mody: miał na sobie źle dopasowany garnitur, który wybrzuszał się w talii.



Cotton wskazał dłonią przez ramię dwóch stojących za nim Muszkieterów.

– To twoi ludzie skradli Świętą Krew?

– Jak tam Cassiopeia?

Ten facet od zawsze uwielbiał ignorować pytania.

– Tak jak wtedy mówiłem, niezła babka – rzucił Iwan. – Gdyby ja był młodszy i czterdzieści kilo chudszy? – Poklepał się po brzuchu. – To kto wie? Tylko marzenia – dodał i zamilkł na chwilę. – Mam nadzieję, że wiesz, co za problem?

– To jedyny powód, dla którego tu jeszcze stoję.

Zdawało się, że Rosjanin odebrał niewypowiedzianą sugestię: „Do rzeczy”.

Iwan się zaśmiał.

– Poprzednio mówiłeś to samo. Tak jak wtedy, możesz mnie pokonać. Wciąż jestem gruby, bez kondycji. I głupi. Wszyscy Rosjanie tacy, prawda?

Déjà vu. Cotton poczuł, że już to kiedyś słyszał. W Amsterdamie. Podobny sarkazm, podobna zawołowana groźba. Wtedy również stali za nim dwaj mężczyźni i podobnie jak dziś nie byli grubi ani bez kondycji.

– Mam nadzieję, że dalej taki z ciebie cwaniak – powiedział Iwan. – Lata na emeryturze nic nie zmieniły? Ostatnio dobrze sobie radziłeś.

Tamta sprawa dotyczyła Chin, a Rosja występowała w roli niechętnego sojusznika.

– Wygląda na to, że na emeryturze mam więcej pracy, niż kiedy działałem w agencji rządowej.

– Czy to źle?

Malone wzruszył ramionami.

– To zależy. Jak poznałeś Iwonę Nowak?

– Pracowaliśmy razem kilka razy. Niezła przynęta.

Rzeczywiście. Cotton chętnie złapał tę przynętę, chociaż wyczuwał ryzyko.

– Dlaczego znalazłem się w samym środku tego wszystkiego? – zapytał. Iwan wycelował w niego palec.

– To twoja wina. Ty poszedł dzisiaj za moimi ludźmi. Nie twój interes. A może twój?

Teraz rozumiał ciekawość Rosjanina. Amerykański eksagent pojawiający się w bazylice we właściwej chwili, ruszający w pogoń, a potem widziany podczas rozmowy ze Stephanie Nelle i „Panem Zastępcą od Bezpieczeństwa Narodowego”. W tym równaniu dwa i dwa dawało wielką, wyraźną czwórkę... przynajmniej w umyśle Iwana. W tym momencie Malone podjął decyzję. Dlaczego nie? Mógł chwilę poudawać, że w to gra.

– Dostałeś zaproszenie na aukcję?

– Ja? Nie. Nasi na Kremlu. Dostali zaproszenie i odpowiedzieli. Kazali im ukraść Świętą Krew. A tobie co kazali ukraść?

– A mnie...

– Czekał – przerwał mu Iwan i ruchem dłoni oddalił złodziei. – Wyjść! Mężczyźni zamknęli za sobą drzwi. Najwyraźniej ich poziom dostępu do informacji nie był taki wysoki.

– Dawaj – polecił Rosjanin.

– Kazano nam ukraść gwóźdź z Bambergu.

Kłamstwo, ale może rozmówca Cottona nie zna prawdziwej wersji. Pora sprawdzić, czy w tej rozmowie informacje przepływają w obu kierunkach.

– Powiedz mi, co chcemy kupić na tej aukcji?

– Nie dali ci spróbować?

– Jestem ciekaw waszej próbki.

Iwan się zaśmiał.

– Prezydent Polski ma wiele tajemnic. Takich, co nic o nich nie wiedzieliśmy. Złych tajemnic. Bardzo niewygodnych dla niego. Niestety, wiele naszych akt przepadło. Pierestrojka. *Głasnost*'. Złodzieje. Niewiele nam zostało.

– Jakiego rodzaju złe tajemnice?

– Tajemnice, co nie chciał nigdy zdradzać ludziom.

– Aż tak źle?

Rosjanin potarł nos kciukiem i palcem wskazującym, tak jakby chciał się wysmarkać.

– Strasznie źle.

Teraz Cotton już wiedział. Ten, kto zdobyłby informację, mógł zmusić prezydenta Polski zarówno do umieszczenia na terytorium tego kraju rakiet systemu obrony, jak i do ich nieumieszczenia. Rosja z pewnością opowiadała się za tym drugim rozwiązaniem, podczas gdy USA – za pierwszym. To były dwa państwa z siedmiu.

– Wiesz, kto jeszcze dostał zaproszenie?

Iwan pokazał na niego paluchem.

– Tylko wy. Reszta to tajemnica.

– Zadałeś sobie sporo trudu, żeby mnie tu ściągnąć.

– Chcę, żeby przekazać wiadomość do twoich ludzi. Taką, co zrozumieją.

– A Iwona nie może tego zrobić? Ja jestem na emeryturze i nie mam z tym wszystkim nic wspólnego.

– Ty śmieszny człowiek. Tym razem Iwona i ja jesteśmy po tej samej stronie. Chcemy to samo.

– Żadnych rakiet w Polsce?

Iwan rozłożył szeroko dłonie.

– Dobry pomysł.

Cotton zgadzał się z tym, ale jego cierpliwość właśnie się wyczerpała.

– Słuchaj, tak jak ci powiedziałem, nie mam z tym nic wspólnego. Tak, byłem dzisiaj w bazylice i wetknąłem nos w nie swoje sprawy, ale tylko dlatego, że taki ze mnie kowboj. Biały Dom właśnie próbował mnie wciągnąć do współpracy, a ja się nie zgodziłem. To naprawdę nie mój problem.

– A mimo to tu jesteś.

Słuszna uwaga.

– Dobra. Jaką masz wiadomość?

– Moskwa niezadowolona. Nie pozwolą rakiet do Polski. Zrobią wszystko. Żadnych rakiet. Nigdy.

Ton rozmowy uległ zmianie, nie był już ani trochę żartobliwy. Iwan skrzywił usta w kwaśnym grymasie. Teraz mówił serio.

– Zrobimy wszystko, żeby to się nie stało. Wygrać aukcję? Może być. Zabić? Też może być. Powiedz twoim, że zrobimy wszystko. Nie zaczęliśmy tego. To wasz prezydent. Ale skończymy. Mam upoważnienie to zrobić.

Normalnie Malone pokręciłby tylko głową i wyszedł. Rząd Stanów Zjednoczonych potrafił sobie poradzić bez jego pomocy. No i kto miałby ochotę zostać chłopcem na posyłki? Tę sprawę prowadziła jednak Stephanie, a Bunch dał jasno do zrozumienia, że można ją poświęcić.

– Nie wiemy, gdzie aukcja będzie. Ale kiedy dowiemy się, działamy – powiedział Iwan. – Powiedz Stephanie Nelle, że to nie blef.

Cottonowi nie spodobał się jego ton. Miał już tego serdecznie dość.

– Wychodzę.

Iwan wzruszył ramionami, a potem na jego zasępionej twarzy pojawił się szczerbaty uśmiech. Wyciągnął spod marynarki pistolet i strzelił.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jonty podążał ciemnym tunelem po podłodze z desek za DiGentim i Konradem. Ściany korytarza wzmocniono grubymi drewnianymi stemplami. Wiedział, dlaczego użyto w tym celu drewna: było go pod dostatkiem, ugięło się elastycznie pod ciężarem i nie korodowało.

Gdy powoli zjeżdżali windą w dół szybu, uszy zatkały mu się od zmiany ciśnienia. Znajdowali się teraz głęboko pod ziemią, daleko od zatłoczonych tras turystycznych na poziomach I i II. Nad nimi rozciągało się małe miasto: trzy kilometry tuneli z centrum konferencyjnym, restauracjami, barami, kaplicami, sklepami i nawet uzdrowiskiem dla alergików. Wszystkie komory wycięto w otaczającej ich soli. Mimo że kopalnia od dawna była nieczynna, nadal tętniła życiem. Jonty zwiedził już wszystkie dostępne publicznie zakątki, ale tu, w ciemnym, odludnym miejscu, szarozielona sól, która wyglądała jak surowy granit, wydawała się jeszcze starsza. Wokół wił się najeżony niebezpieczeństwami labirynt tuneli.

Konrad zatrzymał się i odwrócił do niego i Vica. Wyciągnął coś z kieszeni i rozwinął. Kawalek papieru.

– To mapa tego poziomu.

Mieli na sobie kombinezony, a każdy z nich niósł także pochłaniacz dwutlenku węgla. Jedyne światło w okolicy pochodziło z latarek przy kaskach, rozjaśniających wydrukowany plan tuneli i komór. Trasy wyginały się, zakręcały i przecinały niczym spaghetti. Było tu tyle komór, że nie dałoby się ich rozróżnić, gdyby większości z nich nie nadano nazw.

Olivier zauważył na mapie pięć czerwonych krzyżyków.

Konrad narysował palcem trasę, podążając za krzyżykami.

– Komory i tunele noszą nazwy pochodzące od zwierząt, ptaków, sławnych gości, miast, regionów, ludzi, a jedna nawet od smoka – wyjaśnił przewodnik. – Większość tych nazw liczy sobie całe stulecia. Nadawano je, kiedy korytarze wyciosano z soli.

Co za przedsięwzięcie!

Przez wieki wykuwano i wywożono stąd kolejne bloki soli. Górnicy zaczęli od góry i szli w dół, dopóki żyła soli się nie wyczerpała. Wtedy pozostawiali pustą komorę i przechodzili do następnej żyły, wybijając długie, proste chodniki zwane sztolniami, by połączyć komory. Robili to nie tylko po to, by wydobywać surowiec, ale także dla lepszej wentylacji. W rezultacie powstał liczący wiele kilometrów labirynt, w którym dało się zorientować tylko dzięki tabliczkom z nazwami przyczepionym na ścianach.

– Główna sztolnia dochodzi tylko dotąd – powiedział Konrad. – Vic wspominał, że potrzebujecie prostej drogi do samego końca. To właśnie tu.

Jonty wstrzymywał się z tym szczegółem do ostatniej chwili. Teraz, kiedy w grze pojawił się Reinhardt, zachowanie absolutnej tajemnicy było jeszcze ważniejsze.

– Czy ktokolwiek inny pytał o coś takiego?

Konrad pokręcił przecząco głową.

– Nie, nikt.

– A wiesz może, czy w ciągu ostatnich kilku dni ktoś był na tym poziomie?

– Na pewno jacyś górnicy, ale można się tu dostać tylko z elektronicznym identyfikatorem, który odblokowuje windę. Mam taki w breloczku, a poza mną jeszcze z pięćdziesiąt innych osób i codziennie sprawdzamy każdy poziom. Jeżeli jednak pytasz, czy ktoś poszedł tam, dokąd teraz zmierzamy, to nic o tym nie wiem. To odległy i trudno dostępny zakątek. Nikt nie miałby powodu, żeby tam chodzić.

Szli dalej sztolnią o ścianach obudowanych drewnem. Sucha sól pod ich butami skrzypiała jak ubity śnieg. Z systemu wentylacyjnego docierał stały, słaby powiew, dzięki czemu łatwiej im było znieść poczucie, że zostali pogrzebani żywcem. Powietrze było przyjemnie chłodne.

Vic niósł nieduży plecak, w którym było to, co miało przynieść Jonty’emu bogactwo. Olivier już kilka tygodni temu zdecydował, że podczas aukcji nie będzie miał dokumentów przy sobie. Lepiej umieścić je w bezpiecznym miejscu, a potem niech zwycięzca licytacji martwi się o ich odzyskanie. Wszystkie zaproszone strony potrafiły tego dokonać. Każda z nich mogła go również wytropić i zabić, gdyby nie otrzymała tego, za co zapłaciła.

Nie miał jednak zamiaru nikogo oszukiwać.

Wręcz przeciwnie.

Nie bez powodu cieszył się reputacją rzetelnego kontrahenta, więc w razie potrzeby planował również wysłać ze zwycięzcami Vica, który pomógłby im zdobyć towar. Nie była to może gwarancja zwrotu pieniędzy, ale coś w tym rodzaju.

Weszli do kolejnej komory – wielkiej, wysokiej na przynajmniej dwadzieścia metrów i jeszcze dłuższej i szerszej.

Jonty zachwyił się ludzką pomysłowością.

W pewnym momencie ponad jedna trzecia królewskich dochodów w Polsce pochodziła z wydobycia soli. W ciągu siedmiu wieków spod ziemi wyjechało tu dwadzieścia siedem milionów ton tego surowca, a każdy blok został wyrobiony za pomocą kilofów, toporów i klinów. Do XIV wieku w kopalni pracowali niewolnicy – jeńcy wojenni.

Potem ich obowiązki przejęli wolni robotnicy.

Nie stosowano przemocy, tak jak w kopalniach węgla czy złota. Życie biegło tutaj mniej więcej normalnie: ludzie pracowali pod ziemią przez całe tygodnie, w ramach ośmiogodzinnych szycht. Za tę pracę otrzymywali godną płacę, obejmującą również szczodry przydział soli.

Najważniejsi w górniczej hierarchii byli kopacze – i nic dziwnego. Poszukiwacze znajdowali nowe złoża, a nosicze transportowali bloki sztolniami do szybów, tak by można je było wyciągnąć na zewnątrz. Najcięższą pracę wykonywali pokutnicy, którzy strzegli pozostałych przed śmiertelnie niebezpiecznym metanem, sączącym się ze skał i zbierającym pod sufitem. Pracowali w mokrych strojach, dzierżąc długie żerdzie z pochodniami na końcu, próbując wypalić gaz, zanim nazbiera się go tyle, żeby wybuch zagroził ludziom. Głównym wrogiem górników była jednak przesączająca się z góry zasolona woda. Rozpuszczała sól z sufitów i ścian, tworząc lśniące kalafiorowate twory i stalaktyty, które otaczały teraz podziemnych wędrowców, odbijając światło ich lamp.

– A oto jedno z największych pomieszczeń na tym poziomie, ale nie jest w najlepszym stanie, jak widzicie – objaśnił Konrad. – Wszędzie przecieka woda. W końcu zjawia się tu górnicy i naprawią szkody.

W dalszym końcu komory leżały olbrzymie kłody drewna, ułożone poziomo warstwami i tworzące potężne prostopadłościenne filary. Były to kaszty, mające wytrzymać ogromną masę skał powyżej i zapobiec zawaleniu się komory. Jonty zauważył rozmiary pni, a także brak śladów



piły. Wszystkie ścięto siekierami w pobliskich lasach: drewno nosiło jeszcze ślady ciosów. Mimo to pnie wyglądały względnie młodo, co dowodziło, jak konserwująco działa na nie sól. Mogły tu przetrwać całe wieki, zakładając, że nie spłoną. Pomalowano je wapnem, które sprawiało, że były lepiej widoczne, a także działało jako konserwant. Ogień zawsze stanowił w kopalni ogromne zagrożenie. Przez wieki górnicy pracowali przy lampkach z gliny, w których palił się łój albo olej. Przypadkowa iskra łatwo mogła wzniecić pożar, a ogień oznaczał nie tylko płomienie i gorąco, ale także trujący tlenek węgla. W ciągu kilkuset lat w kopalni doszło do wielu pożarów. Część z nich ciągnęła się przez całe miesiące i kosztowała życie mnóstwo ludzi, bo w tej sytuacji można było tylko odciąć całą część kopalni i pozwolić, aby ogień sam się wypalił. Olivier zauważył, że niektóre pnie w kasztach były osmalone.

Konrad poprowadził ich następną sztolnią.

Kolejne odgałęzienia pojawiały się na lewo i prawo, niektóre oznaczone, niektóre nie. W pewnym momencie doszli do odnogi po prawej.

– W tym miejscu na twojej mapie jest znak – odezwał się Jonty do Konrada.

– Owszem. Od tego miejsca będzie stopniowo coraz ciasniej. Tych okolic nikt nie odwiedza, są znane tylko ze starych map i zapisków.

Vic odwrócił się do współnika, pytając go spojrzeniem, czy wszystko w porządku.

– Nigdy nie cierpiałem na klaustrofobię – uspokoił go Olivier. – Będzie dobrze.

Zapuszczali się coraz dalej w czerń, czując się tak, jakby opadali w otchłań. Bez lampek nie widzieliby nawet czubka własnego nosa. Korytarz się zwęził.

Przed nimi tunel zaczynał się zapadać, pozostawiając tylko ciasny przesmyk pomiędzy bryłami soli. Po drugiej stronie otwierała się mroczna przestrzeń.

Vic skinął głową.

Jonty zwrócił się do przewodnika:

– Zaczekaj tutaj. Musimy załatwić to sami.

Konrad wyczuł, że lepiej nie dyskutować, i po prostu przytaknął.

– Potrzebuję również mapy – dodał Olivier.

Przewodnik mu ją podał.

Dalsze opóźnianie nie miało sensu.

Musieli to zrobić.

– Prowadź! – rozkazał Jonty Vicowi.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Cotton szybko skorygował wcześniejszą obserwację.

Iwan nie miał pistoletu.

To był paralizator.

Dwie elektrody na kablach zakończone zadziornymi wystrzeliły w powietrze. Igły znalazły cel – jego pierś. Targnął nim gwałtowny impuls elektryczny. W mózgu eksplodował mu rozgrzany do białości ból, pozostawiając za sobą szlak drgających nerwów. Mięśnie napięły się, a Malone upadł w konwulsjach na podłogę. Przypominało to tysiącrotnie wzmocniony skurcz mięśnia w nodze. Broń nadal terkotała, a prąd o wysokim napięciu przebiegał przez ciało Cottona. Ogarnęło go poczucie bezsilności – zachował kontrolę nad umysłem, ale stracił nad ciałem.

Terkot paralizatora ustał.

Wszystko trwało niecałe pięć sekund, ale było to najdłuższe pięć sekund w życiu Malone'a. Pozostał przytomny i świadomy tego, co się dzieje naokoło, z jedną tylko myślą: niech ten ból wreszcie się skończy!

I faktycznie, skończył się.

Ale Cotton nie mógł się ruszyć.

Spróbował odetchnąć.

Iwan pochylił się nad nim i wyjął elektrody z jego ciała.

– Przekaż im wiadomość, Malone.

A potem wyszedł.

Sukinsyn. To bolało.

Cotton powoli usiadł.

W głowie mu szumiało, a całe ciało było ciężkie.

Cholera.

Wszedł do niewielkiego lobby swojego hotelu, pięknego osiemnastowiecznego domu mieszczańskiego przekształconego w przytulny, elegancki obiekt niedaleko rynku. Po drodze nieco się uspokoił i doszedł do wniosku, że zadzwoni do Stephanie, by przekazać wiadomość. Nie dlatego, że kazał mu to zrobić Iwan, tylko po to, żeby wiedziała, na czym stoi. Zadzwoni, jak wróci do pokoju, gdzie będzie miał trochę prywatności. Tymczasem zgłodniał, a jego hotel, chociaż uroczy i wygodny, nie prowadził obsługi w pokojach. Musiał wyjść, żeby coś przekąsić, co nie powinno być problemem, w pobliżu mieściło się dość barów i kafejek.

Odebrał klucz od recepcjonistki i wszedł po drewnianych schodach na drugie piętro, opierając się na poręcz. Podszedł do drzwi i otworzył zasuwę, po czym już w środku rzucił klucz na komodę. Mieszkał w małym apartamencie, z osobną sypialnią, którą od reszty pomieszczenia oddzielały przesuwane drzwi, teraz na wpół otwarte. Lampy były zgaszone, do środka przedostawało się tylko przytłumione światło z zewnątrz, ale to mu wystarczyło.

Cotton usłyszał jakiś odgłos dochodzący z drugiego pokoju.

Skrzypnięcie.

A potem kolejne.

Ktoś tam był.

Zbliżył się do drzwi i stanął. Tylko idiota wszedłby prosto w ciemność, więc sięgnął za framugę i nacisnął przełącznik. Dwie lampki na stolikach nocnych rozjaśniły pokój słabym bursztynowym blaskiem. Na łóżku, oparta na poduszkach, leżała Iwona Nowak.

Kiedy pracował jeszcze w Magellan Billet i wyprowadził się od żony, Iwone zdarzało się wodzić go na pokuszenie, a on nieraz jej ulegał. Schadzki te nie były pozbawione namiętności, lecz stanowiły raczej spotkania błędzących pokrewnych dusz, które znajdowały w tym pocieszenie. Oboje rozumieli, czym jest samotność.

Działo się to jednak w dawnych czasach, zanim jeszcze poznał Cassiopeię.

Teraz wszystko wyglądało inaczej.

– Iwan poprosił o przysługę, a ja mu ją wyświadczyłam – powiedziała. – Obiecał, że będzie się zachowywać przyzwoicie. Jak było?

Podszedł i usiadł na łóżku, zauważając, że Iwona zdjęła buty. Paznokcie u nóg miała pomalowane krwistoczerwonym lakierem.

– Potraktował mnie paralizatorem.

Dotknęła jego ramienia.

– Chciałbyś, żebym ci to wynagrodziła? Wiesz, że potrafię przeproszać.

Musiał coś powiedzieć, żeby zakończyć tę niewygodną pauzę między propozycją a pieszczotą. Wiele lat temu jako młody prawnik w szeregach marynarki popełnił błąd i zdradził żonę. Dlaczego? Z perspektywy czasu musiał stwierdzić, że nie ma pojęcia. To się po prostu stało. Głupia sprawa, daremna próba oparta na przekonaniu, że komuś innemu również zależy, czysta, chwilowa przyjemność, bez myślenia o konsekwencjach. Zranił Pam mocniej, niż kiedykolwiek sądził, że potrafi, a ona odpłaciła mu, rodząc dziecko, którego ojcem był ktoś inny, z tym że Cotton dowiedział się tego dopiero po wielu latach. Zakończyli tę wojnę domową po ponad

dekadzie i od tamtej pory dogadywali się całkiem nieźle. Gary, ich syn, znał prawdę i pogodził się z tym, że nie jest związany z Malone'ami więzami krwi, za to w każdy inny sposób.

Najważniejsze, że Cotton ostatecznie zaangażował się uczuciowo.

Cassiopeia była dla niego kimś ważnym.

Wiele dla niego znaczyła. Śmiała się z jego żartów, podziwiała jego inteligencję, współczuła, kiedy cierpiał, i dzieliła jego pasję, a on odwdzięczał się jej tym samym. Była jego najlepszą przyjaciółką, a ta świadomość ogrzewała go i sprawiała, że czuł się spełniony. Znalazł swoje miejsce w życiu i cel, który dzielił z kimś innym. Kochał Cassiopeię z wzajemnością. Jak to się stało? Cholera, gdyby miłość dało się przewidzieć, straciłaby całą moc. Wiedział tylko, że to się stało.

– Przykro mi, Iwono. To niemożliwe, nie jestem wolny.

Rzuciła mu zaintrygowane spojrzenie.

– Czyżby Cotton Malone znalazł tę jedyną?

– Zaskakuje cię to?

– Nigdy nie sądziłam, że można cię oswoić.

Wyglądała zachwycająco – mała, okrągła buzia, podbródek jak guziczek i lekko zadarty nosek, który sprawiał, że była atrakcyjna, chociaż nie klasycznie piękna. Pomiędzy wysokimi policzkami rysowały się małe, lecz wyraziste usta. W jej ciele nie było ani grama tłuszczu, choćby odrobiny zbędnej masy. Niebieskozielone oczy, zmieniające odcień zależnie od nastroju, zdradzały wiele, a wszystko razem miało nieodparcie kobiecy urok. Wiedział, że to coś w rodzaju iluzji, ponieważ ta kobieta potrafiła również bezwzględnie zranić.

– Ja też kogoś znalazłam – przyznała.

– A mimo to jesteś tu, w moim łóżku.

– W ubraniu. To interesy – podkreśliła i uśmiechnęła się, a w jej policzkach ukazały się przy tym dołeczki.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Stany Zjednoczone powinny odpuścić sobie tę aukcję. Po prostu grzecznie podziękować i spasować. Zaraz potem wartość tej informacji znacznie spadnie i Jonty Olivier nie zarobi tyle, ile oczekuje.

To interesujące: znała sprzedawcę. Zrozumiał jednak, o co jej chodziło.

– Olivier potrzebuje do licytacji bogaczy i biedaków. Obie grupy mają wpływ na aukcję, a Ameryka jest najbogatsza. Czy Polska dostała zaproszenie?

Pokręciła przecząco głową.

– Stąd mój sojusz z Iwanem. Potrzebowaliśmy pomocy kogoś, kto w tej kwestii myśli podobnie jak my.

– Żadnych rakiet?

Przytaknęła.

– A cóż takiego zrobił wasz prezydent?

Rzuciła mu zaintrygowane spojrzenie.

– Tom Bunch ci nie powiedział?

Zdecydował się zagrać uczciwie.

– Ani słowa.

Uśmiechnęła się, odsłaniając perłowobiałe zęby.

– Ciężko jest wypaść z obiegu, co?

– Wcale nie. Zaczyna być ciężko, kiedy chcą mnie wciągnąć z powrotem, ale nic mi nie mówią.

– A bierzesz w tym udział?

Znał zasady. Żadnych informacji dla osób spoza kręgu zainteresowanych. Nie było takiej potrzeby. Tacy ludzie nie brali udziału

w grze. Ale gracze? To inna sprawa. Czasem należało zarzucić sieć szerzej, żeby zobaczyć, co się złapie.

– Nie zdecydowałem się jeszcze.

– Iwan powiedział, że nie byłeś specjalnie chętny.

Uśmiechnął się cierpko.

– Najwyraźniej utrzymujecie teraz bliskie kontakty.

– Te rakiety to trup, którego ożywił twój prezydent. Rosja nie chce ich w Polsce, nie uśmiecha im się również wywalenie dziesiątek milionów na rozmieszczenie dla równowagi własnych pocisków w Azji Środkowej. Polska nie chce tych rakiet. Unia Europejska również. Cała ta sprawa stanowi niepotrzebną eskalację napięcia, tylko po to, żeby prezydent Warner Fox mógł pokazać całemu światu, jaki z niego maczo.

Nie mógł się nie zgodzić z jej oceną.

– Bunch jest zdecydowany, żeby wziąć udział w licytacji.

– Najpierw musi uzyskać relikwię. Którą?

Kłamstwa powinny być spójne.

– Gwóźdź z Bambergu.

– To będzie łatwizna. Leży sobie w bocznej kaplicy.

– Co wiesz o innych relikwiach?

Usiadła wygodniej na łóżku.

– Dziesięć dni temu ekipa złodziei włamała się do klasztoru św. Turybiusza z Liébany w Hiszpanii i zabrała tamtejszy fragment Krzyża Prawdziwego. Prześledziłam ich drogę powrotną do Iranu. Dwa dni później inny zespół ukradł z kaplicy św. Antoniego w Pittsburghu cierń z korony. Część Kolumny Biczowania została zrabowana z Rzymu w zeszłym tygodniu, a Święta Gąbka z Notre Dame zaledwie dwa dni temu. Nie zidentyfikowałam złodziei. Rosjanie przejęli dzisiaj Świętą Krew, więc zostaje tylko gwóźdź i włócznia.



Przekrzywiła głowę i pochyliła się naprzód, a jej miękkie wargi znalazły się niebezpiecznie blisko jego twarzy. Podniósł palec, by ją powstrzymać. W innej sytuacji poddałby się, a wtedy pożądanie zwyciężyłoby nad zdrowym rozsądkiem i emocje zaczęłyby biec swoim torem, podsycane przez poczucie ryzyka i strach.

Ale Cotton nie chciał popełniać tego błędu po raz kolejny.

Wstał z łóżka.

– Czas już na ciebie.

Iwona patrzyła na niego niespokojnymi błękitnymi oczami wiecznego zbiega. Zawsze była kłębkim nerwów, a to, co robiła teraz, wydawało się typowe: grała na dwa fronty, wykorzystując każdą broń, jaką miała do dyspozycji. Cotton wyczuwał jednak napiętą atmosferę między nimi, jakby oboje nie wierzyli w ani jedno słowo tego drugiego. Igrali ze sobą, podrzucając sobie nawzajem starannie odmierzoną mieszankę prawd i kłamstw.

– Szczęściara.

– To raczej ja mam szczęście.

Wstała z łóżka. Jej ciało nadal robiło na nim ogromne wrażenie. Wsunęła stopy w buty i ruszyła ku drzwiom. Cotton stał oparty o komodę, z ramionami założonymi na piersi.

Zatrzymała się i powiedziała:

– Nie lekceważ ostrzeżenia Iwana. Wycofaj się, bo może zrobić się nieprzyjemnie.

– Jeżeli dobrze pamiętam, to lubisz, kiedy tak się robi.

Uśmiechnęła się.

– To prawda.

I wyszła z pokoju.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

**Środa, 5 czerwca**

**Kraków, Polska**

**Godz. 11.50**

Cotton podziwiał Rynek Główny. Ta otwarta kwadratowa przestrzeń o boku ponad dwustu metrów to największy średniowieczny plac w Europie, otoczony kolorowymi kamienicami z fasadami w stylu klasycystycznym, w których mieszczą się rozmaite sklepy, kawiarnie i restauracje.

Coś jak Brugia, tylko o wiele większe.

Po tym, jak Iwona wyszła, skontaktował się ze Stephanie. Powiedział jej, że zmienił zdanie i chce z nią pracować. Może to było szaleństwo, ale nie miał zamiaru pozwolić jej, by zrobiła to sama. Spakował więc torbę, wymknął się z hotelu tylnym wyjściem i odjechał czekającą przy obwodnicy limuzyną. Zawieziono go na południe, do Luksemburga, gdzie na koszt Magellan Billet spędził noc w wypasionym hotelu. Następnie złapał pierwszy poranny rejs do Frankfurtu, a tam ledwo zdążył na następny samolot – do Bratysławy. Na parkingu czekał już na niego samochód,

którym przejechał trzysta pięćdziesiąt kilometrów na północ, przez otwartą granicę polsko-słowacką i dalej, do Krakowa. Wybrali okreśną drogę, żeby zmylić polski wywiad, a zwłaszcza Iwonę.

Kraków leżał w rozległej dolinie, przytulony do Wisły. Przez wiele wieków był stolicą Polski i opływał w bogactwa i dostatek. Panowała tu niemal mistyczna atmosfera, a stare i nowe elementy współistniały w idealnej harmonii. Sprzyjał temu fakt, że miasto uniknęło potwornych bombardowań podczas drugiej wojny światowej. W czyste przedpołudniowe niebo wbijały się dwie wieże kościoła Mariackiego. Co dziwne, jedna z nich była niższa od drugiej, różniła się także kształtem i stylem. Cotton był przekonany, że kryje się za tym jakaś historia.

Stephanie zadzwoniła do niego, kiedy jechał przez Słowację, i doniosła mu, że poprzedniej nocy skradziono gwóźdź z katedry w Bambergu. Teraz została już tylko Włócznia Przeznaczenia. Nelle pozwoliła sobie na nieco oldskulowe zagranie: w samochodzie czekał na niego pakiet wydruków w żółtej kopercie. Nie widział czegoś takiego od dłuższego czasu – obecnie wszystko przekazywano w formie elektronicznej. Po drodze zatrzymał się i przeczytał zawartość koperty, zapoznając się ze wszystkimi niezbędnymi szczegółami.

Włócznię opisano po raz pierwszy w Ewangelii św. Jana. Rzymianie chcieli połamać Jezusowi golenie (praktykę tę nazywano *crurifragium*), żeby przyspieszyć śmierć na krzyżu. Wówczas jednak zdali sobie sprawę, że Jezus już nie żyje. Aby się co do tego upewnić, setnik Longinus przebił jego bok włócznią.

„I natychmiast wypłynęła krew i woda”\*.

Dlatego właśnie podczas katolickiej mszy zawsze mieszano wino z wodą. Wino zmienia się w krew i symbolizuje człowieczą naturę Chrystusa, a woda – boską.

Zamieszanie w tym przypadku wynikało z tego, że o miano oryginału konkurowało wiele włóczni. Jedna znajdowała się w Bazylice Świętego Piotra, ale jej autentyczność zawsze kwestionowano; ułamany czubek tego artefaktu przechowywano w Paryżu. Inną odnaleziono w Armenii, dokąd ponoć przywiózł ją apostoł Juda Tadeusz. Posiadaniem Włóczni Przeznaczenia chwaliła się także Antiochia, gdzie odnaleziono ją po tym, jak pewien mnich miał wizję, że pogrzebana jest w miejscowym kościele. Najwięcej uwagi przyciągnęła jednak włócznia znajdująca się w Wiedniu, w Hofburgu. Przez setki lat władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego używali jej podczas ceremonii koronacyjnych. Kiedy na początku XIX wieku abdykował ostatni cesarz, Habsburgowie włączyli ją do swoich królewskich insygniów. Legenda związana z włócznią mówiła, że ktokolwiek ją posiadał, sam rządził swoim losem – stąd nazwa Włócznia Przeznaczenia. Pożądali jej Karol Wielki, Barbarossa, Napoleon i Hitler. Miliony ludzi przybywały co roku do Wiednia, żeby ją zobaczyć, ale w 2003 roku testy wykazały, że pochodzi z VII wieku, nie z czasów Chrystusa (choć żelazny gwóźdź umieszczony w jej grocie i umocowany krzyżykami z brązu, przez dłuższy czas uważany za pochodzący z krzyża, miał taki sam kształt i długość jak inne rzymskie gwoździe z I wieku naszej ery).

Piąta relikwia pretendująca do miana oryginału znajdowała się w Krakowie.

Przybyła tam tysiąc lat temu, jako dar cesarza Ottona III dla króla Bolesława Chrobrego. Ta rzekoma replika oryginalnej włóczni Karola Wielkiego znana była jako Włócznia Świętego Maurycego. Kiedy Szwedzi najechali Polskę w 1655 roku, obrabowali skarbiec, lecz zostawili włócznię. Prusacy i Austriacy również najechali ten kraj – ale nie zabrali relikwii. W 1785 roku Niemcy zajęli Polskę, ukradli insygnia koronne i je przetopili,

lecz pozostawili włócznię na miejscu. Najwyraźniej prosta czarna żelazna broń nie przedstawiała dla nich żadnej wartości, dla Polaków jednak była symbolem ich ducha i niepodległości. W 1940 roku Hitler polecił, by zabrano ją do Wiednia, by porównać z tamtejszą relikwią.

Potem stało się coś dziwnego.

W 1944 roku Włócznię Świętego Maurycego bez żadnych wyjaśnień zwrócono Polsce.

To wstrząsnęło wszystkimi.

Przecież naziści nigdy niczego nie zwracali!

Jedna z hipotez głosiła, że eksperci z Wiednia uznali polską włócznię za oryginał i zwrócili ją, chcąc, by Hitler zachował podróbkę (i nie mógł kierować swoim przeznaczeniem). Inna historia mówiła, że włócznię zamieniono, a falsyfikat pozostawiono w Wiedniu w tym samym celu: żeby Hitler nie mógł korzystać z domniemanych mistycznych mocy artefaktu. Fakty historyczne wydawały się wspierać obie wersje: Hitler wszak upadł, a Polska przetrwała. Nikt jednak nie był niczego pewny. Dlatego Iwona mogła sądzić, że celem Amerykanów będzie Hofburg i tamtejsza relikwia, a nie Wawel. Oczywiście Cotton nie miał pojęcia, czy jej informacje o aukcji były równie wiarygodne jak dane Stephanie, ale musiał założyć, że tak.

Instrukcje z koperty nakazywały mu pojawić się na Rynku Głównym w Krakowie i wejść do Sukiennic. Wspaniały renesansowy budynek będący niegdyś centrum lokalnego handlu powstał w XIV wieku. Wewnątrz tej prostokątnej budowli o długości boiska do piłki nożnej znajdowały się rzędy stoisk ze wszystkimi możliwymi pamiątkami, a na zewnątrz – liczne kafejki i bary. Ludzie tłoczyli się w środku otwartej z obu końców przestrzeni. Malone miał iść do straganu oznaczonego numerem 135 i zaczekać, aż ktoś do niego podejdzie i zapyta, czy zna drogę na

Uniwersytet Jagielloński. Odpowiedź: trzeba podjechać tramwajem albo autobusem, ale na piechotę można zdążyć szybciej. Stara szkoła wywiadu, ustne hasło i odzew.

Nie korzystał z tej metody od dłuższego czasu, tak samo jak z drukowanych źródeł.

Stanął przed wejściem do Sukiennic i słuchał unoszących się w powietrzu dźwięków trąbki. To hejnał, jedna z krakowskich tradycji, sięgających XIII wieku i najazdu mongolskiego na Polskę. Strażnik na wieży kościoła Mariackiego zaczął trąbić melodię, która była sygnałem, że pilnujący miejskich bram powinni je pozamykać, ale strzała z łuku przeszła mu gardło i nie dokończył grać. Mimo to miasto ocknęło się z drzemki i odparło najeźdźców. Od tamtej pory co godzinę trębacz odgrywa z wieży te same pięć dźwięków, cztery razy – po jednym na każdą stronę świata, zawsze urywając w środku.

Taka to już tradycja.

Cotton wszedł do Sukiennic i zauważył, że stoiska są skrupulatnie ponumerowane. Zakładał, że spotka tu osobę, która przygotowała grunt pod kradzież włóczni, prawdopodobnie tę samą, która podstawiła mu do Bratysławy samochód i dostarczyła żółtą kopertę z materiałami. Uznał, że dobrze byłoby dowiedzieć się wszystkich szczegółów, zwłaszcza że przystępował do tej gry dość późno.

Szedł między rzędami straganów, przyglądając się pamiątkom i klientom. W spodniach khaki i koszuli z podwiniętymi rękawami pasował do tłumu turystów.

Znów był w grze.

Przy stoisku numer 135 zwolnił kroku, stanął i zaczął przyglądać się ręcznie rzeźbionym, jaskrawo malowanym aniołom. Natychmiast otoczyło go trzech mężczyzn, blokując drogę ucieczki. Mógł się wyrwać z okrążenia

tylko siłą. Napastnicy również byli ubrani jak turyści i jeszcze chwilę wcześniej nie wyróżniali się z tłumu.

Po chwili nadszedł czwarty.

– Panie Malone, proszę z nami.

Cała grupa wyróżniała się na chodniku niczym wyspa, opływana z obu stron przez ludzki potok. Cotton poczuł znany dreszcz i przyplływ adrenaliny. Oceniał, że poradziłby sobie z tą czwórką, ale wołał najpierw zapytać:

– A panowie skąd?

– Agencja Wywiadu. Mamy nadzieję, że będzie pan współpracował. Prosimy grzecznie, jak profesjonaliści.

Polska agencja wywiadu zagranicznego.

Duzi chłopcy.

Ludzie Iwony.

Ten, który mu odpowiedział, poparł prośbę uśmiechem.

Teraz Malone poczuł się zaintrygowany.

– Dokąd idziemy?

– Ktoś chciałby z panem porozmawiać.

To tyle w kwestii zmylenia polskiego wywiadu. Najwyraźniej Polacy znali każdy jego krok.

W tej sytuacji najmądrzej było zachować cierpliwość.

– Okej. Przecież nie będę się sprzeciwiał, skoro tak grzecznie zapraszacie?

---

\* Biblia Tysiąclecia, J 19,32-34

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jonty uważał, że wielka sala zamku wygląda doprawdy wspaniale. Ogromną przestrzeń wieńczył bogato zdobiony drewniany sufit. Na kryjących się w cieniu murach z szarego kamienia widniały pozostałości średniowiecznych malowideł. W ścianach wstawiono maswerkowe okna: dwa z nich znajdowały się wysoko na dwóch końcach ostro zakończonych ścian tylko po to, by oświetlić sufit. Z trzech stron salę otaczała odsłaniająca piętro galeria z masywną kamienną balustradą. Na posadzce z lastriko stało siedem par krzeseł, każda przy małym drewnianym stoliku. Jasno ustalone reguły aukcji zezwalały na dwóch reprezentantów każdego licytującego. Ponieważ Olivier przewidywał, że nie będą pałali do siebie miłością, krzesła rozstawiono daleko od siebie. Na każdym stoliku umieszczono również tabliczkę aukcyjną. Żeby jeszcze bardziej zrównać licytujących, na tabliczkach tych umieszczono nie numery, jak to zwykle bywa podczas takiej sprzedaży, a flagi narodowe.

Rosja, Chiny, Niemcy, Francja, Korea Północna, Iran i Stany Zjednoczone.

Zasady nie pozwalały również na żadną komunikację ze światem zewnętrznym. Wszystkie transmisje do i z zamku miały być tymczasowo



zablokowane. Vic zainstalował już potężną zagłuszkę, która miała pracować przez cały czwartek, aż do końca aukcji. Rozpoczęcie spotkania (wraz z podawaniem przekąsek i drinków) przewidziano na 11.00, początek licytacji na 12.00, a zakończenie na 1.00 w nocy. Do 1.30 wszyscy powinni już wyjechać. Jonty oczywiście planował wymknąć się z zamku zaraz po potwierdzeniu płatności. Przygotował już sobie trasę ucieczki przez ukryte przejścia aż do miejsca, gdzie powinien czekać na niego samochód.

Na środku, naprzeciwko krzesel, ustawiono wysoki fotel. Jego miejsce. Stąd osobiście poprowadzi licytację. Vic będzie czuwał na galerii powyżej i zweryfikuje płatność przed ogłoszeniem zwycięzcy. Jediną otwartą linią komunikacji będzie laptop Vica w jednym z pokoiów na pierwszym piętrze, z bezpośrednim połączeniem internetowym.

Zaraz za dwuskrzydłowymi drzwiami stał solidny dębowy stół, w tej chwili pusty, ale jutro każdy z licytujących złoży na nim swoją relikwię. Podczas koktajlu przed aukcją fachowiec, którego Jonty zatrudnił za niebagatelne honorarium, zweryfikuje obiekty. Oliviera zapewniono, że każdy z nich ma niepowtarzalne cechy, dzięki którym można będzie ustalić autentyczność, a ekspert spędził ostatnie dwa miesiące, przygotowując się do szybkiego badania. Jonty musiał zabezpieczyć się przed próbą podłożenia falsyfikatu. Planował sprzedać potem wszystkie siedem artefaktów na czarnym rynku: ustalił już nawet listę potencjalnych nabywców. Komplet relikwii mógł przynieść mu nawet dwadzieścia milionów euro. Najwyraźniej ktoś wyciszył sprawę wszystkich kradzieży, ponieważ w mediach nie pojawiła się ani jedna informacja na ten temat. Prasa z Brugii donosiła tylko o pożarze w bazylice, panice i związanej z tym ewakuacji. Nikt nie wspomniał ani słowa o kradzieży Świętej Krwi, chociaż zaznaczono, że ze względu na konieczne naprawy przez najbliższe dwa tygodnie adoracje się nie odbędą. Podobne relacje docierały

z pozostałych czterech miejsc, które również wstrzymały wystawianie relikwii na widok publiczny.

Vic wszedł do sali i dołączył do Jonty'ego.

– Sądzę, że wszystko mamy dopięte na ostatni guzik – oznajmił Olivier, rozkładając ramiona, by podkreślić przepych wnętrza.

– Wszystkie przyjazdy zostały skoordynowane – dodał Vic.

By do końca zachować w tajemnicy miejsce aukcji, każdemu z licytantów wskazano inną trasę. W miejscach oddalonych o dwieście kilometrów od zamku miało czekać na gości siedem zespołów kierowców, którzy zawiozą uczestników do zamku. Jonty zajmował się kiedyś rekrutowaniem do podobnych zadań, toteż i tym razem bez problemu znalazł czternastu wykwalifikowanych i zaufanych szoferów i zapewnił sobie ich usługi. Najbardziej bał się jednak tego, że jedno z licytujących państw przeprowadzi wyprzedzający atak.

Istniało takie ryzyko, całkiem realne.

Zlikwidowanie Oliviera przed aukcją było na pewno w interesie niektórych uczestników, ale jednocześnie wbrew interesowi innych. Pomysł na licytację polegał na tym, by rozegrać ich przeciwko sobie, a samemu zejść z linii strzału. Wskazówki dla wszystkich siedmiu zaproszonych ekip jasno precyzowały, że przedmiot licytacji nie znajduje się w miejscu, gdzie będzie prowadzona. Zwycięzca miał otrzymać instrukcję dotarcia do miejsca, gdzie ukryto dokumenty, lecz dopiero po potwierdzeniu płatności. Jonty chciał, żeby aukcja przebiegła idealnie. Po jej zakończeniu zaś wolał pozostać wśród żywych, by cieszyć się zyskiem bez lęku o ewentualny odwet.

Podjeżrane zachowanie Niemców było problemem, lecz wahanie Amerykanów stało się wręcz niepokojące. Mieli niecałe dwanaście godzin, by potwierdzić zaproszenie. Wiele tygodni temu Olivier osobiście

zadzwoił do Warnera Foxa, który zapewnił go, że Stany Zjednoczone na pewno wezmą udział w licytacji. „Co to jest kilka milionów dolarów? To niska cena za rzucenie Rosji na kolana. Poza tym to nie moje pieniądze!” – powiedział prezydent, po czym obaj roześmiali się z żartu. Fox zawsze był dobrym handlarzem, zwłaszcza kiedy dysponował pieniędzmi innych ludzi. W przeszłości kilka razy robili razem interesy, kiedy Fox potrzebował poufnych informacji, które pomogłyby mu zdobyć przewagę w trudnych negocjacjach. Teraz ten sam człowiek jako prezydent USA wzywał do umieszczenia rakiet w Polsce. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Jonty skorzystał więc z szansy i nawiązał osobisty kontakt, ujawniając swoją tożsamość i prezentując próbkę towaru. Fox był przeschęśliwy i nawet proponował pierwokup, oferując pięćdziesiąt milionów euro. Olivier jednak odmówił, wiedząc, że może wylicytować więcej. Czy Fox zmienił zdanie?

– Gwóźdź skradziono zeszłej nocy – powiedział Vic – ale Niemcy nie potwierdzili jeszcze udziału. To dziwne.

Faktycznie, to było nietypowe.

– Mają czas. Na pewno dadzą znać w porę.

– Podróż pięciu zaproszonych delegacji przebiega bez zakłóceń – kontynuował Vic. – Są już w drodze na nocleg, każdy w wyznaczonym miejscu. Skieruję odpowiednio pozostałe dwie, kiedy przyślą potwierdzenia. Wszyscy zostaną tu przywiezieni jutro rano, równocześnie. Powinni być na miejscu o 10.30.

– Cholerni Amerykanie – wymamrotał Jonty.

Vic nie odpowiedział, wiedząc doskonale, że jego wspólnik nie ma ochoty na dalszą rozmowę na ten temat. Olivier bardzo się starał, by zachować dobre maniery, ale tym razem nerwy wzięły górę. Zwykle dawał upust napięciu w jakiś nieszkodliwy sposób, na przykład czytając, i czuł się

dumny, że potrafi kontrolować emocje niezależnie od presji. Dzisiaj było jednak inaczej.

Kompletnie inaczej.

– Czy nasz gość na dole ucichł? – zapytał, mając na myśli szpiega w piwnicy.

– Musiałem go zakneblować.

– Tak będzie lepiej. Nie chcemy, żeby obsługa wiedziała, że tu jest.

– Powiedziałem wszystkim, że do piwnicy nie ma wstępu. Na szczęście ci ludzie nie zadają zbyt wielu pytań.

– Przy takich płacach powinni zachować dyskrecję. Musimy być wyjątkowo czujni, Vic!

– Będziemy. Na zewnątrz mam kamery z podglądem na główne wejście. Każdy zespół kierowców wiozących uczestników aukcji upewni się, że nie mają broni, urządzeń elektronicznych ani GPS.

– Żadne środki bezpieczeństwa nie pomogą, jeżeli w powietrzu będzie latał cholerny dron, śledzący któryś z samochodów – zauważył Jonty.

– Żadne z państw, nawet USA, nie ma możliwości wypuszczenia drona latającego na dużych wysokościach w przestrzeni powietrznej Słowacji. To nie oznacza, że nie spróbują, ale góry i pofałdowany teren powinny zadziałać na naszą korzyść. Poza tym przygotowaliśmy po drodze parę niespodzianek, dzięki którym damy sobie radę, nawet gdyby to zrobili.

Miło było to słyszeć.

Komórka Oliviera zawibrowała.

– Kontynuuj przygotowania – polecił Vicowi, odprawiając go ruchem dłoni.

Odebrał połączenie.

– Dzień dobry, Jonty – odezwał się męski głos.

Och, nie.

Reinhardt.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Cotton gapił się na klasztor kamedułów. Budynek z białego wapienia wieńczyły wieże i dach z patynowanej, zielonej miedzi. Kompleks ten znajdował się na Srebrnej Górze, kilka kilometrów na zachód od Krakowa, wśród lasów i winnic przeglądających się w Wiśle. Mnisi mieszkali tu w pustelniach od niemal pięciu stuleci.

Co miał do roboty w tym miejscu amerykański agent i jego polska eskorta?

Zaparkowali u stóp wzgórza, o kilkaset metrów spaceru mocno nachyloną drogą między murami. Ścieżka kończyła się pod łukowatą bramą, flankowaną przez wysokie wieże z zielonymi miedzianymi dachami hełmowymi. Malone uznał, że skoro jego obecność w Polsce została odkryta, nic nie zyska, stawiając opór. Lepiej zobaczyć, dokąd prowadzi ten szlak. Dlatego szedł naprzód żwawo, ciekawy, kto chce sobie z nim uciąć pogawędkę. Najwyraźniej miało to być prywatne spotkanie, ponieważ miejsce wyglądało na odosobnione.

Jeden z jego strażników podszedł do bramy i pociągnął za przymocowany do długiego łańcucha żelazny pierścień. Kilka chwil później solidne drewniane skrzydło się uchyliło i wyjrzał zza niego mężczyzna

w białej szacie z kapturem, noszący długą, bujną brodę. Zmierzył ich wzrokiem, kiwnął głową i wskazał gestem, że mogą wejść. Nie padło przy tym ani jedno słowo.

Przeszli przez furkę i znaleźli się na zielonym dziedzińcu, bez drzew ani jakichkolwiek ozdób. Betonowa ścieżka prowadziła do głównego wejścia wielkiego kościoła. Wieża z miedzianym hełmem wznosiła się na niemal pięćdziesiąt metrów, a jej nieskazitelnie białe ściany lśniły w południowym słońcu. Następny zakonnik w białym habicie czekał u drzwi. Dwóch agentów z eskorty zatrzymało się, a jeden z nich pokazał Cottonowi gestem, że dalej idzie sam.

Wszedł do kościoła, a wówczas zniknął także mnich, zamykając za sobą drzwi. Wnętrze stanowiła przestronna pojedyncza nawa z kolebkowym sklepieniem. Prawdziwe katolickie sanktuarium w bogatym stylu, z rzędami imponujących barokowych kaplic po obu stronach. Główny ołtarz, znajdujący się na drugim końcu kościoła, był doprawdy wspaniały. Jasne promienie słońca wpadały przez okna, a w strumieniach światła unosiły się cząsteczki kurzu. Wewnątrz nie było nikogo poza zwróconym w stronę ołtarza mężczyzną, który klęczał w pierwszym rzędzie ławek. Osobliwa postać, widoczna na tle zapalonych świec. Cotton zakładał, że to otoczenie miało wyciszać umysł i zwiększać jego możliwości. Mężczyzna przeżegnał się, potem wstał i spokojnie ruszył środkowym przejściem między ławkami. Był wysoki, potężnej budowy i przystojny, miał około pięćdziesiątki. Rzadką ciemnoblonde czuprynę zaczesał do tyłu, odsłaniając szerokie czoło. Mocno zaciskał usta w gładko wygolonej twarzy. Ubrany był w doskonale skrojony szaroniebieski garnitur.

– Panie Malone, nazywam się Janusz Czajkowski.

Wyciągnął do niego dłoń, którą Cotton uścisnął.

– Uznałem, że najlepiej będzie, jeżeli porozmawiamy osobiście – powiedział perfekcyjną angielszczyzną prezydent Polski – a ten kościół pozwala nam zachować całkowitą dyskrecję. Nie o każdym miejscu na świecie można to powiedzieć. Przy okazji, nie mówi pan po polsku, prawda?

Malone pokręcił głową.

– Nigdy nie opanowałem polskiego. Potrafię natomiast porozumieć się po włosku, duńsku, hiszpańsku, niemiecku i łacinie.

– Powiedziano mi, że ma pan znakomitą pamięć.

– Tego nie wiem, ale potrafię zapamiętywać szczegóły. Najczęściej określa się taką pamięć jako „ejdetyczną”. Czy przyjaźni się pan z tutejszymi mnichami?

– Tak mi się wydaje. Zrobili na mnie ogromne wrażenie – przyznał Czajkowski. – Przestrzegają surowego kodeksu dobrowolnie przyjętych reguł, a ich dewiza to *ora et labora* oraz *memento mori*.

Cotton przełożył z łaciny:

– „Módl się i pracuj”. „Pamiętaj o śmierci”. Praktyczne, ale przygnębiające.

– Im to służy. Rozmawiają ze sobą tylko trzy razy w tygodniu i mają kontakt ze światem poza klasztorem zaledwie przez pięć dni w roku.

– Chyba że przyjeżdża z wizytą prezydent Rzeczypospolitej.

Czajkowski się uśmiechnął.

– To stanowisko faktycznie otwiera wiele drzwi. Przeor jest moim starym przyjacielem.

– To pewnie również pomaga.

– Życie tutaj jest proste. Poza modlitwą i pracą mnisi spożywają tylko wegetariańskie posiłki w zaciszu własnej pustelni, gdzie jedyną dekoracją



jest czaszka poprzednika. Wyobraża pan to sobie? Wiem jednak z całą pewnością, że to prawda.

Prezydent najwyraźniej dążył do jakiejś konkluzji, więc Malone pozwolił mu prowadzić tę rozmowę.

– Nie znamy się, panie Malone, ale doniesiono mi, że jest pan rozsądnym człowiekiem. Chcę, żeby przekazał pan wiadomość tym z Waszyngtonu.

Znowu to samo. Chłopiec na posyłki. Cotton zauważył jednak, że Czajkowski interesująco dobiera słowa. Nie „prezydentowi”. Nie „Białemu Domowi”.

„Tym z Waszyngtonu”.

– Kiedy byłem dzieckiem – ciągnął prezydent – pewnego dnia matka odebrała telefon. Rozmowa trwała tylko kilka sekund, ale po jej zakończeniu powiedziała, żebyśmy obaj z bratem założyli płaszcze. Ubraliśmy się do wyjścia, a wtedy matka złapała jakiś sznurek i parę siatek. Poszliśmy do miasta, do sklepu, gdzie znaleźliśmy wielki stos papieru toaletowego. Na podłodze leżała go cała masa. Od dawna nie widzieliśmy go w takiej ilości. Wtedy matka złapała tyle rolek, ile się dało, przewlekła przez nie sznurek, zawiązała końce i zawiesiła go na szyjach mojemu bratu i mnie. Śpieszyła się przy tym, zanim nie pojawią się inni, bo kiedy to się stało, cały ten papier zniknął w mgnieniu oka. Nazywaliśmy to polowaniem, nie zakupami. Polowaniem. Nikt nie wiedział, co uda się przynieść do domu. Papier toaletowy był rzadkim dobrem, panie Malone. Cennym towarem. Kiedy go rzucili do sklepu, brało się go, ile można. Mieliśmy w łazience nieduży bidet i kiedy była akurat bieżąca woda, mogliśmy się podmywać. A kiedy jej zabrakło? – Czajkowski zamilkł na chwilę. – Pozostawiam to pańskiej wyobraźni. Tak wyglądało życie za

czasów komunizmu, kiedy nawet papier toaletowy był reglamentowany. Tak wyglądała Polska przed rokiem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym.

Cotton dostrzegł w oczach rozmówcy udrękę związaną z tymi wspomnieniami.

– Niedobory stanowiły szarą codzienność. Czasem, kiedy po prostu czegoś brakowało, były prawdziwe, ale najczęściej, co ważne, celowo wywoływały je władze. W ten sposób sprawowały kontrolę nad społeczeństwem. Nie dało się niczego kupić bez kartek, a te człowiek dostawał tylko po zarejestrowaniu się w systemie. Później winą za braki obciążano Solidarność i strajki, żeby zwrócić ludzi przeciwko związkowi. Wtedy jednak już wszyscy znaliśmy prawdę.

To musiało być straszne. Malone'a ogarnęło współczucie. Mimo to pozostawało coś jeszcze.

– Dlaczego tutaj jestem?

– Doskonałe pytanie. Rzeczywiście: dlaczego pan tu jest?

– Zna pan odpowiedź.

– To prawda, znam. Przybył pan, żeby zdobyć prawo do udziału w aukcji. Chce pan podczas niej kupić informację, która może mnie zniszczyć.

To zabrzmiało źle, lecz prezydent miał rację. Cottona motywowało jednak jeszcze coś.

– Jestem tu również po to, żeby komuś pomóc.

Czajkowski wydawał się zaintrygowany.

– Komu?

– Komuś, kogo znam od dawna, a kto znalazł się w trudnej sytuacji.

– Szczęściara. Trafił jej się dobry przyjaciel.

– Czy powiedziałem, że to „ona”?

– Nie, nie powiedział pan.

– Jest pan wyjątkowo dobrze poinformowany.

– Staram się. A co ze mną, panie Malone? Czy mam zapłacić za to, że pomaga pan przyjaciółce?

– Przypuszczam, że tak – odparł niechętnie Cotton.

Czajkowski odczekał chwilę.

– Opowiedziałem panu o papierze toaletowym, żeby pan wiedział, że moi rodzice byli lojalni wobec władzy... ale nie dlatego, że ją uwielbiali czy też wspierali z przekonania. Dlatego, że się jej bali. Zdawali sobie sprawę z czegoś bardzo ważnego, co powinien był rozumieć każdy, kto chciał przeżyć w ówczesnej Polsce. Prosta zasada. „Prawem jest to, co władza uzna za prawo”. Nie to, co jest zapisane, nie to, co powszechnie znane, ale to, co powiedziała władza, kropka. Żadnych dyskusji, żadnych odwołań. Wielu przyjaciół, którzy nie zdawali sobie z tego sprawy, zniknęło w nocy, zgarniętych przez służby. Po prostu zniknęło. To się zdarzało przez cały czas.

Cotton mógł sobie wyobrazić, jak przerażające było wtedy życie w Polsce.

– Ale ja przetrwałem... i zostałem prezydentem tego kraju.

– Dlaczego tu jestem? – spróbował znowu Malone.

– Sądziłem, że to oczywiste. Nie chcę, żeby wykonał pan tę misję.

– Faktycznie, najwyraźniej jej bezpieczeństwo zostało poważnie naruszone. Ciekaw jestem, skąd pan wiedział, gdzie mnie znaleźć.

– To akurat łatwe – odezwał się nowy głos.

Cotton odwrócił się w kierunku ołtarza i zobaczył, że w nawie pojawił się jeszcze jeden mężczyzna.

– Ja mu powiedziałem – wyjaśnił Tom Bunch.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Po tym telefonie Jonty poczuł się mocno zaniepokojony. Rozmawiał z człowiekiem, którego miał nadzieję uniknąć. Nie pozostało mu nic innego, jak opuścić zamek i udać się wraz z Vikiem na południe, do Koszyc, drugiego największego miasta Słowacji.

Miasto było prawdziwą perełką. Przy głównej ulicy stały kolorowe mieszczańskie kamieniczki i pałace, a na pięknym brukowanym placu – katedra św. Elżbiety. Rozmówca Oliviera zażądał osobistego spotkania, nakazując im stawić się w hotelu tuż obok.

Vic zaczekał przy recepcji, by upewnić się, że nie czekają ich dalsze niespodzianki, a Jonty wszedł do lobby i skręcił do hotelowej kawiarenki – ciemnego pomieszczenia pozbawionego okien. Mężczyzna, którego szukał, siedział sam przy stole.

Augustus „Eli” Reinhardt V.

Co za nazwisko. Brzmiało tak, jakby jego właściciel był następcą tronu. Reinhardt mieszkał najczęściej w Liechtensteinie, malutkim księstwie bez dostępu do morza, wciśniętym pomiędzy Szwajcarię a Austrię. Państewku o jednym z najwyższych wskaźników PKB na mieszkańca, pretendującym do miana raju podatkowego dla bogaczy.

Takich jak Eli.

Główny konkurent Jonty'ego miał nieco ponad sześćdziesiąt lat, ale wyglądał młodziej. Był niezwykle skrupulatnym mężczyzną ze starannie przyciętym wąsem, nosił spodnie odprasowane w ostry kant, gładką sportową marynarkę i wykrochmaloną koszulę, ale bez krawata. Olivier wyczuł aromat drogiego tytoniu, zmieszany ze słodkawą wonią wody po goleniu. W kieszeni koszuli Reinhardta tkwiło pióro Montblanc z charakterystyczną skuwką. Edgar Allan Poe Writers Edition z 1998. Ciemnogrnatowy, marmurkowy korpus z tworzywa ze złotą koroną, klipsem i stalówką. Osiemnaście karatów, jeśli dobrze pamiętał. Rzadki, kolekcjonerski przedmiot, wart parę tysięcy dolarów. A ten facet nosił go jak tani długopis.

Kiedy Jonty podszedł do stolika, Reinhardt wstał. Mierzyli się wzrokiem z nieskrywaną ciekawością, szacując, oceniając, zastanawiając się, a potem ostrożnie wyciągnęli dłonie. W ciągu ostatniej dekady widzieli się osobiście może ze dwanaście razy i żadne z tych spotkań nie było szczególnie przyjemne.

– Miło z twojej strony, że się zjawiłeś, Jonty, tym bardziej że zaproszenie przyszło na ostatnią chwilę.

Reinhardt powiedział to spokojnym, grzecznym tonem.

– A miałem jakiś wybór? – zapytał Olivier.

– Och, nie rozmawiajmy o tym tak, jakbym cię do czegoś zmuszał.

Usiądź, proszę. Napijesz się czegoś?

Jonty wykonał odmowny gest.

– Przejdź do rzeczy, Eli.

Usiedli.

– Chcę wejść do gry.

Tych słów obawiał się najbardziej.

Na świecie było pięciu czy sześciu godnych polecenia brokerów handlujących informacjami, w tym on sam i Reinhardt. Jonty uważał się za lidera ich niepisanego rankingu, a Reinhardta stawiał na odległym drugim miejscu. Oczywiście siedzący naprzeciwko niego mężczyzna byłby innego zdania. Mimo to Reinhardt również znał się na swoim rzemiośle i najwyraźniej posiadał znakomite źródło informacji na temat nadchodzących wydarzeń. Olivier postanowił jednak rznąć głupa.

– Do jakiej gry?

Tamten podniósł z podłogi niedużą skórzaną torbę. Otworzył ją i wyjął skorodowany żelazny szpikulec o długości kilku centymetrów.

– Zleciłem kradzież tego przedmiotu z Kaplicy Gwoźdźcia Chrystusowego w bamberskiej katedrze wczorajszej nocy. Tamtejszy relikwiarz jest teraz pusty. Naprawdę beztriosko się z nim obchodzili. Leżał sobie w otwartej niszy, czekając, aż ktoś go weźmie. Teraz chyba zamknęli kaplicę ze względu na... renowację.

To tyle nadziei, że Reinhardt blefuje.

– Liczyłeś, że Niemcy ukradną gwóźdź, a potem odpowiedzą na twoje zaproszenie. Nic z tego. Zdecydowali się nie brać udziału w twojej aukcji i grzecznie pozwolili mi skorzystać z okazji.

– A dlaczego mieliby tak postąpić?

– Ponieważ dostarczyłem im pewnych danych, których bardzo potrzebowali. W zamian otrzymałem informację o twojej aukcji.

– Nie chcą uczestniczyć w licytacji?

Reinhardt schował gwóźdź z powrotem do torby.

– Mają w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie, więc chętnie odstąpili mi swoje miejsce.

– Nie pozwalałam na udział pośredników.

– Nie jestem pośrednikiem, wchodzę na ich miejsce.

- To moja transakcja, Eli, nie twoja. Daj spokój.
  - To była twoja transakcja. Teraz to nasz wspólny interes.
- No nie. To nie mogła być prawda.

Cały plan zależał od motywacji uczestników. Jonty skrupulatnie dobrał wszystkich siedmiu, chcąc rozegrać ich przeciwko sobie. USA i Rosja – to było proste, jak orzeł i reszka. Iran stał po stronie Rosji, ponieważ w razie czego sam stałby się celem pocisków. Chiny i Korea Północna znalazły się w tym gronie, ponieważ każde z tych państw chciało mieć wpływ zarówno na Rosję, jak i na Stany Zjednoczone. Pozostawały Niemcy i Francja: oba kraje były przeciwne rozmieszczeniu rakiet w Europie i oba zaangażowały się obecnie w otwarty polityczny konflikt z USA. Nowy amerykański prezydent zrobił wszystko, co możliwe, żeby tylko je zantagonizować. Relacje pomiędzy tymi trzema państwami stały się lodowate, a na horyzoncie zaczęła majaczyć wojna handlowa. Jonty założył więc, że każdemu z rządów tych państw przydałaby się karta przetargowa, na tyle mocna, że potencjalni kupcy chcieliby za nią zapłacić tyle, ile oczekiwał. Może nie tyle, ile inni, ale dość, by podbić cenę.

– Jakim cudem to jest teraz nasz interes? – zapytał.

– Zanim do tego przejdziemy: wysłałem człowieka, żeby cię sprawdził. Nazywa się Art Munoz. Zniknął. Czy może przypadkiem go capnąłeś?

– Tak.

Reinhardt wycelował w rozmówcę palec.

– Sprytny jesteś, Jonty. I Vic DiGenti tak samo. Ostrzegłem Munoz, żeby uważał. Założyłem, że go złapałeś, dlatego zdecydowałem się przybyć osobiście.

– Eli, proszę cię jako kolega, daj spokój. To moja transakcja. Tylko i wyłącznie moja.

Reinhardt wtrącał się już wcześniej do jego interesów, podkopując umowy Oliviera z potencjalnymi klientami, sprzedając informacje taniej i nawet sabotując trzy transakcje, o których się dowiedział. Poufna natura tej branży sprawiała, że czasem agresywnie ze sobą konkurowano, ale Reinhardt miał w zwyczaju windować agresję na zbyt wysoki poziom. Jonty tolerował wcześniejsze problemy, ponieważ wtedy każdy miał okazję, by się obłowić. Teraz jednak było inaczej.

– Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o twojej aukcji, poczułem zazdrość – przyznał tamten. – Ustawiłeś niezły interes. To śmiały ruch. Bezprecedensowy. Potencjalnie może przynieść ogromny zysk. Ale jednocześnie krótkowzroczny, Jonty.

– Jak to?

Reinhardt rozsiadł się wygodnie.

– Moi niemieccy przyjaciele zwrócili mi uwagę na coś, czego najwyraźniej nie zauważyłeś.

Zdołał zaintrygować Oliviera.

– Słyszałeś kiedyś o „Spiżarni”?

– Nie mam pojęcia, co to takiego.

– W takim razie dzisiaj masz dobry dzień, Jonty. Coś jak Gwiazdka w czerwcu – oznajmił z szerokim uśmiechem Augustus „Eli” Reinhardt V. – Przybyłem, przynosząc dary, przyjacielu. Dary, które uczynią nas obu bogaczami.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Cotton opanował nerwy, kiedy Tom Bunch maszerował przez środek kościoła, tak jakby za chwilę miał zostać ukoronowany.

– Wystawiłeś mnie?

Ten irytujący gnojek tylko wzruszył ramionami.

– Musiałem tak zrobić.

Rozprawi się z tym imbecylem później, teraz musi dokończyć rozmowę z prezydentem Polski.

– Chwilę temu rozmawiałem z Warnerem Foxem – podjął przerwany wątek Czajkowski. – Wyjaśniłem mu, że nie chcę tutaj amerykańskich rakiet, i zaznaczyłem, że nigdy nie dopuszczę do ich umieszczenia. Poprosiłem go grzecznie, żeby nie forsował tego pomysłu. Wie pan, co mi odpowiedział?

Malone mógł się tylko domyślać.

– Powiedział, że w pełni rozumie moje zastrzeżenia i nie będzie na mnie naciskał w tej sprawie.

To było raczej zaskakujące, jeżeli się wzięło pod uwagę, co mówił w Brugii Tom Bunch.

– Prezydent Fox powiedział mi także, że zmierza pan do Krakowa, i zdradził miejsce pana spotkania z innym agentem.

– A wcześniej to ja dostarczyłem mu tę informację – wtrącił Bunch.

– Stąd wiedzieliśmy, że musimy czekać w Sukiennicach przy straganie numer sto trzydzieści pięć – ciągnął Czajkowski. – Powiedziałem prezydentowi Foxowi, że porozmawiamy z panem, a jego osobisty wysłannik okazał się bardzo pomocny.

Bunch oznajmił:

– Polska została poinformowana, że pracujesz dla niezależnego wydziału Departamentu Sprawiedliwości, który nie ma upoważnienia, by prowadzić tu jakiegokolwiek operacje. Wydział ten, Magellan Billet, postawił Stany Zjednoczone w trudnej sytuacji swoimi nieuprawnionymi działaniami w związku z jakąś rzekomą aukcją. Biały Dom dowiedział się o tym wszystkim dopiero dzisiaj. A wtedy podjęliśmy interwencję, by zatrzymać całą akcję.

Cotton odetchnął głęboko kilka razy i zachował zimną krew w obliczu kłamstw Buncha.

– A licytacja? – zapytał spokojnie.

– Ameryka nie będzie w niej uczestniczyć – oświadczył tamten. – Nie załatwiamy spraw w ten sposób. Oczywiście ci, którzy cię wysłali, uważają inaczej, ale wkrótce się z nimi rozprawimy.

Zwątpienie i podejrzliwość stały się niemal wyczuwalne.

Wszyscy tutaj kłamali.

– Czy satysfakcjonują pana te wyjaśnienia? – zapytał Czajkowskiego.

– Oczywiście. Prezydent Fox bardzo mi współczuł i przepraszał. Powiedział, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin wycofa propozycję rozmieszczenia rakiet, poprosił tylko o niewielką zwłokę, żeby porozumieć się z wojskowymi, którym zależało na tym, by ta broń się tu znalazła.

Dobrze rozumiem to zastrzeżenie, więc zgodziłem się na dwie doby opóźnienia.

Czterdzieści osiem godzin? Ten termin wypada już po aukcji. Wystarczy, by uspić czujność Polaków.

– Gdzie jest Stephanie? – zapytał Buncha.

– W drodze powrotnej do USA. Jutro straci stanowisko, ponieważ wysłała cię tu bez upoważnienia. Prezydent Czajkowski otrzymał od nas osobistą gwarancję, że Stephanie już nigdy nie będzie miała dostępu do amerykańskiej wspólnoty wywiadów.

Dwie pieczenie przy jednym ogniu? Dokładnie tak. Nie tylko okłamywali głowę obcego państwa, ale mieli także zamiar poświęcić Stephanie, żeby samych siebie uwiarygodnić. W ten sposób Fox zyskiwał wszystko, czego chciał już w dniu zaprzysiężenia. Pozbywał się i Stephanie, i Magellan Billet.

– Ta aukcja i tak się odbędzie, z udziałem Stanów Zjednoczonych czy bez niego – zauważył Cotton.

– To prawda, i będziemy musieli sobie z tym poradzić – przyznał Czajkowski. – Ale to sprawa Polski. Sami podejmiemy decyzję, co z tym zrobić. Na szczęście wartość oferowanej informacji znacznie się zmniejszy, kiedy Ameryka się wycofa. Jestem za to głęboko wdzięczny panu Bunchowi i prezydentowi Foxowi.

Malone nie wiedział zbyt wiele o Czajkovskim, ale ktoś, kto wygrał wybory w swoim kraju, zwłaszcza tak nieprzewidywalnym jak Polska, nie mógł być takim naiwniakiem, za jakiego mieli go Bunch i Fox. Szczególnie jeśli pracowała dla niego tak inteligentna agentka jak Iwona Nowak. Cotton zdał sobie sprawę, że Czajkowski może blefować w tej grze, a jego uległość to tylko fasada. Mina Toma Buncha i jego zmrużone oczy były jednak

wyraźnym sygnałem: zastępca asystenta prezydenta wierzył, że Polaków udało się ugłaskać.

– Co teraz? – zapytał Cotton.

– Wracasz do Danii – wyjaśnił Bunch. – Odstawię cię tam osobiście. Miejmy nadzieję, że nasi polscy przyjaciele wybaczą nam to naruszenie obyczajów i współpraca nadal będzie się dobrze układać.

– Zapewniłem prezydenta Foga, że wszystko wybaczymy – powiedział Czajkowski. – Doceniam szczerą i dyskretną politykę prezydenta USA w kwestii aukcji, jak również jego decyzję, by nie wywierać nacisku na Polskę co do rozmieszczenia rakiet.

– To wspaniały facet – przyznał Cotton, nie starając się nawet ukryć sarkazmu. – Co za kumpel!

Bunch zmarszczył brwi.

– Proszę o wybaczenie, panie prezydencie. Ten człowiek nie zna swojego miejsca i nie wie, jak okazać należyty szacunek. Dziękuję w imieniu Stanów Zjednoczonych za pańskie zrozumienie. A teraz pozwolimy sobie pana opuścić.

\* \* \*

Czajkowski stał i patrzył, jak Tom Bunch i Cotton Malone znikają za drzwiami. Jeden z mnichów zamknął je za nimi, również opuściwszy kościół.

– Co o tym myślisz? – zawołał.

– Uważam, że Bunch to pieprzony kłamca – odparła Iwona.

Przez cały czas siedziała zamknięta w jednym z konfesjonałów, z ukrycia słuchając rozmowy.

Teraz wyłoniła się z kryjówki.

– Podobnie jak prezydent Stanów – uzupełnił Czajkowski. – Nie lepszy niż cholerne komuchy.

– Wykorzystali Cottona. Nie spodoba mu się to. Nigdy by na to nie poszedł.

– Jak dobrze go znasz? – zaciekawiał się prezydent.

Uśmiechnęła się, odsłaniając perłowobiałe zęby.

– Jesteś zazdrosny?

– A powinienem?

– To było dawno temu. Zanim się pojawiłeś.

Podszedł bliżej i wziął ją w ramiona, całując delikatnie prosto w usta.

– Mógłbym okazać odrobinę zazdrości...

– O, to coś nowego. Podoba mi się.

– Potrzebuję twojej pomocy w tej sprawie – wyszeptał jej do ucha. – Tylko tobie mogę zaufać.

– Tylko mnie masz.

Miała rację. Czajkowski na pewno nie chciałby w to angażować żony. Nie mógł również skorzystać z pomocy Michała Zimy ani BOR-u, poza tym, co już kazał im zrobić. Gdyby zaufał zbyt wielu ludziom, coś na pewno by się nie udało.

Utrzymywał prywatne stosunki z Iwoną od ponad roku, a ich partnerstwo z czasem zyskało na intensywności. Prezydent kochał jej prawdziwe oddanie, a także błyskotliwy umysł, łapiący w lot wszystkie niuanse. Była inteligentną, dynamiczną kobietą, która mobilizowała go pod każdym względem. Rozumiał, że nie ma prawa czegokolwiek od niej wymagać, skoro wciąż jest żonaty, ale ona świadomie angażowała się w ten związek. Uważano ją za najlepszą agentkę AW i nigdy nie kwestionowano jej zdolności ani dyskrecji, podobnie jak lojalności. Gdyby nie znał jej lepiej, przysięgłby, że go pokochała.

– Co teraz zrobić? – zapytał, wciąż trzymając ją w objęciach.

– Bunch sądzi, że cię udobruchał. Osobista gwarancja od prezydenta USA powinna zagłuszyć twoje lęki. Dlatego dzisiaj wieczorem każe Cottonowi ukraść relikwię.

Została już tylko jedna, a skoro Malone był w Krakowie, przepustką Amerykanów na aukcję musiała być Włócznia Świętego Maurycego.

– Rosjanie wciąż jeszcze nie znają miejsca, gdzie odbędzie się licytacja – powiedziała. – Wiedzą tylko, że odbędzie się jutro. Dwóch przedstawicieli Rosji jest już w drodze, ale chyba skierują ich tam okreśną drogą, z punktem pośrednim. Na razie jadą do Bratysławy, zapewne jutro zostaną przewiezieni dokądś indziej. Jeżeli Amerykanie mają zamiar się tam pojawić, Cotton musi działać szybko.

Czajkowski od początku wiedział, że ma ograniczone pole manewru. Polska konstytucja nie przewidywała, by w zastępstwie prezydenta głową państwa została inna osoba wybrana w wyborach bezpośrednich. Gdyby prezydent zmarł lub ustąpił ze stanowiska, jego obowiązki przejmował na sześćdziesiąt dni marszałek Sejmu, a w tym terminie ogłaszano nowe wybory. Obecny marszałek był słabym i nieskutecznym człowiekiem, typem przywódcy, jaki pojawiał się w polskiej historii aż nazbyt często, kimś, kto potrzebował zbyt dużo wsparcia, by zyskać realną siłę. To nie zadziałało nigdy wcześniej i z pewnością nie uda się teraz. Gdyby wymuszono na nim rezygnację, jego bezpośredni następca niewątpliwie zrobiłby dokładnie to, czego życzył sobie Fox, a coś takiego byłoby trudno odkręcić. Dlatego każdy, kto zostałby potem prezydentem, musiałby układać się z Waszyngtonem. To oznaczało, że Czajkowski musi sobie poradzić z tym problemem tu i teraz.

Na przeszkodzie stała mu jednak przeszłość.

– Skąd wiesz, że Malone i tak ukradnie włócznie?

– Zrobi to ze względu na Stephanie Nelle. Zachowuje wobec niej lojalność i robi wszystko, co trzeba, żeby ją chronić. Taki już jest. Jak powiedział, przyjechał tu, by komuś pomóc. Przyjaciółce.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś go podziwiała.

– Bo tak jest. Tacy mężczyźni to rzadkość.

– Czy powinienem czuć się urażony?

– Ależ nie. Jesteś na czele listy takich facetów. Polska ma szczęście, że zostałeś prezydentem. Musimy cię zachować na tym stanowisku... za wszelką cenę.

Uśmiechnął się na taką pewność w jej głosie.

– I co zrobisz?

– Nasi rosyjscy przyjaciele chętnie współpracowali w Brugii, kiedy potrzebowali mojej pomocy, żeby zwabić Cottona, ale od tamtej pory niewiele mi zdradzili. Nie chcą, żebyśmy dotarli na tę aukcję.

– Ale musimy tam być.

– Dostaniemy się tam dzięki Cottonowi, więc dzisiaj wieczorem będę tam, gdzie on. Zaczekam na niego.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Jonty nie potrafił zdecydować, czy Eli mówi poważnie, czy tylko go podpuszcza. Jego konkurent potrafił dowiedzieć się wszystkiego, czego chciał, podobnie jak sam Olivier, a także był dość odważny, by badać ciemne zakamarki, przed którymi inni by się zawahali. Najlepszy dowód, że właśnie przyjechał na Słowację. Ale może ta oferta była tylko blefem, aktorskim popisem?

– O czym mówisz, Eli? Jakie dary przynosisz?

– Spizarnia. Dowiedziałem się o niej od przyjaciół z niemieckiego rządu. To środek zapobiegawczy, zastosowany przez Kreml w latach dziewięćdziesiątych, kiedy skończyło się panowanie Związku Radzieckiego i Polska ponownie wybiła się na niepodległość.

– Środek zapobiegawczy przeciwko czemu?

– Powiedziano mi, że przeciw hipokryzji.

Dziwna odpowiedź, ale Olivier widział, że Eli dobrze się bawi.

– Jonty, dysponujesz informacją kompromitującą jednego człowieka, obecnego prezydenta Polski. Ta informacja pochodzi z czasów, kiedy był młodym działaczem Solidarności, i najwyraźniej zachowano ją z myślą o szantażu. Wyobraź sobie jednak, że miałbyś podobne dokumenty na temat



innych ludzi, z których wielu, tak jak Czajkowski, zyskało po latach pozycję i wpływ. Niektórzy są członkami rządu, część pracuje w przemyśle. Ile by zapłacili za to Amerykanie? A Rosjanie? A wreszcie: ile zapłaciliby sami zainteresowani, żeby tylko na jaw nie wyszły obciążające ich materiały? Spiżarnia to okazja, żebyśmy się o tym przekonali.

To zaintrygowało Oliviera.

– Co to takiego?

– Nie tak szybko. Przyjechałem tutaj zawrzeć umowę. Być może spodziewałeś się czegoś innego, ale ja chciałbym tylko uczciwej umowy.

Jonty głęboko w to wątpił, mimo to uważnie słuchał.

– Masz coś, co chciałbyś sprzedać na aukcji – ciągnął Reinhardt. – Zrób to i zachowaj zysk dla siebie. A potem zlicytuj to, czym dysponuję ja. Oczywiście dochód z tej drugiej licytacji przypadnie mnie. Dwa w jednym, by tak rzec. Chcę tylko, żeby twoi kupcy mogli nabyć na aukcji również mój towar.

– I to ja mam poprowadzić obie aukcje?

– Oczywiście. Nie ma potrzeby robić zamieszania. Jestem pewien, że zaprosiłeś chętnych i majątnych uczestników. Zakładam, że wszyscy są przedstawicielami rządów. Teraz masz na sprzedaż dodatkową rzecz. Na szczęście dla nas ci kupcy mają nieograniczone zasoby.

Olivier musiał niechętnie przyznać, że ta propozycja brzmi rozsądnie. Mimo to zapytał:

– Ale co konkretnie masz na sprzedaż?

– Jonty, bądźmy szczerzy, mógłbym zniweczyć całą twoją licytację. Wszystko zależy przecież od zachowania tajemnicy. Czy zaprosiłeś Polaków? Nie sądzę. Ja na twoim miejscu bym tego nie zrobił. Dlatego zastanawiam się, co mógłbym zrobić, dzwoniąc do Warszawy.

Olivier zachował pokerową twarz, ale groźba zadziałała.

– Okej, Eli, rozumiem. Możesz zatopić całe moje przedsięwzięcie, a ta możliwość sprawia, że twoja obecność jest w pewien sposób uzasadniona. Słucham.

– A jeżeli myślisz o tym, żeby zamknąć mnie w jednym lochu z Artem Munozem, wiedz, że jeśli nie skontaktuję się co trzy godziny ze współnikami, to oni zadzwonią do Warszawy.

Jonty nie sądził, by to był blef, raczej ostrożność. Sam podjąłby takie środki, gdyby role się odwróciły.

– Dobrze, umowa stoi. Co dla mnie masz?

Reinhardt uśmiechnął się triumfująco.

– Pod koniec dominacji ZSRR, chyba około tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego, Służba Bezpieczeństwa ukryła olbrzymie archiwum. SB miała tysiące informatorów, z których wielu osiągnęło wysokie stanowiska w Solidarności, a potem w nowych partiach politycznych. Niektórzy z nich zgodzili się współpracować dla idei, część dla pieniędzy, jeszcze innych zmuszono do tego siłą lub szantażem. Wielu nie miało pojęcia, że zostało zarejestrowanych jako współpracownicy. Informacje o nich dotarły do SB przez przyjaciół, znajomych lub członków rodzin, którzy poszli na współpracę i ich sprzedali. Służba Bezpieczeństwa w ramach zabezpieczenia na przyszłość ukryła dokumenty dotyczące tych współpracowników, a miejsce, gdzie zostały zgromadzone, nazywa się Spizarnią.

Umysł Oliviera ruszył z miejsca.

Wiedział, że Polska od wielu lat usiłuje poradzić sobie z bolesną spuścizną zarówno okupacji nazistowskiej, jak i panowania komunistów. Instytut Pamięci Narodowej i Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu od dawna gromadziły olbrzymie zbiory informacji,

które zostały wykorzystane w procesach. Większość tych działań przeprowadzono w latach dziewięćdziesiątych, bezpośrednio po upadku Związku Radzieckiego. Nigdy jednak nie odnaleziono pojedynczego dużego archiwum z czasów komunizmu. Większości odkryć dokonywano w starych rządowych magazynach, biurach lub prywatnych domach. Jonty natknął się na sto czterdzieści siedem stron dotyczących młodego działacza Solidarności, Janusza Czajkowskiego. Były major SB zachował całe szafy dokumentów z okresu pracy dla rządu. Esbek dawno już nie żył, ale jego syn próbował ostatnio znaleźć kupca na te materiały. Przyjaciel, z którym Olivier robił interesy już wcześniej, dowiedział się o tym i dobił targu za pięćset tysięcy złotych. Początkowo planował zachować tę informację dla siebie i zbadać, jak można zmaksymalizować jej wartość, lecz w pewnej chwili Stany Zjednoczone ogłosiły wznowienie planów umieszczenia rakiet w Polsce.

Idealnie.

Tego właśnie potrzebował.

Coś, co miało przedtem niewielkie znaczenie, stało się nagle bardzo ważne.

A teraz to: partner w interesach.

Kolejny nowy element łamigłówki.

– Co zawiera Spiżarnia?

– Moi niemieccy przyjaciele przypuszczają, że dokumenty wymieniają tysiące nazwisk ludzi, którzy współpracowali z komunistami. Prawdopodobnie raporty, korespondencja, zaświadczenia, przeróżne dokumenty, magazynowane w bezpiecznym miejscu.

– Czy ktoś widział to archiwum?

Eli pokręcił przecząco głową.

– Niemcy nigdy go nie szukali i w sumie o nim zapomnieli, aż przyszło twoje zaproszenie. Miałem jednak to szczęście, że byłem właśnie w trakcie robienia z nimi kolejnego interesu, o wiele ważniejszego z ich punktu widzenia. Zmieniliśmy więc warunki umowy tak, że przypadły mi w udziale zarówno zaproszenie na twoją aukcję, jak i owo zaginione archiwum.

Jonty myślał gorączkowo, jaki temat jeszcze poruszyć, aż wreszcie sformułował pytanie:

– To niebywała szczodrość z ich strony, prawda?

– Zapewniam cię, że to, co dostarczyłem im w zamian, było dla nich warte o wiele więcej.

Taka odpowiedź mówiła wiele, może nawet za dużo.

– Jesteś pewien, że to archiwum rzeczywiście istnieje?

Reinhardt odchylił się na krześle.

– To sedno sprawy, Jonty. Nie jestem pewien. Moi berlińscy przyjaciele nie robili z tego tajemnicy. Nikt nigdy nie zweryfikował tego, co ci właśnie zdradziłem.

– Jak to? Kupiłeś coś, co może w ogóle nie istnieć?

Eli się uśmiechnął.

– Twoja aukcja naprawdę się odbywa, więc założyłem, że w najgorszym razie będę mógł wycisnąć z ciebie jakieś pieniądze za to, że nie przeszkadzam.

Olivier został zapędzony w kozi róg, a to mu się nie spodobało.

– Musimy sprawdzić, czy Spizarnia istnieje – powiedział Reinhardt.

– Co proponujesz?

– Żebyśmy rzucili na nią okiem.

Jonty nienawidził w tym kontekście słowa „my”. To była jego aukcja, jego przedsięwzięcie... Lecz wyglądało na to, że nie ma dużego wyboru.

Reinhardt z pewnością mógł mu zaszkodzić. Poza tym – dlaczego nie? Olivier nie miał nic do stracenia. Spróbował więc zrobić to, co umiał najlepiej: potargować się.

– Chcę procent z tego, co zarobisz na sprzedaży swojego towaru,  
Jego rozmówca się uśmiechnął.

– Ile?

– Dwadzieścia.

– Oho, to sporo!

– Organizacja aukcji wiązała się z pewnymi kosztami, do których powinienś się dołożyć. Poświęciłem sporo pieniędzy, żeby wszystko przebiegło dyskretnie i bezpiecznie... A właśnie! Jak mnie znalazłeś?

– Kiedy tylko Niemcy pokazali mi twoje zaproszenie, wysłałem ludzi, żeby cię namierzyli. Znam twoje przyzwyczajenia, tak jak ty zapewne znasz moje. Kiedy zniknął Munoz, założyłem, że cię znalazłem.

– A skąd wzięłeś mój numer?

Reinhardt ponownie się uśmiechnął.

– To akurat nie było zbyt trudne. Podobnie jak ty, mam potężnych przyjaciół. Zostawiłeś numer kontaktowy w agencji oferującej wynajem zamku Szturniej. To jedyny wynajmowany obiekt w Słowacji, który zapewnia taką prywatność.

Jonty przeklął w myślach swoją niedbałość. Jeżeli popełnił taką pomyłkę w przypadku Elia, to co z innymi? Czy część potencjalnych kupców również go namierzała? Czy miejsce aukcji zostało odkryte? Na szczęście poprzedniego wieczoru podjął ostatnie środki ostrożności. Wówczas jednak zaświtała mu przerażająca myśl.

– Śledziłeś mnie wczoraj wieczorem, prawda?

Eli znów skinął głową.

– A kiedy skierowałeś się na północ, do Krakowa, a potem do Wieliczki, żołądek podszedł mi do gardła.

Olivier zaczekał chwilę w milczeniu.

– Spizarnię ukryto właśnie w tej kopalni.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Cotton trzymał buzię na kłódkę, a nerwy na wodzy, dopóki nie znaleźli się sami w aucie. Ruszyli spod klasztoru. Bunch prowadził.

– To powinno kupić ci trochę czasu – odezwał się w końcu. – Prezydent osobiście zapewnił Czajkowskiego, że wycofujemy się z pomysłu ulokowania rakiet i nie weźmiemy udziału w aukcji. To powinno zadziałać.

– A więc Fox skłamał w żywe oczy głowie innego państwa?

Bunch zbył to oskarżycielskie pytanie lekceważącym gestem.

– Po prostu udzielił Czajkowskiemu błędnych wskazówek, a ja wzmocniłem to wrażenie.

Malone pokręcił głową.

– Obaj jesteście idiotami.

– Uważaj! Mówisz o prezydencie Stanów Zjednoczonych.

– Tak, i to jest właśnie najstraszniejsze.

Wracali teraz do Krakowa dwupasmową jezdnią biegnącą wzdłuż Wisły.

– Teraz powinieneś ukraść włócznie bez najmniejszych problemów – orzekł Bunch.

– Słuchaj, Tom... Mogę tak do ciebie mówić, prawda? – Cotton nie czekał na odpowiedź, tylko od razu powiedział: – Staram się nie mówić rzeczy, których mógłbym potem żałować, zwłaszcza ludziom, którzy pracują dla Białego Domu. Dla ciebie jednak zrobię wyjątek: weź się, chłopie, odpier...

W tym momencie Bunch pokazał na swoją komórkę.

Dziwne.

Leżała na centralnej konsoli, pomiędzy ich fotelami.

Cotton zauważył ją już wcześniej, ale nie zwrócił na nią większej uwagi. Teraz podniósł telefon i zobaczył, że trwa właśnie połączenie, a głośnik jest włączony.

– Panie prezydencie – odezwał się Bunch. – Malone już wie, że pan słucha.

Pokręcił głową. Nie do wiary.

– Dobrze wiedzieć, co pan naprawdę o mnie sądzi – stwierdził Fox.

– Nie wiedziałem, że to tajemnica, zważywszy na okoliczności naszego pierwszego spotkania. Najwyraźniej próba zamachu niczego pana nie nauczyła.

– Ależ tak, nauczyła mnie: wolę, żeby ważnymi sprawami zajmowali się moi ludzie, a nie niedobitki administracji Danny’ego Danielsa.

– Pańscy ludzie są niekompetentni.

– Tak jak ja?

Cotton nie miał zamiaru ustępować ani na milimetr.

– Pan jest ich głównodowodzącym.

Na twarzy Buncha pojawił się złośliwy uśmiech. Zastępcy asystenta prezydenta najwyraźniej bardzo podobał się ten jaskrawy brak szacunku.

– W normalnej sytuacji, Cotton... Mogę cię tak nazywać, prawda? – odparł Fox przez telefon. – A więc w normalnej sytuacji kazałbym Tomowi



po prostu cię zwolnić, rozłączyć się i działać dalej. Możemy wynająć innych ludzi. Jesteś jednak na miejscu, gotów do działania, a pozostało nam niewiele czasu. Musimy wykraść tę włącznię do północy.

– Mógłbym to zrobić tylko po to, żeby wepchnąć ją potem w...

– Cotton – przerwał mu Fox – po prostu wykradnij tę włącznię. Potem pojedziecie z Tomem na aukcję i kupicie to, co sprzedaje Jonty Olivier.

Musiał przyznać, że ci dwaj to doprawdy bezczelni skurwiele.

– Zostałem prezydentem – kontynuował tamten – ponieważ miałem jaja, wyszedłem do wyborców i poprosiłem ich, żeby na mnie głosowali. Mam wielkie plany, a problem z większością ludzi polega na tym, że nie myślą w ten sposób. Boją się tak myśleć, więc oddają inicjatywę takim jak ja, którzy się tego nie lękają. Nie boję się wygrywać, lubię wygrywać i zrobię wszystko, żeby wygrać.

– Gównu mnie to obchodzi – odparł Cotton do telefonu. – Nie mam interesu w tej rozgrywce.

– Może poza stu pięćdziesięcioma tysiącami dolarów, które obiecała ci Stephanie Nelle.

– Jakoś bez nich przeżyję.

Fox zarechotał.

– Oczywiście, że przeżyjesz. Ale ja chcę tych rakiet w Polsce, więc jeżeli mi nie pomożesz, zrobię to, co zapowiedziałem prezydentowi Czajkowskiemu: zwolnię Stephanie Nelle, a Magellan Billet będzie skończony. Zakażę współpracy z nią wszystkim amerykańskim agencjom wywiadowczym, stanie się persona non grata. Jeżeli będzie ją chciał zatrudnić ktokolwiek z sektora prywatnego, nie dostanie pozytywnych referencji od mojej administracji, a wręcz przeciwnie. Będzie mogła pracować tylko dla któregoś z moich wrogów.

Malone nienawidził dręczycieli, a z kimś takim miał właśnie do czynienia. Dręczycielom najlepiej się postawić, ponieważ w głębi duszy to tchórze. Teraz jednak nie miał w ręku mocnych kart.

Gdyby jednak dysponował włócznią?

Wjeżdżali już od zachodu na przedmieścia Krakowa. Malone dostrzegł przed sobą, za rzeką, Zamek Królewski na Wawelu. Jego ceglane mury obronne wyrastały na niemal trzydzieści metrów ponad wodę, jednocześnie masywne i smukłe, zwieńczone kopułami i wieżami. Przez kilkaset lat rezydowali tu polscy królowie, teraz jednak pozostały po nich tylko grobowce. Wawel był zarówno przechowującym cenne eksponaty muzeum, jak i dziełem sztuki samym w sobie.

Był symbolem Polski.

Tam czekała na niego Włócznia Świętego Maurycego.

Jego najlepsza karta przetargowa.

– Słyszałeś, co powiedziałem, Malone? – zapytał prezydent Fox.

– Ale z pana kutas!

– Nie obchodzi mnie, co o tym myślisz. Gdybym chciał mieć sumienie, tobym je sobie kupił. Teraz chcę tych rakiet w Polsce, a co więcej, chcę, żeby Rosja wiedziała, że nie może już pomiatać Stanami Zjednoczonymi.

– Myślę, że Danny Daniels nie zgodziłby się z taką oceną jego dwóch kadencji.

– Oczywiście, że nie, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zrealizować swój plan.

– Jeżeli zadziera pan ze Stephanie, to zadziera pan również z Danielsem.

– Wątpię, żeby młodszy senator z Tennessee mógł mi zaszkodzić.

Kłótnia z głupcem, który najwyraźniej nie doceniał przeciwników, nie miała najmniejszego sensu.

- Po prostu wykradnij tę włócznie, Malone, a potem wygraj licytację.
- Jeżeli to zrobię, co stanie się ze Stephanie?
- Kompletnie nic.
- Wie pan, że nie jest pan najbardziej godną zaufania osobą w okolicy?
- Masz tylko mnie, Cotton. Wóz albo przewóz.

W normalnej sytuacji Malone dałby sobie spokój, ale dwie kwestie przemawiały za inną decyzją. Po pierwsze nie chciał, żeby Fox miał okazję spełnić wszystkie groźby wobec Stephanie. A po drugie wiedział, że Janusz Czajkowski nie jest takim głupcem, za jakiego chciał uchodzić. Stany Zjednoczone ogłaszają plan rozmieszczenia rakiet, a zaraz potem zmieniają kurs tylko dlatego, że Polska sobie tego nie życzy? Owszem, Amerykanie mogli z tego zrezygnować, podobnie jak wiele lat wcześniej, ale dopiero po dłuższym czasie, tak żeby wszyscy zachowali twarz. Na pewno nie tak szybko, co to, to nie. Czajkowski również coś knuł, udając, że bierze zapewnienia amerykańskiego prezydenta za dobrą monetę. Malone nawet się domyślał, co by to mogło być, ale ani idiota za kierownicą, ani ten, którego było tylko słychać przez telefon, nie mieli o tym pojęcia.

Na tę myśl Cotton niemal się uśmiechnął.

– Czy tę operację wspiera jeszcze jakakolwiek inna amerykańska agencja wywiadowcza? – zapytał Foxa.

– Tylko wspaniała Stephanie Nelle i jej cudowny Magellan Billet.

– A poza tym?

– To wszystko. Ta inicjatywa wyszła z Białego Domu, więc zachowujemy dyskrecję.

Tak jak podejrzewał.

To rozstrzygało sprawę.

– Zdobędę tę włócznie – powiedział.

Wysiadł z samochodu w pobliżu Rynku. Bunch odjechał, zostawiając mu numer komórki, pod który Cotton miał dzwonić. Malone podszedł do swojego samochodu, zatelefonował do Stephanie i zdał jej sprawę z najnowszych wydarzeń.

– Powinnam się wycofać – powiedziała. – Nie potrafię pracować dla tych ludzi.

– Nie spodoba ci się to, co powiem: to nie mój problem, ale jeżeli się wycofamy, Ameryka może wpaść w prawdziwe kłopoty. Rosjanie poważnie się w to zaangażowali, razem z Polakami, i nie będą się wygłupiać. Cała sprawa może ważyć w nas rykoszetem.

– Zgoda. Od samego początku mam takie wrażenie. Nie wiesz nawet, jaką ulgę poczułam, kiedy mi powiedzieli, że jesteś w Brugii.

Nigdy wcześniej nie usłyszał od niej równie ciepłych słów i bardzo je doceniał.

– Zdobędę tę włóczęgę – oświadczył – a potem zadecydujemy, co robimy. Dla ciebie i dla kraju.

– Jestem w Warszawie, w ambasadzie, ale niedługo wyjeżdżam na południe, do konsulatu w Krakowie. Będę tam za kilka godzin.

Miał więc rację, zakładając wcześniej, że nie wyjechała ani nie została odesłana z Polski.

– Przeprowadzę mały zwiad, a wieczorem zajmę się zadaniem. Dane, które do tej pory dostarczyłaś, bardzo mi pomogły.

– Myślisz, że Polacy będą na ciebie czekać?

Opowiedział jej o swoich przeczuciach.

– Jestem o tym przekonany.

– W takim razie po co tam idziesz?

– Ponieważ im też na tym zależy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Jonty wrócił do zamku, wciąż nie mogąc dojść do siebie po spotkaniu. Nie potrafił rozstrzygnąć, czy Reinhardt rzeczywiście mówił prawdę, czy tylko blefował, próbując dołączyć do interesu, którego nie przygotowywał. Zanim Olivier uzyskał materiały obciążające Janusza Czajkowskiego, przeprowadził drobiazgowe badania, by upewnić się, czy to, co mu zaoferowano, jest prawdziwe.

Poznał wówczas historię Lecha Wałęsy.

Wałęsa, elektryk ze Stoczni Gdańskiej, tak jak wszyscy urabiający się po łokcie za marną wypłatę, popierał związki zawodowe i stał się jednym ze współzałożycieli Solidarności. Wizerunki jego wąsatej twarzy, niesione przez robotników, inspirowały ruchy antykomunistyczne w całym bloku wschodnim. Wiele razy był aresztowany i więziony, a zanim ostatecznie doprowadził do zakończenia rządów komunistów, otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Nie pojechał jednak do Oslo po jej odbiór, ponieważ władze nie wydały mu paszportu. Po latach wygrał wolne wybory i został pierwszym prezydentem III Rzeczypospolitej. Potem jednak jego popularność osłabła i w 1995 roku przegrał walkę o reelekcję.

Zarzuty współpracy ze służbami uprzykrzały mu życie przez wiele lat.

Ostatecznie pojawiło się dwieście siedemdziesiąt dziewięć stron dokumentów, które próbowała sprzedać wdowa po byłym ministrze spraw wewnętrznych z czasów komunistycznych. Podobieństwa do obecnej sytuacji z Czajkowskim wydawały się zatrważające, z tą różnicą, że brudy na temat Wałęsy zostały ujawnione. Instytut Pamięci Narodowej przebadał je szczegółowo, zatrudniając ekspertów, którzy potwierdzili autentyczność tych dokumentów. Wynikało z nich, że Wałęsa, w latach osiemdziesiątych prowadzący protesty i strajki wstrząsające panowaniem komunistów, dekadę wcześniej najwyraźniej był płatnym informatorem służb. Sam Wałęsa ogłosił, że to fałszywe dowody, sfabrykowane przez ówczesne władze, by go zdyskredytować. Było to dość prawdopodobne, toteż sąd go uniewinnił.

Pozostały jednak pytania.

Problem kolaboracji powrócił, kiedy do władzy doszła konserwatywna partia Prawo i Sprawiedliwość, której przewodził były antykomunistyczny działacz, wróg Wałęsy. W końcu eksprezydent przyznał się do podpisania zobowiązania do współpracy z SB, ale zaprzeczył, by doszło do faktycznej współpracy. Istniało jednak przynajmniej trzydzieści raportów podpisanych przypisanym Wałęsie pseudonimem „Bolek” i wszystkie uznano za autentyczne. Co więcej, zachowały się również rachunki za wypłaty, a na nich podpisy, które również zweryfikowano.

Dla legendy Solidarności to była wizerunkowa klęska.

Wałęsa nigdy się po tym nie pozbierał.

Jonty miał nadzieję, że to wystarczy, by Czajkowski nie próbował kusić losu, lecz zrobił wszystko, co zechce osoba dysponująca informacjami na jego temat.

Wszedł do zamku i polecił Vicowi wypuścić faceta z piwnicy. W drodze powrotnej opowiedział już współnikowi, co zaszło w hotelowej kawiarni.

– Musimy wrócić do kopalni razem z Eliem. Możesz załatwić tę wizytę?

Vic kiwnął głową.

– Proszę, zrób to szybko. Chcę wyjaśnić tę kwestię w ciągu kilku najbliższych godzin.

Zawarł z Reinhardtem umowę, ale uzależnił ją od tego, czy archiwum wciąż jeszcze istniało i nadawało się do sprzedaży. Jeżeli faktycznie tak było, dołączyłby je do aukcji. Jeśli nie, zgodził się zapłacić dwadzieścia milionów euro, by konkurent zszedł mu z drogi. Taką sumę powinna przynieść sprzedaż *arma Christi*. Reszta zysku z licytacji pozostałaby w jego kieszeni. Olivierowi nie podobało się, że musi iść na tego typu układ, ale w perspektywie miał znacznie większy zysk, więc zdecydował, że może wydać taką sumę, byle tylko utrzymać Reinhardta na dystans. Oczywiście jeśli archiwum nadal było na miejscu i zgadzało się z opisem, mógł liczyć na o wiele wyższy zysk.

Dla nich obu.

Nie miał nic do stracenia, więc mógł zerknąć, jak wygląda Spizarnia.

\* \* \*

Czajkowski siedział w Apartamencie Królewskim Wawel w krakowskim Sheratonie. Hotel ten, nowoczesny budynek z betonowych prefabrykatów i stali, stał nad Wisłą, w cieniu Zamku Królewskiego, widocznego w całej okazałości za wschodnimi oknami apartamentu. Prezydent zdecydował, że zostanie tu na noc, by być blisko tego wszystkiego, co miało się wydarzyć, pod pozorem spotkania z lokalnymi władzami, ponieważ wielu jej przedstawicieli od dawna domagało się, by poświęcił im chwilę. Zdołał opanować gniew, jaki wzbudzili w nim prezydent Fox i Tom Bunch. Mieli go za głupca i potraktowali Polskę jak drugorzędne państewko.

Amerykanie nie byli jednak pierwsi.

Królowie, królowe, cesarzowie i premierzy postępowali w ten sposób od stuleci. Ale nie tym razem. Iwona dopilnuje, żeby dostali za swoje.

Miał ogromne szczęście, że dla niego pracowała.

Musiał być jednak ostrożny. Polska pozostawała krajem głęboko katolickim. Rozwód był legalny, ale Kościół krzywo patrzył na takie praktyki. Separację natomiast tolerowano. Żadne z tych rozwiązań nie byłoby jednak możliwe do przyjęcia w przypadku prezydenta kraju, a ujawnione cudzołóstwo mogłoby oznaczać polityczną śmierć.

Jedyne legalne przesłanki do rozwodu?

„Nieodwracalny i całkowity rozpad pożycia małżeńskiego”.

Wraz z brakiem jakichkolwiek więzi duchowych, fizycznych i ekonomicznych.

Wszystko to dotyczyło małżeństwa Czajkowskiego.

Na szczęście nie mieli dzieci. Jego żona stanowczo odmawiała posiadania potomstwa już od samego początku ich związku, więc nie mógł się skarżyć. Byłby jednak równie wielkim kłamcą jak Amerykanie, gdyby twierdził, że nie żałuje tej decyzji. Zamiast tego został ojcem narodu. Poświęcił się Polsce. Niemal czterdzieści milionów ludzi ufało, że podejmie właściwe decyzje, a on nie miał zamiaru ich zawieść.

Zadzwoiła komórka. Prezydent z radością zobaczył na wyświetlaczu numer Iwony.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Przygotowuję operację.

Jeszcze w klasztorze wyjaśniła mu swój plan i opowiedziała, jak ma zamiar poradzić sobie z Cottonem. Wiedział, że w przeszłości coś między nimi zaszło i przez chwilę czuł zazdrość – po raz pierwszy od dłuższego czasu. Uznał to uczucie za całkiem fajne, a nawet ożywcze. Zdawał sobie



sprawę, że nie ma prawa być zazdrosny o to, do czego doszło, zanim rozpoczęli ten związek, ale i tak czuł się tym dotknięty. Kochał Iwonę i głęboko wierzył, że z wzajemnością. Robiła wszystko, co w jej mocy, żeby mu pomóc, a on doceniał to bardziej, niż myślała.

A może jednak o tym wiedziała?

– Dziękuję ci – powiedział.

– Nie ma za co, panie prezydencie.

Uwielbiał, kiedy tak się do niego zwracała.

– Spodziewam się bardziej wylewnych podziękowań. Osobistych – zaznaczyła.

Roześmiał się.

– Złożę ci je z najwyższą rozkoszą!

– Najpierw muszę jednak poradzić sobie ze starym przeciwnikiem. Jest dobry, naprawdę dobry, więc muszę to zrobić precyzyjnie.

– Mamy tylko jedną szansę.

– Zgadza się. Zamierzam ją w pełni wykorzystać.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Cotton podniósł głowę i spojrzał na Zamek Królewski na Wawelu. Stał na ruchliwym chodniku naprzeciwko wschodniego skrzydła fortecy. Lśniące w złotych promieniach słońca mury, zwieńczone stromymi dachami, wznosiły się na kilkadziesiąt metrów. Z zewnątrz zamek wyglądał jak starannie zaaranżowane zbiorowisko galerii, filarów, przypór i balkonów. Wielu nazywało tę górującą nad Krakowem siedzibę władzy świeckiej i kościelnej „Polskim Akropolis”. Na najwyższym piętrze Malone dostrzegł kolumnową loggię, która, zgodnie z informacją, jaką otrzymał, położona była blisko lokalizacji Włóczni Świętego Maurycego.

Zwykle relikwię tę eksponowano na stałej wystawie w Muzeum Katedralnym imienia Jana Pawła II, mieszczącym się zaraz za główną bramą zamku. Znajdowała się tam jedna z najcenniejszych kolekcji dzieł sztuki i artefaktów w Polsce, co roku odwiedzana przez setki tysięcy ludzi. Tak wielu, że przez kilka ostatnich miesięcy budynek pozostawał zamknięty ze względu na poważny remont, a wystawiane w nim skarby przeniesiono dla bezpieczeństwa w kilka innych miejsc. Włócznia została umieszczona w zamku i zamknięta wraz z kilkoma innymi cennymi przedmiotami na

najwyższym piętrze, w komnacie, której okna Cotton oglądał teraz, stojąc u stóp wzgórza.

Dochodziła właśnie 17.00. Ktokolwiek przeprowadził zwiad, dostarczył Stephanie mnóstwa precyzyjnych informacji. Sam zamek był otwarty jeszcze przez dwadzieścia minut. Pomieszczenia dawnej piekarni i szpitala, o oknach wychodzących na wewnętrzny dziedziniec, dawno już zostały zaadaptowane na biura administracji. Prowadziły z nich w głąb zamku wewnętrzne drzwi, zamknięte na klucz, ale dające się sforsować. Co pewien czas korytarze patrolowali strażnicy, zainstalowano tam również kamery, ale było ich niewiele. Raport ze zwiadu twierdził, że przy zachowaniu pewnej ostrożności da się ich uniknąć.

Dostarczono mu również kopię planów pierwszego piętra, pochodzącą chyba z albumu o zamku. Zakreślono na niej wejście od strony biur, a także komnatę, gdzie przechowywano włócznie, w pobliżu loggii na szczycie Wieży Duńskiej. Żeby się tam dostać, należało przejść przez tuzin pomieszczeń wzdłuż północnego skrzydła, a potem skręcić do wschodniej części zamku. Na tej trasie znajdowało się kilka miejsc, w których groziło mu ujawnienie, ale w raporcie widniała adnotacja, że jeśli będzie się trzymał ścian od wewnętrznej strony, może uniknąć wszystkich trzech kamer.

Przeszedł przez ulicę i wspiął się na wzgórze wawelskie obudowanym ceglanyimi murami przejściem prowadzącym ku masywnej renesansowej bramie. Wokół niego dyszeli i mamrotali ludzie, w większości wychodzący z zamku. Zabytek przygotowywano do zamknięcia na noc.

Minął wychodzących turystów i wszedł na dziedziniec. Po prawej wznosiło się Muzeum Katedralne, do którego wejście zagrodzono liną ze znakiem informującym, że budynek jest już zamknięty. Po lewej stała katedra, z której przez żelazną bramę wychodziło właśnie kilku ludzi.

Cotton kupił w mieście czapkę z daszkiem, więc teraz zsunął ją nisko na czoło, by w ten sposób zachować anonimowość. Zakładał, że Polacy pilnują swoich skarbów, toteż musiał poruszać się szybko.

Skręcił w lewo, ku budynkom administracyjnym. Pomiędzy murami tego wewnętrznego sanktuarium rozpościerał się starannie utrzymany trawnik. Wszędzie wokół wznosiły się baszty i wieże stanowiące doskonałe punkty obserwacyjne. Wszystkie miały nazwy: Zygmunta III Wazy, Złodziejska, Srebrnych Dzwonów, Senatorska, Duńska i Kurza Stopka. Po prawej stała duża tablica informacyjna zamku, której przyglądali się zwiedzający. Malone również się przy niej zatrzymał, studiując geografie wzgórza i zerkając na podwójne drzwi. Kiedy obok przechodziła większa grupa, wykorzystał ludzi jako osłonę i wślizgnął się do budynku administracyjnego, którego w dzień nie zamykano. Wewnątrz znajdowały się biura. Ktokolwiek przygotował tę misję, naszkicował również pobieżnie plan korytarzy, pokazujący dokładnie, którądy należało iść.

Praca agenta operacyjnego obejmowała rzeczy, których większość ludzi nie śmiałaby zrobić: między innymi wchodzenie tam, gdzie nie wolno, włamywanie się i lekceważenie zakazów. Cotton przyzwyczał się do popełniania takich wykroczeń podczas misji. Musiał sobie jednak przypominać, że należą do obowiązków, z których zwolniła go emerytura.

Wewnętrzna klatka schodowa prowadziła do góry, lecz ją ominął. Zamiast tego podążył pobielonym korytarzem i skręcił w prawo. Środkiem kamiennej podłogi biegł chodnik, a po obu stronach w regularnych odstępach znajdowały się pozamykane drzwi do biur. Nie zainstalowano tu kamer, ponieważ nie było tu nic, co można by ukraść. Tu się pracowało. Przywołał z pamięci plan wnętrza i znalazł przedsionek, z którego szerokie kamienne schody na planie kwadratu prowadziły w górę. U szczytu pierwszego biegu małe drewniane drzwi w kamiennej futrynie pozwalały

przejsć do zamku. Wszedł na półpiętro i zobaczył, że zamknięto je na dwa sposoby. Był tam więc prosty zamek bębnekowy, łatwy do otwarcia, ale także kawałek splecionego drutu, przewleczony przez dwa uchwyty, jeden umocowany w drzwiach, drugi w ościeżnicy. Końce drutu skręcono razem i dodatkowo zabezpieczono zaciskiem. Prosty i skuteczny sposób, by wiedzieć, czy ktoś otwierał drzwi.

Nadszedł czas na trudniejszą część planu.

Malone musiał zniknąć na kilka godzin.

Zszedł po schodach na parter.

Raport wywiadowczy, z którym się zapoznał, nie wspominał o zbyt wielu potencjalnych kryjówkach. Zakładał, że w budynku wciąż jeszcze byli ludzie, chociaż dotąd nikogo nie spotkał. Wkrótce urzędnicy opuszczą to miejsce i zostaną tylko strażnicy, ale do tego czasu nie mógł snuć się po korytarzach. Przedśionek przed nim wydawał się pusty, poza ogromną palisandrową szafą z szufladami. Podeszedł i otworzył jej drzwi. Nic w niej nie było, a wewnątrz okazało się dość duże, żeby go pomieścić.

Dlaczego nie?

Krył się już w gorszych miejscach.

Wcisnął się do mebla, opierając plecy o boczną ścianę i zginając kolana. Nie było to nawet takie niewygodne, powinien wytrzymać kilka godzin. Zamknął drzwi. Przy odrobinie szczęścia nikt nie zajrzy do środka.

Wyjął telefon i całkowicie go wyciszył.

Okazało się, że tymczasem dostał esemes od Cassiopei.

„Gdzie jesteś?”

Wiedział, że prawda by się jej nie spodobała.

„W Polsce, siedzę w szafie i czekam, żeby ukraść tysiącletni artefakt”.

Dlatego wołał nie odpowiadać.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

**Godz. 19.50**

Jonty powrócił do kopalni soli w Wieliczce zaskakująco szybko. Vic zorganizował kolejną specjalną wycieczkę, tym razem dla trojga ludzi. Eli dostarczył część danych, którymi dysponował, a ich przewodnik na tej podstawie przygotował kolejną mapę, mającą doprowadzić ich tam, gdzie chcieli.

– To stary rysunek – wyjaśnił. – Jeszcze z czasów komunistycznych.

Stali we wspaniałej Kaplicy Świętej Kingi, sto metrów pod ziemią. Wyrąbano i wywieziono stąd dwadzieścia tysięcy ton soli. Komora miała ponad pięćdziesiąt metrów długości, osiemnaście – szerokości i dwanaście – wysokości, a jej posadzkę wykonano z wypolerowanej soli. Ten jeden z największych podziemnych kościołów na świecie zaprojektowano pod koniec XIX wieku.

Olivier podziwiał bogate ozdoby i obrazy.

Kiedyś, gdy górnicy mieszkali przez całe tygodnie pod ziemią, przyświecając sobie lampami i świeczkami, religia odgrywała w ich życiu

ważną rolę: podczas schodzenia pod ziemię śpiewali nabożne pieśni, pozdrawiali się pełnym szacunku „Szczęść Boże”, a część z nich dla zabicia czasu zyskała nowy fach, rzeźbiąc w soli olbrzymie postacie i całe sceny – ich dzieła można było napotkać w całej kopalni. Powstało tu około czterdziestu kaplic, a począwszy od XVII wieku, w wielu z nich regularnie odprawiano katolickie msze. Święta Kinga była klejnotem w tej koronie. Jej wnętrze, bardziej pasujące do katedry niż kaplicy, oświetlało pięć ogromnych żyrandoli, stworzonych z misternych kryształów soli. Komorę tę ozdabiały liczne posągi i zadziwiająco szczegółowe trójwymiarowe płaskorzeźby, inspirowane scenami z Nowego Testamentu. Pokolenia górników-rzeźbiarzy składały w ten sposób hołd swojej katolickiej wierze.

Jonty uważnie oglądał mapę.

Podczas wojny kopalnię zajęli naziści; próbowali wykorzystać ją jako podziemną fabrykę, w której zatrudniano jeńców. Sowieckie natarcie zniweczyło jednak te wysiłki. Po wojnie komuniści przejęli kontrolę nad tym miejscem i sprawowali ją do 1990 roku, a potem nastąpiła wolna Polska.

– Pracowałem tu przez wiele lat – zagaił Konrad. – Opowiadano nam historie z czasów komunistycznych, kiedy w kopalni wciąż jeszcze wydobywano sól. Słyszałem wtedy, że wykorzystywano to miejsce jako magazyn. Na dole, na poziomie dziewiątym, w części kopalni poza trasą turystyczną, jest wielka komora. Byłem tam kiedyś.

Eli uważnie przysłuchiwał się tej opowieści.

– Pełno w niej drewnianych półek – ciągnął przewodnik – ale stalowe szkielety regałów skorodowały. Przeżarła je sól. Nie mam pojęcia, dlaczego użyto stali. Tu, na dole, nie wytrzyma długo – dodał i pokazał palcem trasę na mapie. – Ta komora jest tutaj.

– Jak głęboko? – zapytał Eli.

– Ponad trzysta metrów.

Reinhardtowi najwyraźniej nie spodobała się ta informacja.

– Nie lubisz zamkniętych przestrzeni?

– Nie lubię więzień – odparł Eli.

– Proszę bardzo, zaczekaj tutaj – zaproponował Jonty.

– Doceniam twoją troskę o moje dobre samopoczucie, ale jakoś to przecierpię. Idę z wami.

– Czego szukamy? – zapytał Konrad.

Jonty również chciał usłyszeć odpowiedź na to pytanie, podobnie jak Vic, który milczał wyczekująco.

– Komory o nazwie „Warszawa” – oznajmił Eli.

Przewodnik rzucił mu zakłopotane spojrzenie.

– Jest taka. To wielka sala balowa, niedaleko stąd, gdzie wyprawiane są bankiety, przyjęcia i konferencje. Czyba nie ma pan na myśli tego miejsca?

– Ta, której szukamy, musi być ukryta.

– Na niższych poziomach są komory nazwane na cześć Modeny, Weimaru, Florencji, Toskanii i innych krain czy miast w Europie i Polsce, ale żadna z tamtych nie nosi nazwy pochodzącej od Warszawy.

Tak jak poprzednio, mieli na sobie kombinezony z kaskami i latarkami, tak jakby chcieli zwiedzić trasę górniczą. Zjechali na dół szybem Regis, a potem przeszli pół kilometra sztolnią na poziomie II do trasy turystycznej. Jonty zastanawiał się nad tą zmianą procedury, ponieważ poprzednio zjechali szybem Regis bezpośrednio na poziom IX.

– Dlaczego tu przyszliśmy, zamiast zjechać na dziewiąty? – zapytał.

Konrad wskazał na papier.

– Ponieważ to mapa poziomu dziesiątego.

Olivier złowił minę Vica, który pomyślał chyba o tym samym.

– Nie wiedziałem, że coś znajduje się tak głęboko.



– Otwarto go w latach pięćdziesiątych, rozbudowano w sześćdziesiątych, ale zamknięto w połowie następnej dekady.

Jonty zauważył zbieżność dat.

– Wszystko to działo się w czasach komunistycznych!

Konrad przytaknął.

– Na tamten poziom nie prowadzi żadna winda, tylko drewniane schody z poziomu dziewiątego, obecnie w kiepskim stanie. Nie zabieramy tam żadnych grup turystycznych. Dojedziemy do tej klatki schodowej windą niedaleko stąd.

– Jak dokładna jest ta mapa? – spytał Vic.

– Nie mam pojęcia. Niewielu górników tam było. Mówili, że chodniki są drożne, ale zbiera się tam sporo wody. Od kilkudziesięciu lat nikt nie zajmował się stanem tej części kopalni.

Jonty dostrzegł ostrzeżenie między wierszami. Niebezpieczeństwo było całkiem realne.

– Nie mamy innej możliwości – wyjaśnił Konradowi. – Musimy tam zajrzeć.

– Dobra wiadomość jest taka, że w sumie jest tam niewiele korytarzy. Sporo odgałęzień, ale tylko trzy główne sztolnie. Jak widzicie na tej mapie, niczego tam nie oznaczono, nie ma żadnych nazw. Na dole jednak może być inaczej.

Olivier spojrzał na Elia.

– Jesteś tego pewien? Widzę tu spore ryzyko, biorąc pod uwagę, że szukamy czegoś, co może okazać się czystą fikcją.

– Nie dowiemy się tego, dopóki nie zobaczymy.

Jonty rozejrzał się po niewiarygodnym wnętrzu podziemnego kościoła. Kazalnicę pod jedną ze ścian wyrzeźbiono na wzór wzgórza wawelskiego z fortyfikacjami i smokiem. Po drugiej stronie komory stał solny posąg Jana

Pawła II. Tablica w kilku językach przypominała, że miejsce to nadal spełnia funkcje religijne – co niedzielę odprawiano tu mszę. Wokół kręcili się podziwiający kaplicę goście.

Olivier spojrział na Vica. Przez lata przywykł do tego, że może polegać na zdrowym rozsądku i cierpliwości współnika. DiGentiemu nie spodobała się informacja o układzie z Reinhardtem. Bez entuzjazmu uwolnił więźnia – czekał teraz na górze w samochodzie, którym przyjechali z Eliem do Polski. Dotychczas traktowali tamtego jako konkurenta, ale ta transakcja różniła się od innych skalą i znaczeniem. Stawką były setki milionów euro, a Jonty manewrował pomiędzy sprzecznymi interesami siedmiu suwerennych państw, z których większości nie obchodziło, jak poradzą sobie pozostałe. Rządy wszystkich siedmiu krajów były w stanie rozpętać niezłą jatkę. Teraz zaś w grze pojawił się nowy element. W razie gdyby Spiżarnia okazała się prawdziwa, potencjał takiego znaleziska wydawał się ogromny. Gdyby jednak tak się nie stało, wizyta tutaj byłaby kompletną stratą czasu i niosła niepotrzebne ryzyko.

Do diabła z ryzykiem!

Jonty nie został jednym z najskuteczniejszych brokerów informacji na świecie dzięki asekuranckiemu podejściu, a poza tym Eli Reinhardt był tu razem z nim, więc obaj narażali tyłki tak samo.

– Masz rację – odparł, pokazując gestem, że powinni ruszać. – Jest tylko jeden sposób, żebyśmy przekonali się, co tu mamy.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Cotton popatrzył na zegarek.

20.20.

Siedział w szafie już niemal trzy i pół godziny. W tym czasie nieco odpoczął, ale zachował czujność na wypadek, gdyby ktoś się pojawił. Dotąd nie słyszał jednak niczego. Na zewnątrz panowała cisza. Mógł poczekać, aż zapadnie naprawdę głęboka noc, ale instynkt podpowiadał mu, że to nie ma znaczenia.

Wywiad doniósł mu, że zamek sprzątany jest trzy razy w tygodniu, wieczorami, i nie był to ten dzień. Nie zanosilo się więc na spotkanie z ekipą sprzątającą.

Czy Iwona go oczekiwała?

Zapewne tak.

A jeśli faktycznie się tu czaiła, czego od niego chciała? Czy spodziewała się, że Malone przejmie włącznię? Najprawdopodobniej tak. W innym razie po co miałyby udawać, że bierze łgarstwa Foxa i Buncha za dobrą monetę? Cotton oceniał, że sojusz Polaków z Rosjanami jest raczej nietrwały. Oczywiście ani Rosja, ani Polska nie chciały amerykańskich rakiet, ale polscy agenci woleliby zniszczyć informację uzyskaną na licytacji, podczas gdy rosyjscy skwapliwie by ją zachowali. Na przyszłość.

Na wszelki przypadek. Zdał sobie sprawę, że Polacy nie mogą mu oddać włócznie ot tak. Relikwia ta była ich dobrem narodowym i gdyby mu ją wręczono, padłoby zbyt wiele pytań, na które nie dało się udzielić prostych odpowiedzi. Wszystkie inne *arma Christi* zostały skradzione, a fakt kradzieży we wszystkich przypadkach wyciszono, pozostał jednak po tym jakiś ślad w mediach i żadna z relikwii nie została już wystawiona na widok publiczny. To samo musiało stać się tutaj: autentyczny „incydent”, którym mogliby się zająć dziennikarze (nie licząc samej kradzieży).

Czas zaczynać imprezę!

Popchnął drzwi szafy i wy dostał się na zewnątrz. Okna przedsionka były ciemne, co oznaczało, że na zewnątrz zapada zmierzch. W środku paliło się kilka słabych lamp oświetlających klatkę schodową. Stephanie zapobiegliwie zostawiła mu w żółtej kopercie dwa wytrychy. Przez dłuższy czas nosił podobne narzędzia w portfelu, ale niedawno porzucił ten zwyczaj; przecież obecnie pracował jako antykwariusz, a w tym fachu nie trzeba się było nigdzie włamywać.

Po raz ostatni sprawdził korytarze. Wszędzie pusto. Zanim ruszył schodami w górę, spojrzął na wielki trójwymiarowy model zamku, który stał po jednej stronie przedsionka. Zatrzymał się i poświęcił chwilę na uważne oględziny zewnętrznej części zamku, zwłaszcza wschodniej fasady, gdzie według zwiadu na najwyższym piętrze przechowywano włócznie. Zauważył tę samą kolumnową loggię, którą widział przed wejściem do zamku, i przypory podtrzymujące mur. Pojedyncze okno, przyległe do loggii, musiało należeć do pomieszczenia, o które mu chodziło.

Wspiął się po kamiennych stopniach na półpiętro, do zamkniętych drzwi z przykręconym numerkiem 122. Skoro na zamku było tak wiele przejść, dla odróżnienia trzeba je było jakoś oznaczyć. Najpierw wygiął kilka razy spleciony drut, którym zapieczętowano drzwi, wystarczająco

mocno, żeby plomba w końcu pękła. Potem sforsował zamek i nacisnął klamkę.

Wszedł do środka i szybko zamknął drzwi za sobą.

Przed nim rozciągała się słabo oświetlona przestrzeń pełna szklanych gablot, w których wystawiono piękne perskie dywany. Twórcy wyszyli na nich kwitnące drzewa i zwierzęta, również baśniowe: lwy, niedźwiedzie, gazyle, bazynty i jednorożce. Cotton pośpieszył ku przejściu w przeciwległej ścianie i po chwili znalazł się w kolejnym pomieszczeniu, gdzie eksponowano sztandary, miecze i siodła tureckie, z pewnością zdobyte podczas jednej z wielu wojen. Skręcił w lewo, zgodnie z planem wyrytym w pamięci, widząc wszystkie szczegóły tak wyraźnie, jakby ktoś zawiesił mu go przed oczami. Trzy komnaty dalej dotarł do kolejnej klatki schodowej, którą minął, po czym wszedł do Sali Senatorskiej. Jej ściany zdobiły arras o tematyce biblijnej.

Było to również pierwsze miejsce, w którym zamontowano kamerę.

Wisiała w kącie sali po jego prawej, a jej pole widzenia biegło wzdłuż przekątnej, obejmując podłogę w szachownicę. Trudno powiedzieć, gdzie wycelowany był obiektyw, ale raport zalecał trzymać się południowej strony komnaty, przy czym najtrudniejszy moment miał nastąpić pod przeciwległą ścianą, gdzie znajdowało się kolejne przejście.

Ruszył naprzód niemal bokiem, rozplaszczony przy ścianie. Mniej więcej trzy metry przed końcem wziął głęboki oddech i przebiegł przez drzwi, znikając po lewej stronie za framugą. Jeżeli mieli go zauważyć, to teraz.

Zatrzymał się i nasłuchiwał.

Z daleka zbliżały się czyjeś kroki. Regularny stukot obcasów na kamieniu. Znalazł wysoki fotel i ukrył się za nim, ale kroki się zatrzymały, zanim idący dotarł do tego miejsca.

Drzwi się otworzyły, a potem zamknęły.

Kroki oddaliły się i ucichły.

To musiał być rutynowy obchód.

Cotton tkwił przez chwilę nieruchomo, a potem ruszył z miejsca. Przemknął przez Salę pod Orłem i Salę pod Ptakami, aż dotarł do Sali Bitwy pod Orszą. We wszystkich tych komnatach pod pociemniałymi wiekowymi belkami wisiały tarcze herbowe i skrzyżowane miecze. Nocne oświetlenie zalewało pomieszczenia nieziemską poświatą. W niektórych ściany wyłożono kurdybanem i ozdobiono malowidłami z epoki, portretami, fryzami i motywami kwiatowymi. Można tam było również podziwiać kominki z emaliowanej ceramiki, rzeźby i ciężkie renesansowe meble. Nad głowami rozciągały się stropy kasetonowe z rzeźbionymi i pozłacanymi wzorami.

Na wschodniej ścianie Sali Bitwy pod Orszą, zgodnie z przekazanymi mu informacjami, Malone dostrzegł podwójne drzwi zwieńczone frontonem. Otworzył je – prowadziły do małego przedpokoju na szczycie Wieży Duńskiej, o ścianach pomalowanych tak, by imitowały tkaninę, i złotym kasetonowym suficie. Stało tu kilka intarsjowanych krzeseł, biurko, skrzynia oraz wielkie miedziane zwierciadło. Dwa boczne stoliki pokryto zieloną flanelą. Kiedyś z pewnością był to mały gabinet, który otwierał się na kolumnową loggię – idealne miejsce, gdzie król mógł się zrelaksować i zażyć świeżego powietrza. Na zewnątrz prowadziły zamknięte drzwi. Wokół wisiały malowidła, a jeszcze więcej obrazów stało na podłodze pod ścianami, po pięć i po sześć w rzędzie. Blaty trzech ciężkich dębowych stołów pełne były zabytkowych naczyń, zegarków, posążków i popiersi. Pokój służył teraz najwyraźniej jako magazyn. Cotton skręcił w prawo i spróbował następnych drzwi, które – jak wiedział – prowadziły do jeszcze mniejszego pomieszczenia.

Do tego celu zmierzał.

Ale drzwi były zamknięte na klucz.

Cholera.

Tego nie przewidział.

Nie potrafił szybko sforsować tego zamka – staroświeckiego, otwieranego kluczem o skomplikowanym kształcie. Drzwi wyglądały na solidne i otwierały się do środka, a zawiasy miały od wewnątrz. Nie dało się ich więc łatwo wyważyć.

Niech to szlag. Iwona zmuszała go, żeby ciężko zapracował na tę zdobycz.

Przypomniał sobie model Wawelu.

Zaszedł tak daleko, więc dokończy dzieła.

Otworzył zewnętrzne drzwi na loggię i wyszedł prosto w nocne powietrze. Pod nim, za zamkowymi murami, rozciągał się Kraków, z ludźmi na chodnikach i samochodami na jezdniach. Dłuższy bok tarasu był otwarty, zabezpieczony kolumnami, a oba krótsze zamknięte ścianami. Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej, więc liczył, że za kilka minut mrok całkowicie pochłonie jego postać. Wspiął się na balustradę i spróbował stopą wąskiego kamiennego gzymsu, który biegł wzdłuż ściany. Wydawał się całkiem solidny. Wychylił się, przyłgnął do krótkiej ściany i starając się utrzymać równowagę, wyjrzał na zewnątrz.

Okno znajdowało się na swoim miejscu, tak jak na modelu.

Zerknął w dół. Od ziemi dzieliły go dwadzieścia dwa, może dwadzieścia cztery metry. Taki upadek z pewnością pozostawiłby ślad, zakładając, że nie skończyłby się dla Cottona śmiercią. Cassiopeia za diabła by tego nie spróbowała – nienawidziła wysokości tak samo, jak on nie lubił zamkniętych przestrzeni.

Przycisnął się do ściany na gzymsie, z wysoko uniesionymi rękoma, szukając czubkami palców chwytów w kamieniu, i skręcił za róg. Na szczęście w murach starego zamku było pełno dogodnych miejsc, by się złapać, więc przesunął się sprawnie wzdłuż gzymsu, ostatecznie zatrzymując się przy oknie – podwójnym, ze szprosami dzielącymi je na szesnaście części, otwierającym się na środku, do wewnątrz. Niedobrze. Nacisnął na panele i poczuł, że lekko się uginają. Położył ramię na parapecie, wpił palce w szczelinę i nacisnął mocniej wnętrzem drugiej dłoni, mając nadzieję, że szyba ustąpi.

Nic z tego.

Przez szybę dojrzał zasuwkę. Nie mógł wisieć tutaj zbyt długo, bo w końcu dostrzegłby go ktoś z ulicy. Na szczęście ta strona zamku nie była podświetlona: reflektory skierowano tylko na stojące frontem do rzeki malownicze fasady południową i zachodnią.

Zacisnął dłoń w pięść i mocno uderzył w jedną z szyb, szybko cofając dłoń. Szkło pękło, ale się nie roztrzaskało. Jeszcze dwa uderzenia i było po sprawie. Ostrożnie odsunął zasuwkę, popchnął skrzydło okna do środka i wspiął się po parapecie do pokoju.

Niedużą przestrzeń wypełniały w całości drewniane skrzynie, każda opisana po polsku i angielsku. „Złocona miska i dzbanek”. „Monstrancja”. „Pastorał Adama Sapiehy”. „Płaszcz koronacyjny”. Cenne artefakty z Muzeum Katedralnego, przechowywane tutaj dla bezpieczeństwa – dokładnie tak jak w raporcie wywiadowczym. Angielskie opisy na etykietkach sprawiły, że się uśmiechnął. Iwona wiedziała, że nie zna polskiego, więc zawczasu pomyślała, jak ułatwić mu zadanie, jak zawsze. Na innym dębowym stole znajdowało się kilka mniejszych drewnianych skrzynek, również opisanych: „Przedmioty z grobu biskupa Maura”. „Skrzynka saraceńsko-sycylijska”. „Piuska i pas Jana Pawła II”.



Aż wreszcie – bingo!

„Włócznia Świętego Maurycego”.

Uniósł sosnową skrzynkę o długości ponad pół metra i szerokości około piętnastu centymetrów. Była zabezpieczona wkrętami. Nie dało się jej otworzyć i upewnić, że zawiera to, po co tu przyszedł, ale swoje ważyła.

Dobry znak.

Poza tym znalazł ją tutaj, dokładnie tu, gdzie wskazywał raport – a to jeszcze lepszy znak.

Chwycił skrzynkę pod pachę i pośpieszył z powrotem drogą, którą zamierzał tu wejść, przez zamknięte drzwi (otwierane od jego strony) i z powrotem przez wielką Salę Bitwy pod Orszą. Imponujący fryz przedstawiający polskie zwycięstwo nad wojskami Wielkiego Księstwa Moskiewskiego wił się pod sufitem, a na ścianach wisały wysokie portrety ważnych osobistości. Po prawej miał drogę powrotną, a po lewej – otwarte drzwi do kolejnej komnaty, po nich zaś następne i następne – w amfiladzie łączącej wszystkie pokoje. Pozwalało mu to zajrzeć z jednego końca wschodniego skrzydła na drugi – na dystans niemal sześćdziesięciu metrów. W połowie drogi dostrzegł ciemną postać idącą w jego kierunku. Któryś ze strażników? W błysku światła, kiedy cień przemieszczał się z jednej komnaty do drugiej, dostrzegł twarz.

Iwona.

Z pistoletem.

Trzymanym wysoko i pewnie w dłoni.

Wycelowanym prosto w niego.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Jonty z dezaprobatą patrzył na drewniane schody prowadzące w dół, w ciemność. Konrad poprowadził ich z dala od głównych tras turystycznych, na poziom III, do windy używanej wyłącznie przez górników. Zjechali nią na poziom IX, jednak nie w to samo miejsce, które odwiedzili poprzedniego wieczoru. Tamta komora znajdowała się niemal kilometr dalej, ale chodniki wyglądały tu podobnie. Szli za Konradem krętą trasą aż do jednej z odnóg, w której znaleźli starą klatkę schodową.

– Nie wygląda, jakby miała wytrzymać wagę nas wszystkich – powiedział Jonty z powątpiewaniem.

– Trzymajcie się zewnętrznej strony stopni i powinno się udać. Pójdę pierwszy.

Konrad zaczął schodzić. Powoli i z namysłem, tam, gdzie wsporniki podtrzymywały jego ciężar. Eli zaraz za nim, potem Jonty i na końcu Vic. Drewniane stopnie były mocno sfatygowane. Na końcach desek widniały jeszcze ślady piłowania, a wystające z drewna gwoździe skorodowały i poodpadały, przez co część schodów niebezpiecznie się chybotą. Jedyne światło pochodziło z lamp przy ich kaskach. Jego promienie kołysały się w miarę powolnego, ostrożnego schodzenia.

Klatka schodowa wydawała się ciągnąć bez końca, skręcając co jakiś czas pod kątem prostym. Upłynęło ładnych parę minut, zanim znów stanęli na stałym gruncie. Na poziomie X panował bałagan: w korytarzu przed nimi leżało mnóstwo zbrylonej soli, na ścianach i suficie widniały liczne solne nacieki, a na drewnianych stemplach biała sól iskrzyła się niczym szron.

– Pamiętajcie, tu jest niebezpiecznie – przestrzegł Konrad. – Jeżeli to was podniesie na duchu, to powiem, że od wielu dekad nie mieliśmy w tej okolicy obwału.

Nie było to jednak szczególnie pocieszające.

– Korytarze wydrążone w soli są naprawdę trwałe – powiedział Konrad, wyjął mapę i znów zaczął się jej przyglądać. – Ten tunel biegnie przez około pół kilometra i ma kilka odnóg. Musimy je wszystkie zbadać, jeżeli chcemy się przekonać, czy jest tu komora o nazwie „Warszawa”.

Vic zauważył coś na podłodze i kucnął, żeby przyjrzeć się bliżej.

– Szyny kolejowe?

Jonty również dostrzegł niemal doszczętnie skorodowaną stal osadzoną w solnym podłożu. Na wyższych poziomach widział takie szyny, ale w o wiele lepszym stanie.

– Zainstalowali kolejkę, żeby wywozić stąd urobek – objaśnił przewodnik. – W kopalni to typowe rozwiązanie.

– Mogła być wykorzystywana również do tego, żeby coś tutaj przywieźć – zauważył Eli.

Konrad kiwnął głową.

– To prawda. Ten poziom jest jedyny w swoim rodzaju, bo nie został otwarty przez górników setki lat temu, ma zaledwie pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat.

„I ściany nie są tak solidnie wzmocnione”, pomyślał Jonty.

Jego wzrok przyciągnęło coś innego.

Sól, ale nie szarozielona jak ta, którą spotykało się w kopalni najczęściej, a bardziej skryształizowana i czysta, z żółtymi przebarwieniami. Ukląkł i podniósł mały kawałek, oglądając go w świetle lampki.

– Górnicy mówią na tę odmianę soli „szpak”, tak jak na ptaka – wytłumaczył Konrad. – To włóknista odmiana, rzadka na wyższych poziomach, ale tutaj dość powszechna. Kiedy trafiali w nią kilofem, czuli zwykle smród siarki, dość zaskakujący. Myśleli wtedy, że znajdują się blisko piekła.

Jonty obracał kawałek w palcach, a kryształy migotały w promieniach światła.

– Proszę, zatrzymaj go sobie – powiedział przewodnik. – Ja tak robię, kiedy ją znajdę.

Olivier uśmiechnął się i wsadził solny odłamek do kieszeni.

Ostrożnie ruszyli naprzód, coraz dalej w głąb sztolni, omijając większe bryły. Korytarz nie był tak wysoki ani szeroki jak na poziomie IX, ale wentylacja wydawała się równie dobra. Jonty dziękował za to losowi.

W pewnej chwili Konrad zatrzymał pochód. Światło jego lampki padło na białą tabliczkę, taką jak na wyższych poziomach. Ta jednak nie była przymocowana do ściany, ale stała na podłodze, oparta o ścianę przy jednym z rozgałęzień.

„Tarnów”.

Miasto w południowo-wschodniej Polsce.

– Musimy sprawdzić te odnogi – stwierdził przewodnik. – Tę tutaj i kolejną. Dwóch z nas pójdzie tym korytarzem, a dwóch następnym. Trzymajcie się głównego szlaku, nie zbaczajcie i zobaczymy, czy jest tu gdzieś komora Warszawa.

Konrad i Eli poszli naprzód.

Jonty i Vic skręcili w odgałęzienie oznaczone jako „Tarnów”. Przejście ciągnęło się około dwudziestu metrów, a dalej rozszerzało się, tworząc niewielką komorę o powierzchni może dziesięciu metrów kwadratowych. Z jednej strony chroniła ją drewniana kaszta, cała zawilgocona.

– To mógł być kiedyś magazyn – orzekł Olivier. – Ze stosem skrzyń i tak dalej.

– Teraz nic tu nie ma.

Wrócili do głównego korytarza i przekonali się, że Konrad i Eli również niczego nie znaleźli. Poszli więc dalej sztolnią, mijając kolejne dwie odnogi, oznaczone jako „Kielce” i „Radom”.

Inne polskie miasta.

– Najwyraźniej są tu tylko puste komory – zauważył Jonty.

Eli zbył tę pesymistyczną uwagę lekceważącym gestem.

– Kiedyś na pewno były pełne!

– Kiedy Vic zadzwonił wcześniej, żeby umówić się na tę wycieczkę, popytałem ludzi o ten poziom – powiedział Konrad. – Większość przewodników, którzy tu teraz pracują, przyszła do kopalni długo po upadku Związku Radzieckiego, ale część emerytów może coś wiedzieć o tym poziomie. Słyszałem historie, że w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych składowano tutaj jakieś rzeczy.

Ta opowieść zaniepokoiła Jonty’ego. Jakby nie wystarczyło, że musieli zaangażować Konrada! Na pewno nie mogli sobie pozwolić na tłum wścibskich ludzi węszących wokół tej sprawy. Na szczęście znajdowali się już na ostatniej prostej przed metą.

– Wolalbym, żebyśmy od tej chwili trzymali język za zębami – powiedział.

– Oczywiście, rozumiem – zapewnił go przewodnik. – Vic postawił sprawę jasno. Nie musicie się o mnie martwić, wypytywałem o ten poziom

bardzo dyskretnie.

Szli dalej sztolnią, mijając kolejne odnogi, jedną z nich oznaczoną jako „Łódź”. Przy niektórych brakowało tabliczek z nazwami. Kawalek dalej dostrzegli następne znaki.

„Bydgoszcz” i „Gdańsk”.

A potem chodnik zakończył się nietkniętą skalną ścianą.

– Aha. W takim razie musimy zbadać każdą z tych odnóg, które właśnie minęliśmy – stwierdził Konrad.

Ale Jonty przemyślał już tę kwestię.

– Niekoniecznie. – Nie był jednak całkowicie pewien swego, więc wolał zapytać: – Tarnów leży na południu Polski, na wschód od Krakowa, racja?

Konrad skinął głową.

– Tak jest.

– A Gdańsk na północy, nad Morzem Bałtyckim. W takim razie powiedz mi, gdzie znajdują się Kielce, Radom i Łódź.

– Kolejno, tak jak wymieniłeś, od południa ku północy, od Tarnowa do Warszawy – powiedział Konrad. – Zwiedziłem wszystkie te miasta.

– Zakładam, że Bydgoszcz jest na północ od Warszawy? – upewnił się Jonty.

– Tak, około dwustu kilometrów – zgodził się przewodnik. – A jeszcze dalej jest Gdańsk.

Mimo że o Sowietach dało się powiedzieć niewiele dobrego, czasem stosowali proste metody. Po co komplikować sprawy, jeżeli równie dobrze do celu mógł prowadzić całkiem łatwy klucz?

– Nazwy miast powiedzą nam, dokąd iść – oznajmił Olivier.

Odwrócił się i ruszył z powrotem korytarzem, aż dotarł do odnogi oznaczonej jako „Bydgoszcz”.

– To miasto leży na północ od stolicy Polski. A które znajduje się na południe od Warszawy?

– Łódź.

Jonty uniósł znacząco palec.

– Tę nazwę mamy jakieś trzydzieści metrów stąd. To, czego szukamy, leży pomiędzy nimi.

Musiało tak być.

Przeszedł korytarzem około dwudziestu metrów i zatrzymał się przy nieoznaczonym bocznym tunelu. Machnął do Vica, który pośpieszył naprzód i stanął przy kolejnym odgałęzieniu.

– Łódź? – zapytał Olivier współnika.

– Tak!

Jonty pokazał wylot odnogi, przy której sam stał.

– To musi być Warszawa.

Nie czekał na odpowiedź, tylko poszedł w głąb tunelu, który kończył się częściowym obwałem, takim jak ten, który widzieli z Vikiem poprzedniego wieczoru. Przeszkoda, ale do przejścia. Pochylił się i przecisnął pod górną krawędzią.

Inni podążyli za nim.

W świetle lamp ukazała się kolejna pusta komora, podobna do tej, którą Olivier widział na końcu innego bocznego korytarza.

Ślepa uliczka?

Konrad jednak wydawał się zaintrygowany. Podeszedł do ściany zamykającej komorę i zaczął się jej przyglądać. Plama światła z jego latarki wędrowała w górę i w dół.

– Co to takiego? – zapytał Jonty.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Cotton rzucił się w lewo, błyskawicznie znikając z pola widzenia agentki, która ruszyła ku niemu biegiem przez komnaty. Przebiegł przez otwarte drzwi i zatrzęsął za sobą ciężkie skrzydła, zasuwając stalowy rygiel. To powinno powstrzymać Iwonę na wystarczająco długo, żeby zdążył uciec tą samą drogą, którą tu przybył. Zauważył jednak, że wszystkie pomieszczenia na tym poziomie wychodzą na wewnętrzny dziedziniec z arkadami biegnącymi wzdłuż kilku skrzydeł. Zamknięte drzwi po jego lewej prowadziły na loggię, podobnie jak dwa spore wielodzielne okna. Iwona zapewne szybko domyśli się, jak zmienić trasę i dopaść go od tej strony.

Wszystko wskazywało na to, że Malone się nie mylił. Instynkt podpowiadał mu prawidłowo.

Czajkowski ograł Toma Buncha.

Polacy wiedzieli, że Cotton przyjdzie po włócznie.

W takim razie trzeba nadać kradzieży cechy prawdopodobieństwa.

Pobiegł naprzód, wracając przez kolejne komnaty w północnym skrzydle zamku, przez Salę Senatorską, a potem dwa pomieszczenia



wystawowe, aż pod prowadzące do przyległego budynku drewniane drzwi, których zamek otworzył wytrychem.

Zatrzymał się, słysząc czyjeś głosy.

Szybkie zerknięcie zza jednej z wystawowych gablot pozwoliło mu dostrzec dwóch strażników. Oglądali wyłamany przez niego drut z plombą. Nie mógł tedy wyjść bez uciekania się do przemocy. Zdecydował się więc cofnąć i znaleźć inną drogę, musiał jednak uniknąć spotkania z Iwoną. Miał nadzieję, że wszystkie drzwi, które prowadzą z wewnętrznych arkad do komnat, są pozamykane, a kiedy polska agentka będzie szukała przejścia, zyska czas, by ją ominąć.

Pobiegł przez północne skrzydło.

Komnaty miały po obu stronach okna, wszystkie z nierównego, ornamentowego szkła, przez które nie było zbyt wiele widać. Dostrzegł tylko śledzący go z zewnątrz rozmazany cień, przebiegający od jednego pomieszczenia do drugiego.

Iwona.

Z całą pewnością.

W pewnym momencie stanął twarzą w twarz, prawdopodobnie przy wejściu, którym Iwona dostała się na to piętro. Dla niego było to wyjście, którym chciał opuścić komnaty. Zapewne zorientowała się już, że Cotton znalazł się w pułapce i usiłuje zyskać na czasie, by znaleźć drogę ewakuacji. Wciąż dzierżył ciężkie drewniane pudełko, co sprawiało, że niewygodnie mu się uciekało.

Ponownie wszedł do Sali Bitwy pod Orszą.

Rozważał możliwości, jakie mu pozostały. Tylko jedna z nich wydawała się rozsądna. Biegając przez północne skrzydło, zauważył, że we wszystkich pomieszczeniach umeblowanie odgradzono, by zwiedzający zaledwie się do niego nie zbliżali. Wykorzystano w tym celu mocną nylonową linkę,

rozpiętą na żelaznych słupkach. Cofnął się więc i ściągnął linki ze wszystkich trzech komnat, miał jej teraz dobre trzydzieści metrów.

Usłyszał brzęk tłuczonego szkła.

Najwyraźniej Iwona traciła cierpliwość.

Z linką i pudłem cofnął się do małego gabinetu przylegającego do Sali Bitwy pod Orszą i od środka zamknął drzwi na zasuwę. Następnie wyszedł na zewnątrz, do loggii, odłożył pudło i przywiązał linę do jednej z kamiennych kolumn. Przerzucił wolny koniec nad balustradą i upewnił się, że lina sięga do trawnika pod Wieżą Duńską. Szybko wciągnął ją z powrotem i obwiązał pudło końcówką, a potem ostrożnie opuścił je na ziemię.

Ktoś próbował otworzyć drzwi gabinetu. Iwona albo strażnicy chcieli się dostać do środka, ale zasuwę trzymała mocno. Zawiązał na końcu liny pętlę i się nią opasał.

Usłyszał stłumione odgłosy wystrzałów.

Zapewne jego prześladowcy próbowali przestrzelić deski i wyłamać zamek. Z tego, co się orientował, drewno nie było aż tak grube: drzwi miały służyć raczej zapewnieniu prywatności niż bezpieczeństwa.

Ruszaj. Teraz.

Przeskoczył nad balustradą i zaczął się opuszczać, szybkimi szarpnięciami luzując pętlę wokół ciała i opierając się stopami o mury zamku. Specjalnie przywiązał ją w takim miejscu, żeby wykorzystać jedną z przypór jako ścieżkę i uniknąć najeżonej przeszkodami ściany. Uważał także na luźny odcinek liny pod sobą, tak żeby przy schodzeniu nie nadepnąć na drewniane pudło.

Zejście było względnie proste i znajdował się już dość blisko trawnika, kiedy zauważył na górze Iwonę i obu strażników. Patrzyli na niego.

Następnie w polu widzenia pojawił się jej pistolet. Agentka przytknęła lufę do liny.

I strzeliła.

Nagle stracił oparcie i spadł z wysokości jakichś sześciu metrów, uderzając o twardy, lecz porośnięty trawą grunt. Zabolało – poczuł pięćdziesiątkę na karku. Spojrzał z powrotem w górę i zobaczył, że Iwona znów w niego celuje. Wypaliła dwa razy, a pociski przeorały trawę po jego lewej. Zignorował ból w nogach, porwał pudło z trawy i skoczył w otwartą arkadę po lewej, schodząc z linii strzału. Musiał teraz opuścić zamek, więc wyplątał się z liny i pobiegł obok kolejnej osłoniętej arkady, która prowadziła do przejścia otwierającego się po dalszej stronie budynku na wewnętrzny trawnik, niedaleko miejsca, gdzie wszedł do biur administracji.

W zasięgu wzroku nie było nikogo.

Założył, że strażnicy nie wiedzą nic o prawdziwej naturze jego misji. Dla nich był po prostu złodziejem.

Musiał więc ich ominąć.

Zewnętrzne reflektory na budynkach poruszyły się i odwróciły, rozpraszając ciemność i wydobywając z mroku sylwetkę Malone'a. Skreślił w prawo i pomknął obok katedry i muzeum z powrotem ku głównej bramie. Za jej łukiem znalazł wykładane cegłami przejście, które prowadziło na poziom ulicy. Latarnie rzucały tam jasne światło, sprawiając, że droga była doskonale widoczna. Na końcu pochyłej uliczki dostrzegł kolejną bramę, równie wysoką, jak otaczające mury, z ciężkimi drewnianymi wrotami – teraz zamkniętymi. W żadnym miejscu nie dało się na nią wspiąć, nie wiedział również, jaki klucz otwiera wrota.

Musiał znaleźć inną drogę ucieczki.

I to szybko.

Nie mógł wrócić na zamek. Strażnicy już go ścigali. Po lewej brukowana ścieżka wiodła wzdłuż podstawy zewnętrznych ścian zamku, a równolegle do niej biegł niski murek, który odgradzał fortecę od strony rzeki, połyskującej kilkadziesiąt metrów niżej. Z pewnością tą właśnie drogą żołnierze i artyleria mogli się bez ryzyka poruszać wzdłuż murów. Pobiegł nią, odtwarzając w pamięci trójwymiarowy model zamku, który widział wcześniej w przedsionku koło biur administracji.

Istniała inna droga na dół.

A przy okazji dość popularne miejsce.

Smocza Jama.

Znał tę legendę.

Dawno, dawno temu w zamku na wzgórzu wawelskim mieszkał król Krak. Poniżej, nad rzeką, na żyznych gruntach leżała wioska, która cieszyłaby się bogactwem i dostatkiem, gdyby nie zły, ziejący ogniem smok, żyjący w jaskini pod zamkiem. Smok lubił napadać na wioski i pożerać owce, bydło i ludzi, a jak to smok, szczególnie upodobał sobie delikatne mięso dziewic. Pochłaniał jedną dziewczinę za drugą, aż w okolicy została tylko księżniczka. Wówczas król Krak ogłosił, że bohater, który zabije smoka, otrzyma połowę królestwa i rękę jego córki. Kolejni rycerze usiłowali zlikwidować bestię, ale wszyscy zostali przez nią pożarci. Wówczas szczęścia postanowił spróbować młody czeladnik szewski – zwykły chłopak, żaden wojownik, bez zbroi i miecza.

Był jednak inteligentny.

Znalazł martwą owcę i wypchał ją siarką, a następnie zaszył i zostawił przed jaskinią. Potwór połknął wypchane zwierzę w całości i wkrótce poczuł straszny ból brzucha. Powlókł się więc do Wisły i zaczął pić, aż wypił tyle wody, że w końcu pękł na kawałki.

I było po smoku.

Wcześniej, przy głównej bramie, Cotton zauważył trzy wielkie kości wiszące nad wejściem na łańcuchach. Przez wieki wierzono, że to pozostałości smoka, podczas gdy w rzeczywistości były to fragmenty szkieletu mamuta, nosorożca i wieloryba. Jaskinia pod zamkiem była jednak prawdziwa. Malone u szczytu murów dostrzegł w ciemności małą wieżyczkę, w której mieściła się spiralna klatka schodowa. Dostęp do niej blokowała żelazna bramka, ale kiedy Cotton przyjrzał się jej z bliska, okazało się, że zamknięto ją na zwykły bębnekowy zamek.

Rozejrzał się. Ani żywej duszy naokoło.

Znajdował się teraz po zachodniej stronie zamku, nad rzeką, która płynęła za murem po jego prawej i jakieś trzydzieści metrów niżej. Słyszał ludzi przechadzających się po bulwarze w ten piękny letni wieczór. Tłumy ludzi. Tego właśnie potrzebował. Odłożył pudło, otworzył wytrychem zamek, szybko przedostał się na drugą stronę i zamknął bramkę za sobą.

Zszedł po biegnących ciasną spiralą żelaznych stopniach, aż znalazł się w wapiennej pieczarze. Otaczały go nieprzeniknione ciemności. Tę turystyczną atrakcję zamykano na noc. Na jednej ze ścian wisiała skrzynka z przełącznikami. Malone przyświecił sobie telefonem, otworzył ją i włączył światło. Podświetlone od tyłu skały ożyły, a reflektory odsłoniły wnętrze Smoczej Jamy w całej okazałości. Przebiegł przez pierwszą komorę do drugiej – przejście zwężało się i robiło coraz ciaśniejsze, aż do dziewięciu metrów.

Wówczas dobiegł go z góry jakiś dźwięk.

Głosy.

Najprawdopodobniej kamery zewnętrznego monitoringu ujawniły jego obecność w Smoczej Jamie. Szybko przedostał się do kolejnej komory, o kamiennym sklepieniu podtrzymywanym przez ceglane filary, ozdobionej skalnymi występami, kominami i szczelinami. Panowała tu atmosfera

przywodząca na myśl legendę o smoku. Co roku setki tysięcy turystów odwiedzały tę sześćdziesięciometrowej długości jaskinię, miejsce, w którym baśń zamieniła się w legendę.

Zauważył wyjście.

Łukowaty portal zamknięty kolejną żelazną bramą. Za nim, przy nadrzecznym bulwarze, stała rzeźba przedstawiająca smoka, wokół której zebrał się tłumek turystów. Podeszedł do bramy i zobaczył kolejny łatwy do sforsowania zamek. Po chwili wyłonił się u stóp wawelskiego wzgórza i z pudłem w ręku rozpląnął w tłumie. Nad głową świeciły mu roje gwiazd, wśród których rozpoznał splątany srebrny łańcuch Plejad.

Szedł dalej.

Oparł się pokusie spojrzenia przez ramię na zewnętrzne mury zamku, z których z pewnością obserwowała go Iwona Nowak.

Wykonał zadanie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Jonty podszedł do Konrada, który wciąż gapił się na solną ścianę.

– O co chodzi? – zagadnął go.

– To... dziwne.

Olivier również spojrział przed siebie. Poszczególne bryły soli spojono zaprawą, wznosząc wysoki na dobre pięć metrów mur, który sięgał do sufitu.

– Takie ściany budowali górnicy, by zablokować nieużywane korytarze. W ten sposób zapobiegali rozprzestrzenianiu się pożarów.

Jonty poskrobał dłonią szorstką szarozieloną powierzchnię.

– Najpierw wycinali bloki – wyjaśnił przewodnik. – Jako zaprawę wykorzystali sól zmieszaną z wodą. Całkiem dobrze się to sprawdza. Im grubsza warstwa zaprawy, tym nowsza ściana. Najstarsze zawierają jej bardzo mało albo nie zawierają wcale, ale i tak są mocne. Znam takie, które stoją od czterystu lat... Ale ta jest inna.

Eli i Vic podeszli do nich.

– Jak to? – zapytał Reinhardt.

– Bloki soli są zbyt regularne, a zaprawy zbyt mało.

Olivier cierpliwie czekał na dalszy ciąg wyjaśnień.

– Górnicy używali do budowy takich ścian wszystkiego, co mieli pod ręką. Śmieci, drewna, nawet końskiego nawozu. Kiedy wycinali sól w prymitywne prostopadłościany, każdy był inny. Budowali szybko, nie przejmując się regułami sztuki. Chodziło o to, żeby postawić ścianę i mieć to z głowy, dlatego linie zaprawy są zwykle nierówne, faliste, a do tego każda warstwa wygląda inaczej. Nikt poza nimi tego nie oglądał, więc nie miało znaczenia, jak to się będzie prezentować.

Jonty zaczął dostrzegać to, o czym mówił Konrad. Prostokątne kształty na ścianie były niemal jednakowe, a ich krawędzie nienagannie proste. Linie zaprawy różniły się grubością, ale przebiegały według pewnego wzoru.

– Aha, warstwa zaprawy jest cienka, co oznacza, że ściana powinna być stara... Ale bloki są zbyt idealne, żeby mogły pochodzić sprzed wieków?

Przewodnik przytaknął.

– Co sugerujesz? – zapytał zaintrygowany Eli.

Konrad przysunął się bliżej do muru.

– Vic, mógłbyś cofnąć się do głównego korytarza i przynieść kilka żelaznych prętów, które tam leżały?

Olivier złowił spojrzenie swojego współnika i kiwnął głową. „Tak, zrób to”.

Vic wyszedł z komory.

– Myślisz, że coś jest po drugiej stronie? – zapytał Jonty.

– Widywałem już wcześniej komory, które zamurowano. Nie jest to aż tak dziwne... Ale ci, którzy to zrobili, wcale się nie śpieszyli. Wycinali bloki z soli, dbając o ich jednakowe rozmiary. Jeżeli zakładamy, że to poszukiwana przez was komora „Warszawa”, to za tą ścianą faktycznie coś mogłoby być.



Po chwili Vic wrócił z kilkoma zardzewiałymi prętami. Konrad złapał jeden z nich i zaczął wydłubywać cienką warstwę zaprawy z boku muru, gdzie bryły dotykały solnej ściany komory.

– To nie zaprawa, tylko część muru zmiażdżona przez blok. Z pewnością zbudowali to, żeby odciąć dalszą część korytarza.

Przewodnik dalej wydrapywał spoinę, używając cieńszego końca pręta jak dłuta. Słony pył odpryskiwał na boki, a w murze zaczęła być widoczna linia. Następnie użył drugiego pręta jako punktu podparcia dla dźwigni i wcisnął pierwszy głębiej w szczelinę, odłupując kawałek bloku i starając się go wyważyć.

W pewnym momencie znieruchomiał.

– Co tam? – zapytał Jonty.

– Poruszyło się.

Czy to był problem? Czy coś im groziło?

Całą scenę rozświetlały lampy na ich kaskach, ale Konrad zdjął latarkę i powiódł promieniem około dwóch metrów w górę ściany, gdzie utworzyło się metrowe pęknięcie. Przewodnik wsunął w nie pręt i je pogłębił. Vic użył innego żelaznego narzędzia, żeby oczyścić szczelinę, i wspólnie odsłonili nierówny zarys drzwi.

– Możemy przejść na drugą stronę? – spytał Eli.

– Zobaczymy – odparł Konrad.

Jonty patrzył, jak jego towarzysze odsłaniają przejście. Vic i Konrad użyli żelaznych prętów, by odłupać zaprawę, a potem wydobyć jeden po drugim bloki soli. Poprosił ich, żeby robili to ostrożnie, ponieważ mogło się okazać, że bloki muszą wrócić na swoje miejsce. Zostawili na dole dwa rzędy, nad którymi dało się łatwo przejść. Za ścianą krył się krótki korytarzyk kończący się drewnianymi drzwiami.

Stanęli przed nimi wszyscy.

Nie zamontowano tu zamka, tylko uchwyt ze sznura. Budowniczowie solnej ściany najwidoczniej uznali ją za wystarczającą ochronę.

Vic otworzył zawieszony na drewnianych kołkach drzwi. Za nimi znajdowała się kolejna komora. Wewnątrz stały drewniane regały, w pięciu rzędach, niczym w magazynie. W żadnym z nich nie użyto metalowych łączników, wszystko spojono kołkami z drewna. Na półkach leżały czarne plastikowe pojemniki, każdy z nich zabezpieczony szeroką czarną taśmą klejącą.

– Ktoś tu miał poczucie humoru – orzekł Eli. – Spizarnia. Oto jest, schowana bezpiecznie między ścianami z soli. Widzisz, Jonty? Naprawdę istnieje.

I tak właśnie było.

Olivier spojrział na posadzkę. Na całej jej powierzchni rozsypano warstwę krystalicznej soli, nietkniętą od długiego czasu.

Zwrócił na to uwagę pozostałych.

– Robiono to, żeby zapobiec zawilgoceniu – wyjaśnił przewodnik. – Górnicy kruszyli sól i rozrzucali ją po podłodze, a ona pochłaniała wodę.

Dla kogoś, kto zajmował się handlem danymi, takie archiwum miało niezmierną wartość. Co prawda ogromna większość materiałów najprawdopodobniej nie miała najmniejszego znaczenia, ale gdzieś w tym morzu informacji na pewno znajdowało się coś cennego.

Weszli do środka.

Olivier wskazał jeden z pojemników Vicowi, a ten zdjął go z półki, postawił na posadzce, odkleił taśmę i zdjął wieko. W środku znajdował się stos dokumentów. Niektóre były związane sznurkiem w pliki, większość jednak pozostawiono luzem. Setki stronic. Wszystkie w idealnym stanie dzięki mikroklimatowi panującemu w kopalni. Jonty i Eli wzięli po kilka

stron i przyjrzeni im się uważnie. Większość z nich zapisano po polsku, część po rosyjsku. Olivier znał nieco polski, ale nie rosyjski.

– To raporty z inwigilacji – zawyrokował Reinhardt, machając plikiem papierów. – Z sygnaturami Służby Bezpieczeństwa.

Miał rację. Część dokumentów zawierała oświadczenia agentów SB i ich informatorów, w większości oryginalne, podczas gdy inne były kopiami raportów wysłanych przełożonym. Mnóstwo nazwisk, dat i miejsc. Dokąd kto poszedł, z kim się spotkał, co powiedział, co widział i słyszał. Jeżeli to pudło stanowiło reprezentatywny przykład całości archiwum, w tym ostatnim musiały się mieścić dziesiątki tysięcy pism.

– Mogą się tu kryć nieograniczone możliwości – zawyrokował Eli.

– Równie dobrze archiwum może okazać się kompletnie nieprzydatne – zaoponował Jonty. – Wszystkie te papiery pochodzą sprzed wielu lat.

– Ktoś inny też pewnie tak myślał i zobacz, jak to się skończyło.

Olivier wiedział, że jego rozmówca ma na myśli Czajkowskiego. Słuszna uwaga.

Eli znów zaczął mówić, ale Jonty mu przerwał, unosząc dłoń.

– Chodźmy tam, pod ścianę, i porozmawiajmy na osobności.

Złowił spojrzenie Vica i dał mu do zrozumienia, że tamten powinien zająć czymś Konrada, koniecznie poza zasięgiem słuchu.

Wyszli z Eliem z komory i wycofali się dość daleko, żeby móc porozmawiać w cztery oczy.

– Mówmy cicho – przestrzegł Jonty.

– Nie ufasz naszemu przewodnikowi?

– A ty byś zaufał?

– Oczywiście, że nie, i doceniam twoją ostrożność, ale daj spokój, Jonty. Obaj znamy stawkę. Gdzieś w tych szpargałach są informacje, których wpływowi ludzie będący teraz u władzy woleliby nie ujawniać.

Wyczuwam, że kryją się tam prawdziwe skarby. Zobacz, co się stało z Lechem Wałęsą: nie chciał, aby wyszły na jaw różne fakty z przeszłości, uparcie wszystkiemu zaprzeczał i wszystkiego się wypierał, ale oskarżenia i tak do niego przyłgnęły. Mogą być inni, tacy jak on, ale chętni, żeby zapłacić za dotrzymanie tajemnicy i oszczędzić sobie kłopotu.

Podczas przygotowań do licytacji Jonty przekonał się, że SB wykorzystywała dziesiątki tysięcy informatorów. Ich donosy musiały być udokumentowane, ponieważ zorganizowana na wzór sowiecki biurokracja uwielbiała, kiedy wszystko zapisywano. Poza tym ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby ukryć to archiwum, i zapewne miał ku temu powód. Eli się nie mylił, zarówno jeśli chodzi o Czajkowskiego, jak i Wałęsę. Ale przekopanie się przez stopy papierów musiałoby zająć sporo czasu.

– Tak sobie pomyślałem – ciągnął Reinhardt – żeby jednak nie wystawiać tego archiwum jutro na aukcji. Zatrzymajmy je i sprawdźmy, co się w nim kryje. Znajdźmy dokumenty, które mają obecnie wartość. A jeżeli sami nie damy rady, znam przynajmniej jednego kupca, który zapłaci za nietkniętą całość.

Jonty również znał kogoś takiego.

Polski rząd.

– Musimy albo wrócić tu sami, albo wynająć do tego ludzi – stwierdził Eli. – Te pojemniki trzeba przeszukać.

– To może potrwać całe lata, a pamiętaj, że mamy ograniczone możliwości.

– Zrobimy to powoli, bez pośpiechu. Archiwum się przecież nigdzie nie wybiera, a ty masz dostęp do niego przez Konrada. Zdaję sobie sprawę, że mu nie ufasz, ale jeżeli utrzymasz z nim dobre relacje, możemy badać dokumenty do woli.

Wszystko to miało sens.

– A więc dopuścisz mnie do interesu?

– Oczywiście. Zawarliśmy umowę, a to archiwum jest za duże dla jednej osoby. Razem jednak damy sobie z nim radę. Potrzebuję także twojego człowieka, żeby móc tu swobodnie przychodzić. Pewnie, że mógłbym sam załatwić sobie przewodnika, ale po co zaczynać wszystko od początku, jeżeli ty już kogoś tu masz? W ten sposób będzie mniej ludzi, którzy mogą się wygadać. Zrobmy to. Zapłacisz mi według umowy za milczenie w kwestii jutrzejszej aukcji, a potem podzielimy się tym, co zarobimy na informacjach stąd. Po połowie.

Jonty natychmiast stał się podejrzliwy.

– Skąd ta nagła szczodrość?

Eli się uśmiechnął.

– A jaki mamy wybór? Ja mogę zniweczyć jutro twoją licytację, a ty możesz pokrzyżować mi szyki tutaj. Dlaczego nie mielibyśmy zachować się rozsądnie i obaj na tym zarobić? Tutaj jest dość bogactwa dla nas obu!

Olivier uważał, że robienie takich interesów to czysta przyjemność.

– Doskonale, Eli. Tak zrobimy.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Czajkowski stał w swoim apartamencie w Sheratonie i patrzył na Zamek Królewski na Wawelu. Zabytkowa budowla stała pół kilometra od niego, wysoko nad Wisłą, i oświetlona reflektorami prezentowała się w całej okazałości. U jej stóp, nad rzeką, biegły szerokie bulwary, którymi przechadzały się prawdziwe tłumy. Ludzie korzystali ze wspaniałego czerwcowego wieczoru. Prezydent poczuł dumę na myśl, że jako głowa państwa jest następcą wielu królów, którzy rządili Polską z tej siedziby: Bolesława Chrobrego, Kazimierza Odnowiciela czy Zygmunta Starego. Co za imiona, co za przydomki – i jakie legendy się za nimi kryły! Zdobyli prawo do tronu dzięki podbojom i pozostawili je w spadku swoim potomkom. W końcu jednak system polityczny wyewoluował w formę spotykaną wyłącznie w Polsce.

Wolna elekcja.

Co za pomyłka dziejów.

Trudno sobie to było wyobrazić: arystokraci, arcybiskupi, wojewodowie, kasztelani i szlachta gromadzili się na rozległych błoniach w pobliżu Warszawy i stawali w kole. Pretendenci do tronu wysyłali posłów, którzy dowodzili w publicznych wystąpieniach, dlaczego właśnie

ich kandydat ma zostać królem. Wysuwano obietnice – całe mnóstwo obietnic. Prowadzono dyskusje, często kończące się aktami przemocy. W końcu zbierano głosy i wygrywał kandydat, który zdobył ich najwięcej.

Niewiele państw na świecie miało równie osobliwe procedury wyboru władcy.

Wolna elekcja odzwierciedlała silne przywiązanie Polaków do indywidualnych wolności i niechęć wobec władzy centralnej. System ten okazał się jednak katastrofalny w skutkach. Królowie z definicji powinni rządzić samodzielnie i na własną rękę, ale władcy Polski wyłonieni w ten sposób stawali się całkowicie zależni od swoich wyborców, czyli szlachty. Co gorsza, musieli dotrzymywać obietnic złożonych podczas elekcji. Jeżeli je złamali, szlachta miała prawo wycofać poparcie.

Rezultaty tego szaleństwa łatwo było przewidzieć.

Monarchowie stali się słabi i nieskuteczni. Większość z nich nie pochodziła nawet z Polski, ponieważ najczęściej wybierano obcokrajowców, w żaden sposób niezwiązanych z tym krajem. Obcy królowie nie dbali o Polskę i jej obywateli, co prowadziło do niezliczonych konfliktów, tak zagranicznych, jak i wewnętrznych. Wybuchwały kolejne wojny domowe. Okres pomiędzy śmiercią jednego władcy a wyborem następnego zaczęto liczyć w latach, co wywołało jeszcze większe niepokoje. W zamian wzrosła potęga wielmożów, posiadających rozległe majątki ziemskie. Starali się oni zachować rolniczy charakter państwa polskiego, hamując rozwój miast i zapobiegając pojawieniu się klasy średniej. Te usiłowania okazały się jednak mało skuteczne.

Jednocześnie korupcja została niemal zinstytucjonalizowana.

Sejm, niższa izba polskiego parlamentu, zyskał większą władzę i wyższy status, miał ostatnie słowo w kwestiach legislacyjnych,

podatkowych i polityce zagranicznej. A wszystko to znów kosztem prerogatyw króla.

Żadne prawo nie mogło wejść w życie bez aprobaty posłów.

Ostatnim gwoździem do trumny okazało się *liberum veto*.

„Wolne nie pozwalam”.

Jeden poseł na Sejm mógł zatrzymać dowolny proces legislacyjny, ponieważ poparcie dla każdego projektu musiało być jednogłośnie.

Co jeszcze bardziej niewiarygodne, jeżeli posłowie nie byli w stanie osiągnąć jednomyślności w jakiejś sprawie w ciągu sześciu tygodni (tyle mogły trwać obrady podczas jednego zebrania), ich ustalenia uznawano za nieważne. Anulowano wtedy wszystkie poprzednie akty obrad, nawet jeśli zostały omówione i przegłosowane.

Co za szaleństwo!

*Liberalum veto* przywiodło Polskę na skraj przepaści.

Zdrowy rozsądek ostatecznie przeważył i prawo to zniesiono w roku 1791, ale nadaremnie: cztery lata później państwa ościenne dokonały ostatecznego rozbioru państwa polskiego.

Dzięki Bogu od tamtych czasów tyle się zmieniło, choć pewne zgubne skłonności pozostały. Polska wciąż rozwijała się bardzo opornie... i wciąż borykała się z wpływami innych państw.

„Jak cię widzą, tak cię piszą”.

To stare polskie przysłowie wciąż brzmiało prawdziwie.

Drzwi zewnętrznego pomieszczenia apartamentu się otworzyły. Stali pod nimi dwaj ochroniarze z BOR-u, do tego jeden funkcjonariusz znajdował się na zewnątrz, w korytarzu. Szefostwo hotelu poszło prezydentowi na rękę w sprawie rezerwacji na ostatnią chwilę. Na szczęście Apartament Królewski Wawel okazał się dostępny. Był usytuowany na najwyższym piętrze, na końcu długiego korytarza i z dala od wind, toteż



łatwo było go chronić. Czajkowski wyszedł z sypialni i dostrzegł Iwonę, która właśnie wróciła z zamku.

– Jak poszło? – zapytał.

– Idealnie. Cotton zabrał włócznie i uciekł.

– Ktoś się zorientował?

Pokręciła przecząco głową.

– Zajęłam się tym osobiście. Strażnicy niczego nie odkryli. Myśleli, że jest przypadkowym intruzem. Pogoniłam go i postrzelałam na postrach, tylko tyle, żeby go trochę popędzić, aż w końcu opuścił zamek. Przez Smoczą Jamę.

Prezydent się roześmiał.

– Jakże stosownie!

Podszedł do barku, zaopatrzonego z okazji jego wizyty w specjalne trunki, i nalał dwie hojne porcje irlandzkiej whiskey. Odkryli kiedyś, że oboje ją uwielbiają, więc przed przyjazdem poprosił, żeby przygotowano butelkę, licząc na to, że Iwona dotrze tu dziś wieczorem.

– Pozostaje tylko jedno pytanie: czy dowiemy się, gdzie zorganizowano aukcję? – odezwał się, podając jej szklankę i pijąc łyczek ze swojej.

– Ależ tak. Cotton już o to zadba.

Chcieli, żeby Malone zabrał włócznie. Zamontowali w drewnianym pudle nadajnik GPS, który powinien doprowadzić ich na miejsce licytacji jak po sznurku.

– Cotton o to zadba? Jak to rozumieć?

– Janusz, ten facet nie jest głupi. Z pewnością zdaje sobie sprawę, że pozwoliliśmy mu ukraść włócznie. Może być trochę wkurzony po upadku z murów, ale jakoś to przełknie.

– Jeżeli wie, dlaczego ją zabrał...

– To wejściówka Amerykanów na aukcję, a on chce, żebyśmy go śledzili. Prezydent Fox i Tom Bunch wpuścili go w kanał. Zmierza w jakimś kierunku, ale sam nie wie dokąd. Pozostał w grze tylko ze względu na Stephanie Nelle. To jedyny powód, dla którego się zgodził. Wykorzystali tę lojalność, żeby zmusić go do kradzieży włóczni, i wykorzystają ją ponownie, żeby pojechał na aukcję z Bunchem. Tymczasem Malone doskonale wie, że Rosjanie będą niezadowoleni, przekazano mu to w Brugii bez ogródek. Może wpaść w kłopoty i potrzebować pomocy. I tutaj pojawiają się my.

– To brzmi, jakbyś doskonale go znała.

– Jest zawodowcem i miał już wcześniej do czynienia z Iwanem, więc wie, że nie należy mu ufać. Cotton musi zakładać, że Rosjanie nie powiedzą nam wszystkiego, a w szczególności nie poinformują nas o miejscu licytacji. Dlatego nas tam doprowadzi.

– Ależ ty go podziwiasz!

– Wciąż jesteś zazdrosny?

– A co, jeśli tak? – zapytał zaczepnie.

– Powiedziałabym, że to dziwna reakcja ze strony żonatego mężczyzny. Spojrzał na nią ostrożnie, a whiskey rozgrzała mu krew w żyłach.

– Dlaczego ze mną jesteś?

Naprawdę chciał to wiedzieć.

– Pracuję dla ciebie.

– To nie jest odpowiedź, wiesz o tym doskonale. Kochasz mnie?

Nigdy przedtem jej o to nie zapytał.

– Tak.

Jej wyznanie sprawiło mu przyjemność.

– Ja też cię kocham.

Nalała sobie jeszcze whiskey.

– Czy ktokolwiek w to wątpił?

– Nie, nikt. Ale wszystko to jest bardzo skomplikowane.

Uśmiechnęła się.

– To prawda. Tymczasem jednak problem licytacji jest nieco pilniejszy niż nasze sprawy osobiste, nieprawdaż?

– To dla mnie równie ważne.

Dawno nie odsłonił się tak przed kobietą. Tak, wciąż był żonaty, a wyborcom nie spodobałyby się rozwód ani romans prezydenta, podobnie jak Kościółowi. A żonie? Obchodziłoby ją to tylko wtedy, gdyby o sprawie dowiedziały się media. Na szczęście jego ochroniarze byli wyrozumiali i dyskretni. A teraz znalazł się w tym wspaniałym apartamencie, z piękną, ukochaną kobietą, dzień dobiegał końca, a za oknami zapadała noc.

Przyszło mu do głowy jeszcze jedno przysłowie.

„Nie chwal dnia przed zachodem słońca”.

Najpierw jednak musiał coś sprawdzić.

– Czy pojawią się jakieś wzmianki o kradzieży?

Kiwnęła głową.

– Administracja zamku ogłosi oficjalnie, że nastąpiło włamanie, więc wciąż trwają ustalenia, czy cokolwiek zostało skradzione, a jeżeli tak, to co. Dyrektorowi przekazano, że to kwestia bezpieczeństwa narodowego i konieczne jest zachowanie tajemnicy. Jest jedyną osobą, która wie, że wszystko to zaplanowaliśmy. Zapewniłam go, że włócznia zostanie zwrócona w ciągu dwóch dni.

– Jeśli ją stracimy, będzie problem.

– Wiem. Odzyskam ją.

– Razem z materiałami na mój temat, które zostaną wystawione na licytację?

– Owszem.

Dokończył whiskey i odstawił szklanki.

– Kto śledzi pudełko z włócznieą?

– Tylko ja, na smartfonie.

– Spodziewasz się dzisiaj jeszcze jakichś istotnych wydarzeń??

Wzruszyła ramionami.

– Nie ale będę mieć włócznieą na oku.

Wziął ją w ramiona.

– A może zajmiemy się tym oboje?

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Cotton odnalazł konsulat Stanów Zjednoczonych, który znajdował się przy bocznej uliczce niedaleko krakowskiego Rynku Głównego. Dostał wiadomość, że powinien się tam udać po wyjściu z zamku. Wciąż miał przy sobie drewniane pudło zawierające Włócznie Świętego Maurycego. Podczas spaceru przez wieczorny tłum nie zdarzyło się nic godnego uwagi.

Przy głównym wejściu stało na straży dwóch marines. Na kamiennej ścianie powyżej na powitanie falowały leniwie trzy amerykańskie flagi. Kiedy Malone był już blisko, żołnierze otwarli drzwi, najwyraźniej uprzedzeni o jego wizycie. Kazano mu przejść przez wykrywacz metalu, a potem skierowano po stromych schodach na pierwsze piętro, gdzie w biurze czekali już na niego Stephanie i Bunch.

Położył pudło na biurku.

– Dobra robota – pochwalił go z uśmiechem na twarzy zastępca asystenta prezydenta.

Stephanie nie wyglądała na szczególnie zadowoloną.

Bunch zażądał śrubokrętu, który natychmiast przyniósł mu jakiś gorliwy młody człowiek, po czym odkręcił wieczko. Wewnątrz leżał stępiony grot włóczni, długi na pół metra i szeroki może na osiem

centymetrów. Barwą przypominał Cottonowi ciemnoszarą farbę, jaką malowane są okręty. Sfatygowana miedziana osłona częściowo zakrywała szczelinę znajdującą się mniej więcej w jednej trzeciej długości artefaktu. Wiedział, że kiedyś tkwił w niej gwóźdź, taki jak w wiedeńskiej włóczni, ale teraz go tam nie było. U dołu grotu wystawały dwa skrzydełka, a nad nimi ostrze owinięto na krzyż drutem. Poniżej widać było okrągłą tuleję, która kiedyś łączyła grot z drzewcem.

Bunch podniósł zdobycz.

– Myślisz, że to naprawdę włócznia, którą przebito bok Chrystusa?

Malone nie mógł się oprzeć pokusie.

– A czy wielki biały królik przynosi dzieciom słodycze na Wielkanoc?

Ta uwaga nieszczególnie rozbawiła Buncha.

– Rozumiem, że nie jesteś religijny.

– Przede wszystkim jestem rozsądny. Żaden kawałek żelaza nie zachowałby się przez dwa tysiące lat w takim stanie.

– Dlaczego nie? To całkiem możliwe.

W rzeczywistości to nie było możliwe, ale Cotton zdecydował, że nie będzie się dalej spierał.

Zauważył różnicę pomiędzy tą włócznią a artefaktem eksponowanym w Wiedniu. Chociaż podobna rozmiarem i kształtem, tamta relikwia miała wyraźniejszą owalną szczelinę wyciętą wewnątrz grotu. Nadal spoczywał w niej szpikulec z kutego żelaza, będący ponoć gwoździem użytym podczas ukrzyżowania. Chroniła ją osłona z błyszczącego złota. Wiedeńską włócznię poddano licznym testom, które wykazały, że na pewno była kuta, nie odlewana, a jej rozmiar nieco przekraczał długość typowego uzbrojenia rzymskiej armii z I wieku. Próby metalurgiczne pozwoliły datować ją na dużo późniejszy okres.

Kto jednak wie, jaka jest prawda?

Tutaj wszystko zależało od wiary.

A Malone nigdy nie był szczególnie wierzący.

Bunch umieścił grot z powrotem w pudle.

– To najbezpieczniejsze miejsce.

Z tym akurat Cotton się zgadzał.

Tamten usiadł przy biurku, na którym leżał otwarty laptop, i zaczął pisać. W końcu nacisnął ENTER i oznajmił:

– Właśnie potwierdziłem zaproszenie na aukcję.

Komputer natychmiast zadzwieczał, oznajmiając nadejście wiadomości.

Szybko.

Co oznaczało, że odpowiedź wysłał automat.

Bunch ją przeczytał, a potem odwrócił ekran, tak żeby mail widzieli również Cotton i Stephanie.

Dziękujemy za potwierdzenie uczestnictwa. Prosimy o przesłanie zdjęcia waszej relikwii na ten adres. Dwóch reprezentantów powinno czekać przed główną siedzibą Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem jutro o 9.30. Po aukcji zostaną odtransportowani w to samo miejsce. Zabrania się posiadania telefonów komórkowych, broni i wszelkich urządzeń elektronicznych. Nie zezwalamy także na obecność tłumaczy, ponieważ licytacja będzie prowadzona w języku angielskim, którym wasi reprezentanci powinni płynnie się posługiwać. Weryfikacja płatności nastąpi na miejscu, dopiero po jej potwierdzeniu sprzedaż zostanie sfinalizowana. Proszę upewnić się, że zostały przygotowane środki do dokonania płatności. Jakiemukolwiek złamanie tych zasad skutkuje dyskwalifikacją licytanta.

Cotton pomyślał o Iwanie i jego ostrzeżeniu: Stany Zjednoczone mają się wycofać z aukcji. Przekazał je Stephanie, która z pewnością podzieliła się wiadomościami z Bunchem.

– Rosjan to wszystko nie obchodzi – powiedział. – Mają zamiar wygrać albo storpedować tę licytację, bez względu na koszty.

– Z tym również sobie poradziliśmy – odparł Bunch. – Prezydent Fox rozmawiał z Kremlm i opowiedział Rosjanom tę samą bajeczkę co Polakom. Zapewnił ich, że nie będziemy uczestniczyć w aukcji.

Malone wskazał pudło.

– A co będzie, kiedy dowiedzą się o kradzieży włóczni?

Tamten pokręcił głową.

– Nie opublikowano informacji na temat żadnej z pozostałych kradzieży. Wyciszyliśmy je wszystkie.

Niewiarygodne, jak głupi byli ci ludzie.

– Pozostałe kradzieże miały miejsce poza Polską. Włócznia nie jest katolicką relikwią skradzioną z kościoła. To narodowy skarb o wartości historycznej. Co powstrzyma prezydenta Czajkowskiego przed ujawnieniem, że zniknęła? Teraz już wie, że go podeszliście. Na zamku czekała na mnie Iwona Nowak.

Zgrabnie nie wspomniał, dlaczego tak się stało.

– A kogo to obchodzi? Co może z tym zrobić Czajkowski? – zapytał Bunch. – Ni cholery na to nie poradzi. To samo dotyczy Rosjan. Do diabła, reprezentujemy Stany Zjednoczone Ameryki i weźmiemy udział w tej aukcji!

Cotton obejrzał się na Stephanie. Siedziała z kamienną twarzą, więc potrafił odczytać jej myśli. Rosjanie i Polacy współpracowali. W jakim zakresie? Trudno powiedzieć. Gdyby łączyły ich bliskie stosunki, Polacy po prostu zapobiegliby kradzieży artefaktu... a tymczasem na nią pozwolili. To potwierdzało, że do pewnego stopnia działali po omacku. Ale jak bardzo?

Jeszcze jedna niewiadoma.



– Ty i ja pojedziemy jutro rano pod to muzeum – odezwał się Bunch do Stephanie. – Zakładam, że Malone zakończył z nami współpracę, zgadza się?

– Zakładasz niesłusznie – odparł Cotton.

Zobaczył zaskoczenie na twarzy szefowej.

– Jadę z tobą – oświadczył.

Bunch uśmiechnął się z irytacją.

– To mi się podoba! Nareszcie ktoś, kto umie pracować w zespole. Do tego ktoś tak niezwykle lojalny wobec starego, dobrego Wujka Sama. Doceniamy twoje poświęcenie.

Malone zdecydował się nie łykać tej przynęty. Zamiast tego wypowiedział słowa, których rozmówca zapewne oczekiwał:

– A ja doceniam sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, nie zapominajmy o tym. Płatne z góry.

– Oczywiście – zapewnił go Bunch. – Trzeba jakoś zarabiać, prawda? Potrafimy się odwdzięczyć. Przygotuję przelew.

Lepiej, żeby Fox miał go za chciwego najemnika niż lojalnego przyjaciela. Cotton nie miał zamiaru pozwolić Stephanie wejść samej na grząski grunt tej operacji. A właśnie do tego dążył Tom Bunch.

Żadnej pomocy.

Malone uważał się za eksperta w zaledwie kilku dziedzinach. Jedną z nich była umiejętność działania w skrajnych sytuacjach i szybkiego podejmowania decyzji. W starym powiedzeniu kryło się sporo słuszności: zdesperowani ludzie wykonywali desperackie kroki. Ta sytuacja doskonale to ilustrowała.

– Na pewno? – zapytała go Stephanie.

Skinął głową.

– Jak najbardziej.

Wyszli z biura, ponieważ Bunch rozmawiał przez telefon z Foxem i dał im do zrozumienia, że chce kontynuować tę konwersację bez świadków.

– Zastanawiam się, czy dla takich idiotów jak on są jakieś kursy całowania szefa w tyłek – mruknął Cotton. – Ten gość kompletnie nie docenia powagi sprawy.

– Ani trochę.

– Podejrzewam, że w pudełku umieszczono nadajnik GPS – ciągnął – a właściciele namierzają je przez cały czas. Będziemy się musieli temu przyjrzeć.

– Wiem. Zajmiemy się tym, kiedy skończy tę niebywale ważną rozmowę.

Dosłyszał sarkazm w jej głosie.

– Iwona wszystko to zaaranżowała, włącznie z pogonią i ostrzałem, żeby sytuacja wyglądała prawdopodobnie... Chociaż z tym przestrzeleniem liny trochę jednak przesadziła – stwierdził. – Muszę się jej za to zrewanżować.

Stephanie się uśmiechnęła.

– Wszystko to oznacza, że Polacy nie dostali zaproszenia – podsumował. – Rosjanie musieli ich dopuścić do interesu. To by wyjaśniało ich partnerstwo w Brugii... Przynajmniej do pewnego stopnia. Teraz Rosjanie nie chcą już, żeby wmieszał się w to ktoś inny.

– Chyba że Polacy sami się wepchną. Albo pozwolą, żebyśmy doprowadzili ich na miejsce aukcji.

Przytaknął.

– Zmyślą jakąś historyjkę na temat wydarzeń tego wieczoru. Muszą tak zrobić, żeby pasowało to do pozostałych kradzieży. Do tego nie mogą pozwolić, żeby Rosjanie domyślili się, że współpracujemy z polskim wywiadem.

Stephanie całkowicie się z nim zgadzała.

– Czajkowski prawdopodobnie zadzwoni do Waszyngtonu i zrobi tam dziką awanturę, oskarżając Amerykanów o kłamstwa – powiedział Malone. – Tego można oczekiwać. Nasz problem polega na tym, że nadajnik GPS nie dojedzie na aukcję. Jeżeli dobrze pamiętam z e-maila, którego właśnie czytaliśmy, nasz kierowca sprawdzi jutro wszystko pod kątem takich urzędzeń i jeżeli je odkryje, USA zostaną zdyskwalifikowane – dodał i się uśmiechnął. – Moglibyśmy zostawić go na miejscu i nasz udział w tej aferze szybko dobiegłby końca. Bunch musiałyby wziąć na siebie część odpowiedzialności.

– Chciałabym. Ale informacje na temat Czajkowskiego i tak trafiłyby na licytację.

– Właściwie to jestem ciekaw, o co tu chodzi. To musi być poważna sprawa. Biały Dom nic ci nie przekazał?

Pokręciła przecząco głową.

– Ani słowa. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że ta sprawa mnie nie interesuje. Wygląda to na wyjątkowo groźny materiał, zarówno personalnie, jak i politycznie. Pozostaje nam grać dalej i zobaczyć, jak to się rozwinie.

Malone zgodził się z tym wnioskiem.

– Rosjanie nie mają ochoty przegrać licytacji.

– Wiem. Ale gdyby wygrali... może nie byłoby tak najgorzej?

Dostrzegł błysk w jej oku.

– Podoba mi się twój sposób myślenia.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Jonty położył się do łóżka.

Wybrał dla siebie największą komnatę na zamku Szturniej. Należała niegdyś do kasztelana, stały w niej historyczne słowackie meble. Eli Reinhardt zamieszkał w jednym z pokoiów w tym samym skrzydle, ponieważ Olivier uznał, że powinien mieć swojego nowego partnera na oku.

Zostawili archiwum w kopalni. Odbudowali mur i zamaskowali swoje wtargnięcie najlepiej, jak umieli. Konrad zapewnił ich, że poziom X jest mało uczęszczanym miejscem; ponieważ nie są tam prowadzone prace wydobywcze, funkcjonuje raczej jako pamiątka z przeszłości, kiedy kopalnię kontrolowali Sowieci. Obecnie niewiele osób w ogóle o nim pamiętało.

Tajemnica powinna więc być bezpieczna.

Jonty obiecał Konrowi dodatkową wypłatę, żeby zapewnić sobie jego lojalność i milczenie. W kolejnych tygodniach będą z Eliem częściej odwiedzać ten poziom, żeby ustalić, co można odnaleźć w archiwum. Niestety, Olivier nie mógł zbyt wiele pomóc, ponieważ język polski znał słabo, a rosyjskiego – wcale. Reinhardt oczywiście posługiwał się nimi

płynnie. Jonty nie miał jednak zamiaru pozostawić swojemu „partnerowi” niekontrolowanego dostępu do dokumentów, bo skończyłoby się to tak, że Eli zachowałyby najcenniejsze informacje dla siebie. Co to, to nie. Wynajmie zastępcę i zapłaci mu sporo za lojalność. Żeby zaś jeszcze bardziej scementować ich związek, za każdym razem będzie towarzyszył im Vic, ponieważ nie ma to jak dreszczyk strachu na plecach – zarówno wynajętego zastępcy, jak i Reinhardta.

Eli zatrzymał Arta Munozę jako osobistego ochroniarza i ulokował go w sypialni obok swojej. Po co mu ochroniarz? Kto wie. Jonty zdecydował jednak, że pozwoli nowemu partnerowi na wszystko. Teraz zależało mu przede wszystkim na tym, żeby dotrzeć do jutra i zakończyć aukcję. Dwadzieścia milionów euro, które miał zapłacić Eliowi, było niewielką ceną za brak kłopotów.

„Wczorajszy wróg dzisiaj może zostać przyjacielem”.

Święta prawda.

Vic zameldował, że wysłał sześć zespołów do różnych miejsc w Polsce, Słowacji, Czechach i Austrii. Wszystkie te punkty znajdowały się w odległości kilku godzin jazdy od zamku. Niemcy zrezygnowali z uczestnictwa w licytacji. Ich miejsce zajął Eli, który dostarczył święty gwóźdź z katedry w Bambergu. Relikwia ta zostanie sprzedana wraz z całą resztą *arma Christi*. Olivier niepokoił się brakiem odzewu od Amerykanów, ale w końcu dołączyli do reszty. Otrzymał potwierdzenie zaproszenia i zdjęcie Włóczni Świętego Maurycego. Ich obecność była konieczna. Podczas rozmowy telefonicznej kilka tygodni wcześniej Warner Fox zapewnił go, że nie tylko weźmie udział w aukcji, ale także ją wygra, a to oznaczało, że w grę wchodzi mnóstwo amerykańskich dolarów. Fox gorąco popierał całe przedsięwzięcie, a nawet pogratulował Jonty’emu zmysłu

biznesowego. Wyszedł z niego przy tym eksbiznesmen, do którego przemawiały tylko pieniądze – im więcej pieniędzy, tym głośniej.

Olivier ułożył się pomiędzy czterema słupkami baldachimu, na cudownie sprężystym materacu. Zamek był doprawdy znakomicie wyposażony. Nie żałowano grosza na wygody. Inna rzecz, że jeśli wziąć pod uwagę cenę za tydzień pobytu, to wszystko tu powinno być inkrustowane złotem.

Zwykle przed zaśnięciem lubił poczytać. Nabrał tego zwyczaju jako nastolatek i kultywował go aż do teraz. Uwielbiał klasykę, ale prawdę mówiąc, pochłaniały go również dobre kryminały z intrygującymi zagadkami. Przypominały mu jego życie, które czasami wydawało się jak wzięte z międzynarodowego thrillera.

Czuł się bezpiecznie, wiedząc, że w nocy Vic ma oko na wszystko. Wątpił, czy inaczej mógłby w ogóle spać. Jego wspólnik nadzorował również sześć zespołów, które nazajutrz miały przetransportować uczestników licytacji. Jonty rozmyślnie wybrał na rozpoczęcie imprezy środek dnia. W słonecznym świetle łatwiej było dostrzec nadciągające kłopoty i w razie czego umknąć prześladowcom. Nie ufał żadnemu z licytujących, ale liczył, że ich sprzeczne interesy pomogą mu gładko przeprowadzić aukcję.

Spiżarnia nie dawała mu zasnąć. Spoczywały tam dziesiątki tysięcy dokumentów i jeżeli chciałby je przeszukać, zajęłoby to mnóstwo czasu, a nie było gwarancji, że znajdzie tam cokolwiek wartościowego. Do tego ciągle wizyty w kopalni mogły w końcu zwrócić czyjąś uwagę, chociaż Konrad zapewnił ich, że tak głęboko monitoring obejmował niemal wyłącznie górników. Mimo to Olivier nauczył się czegoś podczas lat ostrożnych negocjacji: „Nigdy nie nadużywaj szczęścia”. Trzeba zabrać to, co się tam znajduje, i w nogi. Nic dobrego nie wynikało nigdy z wydłużania

terminów, a wszystko wskazywało na to, że przebadanie archiwum potrwa bardzo długo.

Eli miał rację w jednej kwestii.

Powinni dobić targu z Polakami i sprzedać całość w obecnym stanie, nietkniętą.

Na pewno byłby to interes wart miliony euro, z czego zgodnie z umową zachowałyby połowę.

Od tego myślenia zgłodniał. Pewnie powinien zadzwonić po obsługę, żeby dostarczyła mu coś do przekąszenia... Może misę owoców? Nic ciężkostrawnego. Kiedy pochłonał za dużo pyszności, zawsze miał trudności z zaśnięciem.

W tym względzie też nie należało nadużywać szczęścia.

Łatwiej mu się było zrelaksować teraz, kiedy cała komunikacja pomiędzy zamkiem a światem zewnętrznym została zablokowana. Włączyli urządzenie zakłócające jeszcze przed wyjazdem do kopalni, więc Eli w żaden sposób nie mógł porozumieć się z nikim poza murami zamku. Jonty pamiętał jednak o groźbie partnera i pozwalał mu na łączność co kilka godzin, ale kazał Vicowi uważać na każde słowo tamtego. Liczył, że chciwość konkurenta powstrzyma go od zrujnowania licytacji.

Olivier zdecydował, że zrezygnuje z przekąski i czytania.

Jego umysł i tak pracował zbyt intensywnie. Nie chciał dostarczać mu więcej bodźców.

Wyłączył światło.

Pora spać.

Jutro musi być w szczytowej formie.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

**Czwartek, 6 czerwca**

**7.30**

Cotton spał nerwowo – niepokoiła go najbliższa przyszłość. Spędził tę noc w krakowskim hotelu, ale najpierw załatwił kilka niecierpiących zwłoki spraw. Razem ze Stephanie przekonał Toma Buncha, że nie powinni przewozić włóczni w drewnianym pudle. „Zbyt nieformalne”, powiedział, a Stephanie dodała: „Niestosowne”. Znaleźli więc inny dekoracyjny pojemnik odpowiednich rozmiarów, lakierowany i ręcznie pomalowany w polskie wzory ludowe, a następnie przełożyli do niego piankę i pluszową wyściółkę z oryginalnego pudła. Bunch nie zdawał sobie sprawy, co naprawdę się dzieje, i wydawał się usatysfakcjonowany. Oczywiście znaleźli nadajnik GPS przyczepiony na dnie wawelskiego pudła. Malone wymontował go, a teraz nosił w kieszeni spodni, wciąż wysyłając sygnał do Iwony.

Stephanie zadzwoniła nieco wcześniej, by przekazać mu, że „Gazeta Wyborcza” doniosła o wieczornym włamaniu do Zamku Królewskiego na



Wawelu. Lokalna policja prowadziła w tej sprawie śledztwo. Ujawniono niewiele szczegółów i nie ustalono jeszcze, co mogło zostać skradzione. To wystarczyło, żeby uchylić rąbka tajemnicy, ale nie wyjawić wszystkiego.

Nie był w stanie zjeść obfitego śniadania, skubnął tylko kawałek tostu i wypił łyk soku pomarańczowego. Zaraz potem wyjechali z Krakowa samochodem Buncha i przejechali około stu kilometrów na południe, do Zakopanego. To niespełna trzydziestotysięczne miasto leżało niedaleko granicy polsko-słowackiej, w dolinie u stóp Tatr. Nosilo dumne miano polskiej stolicy sportu: latem wyruszali stąd na wycieczki taternicy, a zimą – narciarze.

Muzeum Tatrzańskie było sporą instytucją. Miało osiem różnych oddziałów, prezentujących historię, kulturę, przyrodę i etnografię polskich Tatr. Główna siedziba mieściła się w centrum miasta, w budynku stanowiącym idealny przykład miejscowej ceglano-kamiennej architektury. Podczas jazdy Bunch wyglądał wyjątkowo optymistycznie i dziarsko, ekscytując się bliską już aukcją. Była to najwyraźniej pierwsza taka misja w jego życiu, a do tego miał kompletnie zwichrowane wyobrażenie o tym, co się ostatnio wydarzyło.

„To jak *Mission: Impossible* – fantazjował. – Jedziemy wykonać zadanie, pozostawieni sami sobie, a jeżeli jednego z nas zabiją lub schwytają, sekretarz stanu zaprzeczy, że o czymkolwiek wiedział”.

Kretyn wygłaszał wszystkie te nonsensy, tak jakby taka sytuacja była pożądana. Kto, do cholery, chciałby być pozostawiony sam sobie? Agenci nie przejawiali skłonności samobójczych. A zabity? Żaden ze znanych Cottonowi pracowników wywiadu nie pragnął śmierci.

Znaleźli główną siedzibę muzeum na Krupówkach i zaparkowali przy krawężniku. Wysiedli z samochodu i stanęli na chodniku, przed

niewysokim żelaznym ogrodzeniem budynku. Malone spojrzął na zegarek i zobaczył, że mają jeszcze pięć minut.

– Kiedy po nas przyjadą, lepiej żebym to ja z nim rozmawiał – oświadczył. – Trzeba to rozegrać ostrożnie, a ja mam pewne doświadczenie na tym polu.

– Nic podobnego. Przyjechaliśmy tutaj, żeby dotrzeć na aukcję. Nie ma tu nic do rozgrywania, a że to ja jestem starszy rangą, więc to ja będę mówił.

Bunch zareagował dokładnie tak, jak Cotton się spodziewał. Idealnie. Potrzebował kogoś lub czegoś, co odwróci uwagę tamtych, a zastępca asystenta prezydenta świetnie się do tego nadawał.

Ktokolwiek po nich przyjedzie, sprawdzi, czy nie mają przy sobie elektroniki, więc trzeba było pozbyć się nadajnika GPS, zanim zostaną przeszukani, ale należało również wskazać drogę Iwonie, która z pewnością obserwowała ich z daleka.

Dzień był słoneczny, jasny i ciepły. Dokładnie o 9.30 czarny mercedes coupe zatrzymał się na ulicy przed muzeum. Obok kierowcy siedział pasażer – obaj byli młodzi, przypominali wyglądem i zachowaniem złodziei relikwii z Brugii.

Cotton podszedł do nowo przybyłych i przywitał się z nimi, kiedy wysiedli z samochodu. Zauważył także, że szyby w oknach są opuszczone. Znakomicie. Teraz tylko Bunch musiał zachować się jak Bunch. I rzeczywiście, jego towarzysz oznajmił:

– Pracuję w Białym Domu. Jestem zastępcą doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego i zastępcą asystenta prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Gdzie relikwia? – zapytał obcesowo jeden z mężczyzn.

– Co to ma znaczyć? – odparł Malone.

– Słuchaj, reguły gry wyglądają tak: my zadajemy pytania, wy odpowiadacie. Nie mamy czasu na dyskusje. Gdzie relikwia?

Cotton wskazał na samochód Buncha.

– W środku.

Zdołał przekonać towarzysza, żeby zostawić pudło z włącznią w środku, dopóki nie będą wiedzieli, co jest grane. „To nasza jedyna przepustka na aukcję”, powiedział Bunchowi, który skwapliwie się na to zgodził.

Dwóch mężczyzn skierowało się do auta.

Bunch nie wahał się ani chwili.

– Chwila, czekajcie, to nasz samochód, nie wasz. Jeżeli chcecie zobaczyć, co przywieźliśmy, ja się tym zajmę.

Cotton skorzystał z okazji: wyjął nadajnik GPS z kieszeni i jednym pstryknięciem umieścił go dyskretnie we wnętrzu mercedesa. Dokładna lokalizacja nie miała większego znaczenia, byle urządzenie znalazło się w środku, najlepiej w okolicy tylnej kanapy. Miało rozmiary tiktaka, toteż można się było spodziewać, że nikt go nie zauważy.

W tym samym czasie Bunch z pozostałą dwójką podeszli do drugiego samochodu.

– Cofnij się – rozkazał zastępcy asystenta prezydenta jeden z mężczyzn.

– Nie odzywaj się do mnie w ten sposób!

– Polecono nam zostawić was tu, jeżeli w jakikolwiek sposób sprzeciwiacie się naszym poleceniom lub będziecie stawiać opór. Oczywiście zabierzemy relikwię.

– Co to, to nie! – zaprotestował Bunch. – To własność Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Facet się roześmiał. Malone miał ochotę do niego dołączyć, ale opanował się w ostatniej chwili.

– Dokładnie rzecz biorąc, to własność pochodząca z kradzieży – wyjaśnił drugi. – Odsuń się, proszę, i pozwól nam robić, co do nas należy.

Bunch rzucił Cottonowi pytające spojrzenie: „Pozwolić mu na to?”, a Malone skinął głową. Zadziwiające, że zastępca asystenta potrzebował jakichkolwiek wskazówek, skoro tak znakomicie znał się na takich sprawach. Drugi mężczyzna wyjął z kieszeni zasilany dziewięciowoltową baterią wykrywacz sygnału, jaki można było kupić niemal wszędzie za mniej niż dwieście dolarów. Mały, przenośny, prosty i skuteczny. Włączył urządzenie i zbadał nim pudło, następnie otworzył wieko i przeskanował włócznie.

Nic nie wykrył.

Potem sprawdził Buncha.

Czysto.

W końcu wrócili do Cottona i ustalili, że on również nie ma przy sobie żadnych elektronicznych gadżetów. Malone i Bunch zostawili telefony komórkowe w Krakowie, pod opieką Stephanie. Cotton mógł się założyć, że mężczyźni nie przeskanują własnego samochodu, i rzeczywiście, nie zrobili tego, uznając widocznie, że jest czysty. A jedyną wadą używanego przez nich skanera zbliżeniowego było to, że urządzenie musiało znajdować się blisko źródła sygnału.

– Dobrze – zdecydował jeden z przyjezdnych. – Wsiadajcie do naszego samochodu i jedziemy. Buzia na kłódkę.

Drugi mężczyzna przejął pudło z włócznieą.

Bunch nie zaprotestował ani słowem.

– Przed nami długa droga, a musimy jeszcze zadbać o dodatkowe środki ostrożności.

Jechali około pół godziny, przez granicę ze Słowacją i dalej wzdłuż Tatr. W samochodzie panowało milczenie. Wiedząc tylko, że kierują się na

południe, Cotton próbował się zorientować, gdzie są. Nie znał zbyt dobrze północnej Słowacji, więc trudno mu było zgadnąć, gdzie leży cel ich podróży. Przed sobą dostrzegł wydrążony w skale tunel. Autostrada biegła dzięki niemu prosto i bez przeszkód.

Wjechali do oświetlonego lampami tunelu. Był dość długi, Malone ocenił, że wylot było widać w odległości pół kilometra. Z naprzeciwka nadjeżdżały drugim pasem inne samochody: jeden, potem drugi... Trzeci jednak zwolnił, zawrócił wewnątrz tunelu i ruszył za nimi.

Czarny mercedes coupe.

Identyczny jak ten, w którym siedzieli.

Wyprzedził ich i pojechał w kierunku wylotu.

Samochód wiozący Cottona i Buncha stanął w zatoczce serwisowej. Kierowca włączył światła awaryjne.

– Dlaczego stoimy? – zapytał Bunch.

Malone domyślał się przyczyny.

– Drony.

Tamten wydawał się zdezorientowany.

– Boją się, że namierzamy ich z powietrza – wyjaśnił mu Cotton. – Dlatego wysłali identyczny samochód, za którym pogoni każdy ewentualny obserwujący, zanim przekona się, że to fałszywa przynęta.

Facet w fotelu pasażera się odwrócił.

– Mówiłem, żadnych rozmów.

Malone miał dość.

– Tylko spróbuj mnie tknąć!

Zakładał, że Jonty'emu Olivierowi zależało na obecności USA podczas licytacji tak bardzo, że był gotów nagiąć nawet własne zasady, ale jeżeli facet w samochodzie chciał konfliktu, to będzie go miał.

Tamten odwrócił się od niego.

– Zaczekamy tu kilka minut – powiedział. – Dość długo, żeby przynęta zrobiła, co do niej należy.

Teraz odwrócił się kierowca i rzucił na tylne siedzenie dwa czarne worki z tkaniny.

– Gdy ruszymy, załóżcie to na głowę.

Staroświeckie rozwiązanie, ale skuteczne, jeżeli chciało się kogoś trzymać w niepewności co do celu podróży.

Cotton zdecydował, że nie będzie protestować.

Miał nadzieję, że Iwona nie straci ich z oczu.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Czajkowski stwierdził, że zostanie przez najbliższy dzień w Krakowie. Chciał być blisko centrum wydarzeń, tak żeby móc się osobiście kontaktować z Iwoną. Michał Zima, szef BOR-u, nie był zachwycony tą decyzją. Wolałby, żeby prezydent przebywał w Warszawie, gdzie łatwiej zapewnić mu ochronę. Czajkowski zdawał sobie sprawę, że Zima chciał wiedzieć, co się dzieje i dlaczego pracownica Agencji Wywiadu spotyka się bezpośrednio z głową państwa. Sytuacja była – najdelikatniej mówiąc – niezwykła, ale za każdym razem, kiedy dowódca BOR-u próbował dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, szef zbywał go niczym.

Po nocy spędzonej z Iwoną czuł się wspaniale. Zaczynał już za nią tęsknić... Ale takie emocje były niebezpieczne, toteż starał się dławić jakiegokolwiek oznaki przywiązania. Zajmie się tym później, w tej chwili liczyła się tylko licytacja.

Iwona pokazała mu na smartfonie, jak działa urządzenie śledzące. Włócznia Świętego Maurycego spędziła noc w amerykańskim konsulacie. W ostatnim raporcie agentka donosiła, że relikwia opuściła Kraków i jest przewożona na południe, w kierunku granicy polsko-słowackiej. Była to

jednak sytuacja sprzed blisko dwóch godzin. Czajkowski nie wiedział, co się teraz dzieje z włóczęgą, miał tylko nadzieję, że Iwona nadal ją śledzi. Przedyskutowali wszystkie możliwości, a na koniec prezydent kazał jej postępować zgodnie z własną oceną sytuacji.

Ufał jej bezgranicznie.

Mimo to musiał być gotów do działania, na wypadek gdyby jej się nie udało.

Zdawał sobie sprawę, że nie jest w stanie zaprzeczyć autentyczności żadnego z dokumentów, ponieważ wszystkie napisał albo podpisał własnoręcznie. Papier pokazany Iwonie przez Rosjan wydawał się reprezentatywny dla materiałów, które Czajkowski dostarczał SB. Pracował jako płatny informator przez siedem lat, od połowy 1982 do jesieni 1989 roku. Jego oficerem prowadzącym był Dylecki, aczkolwiek obecny prezydent od czasu do czasu składał sprawozdania również innym.

Od wszystkich tajnych współpracowników wymagano dostarczania regularnych raportów. Jeżeli tego nie robili, zgarniano ich na „przesłuchanie”. Dla Czajkowskiego oznaczało to kontakt z kimś z SB co parę miesięcy. Esbecy żądali od niego jakichś informacji, jakichkolwiek. Kiedy Służba Bezpieczeństwa się kimś zainteresowała, nie dało się jej uciec. Człowiek dostarczał to, czego chcieli, lub kończył jak tamten profesor matematyki, nagi, przywiązany do stołka i okrutnie pobity.

Albo i gorzej.

Nie potrafiłby się obronić przed ewentualnymi zarzutami. Same dokumenty były dość obciążające, a z tego, co wiedział, tylko garstka ludzi znała prawdę. Nawet Lech Wałęsa, szef całej Solidarności, nie miał pełnego obrazu wydarzeń.

Wszystko zaczęło się tamtego dnia, po wyjściu z więzienia mokotowskiego.



Kilka minut przedtem oglądał, jak torturują nagiego człowieka. Sugestia była wyraźna: jeżeli Czajkowski nie zechce współpracować z SB, będzie następny.

A potem...

*Głośny dźwięk klaksonu przywrócił go do rzeczywistości.*

*Wszedł na jezdnię, nie rozejrzawszy się na boki. Na szczęście kierowca w porę zahamował. Janusz popatrzył przez przednią szybę na starszego mężczyznę, który wciąż naciskał klakson. Pomachał mu przepaszająco i przemknął na chodnik po drugiej stronie. Wspomnienie profesora, wykształconego, godnego szacunku człowieka, pełzającego nago po brudnej, zakrwawionej więziennej podłodze, na zawsze wryło mu się w pamięć.*

*Skutecznie zapobiegając jakimkolwiek myślom o oporze.*

*Nienawidził Dyleckiego, SB i komunistów. Ich rządu, a także każdego, kto sprzeciwiał się powstaniu wolnej i niepodległej Polski. Nikt i nic nie mogło tego zmienić... Ale jednocześnie potwornie się bał. Strach był silniejszy niż jakiegokolwiek inne emocje. Nie chciał, by przywiązano go do stołka, pobito i skopano. Nie chciał być torturowany ani pohańbiony, pełzać we własnej krwi po podłodze. Nie chciał także zostać oczami i uszami ciemiężców.*

*Szedł zatłoczonym chodnikiem. Za dwie godziny czekało go zebranie lokalnego oddziału Solidarności. Dylecki wiedział o tym spotkaniu i zażądał pełnego raportu na jego temat.*

*– To twój pierwszy test – powiedział ten skurwiel.*

*Czajkowski skręcił za róg, byle dalej od więzienia.*

*W tym momencie drogę zagroziło mu trzech mężczyzn, którzy stali ramię w ramię na chodniku. Czekali na niego. Znał tych ludzi, a ich miny nie wróżyły nic dobrego.*

– Pójdiesz z nami – powiedział jeden z nich.

Przed chwilą Janusza zastraszyli esbecy. Nie miał ochoty przechodzić tego samego ze strony kolegów z Solidarności.

– Pierdolcie się – odparł.

Odwrócił się i chciał odejść, lecz jeden z tamtych złapał go za ramię.

– Proszę – powiedział do Czajkowskiego. – Ktoś chce z tobą pogadać.

Przemyślał to wszystko. Sądził, że to zamknięty rozdział, do którego nigdy już nie będzie wracać.

Okazało się jednak, że został do tego zmuszony.

Absolutnie wbrew swojej woli.

Siedział sam w hotelowym apartamencie.

Stale kontaktował się ze swoimi ludźmi w Warszawie, rozwiązując codzienne problemy, a było ich sporo. Dyskusja z Unią Europejską na temat samorządów nabierała temperatury. Zaczęto przygotowywać nowy budżet państwa na kolejny rok. Omawiano środki zapobiegawcze przeciwko inflacji, która niedawno zaczęła rosnać. Wszystkie te kwestie wymagały niepodzielnej uwagi prezydenta, tymczasem zmuszony był skupiać się jednocześnie na teraźniejszości i przeszłości. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do pewnej osoby, ale zwlekał z tym tak długo, jak mógł. W końcu jednak musiał to zrobić. Jego osobisty sekretarz odnalazł numer już dwa tygodnie wcześniej, wówczas chwila nie była jednak jeszcze odpowiednia.

Teraz już tak.

Sięgnął po telefon komórkowy.

Dostarczyła mu go Iwona, twierdząc, że nie da się go namierzyć. Wpisał numer i czekał chwilę na połączenie. W końcu rozmówca się odezwał, a Czajkowski pomyślał, że przez trzydzieści lat głos tamtego się zbytnio nie zmienił. Usłyszał go po raz pierwszy owego pamiętnego dnia,

po wizycie w więzieniu mokotowskim, podczas rozmowy, która wpłynęła na całe jego życie.

– Potrzebuję pomocy – rzucił do słuchawki.

– Niebywałe, jak czas zmienia punkt widzenia. Kiedyś to ja potrzebowałem wsparcia od pana. Jak mogę panu pomóc, panie prezydencie?

– Musimy przedyskutować kwestię protokołu warszawskiego.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Jonty przeprosił gości i wyszedł z wielkiej sali biesiadnej do głównej sieni zamku, gdzie – jak mu właśnie doniesiono – czekali na niego kolejni uczestnicy licytacji. Irańczycy, Francuzi i Chińczycy byli już na miejscu, a ich obstawa zapewniła Vica, że wszystko poszło gładko.

Żadnych prób wyśledzenia celu podróży. Żadnych problemów.

Ubrał się na ten dzień w nowy garnitur, uszyty na zamówienie przez krawca w Paryżu. Zwykle takie stroje z najwyższej półki nosiły metki znanych pracowni – Balmain, Saint Laurent czy Dior – ale Olivier wolał nowe marki, takie jak A.P.C., AMI i Maison Kitsuné. Jego tusza sprawiała, że krawca, który chciałby nadać mu satysfakcjonujący wygląd, czekało niezłe wyzwanie. Jonty uwielbiał berety, kamizelki i znaczki w klapie marynarki, mieszankę klasyki z wygodą, a całość utrzymaną raczej w stylu angielskim niż francuskim. Dzisiejszy strój był tego idealnym przykładem: elegancka tweedowa marynarka z solidnej wełny, zrównoważona przez jasnobłękitną bawełnianą koszulę, muchę i skórzane buty.

Olivier uważał osobiste powitanie uczestników za swój obowiązek, oznakę grzeczności i gościnności. Dotąd każdy z nich doceniał ten gest. Przy powitaniu składali swoje relikwie na dębowym stole, który znajdował

się w wielkiej sali. Magia miejsca wydawała się czynić cuda: wszyscy goście byli pod wrażeniem średniowiecznego wnętrza i służby w liberjach, donoszącej tace świeżych przekąsek oraz napojów odpowiednich dla każdego kraju.

Na miejscu pracował także przywieziony nieco wcześniej przez Vica ekspert, mający zweryfikować autentyczność każdej z relikwii. Dotąd wszystko wydawało się w porządku, artefakty były prawdziwe, w tym również gwóźdź z Bambergu. Tymczasem właśnie pojawiła się czwarta para uczestników.

Jonty wyszedł z sieni prosto w jasne, przedpołudniowe słońce. Pogoda na Słowacji dopisywała, na zewnątrz trwał kolejny wspaniały letni dzień. Czarny mercedes coupe wjechał na dziedziniec i się zatrzymał. Z tylnego siedzenia wysiadło dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Wysocy, szerocy w barach, ze słowiańskimi rysami twarzy. Rosjanie. Nie wydawali się szczególnie zadowoleni z tego, że tu są.

– Dzień dobry panom – odezwał się do nich po angielsku.

Jeden z nich odpowiedział kilkoma zdaniem po rosyjsku. Olivier nie potrzebował tłumacza, żeby je z grubsza zrozumieć.

Uniósł palec.

– Jak już panom przekazałem, licytacja będzie prowadzona w języku angielskim.

Żaden z nich nie odpowiedział.

Jonty kontynuował:

– Z całym szacunkiem, przepraszam, że na to naciskam. Wiedźcie, panowie, że dołożyłem wszelkich starań, abyście czuli się tak komfortowo, jak to tylko możliwe. Mamy przepyszne pielmieni z cienkiego, delikatnego ciasta. – Tu poklepał się po brzuchu i zaśmiał. – Jak widzicie, skosztowałem już paru. Sam wybierałem farsz, z wołowiny, baraniny

i wieprzowiny, doprawionych pieprzem, cebulą i czosnkiem. Zapewniam panów, że są przepyszne.

Obaj Rosjanie się uśmiechnęli.

– Jak moglibyśmy odmówić takiej gościnności – odezwał się jeden z nich po angielsku, twardo wymawiając spółgłoski i zaokrąglając samogłoski. – Od jakiegoś czasu nie jadłem dobrych piełmieni.

Gospodarz zauważył, że drugi z nowo przybyłych trzyma małe drewniane pudełko.

– Czy to może Święta Krew z Brugii?

– Tak – przyznał tamten i wręczył pakunek Olivierowi. – Nasz bilet na tę imprezę.

Jonty poprowadził nowo przybyłych szerokim korytarzem do wielkiej zamkowej sali. Zauważył, że nowi goście, podobnie jak ci, którzy już tam byli, rozejrzeli się po pokoju, by ustalić, kto jeszcze bierze udział w licytacji. Przeprosił ich uprzejmie i przywołał szefa kelnerów, który natychmiast do niego podszedł.

– Upewnij się, że Rosjanie dostaną wszystko, czego sobie zażyczą do picia. Wspomnij im, że mamy pod ręką wódkę Towariszcz. I przynieś piełmieni.

Mężczyzna oddalił się pośpiesznie.

Olivier również rozejrzał się po pokoju.

Cztery ekipy na miejscu.

Powinny dojechać jeszcze dwie.

Obie były już w drodze.

Podniósł wzrok i na galerii na piętrze zauważył Elia, przyglądającego się całej scenie. Za nim stał Art Munoz, jak zwykle z kwaśną miną. Jonty próbował go przeprosić za przesłuchanie z użyciem elektryczności, ale Bułgar nie przyjmował przeprosin. Olivier proponował mu nawet

rekompensatę pieniężną za cierpienia, ale ich były więzien tego również odmówił. Najwyraźniej nie należał do ludzi ugodowych.

Eli pomachał swobodnie Olivierowi, tak jakby chciał mu przekazać, że jest zadowolony z rozwoju sytuacji. Dwa krzesła, przeznaczone początkowo dla Niemców, usunięto z sali, a Reinhardt przyglądał się przebiegowi aukcji z galerii na piętrze, znajdując się poza zasięgiem wzroku ludzi na dole. Uzgodnili już z Jontym, że dwa dni po licytacji pojedą znów do kopalni i zaczną badać zawartość pojemników. Olivier szukał teraz eksperta, który dysponowałby odpowiednią wiedzą historyczną, a zarazem potrafił zachować dyskrecję oraz pracować szybko i w tajemnicy. Wciąż skłaniał się ku koncepcji sprzedaży całości archiwum Polakom, ale wolał odłożyć tę dyskusję na później.

Teraz liczyła się tylko aukcja.

Vic pojawił się w drzwiach i do niego podszedł.

– Dwie pozostałe ekipy będą tu w ciągu pół godziny.

– Wszystko w porządku?

– Dotąd bezproblemowo. Co nie oznacza, że tak będzie do końca dnia.

Jonty zgodził się z tą opinią.

Irańczycy i Rosjanie będą najgroźniejsi. Te dwa państwa miały najwięcej do stracenia w razie rozmieszczenia amerykańskich rakiet w Polsce. Oba nie miały też najmniejszych skrupułów i były zdolne niemal do wszystkiego. Olivier liczył jednak, że będą wolały użyć pieniędzy, nie przemocy, a może nawet połączyć siły, żeby wylicytować jakąś astronomiczną sumę, którą USA musiałyby przebić.

Możliwości wydawały się nieskończone.

Sprawdził zegarek.

Impreza wkrótce się zacznie.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Cotton siedział na tylnym siedzeniu samochodu, z czarnym workiem na głowie, czując się jak ostatni głupiec. Bunchowi najwyraźniej to nie przeszkadzało, ponieważ przez ostatnie dwadzieścia minut nie odezwał się ani słowem. Czekali w tunelu, aż drugi mercedes odciągnie ewentualnych obserwatorów. Metoda nieco zbyt efektowna, ale musiał przyznać, że skuteczna. Ktoś musiał to nieźle zaplanować.

Po wyjeździe z tunelu jechali przez większość czasu po gładkim asfalcie, zmierzając ze stałą prędkością na południe, tym razem bez przystanków. To oznaczało główną drogę, a nawet autostradę, bez ostrych zakrętów. Potem skręcili na zachód, na krętą trasę, która najpierw wiodła pod górę, a potem przez chwilę zrobiło się płasko.

– Możecie zdjąć kaptury – powiedział jeden z ich opiekunów.

Malone zerwał z głowy worek i odczekał moment, aż oczy przyzwyczają mu się do dziennego światła.

Wówczas zobaczył zamek.

Mercedes przejechał przez solidną, nabijaną żelaznymi ćwiekami bramę z broną, podniesioną na ich przyjazd. Na murze widniała data wykuta przez kamieniarza: 1564.



Wjechali na żwirowany pięcioboczny dziedziniec. W niebo wystrzelały wieże, każda zwieńczona hełmem. Jakaś słowacka forteca. Przed drzwiami z frontonem u szczytu czekał na nich okrągłutki mężczyzna w tweedowej marynarce i muszce.

– To Jonty Olivier – wyszeptał Bunch.

Mercedes stanął.

Cotton rzucił okiem na podłogę za przednimi fotelami, próbując dojrzeć nadajnik, ale nic nie zobaczył. Miał nadzieję, że nie dostrzeże go też nikt inny.

– Możecie wysiąść – odezwał się kierowca.

Malone spojrzał na Buncha, który bez wahania chwycił czarne lakierowane pudło z włącznią i otworzył drzwi. To tyle na temat uzgadniania wspólnej strategii.

– Panowie – odezwał się Jonty Olivier, rozkładając szeroko ramiona. – Witajcie!

Bunch wyciągnął dłoń, którą gospodarz natychmiast chwycił i potrząsnął.

– Pracuje pan z prezydentem Foxem?

– Tak jest – oznajmił Bunch. – Wysłał mnie tu osobiście, żebym zajął się tą sprawą. Rozumiem, że rozmawiał pan z prezydentem.

Olivier uniósł palec do ust i uciszył rozmówcę.

– To tajemnica, która powinna pozostać między nami. Nie każdy ma osobisty dostęp do prezydenta USA.

Cotton próbował ocenić gospodarza. Znawca mody? Najwyraźniej tak. Pewny siebie? Zdecydowanie. Człowiek kontrolujący swoje otoczenie? Na pewno starał się wywrzeć takie wrażenie na ludziach.

– To dla pana – oświadczył Bunch, prezentując pudło.

– Włócznia Świętego Maurycego! Jakie to emocjonujące! Proszę, wnieście ją do środka. – Olivier zaprosił ich gestem do wnętrza zamku. – Mamy dla niej specjalne miejsce.

Cotton uważnie przyglądał się zamkowi, kiedy prowadzono ich do wnętrza i wielkiej sali. Solidne ciemne kolumny dźwigały ciężar płasko sklepionego sufitu. W jednym końcu sali, nad wielkim, otwartym paleniskiem, wisiał herb byłego właściciela. Okna z szybami w czarnych żelaznych ramach, umieszczone wysoko w ścianach, wpuszczały promienie przedpołudniowego słońca. Cztery olbrzymie żyrandole z połączanego brązu, wyposażone w elektryczne żarówki, satysfakcjonująco doświetlały wnętrze. Po sali kręciło się ośmiu pogrążonych w rozmowie ludzi, podczas gdy kelnerzy donosili dania i napoje. Na dalszym krańcu sali, naprzeciwko pojedynczego wysokiego fotela i olbrzymiego telebimu, rozstawiono sześć par krzeseł. Olivier poprowadził ich do długiego dębowego stołu, wspartego na nogach o grubości pni. Na jego środku ustawiono na sztalugach wygrawerowany na miedzianej płycie obraz Chrystusa. Wokół niego leżały cztery inne artefakty: Święta Gąbka, Kolumna Biczowania, Krzyż Prawdziwy i Święta Krew. To oznaczało, że są tu Rosjanie, ale Malone nie rozpoznawał nikogo z obecnych.

Bunch położył pudło na stole, otworzył je i wyciągnął włócznię. Olivier wydawał się pod wrażeniem – i dokładnie o to chodziło Bunchowi.

– Co za cudo – zachwycił się Jonty. – Dziękuję, że ją przywieźliście.

– Jakbyśmy mieli wybór – rzucił Cotton.

Olivier zachichotał z uciechą.

– Nie. Podejrzewam, że nie mieliście, ale i tak wam dziękuję. A teraz, wybaczcie, muszę powitać kolejnych gości.

Rzeczywiście, oczekiwał jeszcze dwóch par.

Tych, którzy mieli dostarczyć święty gwóźdź i koronę cierniową.

Gospodarz podreptał kaczym krokiem ku wejściu.

Bunch wydawał się zadowolony z siebie.

– Na razie całkiem nieźle, prawda, Malone?

Niekoniecznie, ale Cotton nie zamierzał omawiać z tym idiotą innych możliwości. Miał nadzieję, że Iwona Nowak już do nich jedzie. Nie zauważył zbyt silnej ochrony, ale to nie oznaczało, że jej nie ma. W wielkiej sali nie było widać żadnych kamer, lecz mogły zostać ukryte, podobnie jak ochroniarze. Zauważył na piętrze starszego mężczyznę, uważnie przyglądającego się temu, co działo się na dole.

Jeszcze jedna niewiadoma w tym równaniu.

Bunch chwycił kieliszek szampana z tacy niesionej przez kelnera i wykonał w kierunku Cottona pytający gest: czy mam wziąć też dla ciebie? Malone pokręcił przecząco głową, podszedł do stołu, gdzie na chętnych czekała lodowata woda, i nalał sobie szklanekę. Zakładał, że znajdują się sześćdziesiąt do osiemdziesięciu kilometrów w głąb Słowacji. Nie widział otoczenia zamku, ponieważ ściany dziedzińca skutecznie ograniczały pole widzenia, a tu, w wielkiej sali, okna były zbyt wysoko. Olivier najwidoczniej postarał się, żeby goście mieli jak najmniejsze szanse ustalenia swojej lokalizacji. Iwone nie powinno to przeszkodzić, ale co dokładnie planowała?

Dobre pytanie.

Rozejrzał się wśród delegatów i zadał sobie pytanie, czy którykolwiek z nich również zdołał doprowadzić do zamku kogoś innego, czy też podczas tego polowania był jedynym psem myśliwskim, który potrafił wystawić zwierzynę. Bunch ruszył na spacer po sali i podszedł do delegacji z Chin. Ktoś z obsługi zabrał włócznię ze stołu i wyniósł ją z pola widzenia... Zapewne po to, by zweryfikować jej autentyczność. Ta aukcja

nie dotyczyła jednak relikwii – to zaledwie wisienka na torcie. Tortem zaś była informacja, która mogła zniszczyć obecnego prezydenta Polski.

– Malone! – zawołał Bunch. – Chodź, chcę cię komuś przedstawić!

Tego faceta nie obchodziło absolutnie nic poza nim samym. Coś jednak wyraźnie mówiło Cottonowi, że ta sytuacja skończy się kłopotami.

Wciąż ciekawił go starszy facet na galerii.

Kim był?

I dlaczego się tu znalazł?

# ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Czajkowskiemu bardzo się podobało, że nikt go nie rozpoznawał. W codziennym stroju łatwo wmieszał się w otaczający tłum. Wokół niego tłoczyły się setki ludzi: zagraniczni turyści i wielu pielgrzymów. Ich obecność była zrozumiała, wkraczali wszak właśnie w progi duchowej stolicy Polski.

Znajdujący się przed nim na wzgórzu klasztor od XIV wieku należał do zakonu paulinów. Przez wieki przekształcono go w ufortyfikowany kompleks o grubych kamiennych murach, które wytrzymały wiele oblężeń, w tym najbardziej znane – podczas potopu szwedzkiego w roku 1655. Częstochowa, pobliskie miasto leżące nad Wartą, zawsze była ośrodkiem handlu, a współcześnie stała się ważnym centrum przemysłu hutniczego, chemicznego i tekstylnego.

Prezydent opuścił Kraków w nieoznakowanym samochodzie, towarzyszyła mu dwójka ochroniarzy. Podróż na północ zajęła im nieco ponad godzinę. Jechali przez malownicze wapienne wzgórza Jury Krakowsko-Częstochowskiej, rozciągającej się przez dziesiątki kilometrów. Na wielu z nich stały ruiny zamków, układające się w tak zwany Szlak Orlich Gniazd, cel wielu wycieczek. Codziennie przejeżdżały tędy liczne

autokary z turystami, którzy chcieli uwiecznić na zdjęciach fortyfikacje, niegdyś broniące Polski przed najeźdźcami.

Czajkowski podążał za tłumem, wspinając się po szerokich kamiennych schodach i przechodząc pod pierwszą z czterech bram, które prowadziły do sanktuarium jasnogórskiego. Nie były one szczególnie ozdobne czy też piękne, ale za to praktyczne: miały zatrzymać ewentualnych najeźdźców. Resztę klasztoru otaczały solidne bastiony połączone murem obronnym.

Codziennie od zmierzchu do świtu potoki pielgrzymów wlewały się do klasztoru przez długą, ocienioną drzewami aleję, która biegła przez centrum Częstochowy. Czajkowski widział zza szyby samochodu dzisiejszych gości, pogrążonych w modlitwach i śpiewających pieśni. Poszczególne grupy pątników nosiły odznaki z nazwami miast, z których pochodzili, i liczbami pokazującymi, ile razy przeszli już tą drogą. Uznał to za bardzo stosowne, ponieważ on też odbywał swego rodzaju pielgrzymkę, tyle że w nieco innym celu.

Przeszedł przez ostatnią bramę i wkroczył na zamknięty teren pomiędzy zabudowaniami klasztorowymi. Czekał tam już na niego okazały mężczyzna w białym habicie. Szyję i podbródek zakonnika zasłaniała gęsta, splątana broda. Postarzał się nieco od ostatniego spotkania z prezydentem: brzuch miał większy, czuprynę rzadszą, a policzki bardziej obwisłe. To fascynujące, że ten człowiek, którego Czajkowski znał jako bystrego, twardego, przedsiębiorczego i kompletnie pozbawionego sumienia, wstąpił do klasztoru.

– Wspaniale znów cię widzieć! – pozdrowił go zakonnik.

Ostatni raz ich ścieżki skrzyżowały się dobre trzydzieści lat wcześniej.

– Staszek... a może powinienem się do ciebie zwracać „Ojcie Orliku”?  
Mnie też jest bardzo miło.

Jego stary przyjaciel wyciągnął dłoń, przypominającą raczej niedźwiedzią łapę, którą prezydent potrząsnął – mimo upływu lat uścisk dłoni tamtego pozostał silny i pewny. Ochroniarze Czajkowskiego stali kilka metrów dalej, usiłując wtopić się w tło. Strumień ludzi przepływał przez pobliską kasę biletową. Wszystkie wycieczki były oprowadzane przez zakonników.

– Nie pracujesz dzisiaj? – zapytał prezydent.

– Pracowałem, dopóki nie zadzwoniłeś.

Czajkowski dostrzegł błysk w oku starszego mężczyzny, jak za dawnych czasów.

– Wejźmy do środka – zaproponował Stanisław. – Tam będziemy mogli rozmawiać swobodniej.

Prezydent odwrócił się do ochroniarzy i kazał im zostać na zewnątrz. Nie byli szczególnie zadowoleni, ale nie próbowali się sprzeciwić.

Nad nim wyrastała na ponad sto metrów wieża z krzyżem na szczycie, jedna z najwyższych wież kościelnych w Polsce. Zegar, umieszczony mniej więcej w jednej trzeciej wysokości na jasnej ceglanej fasadzie, pokazywał 11.50. Czajkowski nie mógł już dłużej zwlekać. Niedługo Iwona wkroczy na licytację, a on powinien być wtedy uchwytany.

Teraz musiał dokończyć inną sprawę.

Stanisław Orlik, znany również jako Staszek, zajmował kiedyś wysokie stanowisko we władzach Solidarności. Oczywiście był wtedy młodszy, tak jak wszyscy. Wykonywał zadania, do których związek publicznie się nie przyznawał, a jego nazwisko nie pojawiło się w żadnej z niezliczonych książek na temat Solidarności. Niewiele osób o nim słyszało. Orlik miał umysł ostry jak brzytwa, a poza tym wiele innych talentów. Czajkowski poznał go dopiero po nieoczekiwanej wizycie w więzieniu mokotowskim,

kiedy trzech mężczyzn zatrzymało go na ulicy i poprowadziło do mieszkania na gęsto zamieszkałym warszawskim osiedlu.

Staszek już tam czekał.

– *Proszę, Janusz, siadaj.*

– *Skąd wiesz, jak się nazywam?*

– *To należy do moich obowiązków.*

*Czajkowski wolał dalej stać.*

– *Czego ode mnie chcecie?*

– *Potrzebujemy twojej pomocy.*

– *My, czyli kto?*

– *Twój kraj. Twoi bracia w walce z prześladowcami. Solidarność.*

*Wybierz sobie.*

– *Wiesz, skąd właśnie wyszedłem.*

*Orlik skinął głową.*

– *Właśnie dlatego potrzebujemy twojej pomocy.*

*Janusz poczuł się kompletnie dezorientowany. Najpierw władza zmusiła go do współpracy, żądając od niego czegoś, czego nie mógł jej dać, a teraz jego towarzysze próbowali tego samego.*

– *Czego chcecie? – powtórzył.*

– *Wciąż zmuszasz ludzi, żeby robili to, czego sobie zażyczysz? – zapytał prezydent.*

– *W zakonie nie mam zbyt wielu okazji, aby pochwalić się talentem. Obecnie poświęcam się bardziej altruistycznej działalności.*

*Czajkowski w to wątpił. Jego rozmówca dowodził najtajniejszymi jednostkami wywiadowczymi i kontrwywiadowczymi Solidarności. Przez ponad dziesięć lat Staszek siał spustoszenie w szeregach esbeków, na każdym kroku krzyżując szlaki Służbie Bezpieczeństwa, obracając jej własną taktykę przeciwko niej i wywołując wszędzie chaos.*



Weszli do Bazyliki Znalezienia Krzyża Świętego i Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, wznoszącego się przed nimi olbrzymiego kościoła z kamienia i cegły. Jego sklepienie pokryto bogatymi sztukateriami w jasnych kolorach. Na ścianach widniały freski i polichromie, wszystkie poświęcone Maryi Dziewicy, ponieważ cały kompleks był związany z kultem maryjnym. Wokół przesuwali się kolejne grupy podziwiających wewnątrz turystów, prowadzone przez przewodników w białych habitach.

Staszek został w Solidarności do 1991 roku. Kiedy Wałęsę wybrano prezydentem, usługi Orlika nie były już potrzebne. Potem pracował przez chwilę dla rządu, ale ostatecznie gdzieś zniknął, by dziesięć lat temu wypłynąć jako jeden z paulinów.

– Dlaczego zwróciłeś się ku Kościołowi?

Zakonnik wzruszył ramionami.

– Bóg mnie wezwał, a ja mu odpowiedziałem.

Krótko, zwięźle i na temat. Cały Stanisław.

– Nigdy nie uważałem cię za człowieka religijnego – odparł Czajkowski. – Ani przez chwilę.

– Wiara to rzecz osobista. Każdy zachowuje ją dla siebie. Biorąc pod uwagę, co robiliśmy, wiara była jedynym sposobem, żebym pozostał przy zdrowych zmysłach.

To prawda. Ci, którzy kiedyś walczyli przeciw komunistom, na ogół głęboko wierzyli w Boga. Kościół odegrał ważną rolę w tamtych wydarzeniach, tym bardziej że wspierał go autorytet papieża, którym był wówczas Polak. Wielu przyjęło to jako znak od siły wyższej, że działają w słusznej sprawie.

– Teraz to całe moje życie – dodał Staszek.

Prezydent w to wierzył. Jego rozmówca był przede wszystkim pragmatykiem i robił wszystko najlepiej, jak potrafił. Ich pierwsze,

naznaczone piętnem konfrontacji spotkanie, w 1982 roku, nastąpiło dość nieoczekiwanie, ale potem połączyło ich coś więcej niż koleżeństwo. Może nawet przyjaźń? Do 1991 roku blisko współpracowali, w sekrecie wprowadzając w życie to, co nazwali protokołem warszawskim.

Staszek stanął tuż za nim.

– Ciekawe, prawda? Nas dwóch, tutaj, gdzie nikt chyba nie wie, kim jesteście. Ja? To zrozumiałe, zawsze pozostawałem anonimowy. Ale ty? Kiedyś tak, teraz już nie.

Wokół nich przemieszczał się kilkusetosobowy tłum. Wiele osób zmierzało ku Kaplicy Cudownego Obrazu, stanowiącej cel większości pielgrzymujących.

– Tu mogę być anonimowy na tyle, na ile pozwala mi moje stanowisko – odparł Czajkowski.

– Co się dzieje? – zapytał w końcu jego rozmówca szeptem. Prezydent utkwił spojrzenie w bazylice.

– Przeszłość powraca.

– Naprawdę myślałeś, że odeszła na dobre?

– Miałem taką nadzieję, ale się myliłem.

– Pewien mądry człowiek powiedział kiedyś, że przeszłości nie można zmienić. Mamy władzę tylko nad przyszłością.

– Wolę cytować Napoleona: „Jeżeli pozwolimy, żeby przeszłość kłóciła się z teraźniejszością, szybko okaże się, że przegraliśmy przyszłość”.

Staszek się zaśmiał.

– A tymczasem zbliżają się wybory...

– Właśnie!

– Jest aż tak źle?

– Dość, żebyśmy musieli wziąć to na siebie.

– Tylko ty i ja?

– Nie. Na szczęście mam też innych ludzi, którzy pracują nad tym problemem nawet teraz, kiedy tu rozmawiamy.

Orlik wskazał mu dłonią drogę.

– W takim razie odwiedzmy naszą Panią Jasnogórską i sprawdźmy, czy pomoże nam odnaleźć mądrość.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Jonty po raz ostatni sprawdził, jak wygląda sytuacja w wielkiej sali.

Wszyscy już przybyli i teraz członkowie sześciu delegacji raczyli się daniami i napojami, prowadząc przy okazji swobodną konwersację. Nawet Irańczycy i Koreańczycy wydawali się o wiele bardziej serdeczni, niż sobie początkowo wyobrażał. Częste wizyty kelnerów z wciąż nowymi tacami pełnymi jedzenia i drinków świadczyły o tym, że uczestnicy licytacji się wyluzowali. Ekspert ocenił, że wszystkie siedem relikwii to autentyki, co było dobrą wiadomością. Teraz, bezpiecznie spakowane, znajdowały się niedaleko wewnętrznego dziedzińca, w samochodzie czekającym tylko na zakończenie aukcji. Zdążył już wypłacić ekspertowi honorarium i go odesłać. Jonty i Vic mieli opuścić zamek zaraz po zakończeniu licytacji, a jutro porozmawia z Eliem z bezpiecznej odległości.

Reinhardt i jego pomocnik zachowywali się przyzwoicie. Zniknęli z galerii, gotowi przysłuchiwać się aukcji z otwartej sypialni na piętrze, położonej poza zasięgiem wzroku. Olivier był pewien, że wszyscy się denerwują: przecież za chwilę będą przebijać nawzajem swoje oferty, licząc na to, że przeciwnik popełni błąd. Vic donosił w ostatnim raporcie, że na zamku i wokół niego panuje spokój.

Sprawdził kieszonkowy zegarek.

Breguet z osiemnastokaratowego złota, ręcznie grawerowany, na mechanizmie z różowego złota. Kosztował niemal siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jonty sprawił go sobie w prezencie po zawarciu innego lukratywnego kontraktu. Po tej licytacji również będzie musiał przyznać sobie jakąś nagrodę, i to wyjątkowo cenną.

Na zewnątrz rozległ się donośny dźwięk dzwonu, a zaraz po nim melodyjne kuranty.

Południe.

– Panowie, zaczynamy! – zawołał.

\* \* \*

Cotton poszedł ku dwóm krzesłom ozdobionym amerykańską flagą. Zauważył, że stanowiska pozostałych uczestników licytacji również oznaczono ich barwami. Francja, Iran, Rosja, Chiny, Korea Północna. Dziwne, że nie znalazły się tu delegacje Wielkiej Brytanii ani Niemiec, ale zapewne kraje te zrezygnowały z udziału. Przypomniawszy sobie również, że w skład *arma Christi* wchodziło siedem relikwii, tymczasem na dębowym stole naliczył ich tylko sześć. Gdzie znajdował się święty gwóźdź? I kim był starszy mężczyzna, który wcześniej gapił się na nich z galerii? Malone nie widział go od dobrych dwudziestu minut.

Nie znał graczy, stołu, kasyna ani nawet jego dokładnej lokalizacji. To było co najmniej niepokojące, ale bywał już w gorszym położeniu. Tom Bunch nie zwracał na to wszystko uwagi, z ożywieniem konwersując z Francuzami. Wyglądało na to, że wszyscy na tej sali zastosowali się do instrukcji z e-maila, która wykluczała udział tłumaczy – uczestnicy bez wyjątku mówili po angielsku.

– To wszystko jest takie emocjonujące – zwierzył się Bunch Cottonowi, kiedy zajmowali miejsca. – Znaleźliśmy się w oku cyklonu!

– Zdajesz sobie sprawę, że to najgorsze miejsce? To oznacza, że jesteś w samym środku poważnych problemów.

– Ach, daruj już sobie ten pesymizm. Oto my, reprezentanci naszego kraju, na chwilę przed zakupem informacji, które pozwolą nam dogryźć Rosjanom i Irańczykom naraz. Jak często masz taką szansę? Raz w życiu? Rzadko, Malone, naprawdę rzadko!

Na małym drewnianym stoliczku przed nimi znajdowały się dwa notesiki z ołówkami, karafka z wodą i lodem, dwie szklanki oraz zaklejona żółta koperta, na której napisano „Nie otwierać bez instrukcji”. Cotton zauważył, że wszyscy kelnerzy wyszli z sali, a ciężkie dębowe drzwi zamknięto.

Jonty Olivier wyszedł na środek pomieszczenia, przed telebim w grubej drewnianej ramie.

– Chciałbym oficjalnie powitać wszystkich i podziękować za przybycie. Wiem, że chcielibyście już rozpocząć licytację, ale zanim zaczniecie przedstawiać oferty, pragnę wam pokazać pewne dokumenty. Każdemu z was dostarczono wraz z zaproszeniem próbkę towaru. Teraz mogę ujawnić nieco więcej, w geście dobrej woli oraz po to, by zademonstrować wartość informacji, która zostanie tu dzisiaj wystawiona na sprzedaż.

– Doceniamy to! – krzyknął Bunch. – Nikt nie chciałby kupować kota w worku!

Malone złowił zaskoczone spojrzenia części uczestników. Prawdopodobnie niewielu z nich znało ten idiom.

– Co to, to nie, panie Bunch – zgodził się uprzejmie Olivier. – Nikt nie chciałby znaleźć się w tej sytuacji, zatem upewnijmy się, że nikt nie zakupi wadliwego towaru. Wszystko, co mam na sprzedaż, jest autentyczne. Pozwólcie, że zanim zaczniemy, przekażę wam jeszcze kilka słów instrukcji. Chciałbym, żebyśmy zachowywali się tu wobec siebie grzecznie

i z szacunkiem. Oczekuję, że wszyscy będą tak postępowali. Jak widzicie, nie zatrudniłem żadnej ochrony w celu zachowania porządku. Ufam, że każdy z was zachowa stosowne maniery. Czy to jasne?

– My nie dzieci – odparł jeden z Rosjan.

– Ależ oczywiście, że nie – ucieszył się Olivier. – Wszyscy jednak jesteście zapalczywymi ludźmi, którzy przybyli tu z pewną misją, i macie sprzeczne cele. To może doprowadzić do... pewnych irracjonalnych zachowań. Nie pozwólmy na nie.

Teraz nikt się już nie odezwał.

– Świetnie. Proszę otworzyć koperty, które przed wami leżą. Wyjmijcie spięty plik dokumentów i połóżcie go na stole.

\* \* \*

Jonty podszedł do telebimu stojącego przed dwunastką gości, w tej chwili jeszcze ciemnego, ale za chwilę mającego wyświetlić obraz z podłączonego laptopa, który spoczywał na półce tuż za ekranem. Plan był prosty: skusić ich, pokazując więcej dokumentów ze zbioru, a potem, kiedy nabiorą apetytu, otworzyć licytację. Wszystkich powiadomiono, że aukcja będzie warunkowa, co oznaczało, że zanim nie zaakceptuje ostatecznej sumy, może odrzucić każdą ofertę.

Miał istotny powód, żeby tak postąpić.

Nie chciał sprzedać tych dokumentów tanio.

Jaka będzie ich ostateczna cena? Trudno powiedzieć. Podejmie decyzję w trakcie licytacji.

Oparł się pokusie zerknięcia w górę, ku galerii, nie chcąc wzbudzać zainteresowania obecnych. Powiedział Eliowi, żeby trzymał się poza zasięgiem wzroku, i wydawało się, że Reinhardt, jego nemezis, tym razem zastosował się do polecenia. Vic miał na wszystko oko i zaalarmowałby go, gdyby coś poszło niezgodnie z planem. Tak jak poprzednio uzgodniono,

wszyscy pozostali, kierowcy i służba, opuścili teren zamku. Zostaną wezwani, kiedy aukcja się zakończy. Teraz mógł poświęcić całą uwagę ludziom na sali.

Włączył telebim.

– Proszę odkryć pustą kartkę z wierzchu leżącego przed wami stosu.

Stuknął w klawisz laptopa i wywołał na ekran dokument.

Czysty obraz w wysokiej rozdzielczości.

– Pozwólcie, że wyjaśnię, co właśnie widzimy.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Czajkowski wszedł do Kaplicy Cudownego Obrazu, niewielkiego pomieszczenia o żebrowanym gotyckim sklepieniu. Niższą część ścian wyłożono kurdybanem, połączoną skórą, ozdobioną ornamentami i wytłaczaną. Na dalszym końcu, tuż za ołtarzem z hebanu i srebra, umieszczony na barokowym tle, wisiał obraz, dla którego co roku przybywały tu miliony pielgrzymów z całego świata.

Jasnogórska Pani.

Czarna Madonna.

Obraz nie był wcale wielki. Ozdobna drewniana rama miała może metr wysokości i osiemdziesiąt centymetrów szerokości. Malowidło spoczywało za szkłem, niczym na tronie. Przedstawiało postać Maryi od pasa w górę, z Dzieciątkiem Jezus w ramionach. Obie figury miały ciemną skórę, jak na bizantyjskich ikonach, ich twarze ginęły w odbłaskach od szklanej osłony, a ich głowy okalały złoczone aureole pełne klejnotów. Maria na obrazie miała błękitną szatę w złote lilie, a dzieciątko – czerwoną. Jezus w lewej dłoni trzymał książkę, prawą natomiast wyciągał przed siebie w geście błogosławieństwa, symbolizującym drogę do zbawienia. Twarz jego matki

była piękna, jej widok przeszywał widza głęboką czcią. Ludzie zwali tę postać z grecka *hodegetria*.

Tą, która wskazuje drogę.

Legenda głosiła, że autor obrazu, Święty Łukasz Ewangelista, namalował go na desce ze stołu, przy którym jadała Święta Rodzina. Rzeczywistość wyglądała jednak całkiem inaczej: malowidło powstało w średniowieczu na Bałkanach. Była to tempera na płótnie przymocowanym do trzech lipowych desek, zdobyta przez pewnego polskiego księcia jako łup wojenny i oddana zakonnikom. Z obrazem tym wiązały się zawsze liczne cuda, zwłaszcza ozdrowienia. To przyciągało pielgrzymów, którzy przybywali tu od stuleci, często składając wotywny dary w zamian za cudowną interwencję. Wota te ozdabiały teraz ściany kaplicy jako dowody wdzięczności. W XV wieku klasztor najechali husyci, którzy uszkodzili obraz. Potem go odrestaurowano, lecz dwa cięcia na policzku Marii pozostawiono i utrwalono cynobrową farbą, czyniąc z nich symbol wiecznej udręki Polski.

Dzisiaj kaplica była pełna wiernych szukających pocieszenia i wybawienia. Wielu z nich zbliżało się do obrazu na klęczkach, na znak pokory i szacunku. Podczas drugiej wojny światowej nawet Hitler okazał szacunek Jasnogórskiej Pani: zdobył klasztor, ale nie tknął obrazu, zakazał tylko oddawania mu czci. Nie powstrzymało to jednak Polaków, którzy przez całą drugą wojnę światową odwiedzali to miejsce w tajemnicy.

Staszek przeżegnał się, a prezydent poszedł za jego przykładem. Głęboko wierzył, że można tu wyczuć obecność Maryi Dziewicy. Znał kilku ludzi, którzy po wizycie na Jasnej Górze zostali uleczeni. Czajkowski i Orlik stali teraz z tyłu pełnego czci tłumu, za solidną barierką. We wnętrzu kaplicy panowała cisza, zakłócana tylko szelestem ubrań pątników poruszających się na kolanach. Niedaleko nich w gablocie wystawiono

laski, kule i inne medyczne sprzęty, pozostawione przez ludzi, którzy odzyskali władzę w nogach.

Nieźle świadectwo.

Jego przyjaciel wydawał się głęboko pogrążony w modlitwie, więc prezydent dołączył do niego.

Święta Matko Częstochowska, łaskiś pełna, dobroci i miłosierdzia. Tobie poświęcam wszystkie myśli, słowa i czyny, moją duszę i ciało. Proszę Cię o błogosławieństwo i modlitwę za moje zbawienie. Dzisiaj oddaję Ci się całkowicie, Dobra Matko – duszą i ciałem, w radości i cierpieniu, by zyskać dla siebie i innych Twoje błogosławieństwo na tej ziemi i życie wieczne w niebiosach.

Wymruczał „Amen” z nadzieją, że modlitwa pomoże mu rozwiązać spiętrzone nagle problemy. Każda chwila spędzona tutaj oznaczała kolejną minutę bez wiadomości od Iwony. Wewnątrz klasztoru nie zezwalano na używanie telefonów komórkowych i zakaz ten dotyczył nawet prezydenta Polski, więc jeżeli nawet próbowała się z nim skontaktować, musiała zaczekać.

Staszek skończył się modlić, przeżegnał się po raz kolejny, po czym wyszeptał:

– Chodź za mną.

Wyszli z kaplicy i skierowali się z powrotem do bazyliki. Przeszli przez jej pełne przepychu wnętrze i po wędrowce ciągiem niepozornych korytarzyków znaleźli się w bibliotece. Jej ściany wyłożono wspaniałą barokową boazerią, w którą wkomponowano półki z książkami. Kartusze nad każdą szafą wskazywały tematykę ksiąg. Na marmurowej podłodze w szachownicę stały dwa masywne stoły z wypolerowanymi, bogato intarsjowanymi blatami. Półki zastawione były bogato ilustrowanymi średniowiecznymi manuskryptami w złożonych skórzanych oprawach.

Stały ich tam tysiące, jeden przy drugim. Sklepiiony sufit wymalowano w jasne freski będące pochwałą życia i nauki, a pomieszczenie oświetlały żyrandole. Czajkowski zauważył nad głową zdanie *Sapientia aedificavit sibi domum* (Mądrość wybudowała sobie dom). Wciągnął aromat starej skóry i poczuł, że maksyma wymalowana na suficie dodała mu otuchy.

– Usiądźmy – zasugerował jego towarzysz.

Opadli na skórzane krzesła przy jednym ze stołów.

– Być może pora publicznie poruszyć kwestię protokołu – zaczął prezydent. – Minęło tyle czasu. To chyba nie ma już większego znaczenia?

– Ależ ma! Złożyliśmy przysięgę. Nie rzucam słów na wiatr i ty też nie powinienes.

– Elekcja na następną kadencję jest dla mnie ważniejsza niż jakakolwiek przysięga złożona kilka dekad temu.

Orlik rzucił mu zaintrygowane spojrzenie.

Wówczas Czajkowski wyjaśnił, jakiemu problemowi musi stawić czoła.

Kiedy skończył, Staszek zapytał:

– Wspominasz jeszcze tamte czasy? Kiedy zmienialiśmy świat?

– Wolę się skupić na przyszłości, a konkretnie na tym, żeby poprowadzić ten kraj bezpiecznym kursem. Przez amerykańskie rakiety staniemy się głównym celem dla Rosji i Iranu, a na to nie mogę pozwolić. Stany Zjednoczone chcą mnie zmusić do ustąpienia albo sprawić, że przegram w nadchodzących wyborach. Jeżeli moi ludzie nie powstrzymają tej aukcji, cały kraj będzie mnie miał za zdrajcę. Tylko ty i ja wiemy, że było inaczej.

– Ale na tym to polegało, Janusz! Wszystko działało tylko dzięki tajemnicy, inaczej niczego byśmy nie osiągnęli.

Wiedział, że ta rozmowa będzie trudna, ale musiał spróbować.

– Staszek, jeżeli Amerykanie dostaną te dokumenty z SB, wykorzystają je, żeby wymusić na mnie zgodę na umieszczenie rakiet w naszych granicach.

– Zrobiłbyś to?

– Nie miałbym wyjścia. Gdybym złożył dymisję, moje obowiązki przejąłby marszałek Sejmu, a ten facet na pewno pozwoliłby im na rozmieszczenie pocisków. Gdybym odmówił, ujawniliby dokumenty, które czynią ze mnie zdrajcę. Wolałbym jednak inne wyjście.

Starszy mężczyzna umilkł.

Prezydent nigdy nie potrafił zgadnąć, o czym myśli Orlik.

– W tej bibliotece podczas drugiej wojny światowej spotykali się bojownicy polskiego ruchu oporu, żeby opracowywać strategię działania – odezwał się w końcu Staszek. – Zakładali, najczęściej słusznie, że w klasztorze są bezpieczni. Ci dzielni ludzie potrafili dokonać wielu zniszczeń. Przerywali niemieckie linie dostaw, prowadzili działania wywiadowcze i ocalili więcej Żydów niż jakikolwiek aliancki rząd. Wszyscy byli częścią Polskiego Państwa Podziemnego. Korzystaliśmy z ich dziedzictwa, kiedy zaczęliśmy walkę z Sowietami. Staliśmy się nowym Polskim Państwem Podziemnym.

– Nie zapomnieliśmy o ich poświęceniu. Co roku 27 września obchodzimy Dzień Polskiego Państwa Podziemnego. Staszek, nazistów i Sowietów już nie ma. Dzisiaj wrogowie wyglądają inaczej, bardzo często są naszymi przyjaciółmi. Świat się zmienił. Powtórzę: potrzebuję twojej pomocy.

– Czekał, pokażę ci coś.

Orlik wstał i wyciągnął z bibliotecznej półki jeden z wysokich woluminów w skórzanej oprawie. Otworzył wiekową księgę.

– To pierwszy tom *Miraculorum Beate Virginia Monasterii Czestochoviensis*, kroniki czterystu dziewięćdziesięciu ośmiu cudów przypisywanych naszej Pani od roku tysiąc czterysta drugiego do tysiąc sześćset czterdziestego drugiego.

Czajkowski nie posiadał się ze zdumienia.

– Istnieje jakiś rejestr cudów?

– O tak. Paulini byli bardzo skrupulatni. Zapisywali i dokumentowali każdy cud, opisując jego przebieg i odnotowując świadków. Wciąż istnieją dwie kroniki pisane ręcznie i pięć drukowanych, zawierających spis cudownych wydarzeń z tych czterystu lat. Nie da się co prawda ustalić, czy te relacje są prawdziwe, wiemy tylko, że istnieją.

– Zakładam, że opowiadasz mi o tym z jakiegoś powodu?

Staszek się uśmiechnął.

– Oczywiście. Ja też prowadziłem kronikę.

Prezydent milczał wyczekująco.

– Kronikę protokołu warszawskiego.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Cotton popatrzył na telebim, na którym został wyświetlony ręcznie pisany dokument. Stronę wypełniał tekst w języku polskim, zapisany ciężkim, męskim charakterem pisma. U dołu widniał nieco rozmazany, lecz czytelny podpis.

„Janusz Czajkowski”.

A dalej data.

„9 sierpnia 1982”.

– Jak widać, w lewym dolnym rogu odcisnięto pieczęć używaną przez Służbę Bezpieczeństwa od lat siedemdziesiątych do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego w celu poświadczania oficjalnych zapisów. Tę samą pieczęć można znaleźć na setkach tysięcy innych dokumentów SB, również tych zarchiwizowanych w Instytucie Pamięci Narodowej. Papiery, które tu widzimy, zostały zachowane przez byłego majora SB, Aleksego Dyleckiego. To on zwerbował młodego działacza Solidarności, Janusza Czajkowskiego, jako tajnego współpracownika. Macie kopię tego dokumentu w pliku przed sobą. Proszę jej się dobrze przyjrzeć.

Bunch już sięgał do dokumentów.

– Czytasz po polsku? – zapytał Malone.

– Cholera, nie. Jeżeli to nie po angielsku, to mnie nie interesuje.

Z jakiegoś powodu Cotton się nie zdziwił.

Łatwo uczył się języków, dzięki ejdetycznej pamięci odziedziczonej po mieczu. Niestety nie opanował dotąd polskiego.

– Dla tych, którzy nie rozumieją oryginału, przygotowałem tłumaczenie na wasze rodzime języki. Znajduje się na następnej kartce – obwieścił Olivier.

Malone zdążył ją złapać przed Bunchem.

Razem wczytali się w angielski tekst.

Olivier wskazał na ekran.

– Ten dokument poświadcza, że Janusz Czajkowski zgadza się pracować jako informator i dostarczać Służbie Bezpieczeństwa rzetelnych i wartościowych informacji. Zapytacie, po co to udokumentowano? Dlaczego nie załatwiano takich spraw nieformalnie? Po to, żeby zapewnić sobie absolutną lojalność współpracownika. W tamtych czasach kolaboracja z SB była najgorszą rzeczą, jaką mógł zrobić Polak. Publiczne ujawnienie podpisanego dokumentu zhańbiłoby podpisaną osobę. W ten sposób zastraszano informatorów: groziły im represje z obu stron. Dlatego robili to, czego od nich oczekiwano, głównie dlatego, by zachować fakt współpracy w sekrecie. – Olivier przerwał na chwilę. – Jak widzicie, Czajkowskiemu nadano również pseudonim, którego następnie używano. Nie był zbyt pochlebny: „Baran”.

Cotton uważnie przyglądał się polskiej wersji dokumentu.

– Autentyczność podpisu została potwierdzona – ciągnął Jonty. – Zatrudniłem trzech ekspertów o światowej renomie, którzy przejrzyli cały materiał porównawczy, czyli sto czterdzieści dwa dokumenty, napisane lub podpisane przez Janusza Czajkowskiego w okresie od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego do zeszłego roku. Wśród nich znalazły się



między innymi jego poprzedni dowód osobisty, prawo jazdy, dokumenty z czasu kadencji parlamentarnej, dokumenty związane z nabyciem ziemi i domu, akta personalne od dwóch pracodawców, pisma zachowane w ciągu ostatnich pięciu lat w Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i dane paszportowe. Wszystko, co mogłem zdobyć. Ekspertyzy te zostaną wam dostarczone. Wszyscy trzej specjaliści zgodzili się bez zastrzeżeń, że dokumenty, o których rozmawiamy, wyszły spod ręki Czajkowskiego.

– A co, jeśli się mylą? – zawołał jeden z Francuzów. – I okaże się, że to falsyfikaty?

– Zapewniam panów, że nie mam zamiaru sprzedawać fałszywych dokumentów... ani kota w worku, jak to ujął nieco wcześniej pan Bunch. Jeżeli którykolwiek z tych papierów zostanie uznany za fałszerstwo w ciągu czternastu dni od tej aukcji, zwrócę nabywcy pieniądze. Po tym czasie zwrotów nie przyjmuję. To powinno zapewnić kupcowi mnóstwo czasu na weryfikację. Jakiej jeszcze gwarancji byście panowie chcieli?

– Ale tymczasem będzie pan już miał nasze pieniądze? – zapytał Irańczyk.

– To prawda. Ale każdy z reprezentowanych przez panów rządów może wytropić mnie w ciągu kilku godzin. Uznaję ten fakt i przez wzgląd na to zgadzam się na takie warunki.

„Chytre posunięcie”, pomyślał Cotton. Poruszyć kwestię wiarygodności na początku i przyznać, że uczestnicy licytacji są w lepszej sytuacji. Wszyscy w pokoju wydawali się usatysfakcjonowani zarówno pytaniami, jak i odpowiedziami.

– W pliku przed wami znajdziecie więcej próbek pism, które zostaną dzisiaj zlicytowane. Dam panom kilka chwil na dokładne przyjrzenie się im. Wśród dokumentów znajdziecie także spis treści, prezentujący całość oferowanych informacji.

Malone przestudiował spis.

1 ręcznie pisane zobowiązanie do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa, z 9 sierpnia 1982;

37 ręcznie pisanych rachunków, potwierdzających przyjęcie pieniędzy przekazywanych przez oficerów SB w zamian za informacje, z okresu pomiędzy 12 sierpnia 1982 a 29 czerwca 1989, na łączną sumę 11 700 zł;

49 ręcznie pisanych raportów tajnego współpracownika, sygnowanych pseudonimem »Baran«;

18 raportów tajnego współpracownika bez pseudonimu ani podpisu, napisanych niewątpliwie charakterem pisma Janusza Czajkowskiego;

26 ręcznie pisanych raportów tajnego współpracownika, przygotowanych przez Janusza Czajkowskiego, pseudonim »Baran«, wspomnianych przez oficera prowadzącego (Aleksego Dyleckiego);

5 ręcznie pisanych raportów, składających się w sumie z 34 stron, przygotowanych przez oficera prowadzącego (Aleksego Dyleckiego), zawierających pseudonim »Baran«;

11 ręcznie pisanych raportów tajnego współpracownika, opatrzonych pseudonimem »Baran« przez oficera prowadzącego (Aleksego Dyleckiego).

Sto czterdzieści siedem stron.

Gdyby Czajkowski chciał komuś zarzucić fałszerstwo, będzie miał trudne zadanie.

Sama liczba dokumentów przemawiała za ich autentycznością, a Olivier był na tyle pewny swoich ekspertów, że gwarantował zwrot pieniędzy, a nawet dawał za to głowę.

– Mnie przekonał – szepnął Bunch.

To również nie zaskoczyło Cottona.

– Uznanie kogoś za byłego informatora komunistów stygmatyzuje człowieka w oczach współczesnego polskiego społeczeństwa tak samo jak

kiedyś, a może nawet bardziej. Ale jeżeli taka etykieta przyklei się do prezydenta państwa? To doprawdy niebywałe – ciągnął Jonty. – Zobaczcie, co stało się z Lechem Wałęsą. Pojawiły się dokumenty, które dowodzą, że on też mógł być tajnym współpracownikiem. Doświadczeni grafologowie potwierdzili ich autentyczność. Wałęsa ogłosił jednak, że to fałszywki sporządzone przez komunistów, by go zdyskredytować. W końcu polski sąd ogłosił, że Lech Wałęsa nie był informatorem, lecz błoto zdążyło do niego przyłgnąć. Ostatecznie Wałęsa przyznał się do podpisania dokumentów, ale powiedział, że grał w ten sposób z SB, próbując dowiedzieć się od nich jak najwięcej. – Olivier zamilkł i wzruszył ramionami. – Jaka jest prawda? Kto wie? Wiemy tylko, że piętno pozostaje. Tu sytuacja jest o niebo czystsza. Czajkowski to jeden z milionów ludzi, którzy dołączyli do Solidarności w latach osiemdziesiątych. Nie był Lechem Wałęsą ani nikim ważnym. Żaden oficer SB nie podrabiałby dokumentów, by go zdyskredytować.

– Chyba że fałszerstwa dokonano całkiem niedawno – zauważył przedstawiciel delegacji Chin.

– To byłoby łatwe do wykrycia. Eksperci powiedzieli mi, że oryginały, które chcecie zakupić, z pewnością pochodzą z lat osiemdziesiątych. Świadczą o tym między innymi papier i tusz. Wszystko to jest spójne. Oficer prowadzący Czajkowskiego najwyraźniej zatrzymał sobie wiele dokumentów dotyczących wielu informatorów. Czajkowski był tylko jednym z nich. Osobiście oglądałem tamto archiwum.

– Czy on żyje?

– Zmarł dawno temu, lecz informacja przetrwała. Miał dwie szafy pełne papierów. Jedna z szuflad okazała się wyjątkowa: zawierała informacje na temat ludzi, którzy od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku zajmowali wysokie stanowiska, a których major Dylecki prowadził kiedyś jako tajnych współpracowników. Trzymał te teczki osobno. W jednej z nich

znajdowała się dokumentacja współpracy z młodym działaczem Solidarności, Januszem Czajkowskim, którego potem wybrano na najwyższe stanowisko w państwie.

Olivier zamilkł, najwyraźniej chcąc, by jego słowa zapadły obecnym dobrze w pamięć.

Bunch wydawał się podekscytowany perspektywą licytacji.

Cotton pozostawał nieufny.

Żaden szantaż nigdy nie wyszedł nikomu na zdrowie.

# ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Czajkowski gapił się na starego przyjaciela.

Czy dobrze usłyszał?

– Prowadziłeś kronikę protokołu?

– Pomyślałem, że któregoś dnia, kiedy nas już dawno nie będzie, historycy mogą potrzebować dowodów.

Dzięki Bogu za zachowania obsesyjno-kompulsywne! To dzięki nim Staszek był tak znakomitym oficerem wywiadu... Prezydent wiedział, że jego przyjaciel nie lubił tego miana. Wolał przezwisko, jakim prywatnie obdarzył go Lech Wałęsa: „Sowa”. Przewodniczący Solidarności wypowiadał je zawsze z szelmowskim uśmiechem.

– Wciąż jesteś Sową? – zapytał Czajkowski.

Orlik uśmiechnął się i skinął głową.

– Samotnik prowadzący nocny tryb życia, o znakomitym wzroku, niewiarygodnym słuchu i ostrych szponach. Teraz już jednak nie poluję na ludzkie słabości. Na szczęście ludzie, z którymi wtedy się rozprawialiśmy, mieli ich mnóstwo.

– Gdzie jest twoje archiwum protokołu warszawskiego?

– Bezpiecznie ukryte.

– Właśnie teraz, kiedy tu gadamy, gdzieś w Europie przebiega aukcja. Ktoś sprzedaje na niej stuprocentowo autentyczne dokumenty, które mogą posłużyć cudzoziemcom do zaszantażowania mnie. Jeżeli tak się stanie, będę miał dwa wyjścia: ulegnę ich groźbom albo zostanę publicznie zniszczony. Być może trafię nawet przed Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. To, co wtedy robiliśmy, mogłoby być z pewnością uznane za przestępstwo przeciw pokojowi i ludzkości. Podkreślam: „my”! Żyje jeszcze wiele osób, z którymi mieliśmy wtedy do czynienia, kobiet i mężczyzn, którzy zeznawaliby przeciwko nam.

– Nie jesteś pierwszy, który do mnie przychodzi.

To autentycznie zaskoczyło prezydenta.

– Był tu Lech Wałęsa i prosił o to samo, oczywiście we własnej sprawie.

– Dlaczego miałyby to robić? – zapytał ze zdumieniem Czajkowski.

– Proste, panie prezydencie: to on powierzył mi realizację protokołu warszawskiego... – Staszek na chwilę zamilkł. – I stał się jego pierwszym uczestnikiem.

To wstrząsnęło Czajkowskim.

Idea protokołu była prosta: zmienić informatorów Służby Bezpieczeństwa w agentów, którzy dezinformują SB. Nie wszystkich oczywiście, ponieważ działało ich zbyt wielu, ale dosyć, by poważnie zaszkodzić esbecji. Niewielka grupa kobiet i mężczyzn stale składała swoim opiekunom raporty, które w całości wychodziły spod ręki Orlika. Niektóre z nich zawierały nieszkodliwe, bezwartościowe informacje, zapewniające ich autorom względy w Służbie Bezpieczeństwa. Część stanowiły jednak starannie opracowane, umyślne kłamstwa, pozwalające podsuwać SB fałszywe tropy. Esbecy ruszali wówczas w pogoń za duchami, marnując czas i zasoby.

W końcu jednak protokół zaczął rodzić groźniejsze konsekwencje.

Wszystko zmieniło się po wprowadzeniu stanu wojennego. Przedtem wszyscy mieli nadzieję, że zmiany idą w dobrym kierunku, a Solidarność robi postępy, ale potężne ramię władzy zmiażdżyło opozycję polityczną, a ruchy wolnościowe musiały zejść do podziemia. Tysiące osób zatrzymano i uwięziono. Ludzie setkami tysięcy uciekali z kraju. Służba Bezpieczeństwa zwiększyła zasięg i starała się nastawić jednych Polaków przeciwko drugim.

Wszędzie działali szpiegowie.

Dlatego Staszek wymyślił, jak sobie z nimi radzić.

Wykorzystał swoją armię agentów kontrwywiadu, by obrócić SB przeciwko samej sobie. Idealny sposób, by oczyścić szeregi opozycjonistów. To działało. Aresztowano setki ludzi. Ci, którzy uważali się za bezpiecznych, ponieważ poszli na układ z władzami i donosili na sąsiadów, znikali bez śladu. Najczęściej ich zwłoki gniły gdzieś w ziemi, z kulą w głowie za pracę na dwa fronty. Komuniści nigdy nie tolerowali zdrady.

Protokół warszawski pozwalał Solidarności działać dalej bez przeszkód ze strony wścibskiej władzy. Czy był stuprocentowo skuteczny? Oczywiście, że nie. Ale okazał się na tyle efektywny, by zapewnić związkowi przetrwanie.

I stworzył go sam Wałęsa?

– Co ty mówisz? – zapytał prezydent.

– W latach siedemdziesiątych Wałęsę zwerbowano jako informatora. Oczywiście w tamtym czasie był tylko młodym elektrykiem w Stoczni Gdańskiej, praktycznie nikim. Ale już wtedy miał twardy i zadziorny charakter. Nienawidził komunistów i tego, co zrobili Polsce. Chciał się dowiedzieć o nich czegoś więcej, więc dał się wciągnąć do współpracy. To

cenne doświadczenie wykorzystał wiele lat później, gdy poprowadził nowy ruch społeczny.

Kiedy wybuchł skandal związany z domniemaną współpracą, Wałęsa przez pewien czas zachowywał milczenie, aż w końcu ogłosił, że nigdy nie był agentem, nigdy nikogo nie szpiegował, nie wziął za to żadnych pieniędzy i chętnie dowiedzie tego wszystkiego w sądzie. Oznajmił również zuchwale, że gdyby miał przeżyć swoje życie jeszcze raz, nie zmieniłby w nim ani jednej decyzji.

Teraz Czajkowski wiedział już dlaczego.

– Wałęsa przyjechał tu wtedy – opowiadał Staszek. – Usiedliśmy przy tym samym stole. Chciał, żebym zeznawał przed sądem i dowiódł jego niewinności. Wiedział o mojej kronice protokołu i chciał, żebym ją upublicznił. Odmówiłem.

– Zebrał niezłe ciągi od opinii publicznej.

– To prawda, ale jakoś to przetrwał. Ty też dasz radę.

– To inna sytuacja: Wałęsa nie musiał stawiać czoła elektoratowi. Na szali nie leżało wtedy bezpieczeństwo Polski i Polaków. Rakiety uczynią z nas cel Moskwy, zagrożą naszemu istnieniu. Zgadzając się na ich rozmieszczenie, opowiemy się po jednej ze stron w konflikcie między Wschodem a Zachodem. Jeżeli te dokumenty zostaną opublikowane, moi przeciwnicy upieką mnie na wolnym ogniu, a potem nasi słabi politycy pokłonią się nisko Stanom Zjednoczonym.

– Nie ufasz rządowi?

– Nie. Ufam tylko sobie.

Orlik się uśmiechnął.

– Zawsze byłeś twardzielem. Zauważyłem to już przy naszym pierwszym spotkaniu. Każdy następny dzień tylko to potwierdzał. Walczyłeś dzielnie.



Prezydent doceniał życzliwość przyjaciela.

– Współczuję ci niezmiernie – ciągnął Staszek. – Naprawdę. Ale to nie zmienia sedna sprawy.

Czajkowski podejrzewał, że tak będzie.

– Rozwinąłem pomysł Wałęsy, od jednego człowieka doszedłem do setek, a ostatecznie ponad tysiąca. Nie tylko dowiedzieliśmy się wielu rzeczy o naszych wrogach, ale potrafiliśmy ich zwodzić, tym łatwiej że byli zbyt głupi i zbyt żądni zwycięstwa, a przez to nieostrożni. Owszem, przy okazji zabito kilku Polaków, ale nie mam w związku z tym wyrzutów sumienia. Musieliśmy oczyścić nasze szeregi z chwastów, a najlepszą metodą okazało się sprowokowanie komunistycznych służb do zabicia tamtych. Niemniej to, co robiliśmy, musi pozostać w tajemnicy. Ujawnienie tego teraz rzuciłoby cień na to, co osiągnęliśmy.

– Ja również nie mam wyrzutów sumienia – odparł prezydent. – Donosiciele sami dokonali wyboru, decydując się szpiegować sąsiadów.

– Dokładnie tak stwierdził Wałęsa, a ja odpowiem ci to samo, co jemu: przysięgam na Biblię i Boga, że zabiorę tę tajemnicę do grobu. Prowadziłem kronikę tylko po to, żeby można było wyprostować historię, gdyby zaszła taka potrzeba, ale po mojej śmierci. To, co przydarzyło się Wałęsie, i to, co teraz dzieje się z tobą, nie wymaga wyprostowania. To nie mój problem.

Czajkowski odsunął krzesło i wstał. Na jego twarzy malował się gniew.

– Nie twój problem? To ty wciągnąłeś mnie do protokołu. Mnie i wszystkich innych. Nie mieliśmy wyboru. A potem pomogłem ci zwerbować wszystkich pozostałych. I oni, i ja pracowaliśmy dla ciebie, żeby móc usprawiedliwić przed sobą słabość, jaką okazywaliśmy wobec SB! – podniósł głos. – Przekonaliśmy samych siebie, że gra na dwa fronty to właściwa rzecz. I była właściwa, Staszek. Pomogła wygrać tę wojnę.

Obaliliśmy władzę i wywaliliśmy komunistów. Dzięki nam cała Europa Wschodnia nabrała odwagi, żeby zrobić to samo. Zmieniliśmy świat!

Odziany na biało zakonnik nie poruszył się, a jego twarz wyglądała jak wykuta z kamienia. Przez chwilę milczał, a potem odezwał się ledwo dosłyszalnym szeptem:

– To nie zmienia w niczym układu, na który wszyscy przystaliśmy.

– Mogę go publicznie ujawnić – zagroził prezydent. – Włącznie z twoją rolą.

Staszek na niego spojrział.

– Możesz. Ale nawet jeśli to zrobisz, piętno, jakie nosisz, nie zniknie.

– I co z tego? I tak jestem skończony. Żyją jeszcze inni, którzy brali w tym udział. Oni też mogą zaświadczyć, jak było.

– Żadna z tych osób w życiu nie przyzna się, że dostarczała informacji Służbie Bezpieczeństwa, a tym bardziej, że uprawiała dezinformację. Nikt nie będzie chciał wspominać tamtych czasów, bo i dlaczego? A nawet jeżeli ktoś się zdecyduje, będą to tylko słowa, a nie twardy dowód. Zostaniesz sam, prezydencie Rzeczypospolitej, tak jak Wałęsa. Bądź silny, tak jak on.

– Jeżeli niczego nie zrobię, będę skończony. Co więcej, w Polsce zostaną rozmieszczone obce rakiety i w razie eskalacji konfliktu staniemy się dla Moskwy pierwszym celem. Będziemy marionetką Zachodu, która ponad swoje bezpieczeństwo postawi zobowiązania wobec innych. To zagrozi samemu istnieniu państwa. Historia pokazuje, że los Polski nikogo nie obchodzi... Ale mnie tak!

– Możesz czerpać pocieszenie z faktu, że znasz prawdę. Zrobiliśmy, co konieczne, i zmieniliśmy świat. W sumie to, czego dokonaliśmy, pozwoliło ci osiągnąć obecną pozycję. Mamy się czym chlubić, Janusz. To było wspaniałe.

Prezydent ruszył w kierunku drzwi.

Zmarnował tu tylko czas.

Odwrócił się jeszcze i spojrzał na Staszka z zimną wściekłością.

– Tamta chwała już się dzisiaj nie liczy. Tamta chwała znaczy coś tylko dla żalosnego tchórza, który ukrywa się za murami tego klasztoru.

Po czym wyszedł.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Cotton rozumiał teraz, skąd zamieszanie wokół licytacji. Jonty Olivier zdołał w jakiś sposób uzyskać sto czterdzieści siedem dokumentów, w większości napisanych odręcznie przez prezydenta Janusza Czajkowskiego, z których wynikało jednoznacznie, że głowa państwa polskiego jest byłym tajnym współpracownikiem komunistycznych służb.

Musiał przyznać, że źle to wygląda.

– Prezydent Fox będzie zachwycony – wyszeptał Bunch. – Tylko tego potrzebuje, żeby dopiąć swego w kwestii rakiet.

– I myślisz, że Polska się podda? Że bez walki zgodzi się na to, czego chce Fox?

– Obudź się, Malone! A co mogą zrobić? Jeżeli Czajkowski chce zostać prezydentem, będzie z nami współpracował. To proste.

Nie, to nie było proste.

W rzeczywistości wydawało się to raczej dość skomplikowane.

Polacy byli twardym, wytrzymałym narodem. Przetrwali zarówno okupację nazistowską, jak i sowiecką, a to spore osiągnięcie. Teraz znów mieli własne państwo, a Cotton nie wierzył, żeby oddali tę niepodległość bez walki. Właściwie to liczył na nią. Wiedział, że powinien pomóc

własnemu krajowi, ale jakiś głos w jego głowie szeptał, że w tym przypadku jego ojczyzna bardzo się myli.

– Panowie, macie może jeszcze jakieś pytania? – odezwał się Olivier, stojący przed uczestnikami licytacji.

– Czy otrzymamy te dokumenty dzisiaj, przed wyjazdem? Nalegał pan, żeby dokonać płatności natychmiast. Kiedy nabywca otrzyma towar? – spytał jeden z Francuzów.

– Dokumentów tu nie ma. Ukryłem je w trudno dostępnym miejscu. Jestem pewien, że rozumiecie moją ostrożność. Tylko ja wiem, gdzie są. Mimo to sądzę, że wszyscy potraficie do nich dotrzeć, więc będzie to łatwa operacja. Po aukcji zapoznam mojego asystenta, Vica DiGentiego, z lokalizacją dokumentów. Jeżeli zechcecie, Vic może zostać waszym przewodnikiem. Mam nadzieję, że ten gest wystarczająco dowodzi mojej dobrej woli.

– I braku zaufania! – dodał Rosjanin.

– A dlaczego miałbym komukolwiek ufać? – zapytał Olivier. – Każdy z was pojawił się tu z innego powodu, zwykle odmiennego niż pozostali. Zdaję sobie sprawę, że wszyscy bylibyście gotowi użyć przemocy, żeby zdobyć to, czego chcecie. Dlatego nie, nie ufam żadnemu z was i jestem przekonany, że żaden z was nie ufa mnie. W tym przedsięwzięciu nie chodzi o zaufanie, ale o władzę.

– Tu chodzi o szantaż – poprawił go głośno Cotton. – I o przymus.

Jonty odwrócił się ku niemu.

– Tak, zgadza się. Dość nieprzyjemny biznes.

– Ale dochodowy – dodał Malone z uśmiechem.

– Tak jest. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Olivier rozłożył ramiona w serdecznym geście.

Wszyscy popatrzyli na niego wyczekująco, w milczeniu.

– W takim razie zaczynamy!

\* \* \*

Czajkowski siedział z tyłu, na kanapie samochodu prowadzonego przez ochroniarza, wciąż zirytowany po spotkaniu z dawnym szefem. Staszek zawsze szorstko odnosił się do ludzi. Niełatwo się z nim pracowało, a jeszcze trudniej było go polubić, lecz natura jego działalności wymagała zachowania dystansu. Niewielu rekrutów zdołało się z nim zaprzyjaźnić, ale Janusz zawsze uważał się za jednego z tych wybrańców. Ilu agentów zdołał osobiście zwerbować dla Staszka? Pół setki? Bliżej setki. Ludzi, którzy kładli swoje życie na szali, a niekiedy nawet je stracili – lub spowodowali, że odebrano je innym. Wszystko to wyszłoby na jaw, gdyby ujawniono protokół. Dobre i złe uczynki. Jak w obecnych czasach zareagowałiby na to Polacy? Czy postawiono by mu zarzuty? Czy to, co robił, było zbrodnią przeciwko ludzkości? Trudno powiedzieć. To niezdecydowanie go martwiło.

Jego komórka zawibrowała.

Wyciągnął ją z kieszeni. Dzwoniła Iwona.

Odebrał i bez wstępów powiedział:

– Mam nadzieję, że przekażesz mi jakieś dobre wieści.

– Nadajnik zadziałał – odparła. – Licytacja odbywa się w zamku Szturniej, w Słowacji. Całkiem niedaleko.

To prawda, dystans był niewielki.

– Gdzie jesteś?

– Około pół kilometra stamtąd, ukryta w lesie. Widziałam, jak do środka wjechały trzy samochody, podobne do tego, który przywiózł tu Cottona i Buncha.

– Wciąż sądzisz, że Malone wiedział, że za nim pojedziesz?

– Oczywiście. Pomyśl: ktokolwiek transportował jego i Buncha do zamku, na pewno próbował się zabezpieczyć przed śledzeniem. Mimo to Cotton zadbał, żeby nadajnik pozostał aktywny. Dzięki temu mogłam ich obserwować z bezpiecznej odległości. Teraz muszę tylko ustalić, jak mogę dostać się do zamku, unikając wykrycia.

– Co zamierzasz zrobić wewnątrz?

– Improwizować.

– Uważaj na siebie.

– To zabrzmiało, jakbyś się o mnie troszczył.

– Bo tak jest.

Usłyszał uśmiech w jej głosie.

– Cudownie to słyszeć. Odezwę się, kiedy będę miała coś do zameldowania.

Połączenie się zakończyło.

Rozwagał aresztowanie Stanisława Orlika, Ojca Staszka, i przeszukanie na wielką skalę, by w ten sposób znaleźć dowód. Może przywiązać go nagiego do stołka? Nienawidził siebie za tę myśl. Czy był do tego stopnia zdesperowany? Chyba tak. Może desperacja motywowała do takich rzeczy komunistów, ale nie jego. Czajkowski został wybrany prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej, któremu powierzono dobrostan narodu, w demokratycznych wyborach. Do jego zadań należało podejmowanie mądrych, uzasadnionych decyzji służących dobru ogółu... Tyle że ta sytuacja dotykała go osobiście. Nie dało się tego inaczej określić. Wszystko zmierzało w tym kierunku.

– Czy życzy pan sobie pojechać na lotnisko? – zapytał jeden z ochroniarzy.

Zmierzali na południe, ku Krakowowi, a lotnisko było po drodze. Ale prezydent nie mógł wrócić do Warszawy.

Jeszcze nie.

– Nie. Do hotelu, proszę.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Eli Reinhardt stał tuż za otwartymi drzwiami sypialni, słuchając, co dzieje się w sali na dole, za barierką galerii. Wyglądało na to, że licytacja zaraz się zacznie.

Odwrócił się do Munoz.

– Gotowy?

Jego wspólnik kiwnął potakująco głową i podszedł do łóżka. Na dzianinowej narzucie leżała czarna torba marki Louis Vuitton. Przyjechali z nią do zamku poprzedniego wieczoru. Jonty był zbyt uprzejmy i darował sobie przeszukanie ich bagażu. Eli właśnie na to liczył: że tamten popełni błąd, próbując uniknąć konfliktu. Dlatego zaoferował tak wiele, by przypieczętować ich „partnerstwo”, zrzekając się połowy przyszłych dochodów ze sprzedaży ukrytego archiwum i jakiegokolwiek udziału w zyskach z aukcji poza względnie skromną opłatą za milczenie. Oczywiście dwadzieścia milionów euro niektórym nie wydałoby się „skromną” sumą, ale Eli musiał okazać nieco chciwości, inaczej Olivier zacząłby coś podejrzewać. Teraz jednak Reinhardt znajdował się dokładnie tam, gdzie chciał.

Słuchał, jak Jonty podaje cenę wywoławczą. Pięćdziesiąt milionów euro. Potem sześćdziesiąt. Siedemdziesiąt.

– Musimy teraz załatwić sprawy z panem DiGentim – powiedział do Arta. – Dopóki piętro niżej trwa impreza.

Munoz wyjął z torby dwa pistolety maszynowe uzi z przedłużonymi magazynkami na czterdzieści nabojów. Oldskulowa broń, ale wypróbowana i niezawodna. Położył je na łóżku, po czym wyjął dwa pistolety z tłumikami przykręconymi do krótkich luf. Eli podał mu poduszkę. Wyślizgnęli się z pokoju, przyklejeni do ściany oddalonej od barierki o jakieś trzy metry. W ten sposób nikt z dołu nie mógł ich dostrzec. Wyszli z galerii korytarzem prowadzącym w głąb zamku. DiGenti zaszył się w jednym z pokoiów na pierwszym piętrze, gdzie urządził sobie zaimprovizowane stanowisko dowodzenia. Obserwował stamtąd przez kamery główną bramę i inne punkty za murami zamku, czekając na zakończenie aukcji. Tam również zainstalował zagłuszkę, odcinającą całą komunikację z warownią. Jedyne wyjątkiem był laptop, podłączony do przewodowego łącza internetowego. Wkrótce Vic miał go użyć, żeby zweryfikować przelew płatności od zwycięzcy licytacji. Jonty pękał z dumy, kiedy pokazywał im, jak się przygotował do tej akcji.

Dotarli do zamkniętych drzwi.

Eli pokazał Artowi, żeby ustawił się przed nimi, a sam złapał za klamkę. Jego poplecznik wycelował pistolet, przyciskając poduszkę do wylotu tłumika. Za chwilę stanie się coś nieodwołalnego. Nie będzie już odwrotu. Reinhardt jednak doskonale o tym wiedział, kiedy zgadzał się na warunki Jonty'ego.

Powoli nacisnął klamkę i popchnął ciężkie drzwi do wewnątrz. DiGenti zareagował na wtargnięcie, skacząc na równe nogi ze swojego miejsca za monitorami. Odwrócił się, jednocześnie sięgając po broń do kabury pod

pachą, lecz Art bez wahania wystrzelił dwa dziewięćmilimetrowe pociski i posłał chudego, żylastego mężczyznę na podłogę. Weszli do środka, a Eli zamknął drzwi. Art strzelił przez poduszkę po raz trzeci, prosto w głowę Vica.

Strzał zabrzmiał jak ciche stuknięcie.

Idealnie.

Reinhardt podszedł do monitorów i przyjrzał się wyświetlanym na nim obrazom. Każda z kamer obejmowała inny obszar za murami, w tym również drogę dojazdową. Liście na brzozech i dębach wisiały bez ruchu w palącym słońcu.

DiGenti był jedynym człowiekiem, który zajmował się ochroną zamku. Służba opuściła to miejsce jeszcze przed aukcją, podobnie jak kierowcy. Jonty nie chciał, by ktokolwiek postronny coś usłyszał lub zobaczył. Chwalebna ostrożność, ale przy okazji doskonała okazja, którą właśnie wykorzystywał Eli.

Reinhardt znalazł zagłuszarkę i ją wyłączył.

Po czym wysłał ze swojego telefonu esemesa: „Droga wolna”.

I jeszcze jedno.

Podszedł do ciała Vica i przeszukał mu kieszenie. Jonty powiedział wcześniej uczestnikom, że jego wspólnik będzie mógł poprowadzić zwycięzcę do nagrody, dodając, że człowiek ten nie zna jeszcze miejsca, gdzie ukryto materiały.

To musiało być kłamstwo.

Jonty nie dałby rady zrobić tego wszystkiego samodzielnie.

Może jeden z nich zapisał sobie, gdzie szukać archiwum? W jednej z kieszeni Eli znalazł złożoną kartkę, na której napisano „9 BOBOLA”.

Czy o to chodziło?

Możliwe.

Schował papier do swojej kieszeni.

– Wracajmy na aukcję i zobaczmy, w jakim kierunku zmierza – powiedział cicho. – A potem to zakończymy.

\* \* \*

Cotton był pod wrażeniem.

Ostatnia oferta opiewała na sto dwadzieścia milionów euro i została złożona przez Irańczyków. Francuzi i Chińczycy najwyraźniej osiągnęli zakładany limit wydatków, ponieważ nie podbili stawki po tym, jak osiągnęła sto milionów. Ucichła również delegacja Korei Północnej. Najwyraźniej bitwa toczyła się teraz między Rosją, Iranem a USA, krajami, które miały najwięcej do stracenia. Albo zyskania.

– Sto pięćdziesiąt milionów – powiedział Bunch stanowczo.

Co za przebicie. Skok o trzydzieści milionów za jednym zamachem.

– Sto sześćdziesiąt – zaliczył Rosjanin.

Olivier kierował aukcją w spokojny, opanowany sposób, nie pozwalając uczestnikom na zbyt długi namysł. Mógł ją w każdej chwili zakończyć, lecz żadna z trzech pozostałych ekip nie chciała, żeby to nastąpiło – oczywiście, o ile to nie ona wygra.

– Sto siedemdziesiąt pięć – rzucił Irańczyk.

– Dwieście milionów – skontrował Rosjanin.

– Dwieście pięćdziesiąt! – zawołał Bunch.

Ćwierć miliarda euro. Cotton zastanawiał się, czy jakakolwiek informacja na świecie była warta aż tyle.

Najwyraźniej tak.

– Zdajecie sobie sprawę, że my też mamy mnóstwo pieniędzy? – zapytał jeden z Rosjan.

– To je wydajcie – poradził mu Bunch. – Oferta Stanów Zjednoczonych to dwieście pięćdziesiąt milionów euro.

– Trzysta – rzucił mu wyzwanie Rosjanin.

– I trzysta pięćdziesiąt – odparł Bunch.

– Cztery! – krzyknął Koreańczyk.

To wstrząsnęło wszystkimi.

Cotton intensywnie myślał: skąd Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna weźmie niemal pół miliarda euro? To była znaczna suma dla każdego rządu.

Nikt nie podbił tej oferty.

– W czym problem? – szepnął Malone do Buncha.

– Licytacja wymyka się spod kontroli.

– Tak myślisz?

– Cztery pięćdziesiąt milionów – oznajmił spokojnie Rosjanin.

Coś było nie tak. Oferty przebijano zbyt wysoko. Nikt nie próbował podwyższać sumy małymi krokami, zamiast tego licytujący chcieli uprzedzić konkurentów, rzucając kolejne olbrzymie kwoty. Cotton popatrzył na uczestników z nadzieją, że udzieli im się jego podejrzliwość.

– Pięćset milionów – powiedział Bunch.

W sali zapanowała cisza.

Rosjanie wstali z krzesel.

– Skończyliśmy. Podstaw nam samochód.

– Najpierw muszę zakończyć aukcję – objaśnił Olivier.

– Dla nas aukcja jest zakończona.

– O co chodzi? – zapytał zaczepnie Bunch. – Nie umiecie przegrywać?

Wyższy z Rosjan popatrzył na niego przeciągle, po czym powiedział:

– Panie Malone, spotkał się pan w Brugii z pewnym człowiekiem. Nie powiedział panu, jakie mamy plany?

„Nie wiemy, gdzie aukcja będzie. Ale kiedy dowiemy się, działamy. Powiedz Stephanie Nelle, że to nie blef”.

Ostatnie słowa Iwana, zanim użył paralizatora.

– Nic się nie zmieniło – powiedział Rosjanin.

Cotton poczuł ukłucie niepokoju. Przenikliwy wzrok mężczyzny wyraźnie go ostrzegał.

Niedobrze.

– Zaczekamy na zewnątrz.

I delegacja Rosji opuściła wielką salę.

– Czy są jakiegokolwiek wyższe oferty? – zapytał Olivier.

Nikt nie odpowiedział.

– Ostatnia szansa.

Nadal cisza.

– W takim razie ogłaszam Stany Zjednoczone zwycięzcą!

– Cholera jasna, Malone! – wykrzyknął Bunch. – Udało nam się!

Ale co dokładnie im się udało?

\* \* \*

Eli wysłuchał licytacji do końca.

Pół miliarda euro.

Jonty musiał być zachwycony.

Z dołu docierały stłumione głosy: uczestnicy rozmawiali między sobą po zakończeniu aukcji. Wyjrzał z pokoju i zobaczył, jak dwaj rosyjscy delegaci, którzy wyszli z sali, pojawiają się u szczytu klatki schodowej.

Pokazał im gestem, żeby zaczekali właśnie tam, poza zasięgiem wzroku.

Wzięli z Munozem oba uzi z łóżka, po czym znów wyszli z pokoju, trzymając się z dala od barierki i zmierzając ku klatce schodowej, a następnie przekazali broń Rosjanom. Ci zrobili kilka kroków ku balustradzie galerii...

...po czym otwarli ogień.

# ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Czajkowski wszedł ponownie do krakowskiego Sheratona tylnym wejściem, pozostawionym wyłącznie do jego użytku. Stało tam dwóch hotelowych ochroniarzy, którzy na widok prezydenta otwarli metalowe drzwi. Podejmował spore ryzyko, zwlekając z wyjazdem. Koalicja rządowa codziennie balansowała na skraju rozpadu – każdego dnia jedna z frakcji czegoś się domagała. Jego praca polegała na tym, żeby wszyscy byli zadowoleni, a szef gabinetu donosił mu, że ludzie zaczęli już zadawać pytania. Odpowiedział, że pracuje nad reelekcją, cementując więzi z Krakowem i całym województwem małopolskim. Nawet niezbyt odbiegało to od prawdy. Dzięki temu powinni dać mu spokój jeszcze przez jeden dzień. Niczego więcej nie potrzebował. Niech to się już skończy, w jakikolwiek sposób!

Pojechał windą na górę i wkroczył z powrotem do Apartamentu Królewskiego. Dwóch BOR-owców trzymało się z tyłu. Apartament zapewniał mu prywatność, której potrzebował na wypadek, gdyby zadzwoniła Iwona. Dochodziła 13.00 i Czajkowski zastanawiał się, jak przebiega aukcja. To przerażające, że o jego przyszłości decydowali nieznajomi, próbujący się przelicytować o prawo do zniszczenia go.

Oczyścił umysł z negatywnych myśli, wszedł do sypialni, znalazł telefon i zadzwonił do Iwony.

– Mam tylko chwilę – rzuciła. – Jestem w zamku.

– Co się dzieje?

– Kłopoty. Kilka chwil temu przyjechał jakiś samochód. Nie widziałam, kto nim jedzie, ale weszłam za nim, pieszo.

– Co z licytacją?

– Jeszcze nie wiem, ale mam zamiar się dowiedzieć.

W tle usłyszała szczekanie broni maszynowej.

A po chwili kolejną serię.

– Ktoś tam strzela? – zapytał.

– Muszę lecieć.

\* \* \*

Jonty starał się opanować emocje: pięćset milionów euro! W jego życiu znajdą teraz wielkie zmiany... Nagle jednak upojenie zmieniło się w przerażenie, że to życie dobiegnie za chwilę końca.

Strzały.

Z galerii.

Ogłuszająca kanonada pocisków przeorała wielką salę.

Spojrzał w górę i zobaczył dwóch członków delegacji rosyjskiej, którzy opuścili pomieszczenie chwilę wcześniej, ostrzeliwujących jej wnętrze z broni automatycznej. Ludzie na dole zareagowali na atak ucieczką, wyskakując ze swoich miejsc, ale pozbawieni osłony zostali ścięci ogniem, jeden po drugim. Na ciałach Chińczyków eksplodowały krwawe rany, obaj zadygotali niczym w pijanym tańcu, a w końcu legli twarzami w dół na kamiennej podłodze. Podobny los spotkał Francuzów i Irańczyków.

Jonty stał, sparaliżowany niezdecydowaniem, a w jego gardle wezbrała mdląca panika. Ucieczka wydawała się głupotą.



Mimo to powinien coś zrobić.

Przerażenie sprawiło, że jego oddech stał się krótki i urywany.

Skulił się za wielkim telebimem w drewnianej ramie, szukając osłony przed pociskami.

\* \* \*

Cotton zareagował z reflekssem wyuczonym i uwarunkowanym wiele lat wcześniej: zerwał się z krzesła i złapał wpół Toma Buncha. Na środku sali byli całkowicie odsłonięci, a od miejsca, w którym nie groziłyby im strzały z galerii, dzieliło ich dobre piętnaście metrów. Szarpnął Buncha na prawo, pod galerię.

Tamten jednak się opierał i wyrywał.

– Olivier! Musimy się do niego dostać.

W sali rozbrzmiały dwa nowe dźwięki.

Strzały z innej broni.

Pistoletu.

Uzi momentalnie zamilkły.

Malone gwałtownie odwrócił głowę w prawo i dostrzegł Iwonę, wbiegającą do sali i strzelającą ku górze. Skorzystał z chwili, którą mu w ten sposób kupiła, i rzucił się w lewo, przez łuk pod galerią na piętrze, schodząc z linii strzału. Napastnicy na górze podjęli kanonadę na nowo, ścinając trzech kolejnych uczestników aukcji. Bunch nierozważnie ruszył ku Olivierowi, którego nigdzie nie było widać.

Cotton popatrzył na celujących w dół strzelców przy barierce.

Dwóch mężczyzn z delegacji rosyjskiej.

– Stać! – wrzasnął jeden z nich.

Bunch zamarł.

Malone usłyszał odgłos przeładowywanych magazynków. Wszyscy pozostali uczestnicy aukcji leżeli martwi w rosnących kałużach krwi. Tylko

on i Bunch pozostali nietknięci. No i Jonty Olivier, którego Cotton dostrzegł teraz przykucniętego za telebimem. Iwona ukrywała się po drugiej stronie sali, naprzeciw niego. Nie mogła zlikwidować napastników, ponieważ stali dokładnie ponad nią. Jeden z nich dał znać, że czuwają, wystrzeliwując krótką serię, a ta obłupała kamienny filar podtrzymujący łuk, za którym chował się Malone.

Zaryzykował szybkie spojrzenie zza węgła i zobaczył starszego mężczyznę, tego samego, którego widział wcześniej na górze. Za nim stał drugi, młodszy. Obaj trzymali pistolety. Zauważył także, że Iwona zniknęła z pola widzenia. Najprawdopodobniej zmierzała na górę, by rozwiązać najbardziej palący problem.

Mógł tylko odwrócić ich uwagę.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić sens tego wszystkiego? – wykrzyknął w przestrzeń.

– Sens oczywisty – rozległ się z góry nowy głos z rosyjskim akcentem. Znał mówiącego.

Jeszcze raz spojrzął w tamtą stronę i dostrzegł nad barierką nową twarz. Iwan.

Najwyraźniej jakoś się tu przedostał.

– Ostrzegałem, Malone. Jasno i wyraźnie.

– Nie przyjmujemy rozkazów z Moskwy! – wrzasnął Bunch. – Ani teraz, ani nigdy!

– Zamknij się, Tom! – krzyknął Cotton z nadzieją, że zwracając się do Buncha po imieniu, szybciej przemówi mu do rozsądku.

Musiał kupić Iwonie więcej czasu, więc powiedział:

– Okej, Iwan. Rozumiem. To ma sens. I co teraz?

– To zależy od Oliviera.

Cotton przesunął się na drugą stronę filara, żeby lepiej widzieć Oliviera i Buncha. Obaj stali w pobliżu telebimu z zadartymi głowami. Na twarzy Buncha malował się niepokój.

– Powinienem był wiedzieć, że z tej współpracy nie wyjdzie nic dobrego – stwierdził Jonty.

– A ja uważam, że wyszło nam wyśmienicie! – odparł starszy mężczyzna z pistoletem.

– Czego chcesz, Eli? – zapytał Olivier.

– Mam już to, czego chciałem.

To nie brzmiało zachęcająco.

– Kazałeś swoim ludziom podbijać cenę podczas aukcji, prawda? – zapytał Cotton Iwana, przerywając tamtą rozmowę. – Wiedziałeś, że skoro wszyscy umrzemy, to możesz licytować miliony euro?

– Amerykanie myślą, że pieniądze dobre na wszystko – odpowiedział tamten.

Malone złowił spojrzenie Buncha i pokazał mu gestem, żeby stał bez ruchu.

– Wasz prezydent powiedział Kremlowi, że wcale was tu nie będzie – ciągnął Iwan. – Wszystko kłamstwa!

– To było konieczne – wtrącił Bunch – żeby wreszcie się z wami rozprawić.

Jeden ze strzelców z uzi wypuścił krótką serię.

Pociski szarpnęły Bunchem, jego twarz zamarła w szoku, uniósł ramiona, próbując zachować równowagę.

A potem upadł na posadzkę.

Martwy.

– To też konieczne – podsumował Iwan.

Cotton pokręcił głową.

Cholera.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Eli popatrzył z góry na salę.

Dziwne. Kiedy myślał jak przestępca, czuł się zarazem przejęty i podniecony. Obok niego stał Rosjanin, Iwan. Jego dobroczyńca. Niski, krępy, z siwiejącą czarną czupryną. Miał na sobie źle dopasowany garnitur, który wybrzuszał się w talii. Umowa obejmowała nie tylko przemyt broni do zamku, ale także doprowadzenie Rosjan na miejsce. Zdołał tego dokonać już dzień wcześniej, kiedy Iwan namierzył samochód, którym dostali się tutaj Reinhardt i Munoz. Jonty po raz kolejny okazał się zbyt uprzejmy. A potem, kiedy już wyeliminowali Vica, wystarczyło wysłać esemesa, że droga wolna.

– Malone, przyjacielu – zawołał Iwan. – Musimy pogadać.

Amerykanin pozostał ukryty za łukiem.

– Czekaś, aż Iwona zacznie działać? – zapytał Rosjanin.

Żadnej odpowiedzi.

– Iwona! – zawołał rosyjski agent. – Iwona!

Nadal milczenie.

– Wychodź! – krzyknął Iwan. – Też musimy pogadać. Nie miałaś tu być. Wiesz o tym.

\* \* \*

Cotton usłyszał słowa Rosjanina.

„Nie miałaś tu być”.

Co robiła Iwona?

Zerknął zza kamiennego łuku. Pięć wrogich twarzy patrzyło na niego z niemą groźbą. Spojrzał na Jonty’ego Oliviera, który dalej kulił się za telebimem. Obok niego leżały zwłoki Buncha.

– Zabiłeś zastępcę doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych – krzyknął Malone.

– Nikt nie będzie po nim płakał – odparł Iwan. – Mamy wielu zastępców w Rosji. Jeszcze więcej chce takiej pracy. Ty na pewno też.

– To zabójstwo nie pozostanie bez reakcji.

Tamten tylko się roześmiał.

– Wasz nowy prezydent nie taki twardy. Myśli, że twardy. Ale to tylko kłamca. Ty nas znasz, Malone. Nie tak jak on. Posłuchałbyś i trzymałbyś się z daleka. Nie mam z tobą problemu.

W co on się wpakował? Najwyraźniej Rosjanie w Brugii mówili poważnie, ale masakra, jaką tu urządzili, wydawała się zbyt krwawa nawet jak na ich możliwości. To za duże ryzyko: wystąpić przeciwko ludziom, którzy mieli środki i możliwości, żeby się zemścić.

I z pewnością to zrobią.

Został wystawiony do wiatru i niewiele mógł na to poradzić. Na galerii ponad nim stało pięciu mężczyzn, dwóch uzbrojonych w uzi, a dwóch z pistoletami. Smród kordytu unosił się w powietrzu i mieszał z metaliczną, miedzianą wonią krwi.

– Wyłaż, Jonty – rozkazał starszy facet o imieniu Eli. – Nie musisz się kryć. Gdybyśmy chcieli cię zabić, już byś nie żył.

– Kim jesteś? – zapytał Cotton.

– Nazywam się Augustus „Eli” Reinhardt V i jestem znajomym Jonty’ego, chociaż wątpię, czy nadal przyznaje się do tej znajomości.

Olivier powoli wyłonił się zza telebimu.

– Współpracujesz z Rosjanami? – zapytał Reinhardta Malone.

– Oczywiście – odpowiedział za tamtego Iwan. – Stoimy za tym od początku. Doprowadził nas prosto tutaj.

– Nigdy nie dostaniecie tych dokumentów! – wybuchnął Jonty. – Są dobrze ukryte i tylko ja wiem, gdzie się znajdują!

– Lekceważysz mnie po raz kolejny – oznajmił Eli.

Odpowiedź padła błyskawicznie, a Cotton usłyszał w głosie starszego mężczyzny znajomy ton. Pewność siebie. Jak u człowieka, który coś wie. Instykt Malone’a ostrzegwał go, że Reinhardt może być groźniejszy niż Iwan. Olivier na pewno miał nadzieję, że sekret pozwoli mu pozostać przy życiu... i może nawet miał rację. Mimo to był przerażony: pulchne dłonie mu się trzęsły, a żyła na prawej skroni pulsowała w rytm uderzeń serca niczym gruba błękitna dżdżownica. Prawdopodobnie również próbował ocenić sytuację... ale nic tu nie miało sensu.

Dwa plus dwa dawało tym razem gdzieś około dziewięciuset.

Zwłaszcza jeżeli do tego równania włączyło się jeszcze jedną niewiadomą.

Gdzie jest Iwona?

\* \* \*

Jonty nigdy w życiu nie doświadczył tak sprzecznych uczuć. W głowie mu wrzało, tak różne emocje kompletnie go rozstrajały: kielkujące podniecenie, dreszcz przerażenia i irracjonalny gniew. Nie znajdował słów na opisanie grozy sytuacji, w jakiej się znalazł. Nigdy nie wyobrażał sobie czegoś podobnego. Jego interesy rzadko wymagały zastosowania przemocy,

ale tu rozgrywał się najwyraźniej całkiem odmienny scenariusz. Na szczęście nienawiść do Reinhardta przyćmiła strach i dodała mu sił.

– Gdzie jest Vic? – zapytał.

– Nie żyje – odparł Eli. – Zostałeś sam, Jonty.

– Nie musieliście tego robić. Naprawdę.

– Ach, więc po prostu odkręciłbyś to wszystko? – zapytał Eli. – Ot tak?

Wystarczyło tylko poprosić?

– Ta aukcja to mój interes, ale nie potrafię trzymać się z daleka. Co chciałeś osiągnąć, mówiąc mi o Spiżarni? Odwrócić moją uwagę? Żeby móc się tu dostać?

– Tak, właśnie tak. I zadziałało znakomicie. Byłeś taki uprzejmy! Ale to tylko interesy, Jonty, nic poza tym. Chociaż muszę powiedzieć, że mój wspólnik, pan Munoz, uważa, że to osobista sprawa. Naprawdę chciałby cię zabić.

Olivier widział, że to prawda. Bułgar przez cały czas w niego celował.

– Niestety, nie może – przyznał Eli. – Umowa nie zawiera tego punktu.

Jonty dostrzegł na horyzoncie następne pytanie.

Co właściwie zawierała umowa?

\* \* \*

Eli patrzył, jak jego przeciwnik obstaje przy swoim. Imponujące, biorąc pod uwagę, w jakich opałach znalazł się Olivier. Rosjanie poprosili go, żeby doprowadził ich do tego miejsca i dostarczył w nie broń, tak żeby mogli zabić wszystkich uczestników licytacji.

Poza Jontym.

Reinhardt nie kwestionował tego warunku, ponieważ zapłacono mu za to nieprzyzwoitą wprost sumę. Potem los się do niego uśmiechnął i dostarczył mu kartkę, która spoczywała, złożona, w jego kieszeni. Czy to



był klucz do miejsca, gdzie ukryto cenną informację? Miał zamiar przekonać się o tym zaraz po opuszczeniu zamku.

Prawdę mówiąc, Rosjanie go denerwowali, podobnie jak inni Słowianie. Byli nieprzewidywalni, a ich motywacje najczęściej pozostawały dla niego nieodgadnione. Dobrze wykształceni i odcytani, uwielbiali teatr, operę, muzykę i balet. Nauczył się już dawno temu, że potęga jednostki jest niczym wobec połączonych możliwości rodziny, przyjaciół i znajomych. Żeby dopiąć swego, należało znać ludzi, i dlatego Rosjanie mieli tylu sprzymierzeńców. To, co tu zaszło, dowodziło prawdziwości tej zasady. Wystarczy znać właściwych ludzi i można dokonać niemal wszystkiego, na przykład urządzić nalot na tajną aukcję i zabić wszystkich obecnych.

Rosjanie byli jednak trudnymi partnerami.

Mieli ciężki charakter, pod wieloma względami nieprzyjemny. Nie przestrzegali zasad, odrzucali tradycję i byli nadmiernie cyniczni. I chełpili się bogactwem. Płeć w ich kraju wciąż miała znaczenie, społeczne role mężczyzn i kobiet pozostawały jasno zdefiniowane. Poza tym byli szczerymi, poważnymi ludźmi, często nałogowymi palaczami lub pijakami, przesądnymi aż do przesady. Tym razem jednak Eli przyczynił się do masowego mordu, kimże więc był, żeby ich osądzać? Nienawidził robić z nimi interesów, ale musiał, z konieczności. Pieniądze z Moskwy były zaś równie dobre, jak każde inne.

Nadal jednak nie znał odpowiedzi na najważniejsze pytanie.

Co teraz?

\* \* \*

Cotton wiele razy znajdował się w opałach, ale ta sytuacja plasowała się chyba na szczycie listy. Był uwięziony na dolnym poziomie sali, pod

galerią, a źródło jego problemów znajdowało się po przeciwnej stronie wielkiej komnaty, kilkanaście metrów dalej i kilka wyżej.

Najwyraźniej Oliviera zachowano przy życiu celowo.

A Cottonowi udało się uniknąć pocisków czystym przypadkiem.

– Chcę wiedzieć – powiedział Iwan, wskazując na Jonty’ego – czy rzeczywiście jesteś jedyny, który wie, gdzie ta informacja?

– Wiedzieliśmy o tym tylko ja i mój wspólnik, który teraz nie żyje – odparł Olivier, wpadając w poprzedni rzeczowy ton. – Tylko ze mną można tam trafić. Zabijcie mnie, a nigdy nie znajdziecie tych dokumentów.

To wyjaśniało, dlaczego Jonty jeszcze oddycha.

Malone patrzył, jak Reinhardt również rozważa tę informację.

Postawienie Cottona przeciwko Iwanowi wydawało się chytrym posunięciem.

Te rozmyślania przerwał mu nagły trzask otwieranych drzwi. Na scenie znów pojawiła się Iwona.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Czajkowski oglądał zamek wawelski przez okno hotelowego apartamentu. Powoli sącył drugą whiskey, rozparty na łóżku, tym samym, które poprzedniej nocy dzielił z Iwoną. Ostatnim dźwiękiem, jaki słyszał podczas rozmowy telefonicznej, był odgłos wystrzałów. Co tam się stało? Czy Iwona była cała i zdrowa? Cieszyła się legendarną reputacją, a jej przełożeni wypowiadali się o niej w superlatywach. Nie oznaczało to jednak, że nie mogła wpaść w poważne kłopoty.

Pociągnął kolejny łyceczek, pozwalając, żeby alkohol spłynął mu do gardła i ugasił niepokój.

Widoczny za oknem zamek wznosił się za ruchliwym bulwarem, na skalistym wzgórzu, pełnym kawiarni i restauracji. Tłumy zwiedzających przechadzały się trasą okrążającą wawelskie wzgórze, a najwięcej ludzi stało po prawej stronie wyjścia ze Smocznej Jamy, gdzie na wapiennej podstawie stał olbrzymi posąg z brązu. Jedna z siedmiu głów smoka ziała co jakiś czas ogniem dzięki przemyślnie umieszczonemu zaworowi gazu. Niedawno instalację zmodernizowano tak, że widzowie sami włączali płomień, wysyłając esemesa. Ludzie ślali ich codziennie setki.

Nowoczesna technologia.

Jego klątwa.

Powód, dla którego znalazł się w centrum tego chaosu.

AEGIS. System obrony przeciwbalistycznej.

Zaprojektowany, by przechwytywać pociski krótkiego i średniego zasięgu ponad atmosferą, przed ponownym w nią wejściem, na długo zanim ich głowice mogły dokonać zniszczeń. Obecnie rakiety tego systemu rozmieszczono na okrętach USA i na lądzie, w Japonii i Rumunii.

Czy można było na nich polegać?

Tego nie wiedział nikt.

Najczęściej działały, ale „najczęściej” nie oznaczało „zawsze”.

Rosja nienawidziła tego systemu. Jej władze powtarzały, że napędza on tylko nowy wyścig zbrojeń, a jego umieszczenia w Europie nic nie uzasadnia: irańskie pociski nigdy nie zagrażały tej części świata. Ostatnim razem, kiedy rozważano tę koncepcję, Kreml ogłosił, że ustawi wyrzutnie pocisków krótkiego zasięgu z głowicami jądrowymi przy granicach państw należących do NATO. Przewidywano nową zimną wojnę: Putin ogłosił nawet, że Rosja wycofa się z układu o likwidacji pocisków raketowych, zawartego w 1987 roku, a w razie rozpoczęcia działań wojennych Polska z pewnością zostanie zaatakowana.

Czajkowski nie miał powodu, by sądzić, że tym razem będzie inaczej.

Niemal sześćdziesiąt procent Polaków sprzeciwiało się rozmieszczeniu rakiet. Prezydent spodziewał się, że tym razem odsetek ten byłby jeszcze wyższy. Dotychczas głosy sprzeciwu pojawiały się z rzadka, ale debata jeszcze się nie zaczęła.

Ciekawe, że reakcja polskiego rządu na anulowanie programu po raz pierwszy, wiele lat temu, nie była wcale jednogłówna. Niektórzy ministrowie byli zadowoleni, że rakiet w Polsce nie będzie, znaczna część jednak wyraziła obawę, że Polska straci swój specjalny status w Waszyngtonie i że Obama skasował ten projekt, by udobruchać Moskwę

kosztem Warszawy. W Sejmie padła wówczas propozycja, by wydać równowartość dziesięciu miliardów dolarów w złotych na budowę własnego systemu obrony przeciwrakietowej.

Co za szaleństwo!

Prezydent przypomniał sobie, jak jeden z liderów partii skarżył się, że decyzja o wycofaniu projektu została podjęta „bez oglądania się na polską wrażliwość”. Lech Wałęsa otwarcie skrytykował rezygnację z budowy systemu, mówiąc, że „Amerykanie zawsze dbali tylko o własne interesy i wykorzystywali wszystkich innych”. Czajkowski pamiętał również nagłówki w jednej z gazet: „Ale byliśmy naiwni. Zdrada! USA sprzedały nas Rosji i wbiły nam nóż w plecy”. Interesujące, że zakończenie programu ogłoszono 17 września 2009 roku, w dniu o dużym symbolicznym znaczeniu, ponieważ równo 70 lat wcześniej Związek Radziecki najechał Polskę.

Ironia losu? Wiadomość? Czy tylko zbieg okoliczności?

Kto wie?

Od kiedy prezydent Fox ogłosił powrót do koncepcji budowy systemu obrony przeciwrakietowej, Ministerstwo Spraw Zagranicznych opracowywało zarówno scenariusze potencjalnych reakcji, jak i starało się stworzyć alternatywę, która satysfakcjonowałaby obie strony, i Rosję, i USA. Na razie nie złożono jeszcze prośby o lokalizację bazy rakietowej, więc Czajkowski zakładał, że Fox czeka na dostarczenie informacji, która zapewni mu brak sprzeciwu ze strony najwyższych władz Polski. Amerykanie na pewno wiedzieli, że sprzyja im marszałek Sejmu, który w razie wymuszonej rezygnacji prezydenta tymczasowo przejąłby jego obowiązki. Wówczas sprawy wymknęłyby się spod kontroli i wybuchłaby potworna awantura, zwana dla niepoznaki ogólnonarodową dyskusją.

Musiał sobie z tym poradzić.

Jednoosobowo.

Szybko i zdecydowanie.

Na szczęście konstytucja dawała mu władzę, której nie dało się podważyć.

Dlaczego Iwona nie odpowiadała? Chciał do niej zadzwonić, ale zdecydował się tego nie robić. Musiał zaufać, że jego agentka sobie poradzi.

Dokończył drinka.

Zdecydował, że dwa wystarczą.

Drzwi salonu się otworzyły. Prezydent wstał i wyszedł z sypialni. W progu stał Michał Zima. To dziwne. Czajkowski nie rozumiał, po co ten chłodny, wyrachowany człowiek przyjechał tu z Warszawy.

– Chciałem sprawdzić, czy mogę w czymś pomóc – oświadczył Zima.

– W jakiej sprawie?

– Zamek Szturniej.

Najwyraźniej szef BOR-u zdążył już zasięgnąć informacji.

– A co wiesz na ten temat?

– Wiem, że przebywa tam agent rosyjskiego wywiadu o imieniu Iwan. Zarejestrowano jego obecność w Brugii, gdzie skontaktował się z byłym agentem amerykańskim, Cottonem Malone'em. Co ciekawe, Malone był wczoraj w Krakowie. Czterech ludzi z Agencji Wywiadu przywiozło go na spotkanie z panem.

– Nie próżnowałeś.

– Na tym polega moja praca.

Czajkowski spojrzał krytycznie na BOR-owca.

– Zrobiłeś dokładnie to, czego kazałem ci nie robić.

– Nie jestem pańskim wrogiem.

– Ani przyjacielem.

– Jestem tu, żeby chronić prezydenta tego kraju. Przyjaźń z panem nigdy nie należała do moich obowiązków. Ale jeśli musi pan wiedzieć, to podziwiam pana jako przywódcę.

To była niespodzianka.

Dość miła.

– Dzieje się coś, co dotyczy bezpieczeństwa państwa – oznajmił Zima. – Coś, w czym bierze udział nasza agencja wywiadu zagranicznego. Jestem świadom pańskiego związku z Iwoną Nowak. BOR dostosowywał się do pana wymagań w tym względzie. Przypomnę, że nie osądzam, jestem tu tylko po to, żeby panu pomóc.

– Michale, doceniam twoje zaangażowanie i ofertę pomocy, ale nie mogę w to wciągać BOR-u. To sprawa osobista.

– Ta sprawa dotyczy w jakiś sposób mężczyzny, który kiedyś kierował tajną służbą wywiadowczą Solidarności.

Zima na pewno wiedział o wycieczce na Jasną Górę, przecież dwóch jego ludzi pojechało tam z prezydentem. Czajkowski był jednak zaskoczony nawiązaniem do dawnej tożsamości Staszka Orlika.

– Czy to powszechnie znany fakt? – zapytał.

– Owszem, znany, ale wiedzą o tym nieliczni. Czy cokolwiek w tej sprawie odnosi się do wydarzeń z lat osiemdziesiątych?

Prezydent zdecydował się grać w otwarte karty.

– Tak.

– I był w to zamieszany również major Dylecki? Kiedy przyjechaliśmy do jego domu, dało się zauważyć, że zna pan tego człowieka. Zakładam, że skoro zostawił sobie dokumenty dotyczące innych osób, to także na pana temat. Dokumenty, które teraz zostały ujawnione.

– To słuszne założenie.

– I wypłynęły na zamku Szturniej?

– W pewnym sensie. Zostały tam wystawione na licytację. Aukcja właśnie trwa.

Dostrzegł na twarzy Zimy grymas niepokoju. Może temu człowiekowi naprawdę zależało na bezpieczeństwie prezydenta?

– Jest tam Iwona, która próbuje powstrzymać aukcję, ale kiedy ostatnio do mnie dzwoniła, słyszałem strzały. To mnie niepokoi.

Drzwi do apartamentu otwarły się raptownie. Zwykle ochroniarze pukali, zanim wpuścili kogokolwiek do środka.

Zrozumiał, co się dzieje, kiedy zobaczył, kto go odwiedził.

Jego żona.

Nie wyglądała na zachwyconą.



# ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Cotton utkwiał wzrok w Iwonie, która klęczała teraz za innym łukiem, dziesięć metrów dalej.

– I oto jest! – wykrzyknął Iwan. – Nie miało cię tutaj być!

– A mimo to jestem! – odparła.

Rosjanin roześmiał się grzmiącym, powolnym śmiechem, na wpół naturalnym, na wpół wymuszonym, ale za to zupełnie nieprzyjaznym.

Teraz Malone zrozumiał.

Iwona zbijała tych ludzi z tropu, wywoływała zamieszanie. Robiła to, co umiała najlepiej – rozgrywała ich.

– Kim jesteś? – zapytał Jonty Olivier.

– Wysłanniczką przekazującą pozdrowienia od prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Naprawdę myślałeś, że pozwolimy, by ta aukcja się odbyła?

Jonty nie odpowiedział.

– I co teraz? – zapytał Cotton, kierując pytanie do wszystkich.

– Jak mówi Olivier – oznajmił Iwan – tylko on wie, gdzie ukryta informacja. Musi nam powiedzieć.

– Co to, to nie – zadeklarował Jonty.

– Zapomnijcie na chwilę o Amerykanach – wtrącił Malone. – Czy ktokolwiek myśli, że Chińczycy, Koreańczycy, Francuzi ani Irańczycy nie będą chcieli się zemścić?

– Może zwalimy wszystko na ciebie? – zastanowił się głośno Iwan. – Były szpieg w takim miejscu. Twoja reputacja przeciw tobie. Oczywiście spróbujesz przekonać wszystkich, że nic nie zrobiłeś. Wtedy zwalimy na Polaków. Na pewno by chcieli zatrzymać wszystko. Jak mówię, Iwona, nie miało cię tu być.

– Sporo tu świadków – zauważył Cotton.

– Słusznie – odparł Iwan.

Sięgnął pod marynarkę, wyjął pistolet, odwrócił się i strzelił obu pozostałym Rosjanom prosto w głowę.

Malone widział w życiu wiele deprawacji i zbrodni, a jego praca zazwyczaj polegała na tym, by obrócić złe uczynki na własną korzyść, ale to zabójstwo wydało mu się wyjątkowo odrażające. Śmierć była niewątpliwie częścią jego profesji. W ogniu walki sam nieraz naciskał spust, lecz tutaj stało się inaczej. Zamiast rozsądku do głosu doszła czysta żądza przemocy. Niewypowiedziany protest palił go w gardle, jednak miał dość rozumu, by zmilczeć. Spojrzał na Iwonę, a potem znów podniósł wzrok na galerię.

– Tylko ty zostałeś, Malone! – stwierdził Iwan. – I ty, Iwona!

Pozostał więc tylko jeden nierozwiązany problem. Stał kilka metrów dalej.

Cotton nie pałał specjalną sympatią do Jonty’ego Oliviera. Facet próbował oswoić sześć grzechotników naraz – czego więc się spodziewał? Że będą grzecznie i potulnie leżeć? Nic dziwnego, że jeden z nich podniósł łeb i go ugryzł.

Fox i jego poplecznicy byli głupcami, próbując manipulować ludźmi i wykorzystać ten scenariusz. W jakim świecie próba rozmieszczenia pocisków średniego zasięgu zaledwie o kilkaset kilometrów od rosyjskich granic nie spotkałaby się z odpowiedzią pełną przemocy? Bunch i Fox sądzili, że łgarstwa i podstępny zadziałają. Może sprawdziłoby się to wśród biznesmenów... ale to była inna liga. Tu grało się na poważnie, a jeżeli ktoś przegrywał, to nie tracił kontraktu ani pieniędzy, lecz życie. Uczestnicy zajmowali się tą grą od dłuższego czasu, Warner Fox był natomiast żółtodziobem, i to aroganckim. A Tom Bunch ślepo mu wierzył i chciał tylko zadowolić szefa, bez świadomości, jakie ryzyko podejmuje. Teraz leżał w kałuży własnej krwi, w słowackim zamku, daleko od Białego Domu.

Malone popatrywał na Iwonę i Iwana, próbując rozstrzygnąć, co dalej. Był pewien tylko tego, że ich interesy są sprzeczne. Iwan chciał wykorzystać informację, którą miał na sprzedaż Olivier, jako ubezpieczenie przeciw Polakom. Gdyby ją uzyskał, mógłby powstrzymać Amerykanów przed rozmieszczeniem pocisków w Polsce, a w dodatku kontrolować głowę ościennego państwa. Rosyjskie metody przesłuchań wystarczyły, żeby złamać Jonty'ego. Facet w końcu powie im wszystko, czego chcą się dowiedzieć.

Iwona wolałaby zniszczyć te dokumenty, tak żeby nikt nigdy nie był w stanie ich wykorzystać. W gruncie rzeczy już teraz nie nadawały się do użytku, skoro tylko jedna osoba znała ich lokalizację. Olivier na pewno ukrył je w miejscu, gdzie mogły być przechowywane przez dłuższy czas. Jakie było prawdopodobieństwo, że pojawią się ponownie? Niewielkie, a już na pewno nie w ciągu kolejnych pięciu lat drugiej kadencji prezydenckiej Czajkowskiego. Po tym okresie to, co miał do opchnięcia Jonty, straci jakąkolwiek wartość.

– Najwyraźniej masz problem – zwrócił się Cotton do Iwana.

Rosjanin wzruszył ramionami.

– Robię swoje. Ale Iwona nie powinna być tutaj. Olivier jest mój.

– Nic nie powiem żadnemu z was! – wybuchnął Jonty.

Iwona zza osłony łuku wycelowwała w niego broń.

– Gdzie jest Włócznia Świętego Maurycego?

– A to akurat mogę ci powiedzieć. W samochodzie, zaraz za dziedzińcem, razem z innymi relikwiami. Czeka na mnie.

Opuściła lufę.

– Po to przyszedłam. Dlatego tu jestem.

To miało sens. Narodowy skarb musiał zostać zwrócony narodowi, zwłaszcza jeżeli ona sama pozwoliła, by go ukradziono.

Iwan znów wzruszył ramionami.

– Masz to. Idź już.

Dwa pociski przeszły powietrze, dwa strzały odbiły się w sali echem.

Cotton odwrócił się gwałtownie w prawo. Iwona strzeliła, ale nie w górę, spojrzał więc w lewo. Olivier obserwował ze zdumieniem rozplywającą się po koszuli czerwoną plamę. Jego kurczowo zaciskające się palce nie były w stanie powstrzymać upływu krwi. Westchnął głęboko, a wraz z powietrzem z jego ust popłynęła czerwona strużka. Błysnął białkami oczu, a zaraz potem jego potężne ciało uderzyło ciężko w posadzkę.

– Już po wszystkim! – zawołała Iwona. – Nie będzie rakiet i nikt nie dostanie tych dokumentów. Zostaną tam, gdzie są.

Malone spojrzał na nią.

– Polski rząd miał niedokończony interes z Jontym Olivierem – dodała. – Właśnie go dokończyłam.

– Niedobrze – powiedział Iwan. – Jest problem.

– Odpuść! – krzyknęła.

– Może się nie uda. Chciałem Oliviera. Żywego.

– Cotton!

Odwrócił się do Iwony.

Rzuciła mu pistolet po gładkiej kamiennej posadzce. Złapał broń, sprawdził magazynek i przeładował.

Gotowy.

– Teraz jest nas dwoje! – zawołał do Iwana. – Możesz stąd wyjść albo wyjechać nogami do przodu z pociskiem w piersi. Wybieraj.

W sali zapanowało milczenie.

Zaryzykował spojrzenie i zobaczył, że trzech mężczyzn ponad nim patrzą po sobie. Reinhardt czekał, aż Rosjanin podejmie decyzję.

– Nie chcę tu umierać – odezwał się w końcu Eli.

– Dobra – stwierdził Iwan. – To koniec.

Malone patrzył, jak cała trójka odchodzi od barierki i oddala się wzdłuż galerii. Musiał zachować czujność, dopóki nie wyjdą z budynku.

Odwrócił się ku kryjówce Iwony...

Ale agentki już tam nie było.

# ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Czajkowski poczuł, że wraz z przybyciem jego żony w salonie zapanowała napięta atmosfera. Wzięli ślub dwadzieścia jeden lat wcześniej, kiedy oboje byli sporo młodszy i dużo mniej zaangażowani w politykę. Od tamtej pory stali się osobami publicznymi, a przez pewien czas stanowili nawet zespół. Ale to już przeszłość. Teraz funkcjonowali kompletnie osobno, a łączyła ich tylko ambicja.

– Zostaw nas samych – powiedział do Zimy.

– Zadbaj, proszę, żeby nam nie przeszkadzano – dodała żona prezydenta.

Szef BOR-u skinął głową i wyszedł z apartamentu.

Rozmowa zapowiadała się kiepsko.

– Anno, dlaczego tu jesteś?

– Właśnie miałam cię zapytać o to samo.

Zastanawiał się, ile wie jego żona. A może strzelała na ślepo, z nadzieją, że przypadkiem trafi?

Zasiadła na kanapie. Założyła na tę okazję kosztowny kostium Chanel w odcieniu perłowej szarości. Niewiele biżuterii, niskie obcasy. Idealny wizerunek Pierwszej Damy.

– Powiedziano mi, że jesteś tu od dwóch dni, odwołałeś spotkania i wyczyściłeś kalendarz. A potem usłyszałam, że zeszłej nocy była tu twoja dziewczyna.

Nic dziwnego, że się o tym dowiedziała. Ją również ochraniali agenci BOR-u, a wieści w Biurze szybko się rozchodziły.

– Chcę wiedzieć, co tu jest grane – zażądała.

– Przygotowuję się do najbliższych wyborów.

Roześmiała się.

– A ja jestem Maryją Dziewicą! Daj spokój, Janusz, przyjechałam, żeby usłyszeć odpowiedzi... Prawdziwe odpowiedzi. Dzieje się coś niezwykłego.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Znam cię.

To faktycznie był problem. Czajkowski nie potrafił oszukać kogoś, kto spędził z nim pół życia. Zdecydował się więc postawić na szczerość.

– Protokół warszawski powrócił i straszy.

Opowiedział jej wszystko na ten temat już dawno temu, kiedy rozmawiali ze sobą bardziej jak mąż z żoną.

– Ten żałosny skurwiel Dylecki zachował dokumenty świadczące przeciwko mnie. Jak? Po co? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że to zrobił. I że nadal istnieją.

– A twoja dziewczyna próbuje je odzyskać?

Przytaknęła.

– Podjęła pewne działania.

– Jak to cudownie, że masz ją przy sobie w potrzebie.

Czajkowski usłyszał sarkazm w jej głosie i nieco się zdziwił: skąd ta zazdrość? Od dawna jej nie odczuwali, to należało do ich układu.

– Ta sytuacja może mieć poważne konsekwencje międzynarodowe – wyjaśnił. – Bezpieczeństwo kraju jest zagrożone. Jeżeli obcy rząd pozyska te dokumenty, może ich użyć, żeby zmusić mnie do rezygnacji lub zrobienia tego, czego chce. Wolałbym uniknąć obu tych rzeczy.

Obrzuciła go wzrokiem, który znał aż za dobrze.

– Jest aż tak źle?

Skinął głową.

– Wiesz, co wtedy robiłem... co wszyscy robiliśmy.

– Wiem tyle, ile mi powiedziałaś.

Rezerwa w jej głosie nim wstrząsnęła.

– Mam rozumieć, że według ciebie naprawdę byłem informatorem komuchów? Że sprzedawałem współobywateli? Że brałem ich brudną forszę, żeby pomóc im w tłamszeniu narodu? Rzeczywiście w to wierzysz?

Posłała mu swoje słynne chłodne spojrzenie.

– Oboje wiemy, co zrobiłeś, Janusz. Ilu zginęło?

Ostatnio często wspominał przeszłość.

– Czterdzieści sześć osób.

– Słucham?!

– Tylu moich rekrutów zostało zabitych. O tylu wiem.

Usiadła.

– No, to całkiem nowa informacja. Przez te wszystkie lata ani razu nie wspomniałaś, ilu z nich zapłaciło najwyższą cenę.

Wszyscy ci mężczyźni i wszystkie kobiety skwapliwie brali pieniądze od SB w zamian za dostarczane z własnej woli informacje na temat ich rodzin, przyjaciół, sąsiadów i znajomych. Najgorsi zdrajcy. Nikt ich do niczego nie zmuszał. Nie zostali pobici ani skazani na pełzanie po więziennej podłodze.

Dlatego to, co robił Janusz i kilku innych, było dość łatwe.



Wystarczyło znaleźć zwerbowanych przez SB współpracowników, którzy nie działali z własnej woli i zostali przymuszeni do szpiegowania, a potem zrobić z nich podwójnych agentów i karmić władze informacjami w kontrolowany sposób. Do tych raportów dodawano ziarno prawdy, żeby informatorzy nie mieli kłopotów, a SB zajmowała się pogonią za cieniami.

Ta metoda działała.

I to znakomicie.

Po pewnym czasie nadzorujący protokół podwyższyli stawkę: przekazywali informacje o coraz większym znaczeniu, przygotowane tak, żeby całkowicie zdyskredytować w oczach SB część dobrowolnych informatorów. Wystarczyło to, żeby Służba Bezpieczeństwa zaczęła wątpić w ich lojalność, a w niektórych wypadkach wyeliminowała ich na stałe.

Czterdzieści sześć osób. O tylu wiedział.

– Każdy z nich zasłużył na swój los – oświadczył. – Sprzedawali nas z chciwości. Nie żałuję ani jednego z tych ludzi.

– Wątpię, żeby polscy wyborcy rozumowali w ten sam sposób – zauważyła Anna. – A więc to z tego powodu tutaj jesteś?

– Właśnie. Oczywiście żadna licząca się osobistość nie potwierdzi nawet samego faktu istnienia protokołu warszawskiego, a tym bardziej nie powie, że to było słuszne działanie. W końcu wyjdę na zdrajcę, komunistycznego szpiega. Poniosę odpowiedzialność za wszystkich.

– Ojciec Staszek nie był skłonny do współpracy?

– Ani trochę. Widzę, że jesteś dobrze poinformowana.

– Już dawno temu nauczyłam się, że najlepiej wyprzedzać cię o krok, Janusz. Jeżeli się da, o dwa kroki.

Kiedyś kochał tę kobietę, a uczucie to w niewielkiej części przetrwało do dziś. Rozumiała go jak nikt. Zdecydował się na wizytę w Krakowie pod wpływem impulsu, nie miał jasnej koncepcji działania i konkretnego celu.

Wylatywał z Warszawy na południe zlany zimnym potem, przygryzając wargę, pogrążony we wspomnieniach. Miał nadzieję, że kiedy już dotrze na miejsce, znajdzie jakieś wyjście. Daremnie: jego umysł nadal był pogrążony w chaosie. Wyobrażał sobie jednak, że jego żona przeżywa podobne rozterki.

– Nigdy nic nie zagrażało nam bardziej. Moja kariera polityczna może się wkrótce zakończyć. Twoja też – dodał.

Wzruszyła ramionami.

– Stale stajemy przed różnymi wyzwaniem. Dlaczego to miałyby być inne?

– Ponieważ jest inne. W sprawę zaangażowali się Amerykanie i Rosjanie, a stawka jest wyjątkowo wysoka.

– Czy ona cię kocha?

To pytanie padło zniecka. Nigdy wcześniej nie rozmawiali o swoich pozamałżeńskich partnerach.

– Tak.

– To dobrze. Może mi nie uwierzysz, ale chciałabym, żebyś był szczęśliwy.

– Ja też chcę tego dla ciebie. Nie mam zamiaru cię skrzywdzić.

Wciąż była jego przyjaciółką i zawsze miała nią pozostać.

– Pamiętam tamte lata, Janusz. Urodziłam się w strasznym komunistycznym społeczeństwie i wiem, jak myślą ci ludzie. Nie musisz mnie przekonywać, że czasy były ciężkie. Żeby przeżyć, człowiek musiał przestrzegać zasad i nie zwracać na siebie uwagi. Pamiętam to całkiem nieźle. I zgoda, nie uronię łzy nad tymi zdrajcami. Przyjechałam, żeby ci pomóc, ale w tym celu muszę wiedzieć, co nam zagraża. Powiedz mi prawdę.

Opowiedział jej o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni.

– Rozumiem – stwierdziła, kiedy skończył. – Nie możemy pozwolić, żeby cudzoziemcy dyktowali Polsce, jaką politykę ma uprawiać. Nigdy więcej!

Mogli być małżeństwem żyjącym de facto w separacji, ale Anna Czajkowska była przede wszystkim Polką.

I to dumną ze swojej polskości.

– Ty i ja nie zgadzamy się w wielu sprawach, ale w tej mówimy jednym głosem – oświadczyła. – Na co czekasz?

– Aż zgłosi się Iwona. Ostatnią rzeczą, jaką słyszałem, były strzały.

– To może wyślesz do tego zamku innych ludzi?

Rozważał takie rozwiązanie, ale wcześniej obiecał Iwonie, że nie będzie jej przeszkadzał.

– Nie mogę. Nie w tej chwili.

Wydawała się to rozumieć, mimo to zapytała:

– Ale nie zaszkodziłoby, gdyby twoi agenci znaleźli się gdzieś blisko, gotowi do działania w każdej chwili?

Ani trochę.

Prezydent podszedł do drzwi i wezwał Zimę z powrotem, po czym powiedział mu, czego oczekuje:

– Trzymajcie się o kilka kilometrów od celu, ale dość blisko, żeby w razie potrzeby zjawić się tam jak najprędzej. Jak szybko możesz przetrząść tam jakichś ludzi?

– Mam już sześciu przy słowackiej granicy. Spodziewałem się, że wyda pan ten rozkaz.

Czajkowski się uśmiechnął.

– No to do roboty.

Zima wyszedł.

Anna wstała z kanapy.

– Ja też mam misję.

Zaciekawiło go to.

– Można wiedzieć jaką?

– Czas złożyć wizytę na Jasnej Górze. Musimy sobie porozmawiać z ojcem Staszkiem.

– Może się okazać, że to będzie dość jednostronna konwersacja...

Pokręciła głową.

– Daj spokój, Janusz. Wiesz, jaka potrafię być przekonująca!

# ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Cotton wyszedł spod łuku w sam środek jatki. Iwona z zimną krwią zlikwidowała Jonty'ego Oliviera. Nie było lepszego sposobu, by ochronić Polskę i Czajkowskiego, niż eliminacja źródła problemu. Najwyraźniej nie znała wcześniej miejsca aukcji; Rosjanie nie przekazali jej tej informacji. Dlaczego mieliby to zrobić? Martwy Olivier to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyli. Dlatego Iwona zastawiła pułapkę z włócznie i pozwoliła mu w nią wpaść. W ten sposób nikt – Jonty, Rosjanie czy inna zainteresowana strona – niczego się nie spodziewał, a agentka otrzymała szansę na czysty strzał.

Iwan i Eli Reinhardt wciąż niepokoiли Malone'a. Mogli się zacząć gdzieś w pobliżu, więc ostrożnie przekradł się ku frontowi zamku, aż znalazł pokój, z którego mógł zajrzeć na dziedziniec. Obserwował stamtąd, jak Iwan, Reinhardt i Munoz opuścili teren zamku w czarnym sedanie. Następnie dostrzegł Iwonę: spokojnie przeszła po bruku, a potem, z pudłem zawierającym włócznie, wyszła główną bramą.

Pozostawała kwestia Elia Reinhardta. Wydawało mu się, że coś jest nie tak. Cotton chciał dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego faceta. Dlaczego w ogóle był zamieszany w tę sprawę? Dlaczego zgodził się

zaryzykować uczestnictwo w morderstwie reprezentantów władz państw, którzy nie okazywali mu wrogości? I zawrzeć układ z Rosjanami? Komentarze Oliviera tylko potwierdzały, że współpracował z Reinhardtem. Zanim go zabito, zdążył z ubolewaniem zauważyć, jaki był głupi, ufając Eliowi. A więc tamten zastosował podstęp? Możliwe. A kiedy Iwona zastrzeliła Jonty'ego, Reinhardt przyjął to z wyraźną ulgą, a nie z przerażeniem.

Czy to koniec?

Czy dokumenty rzeczywiście przepadły?

Iwona najwidoczniej nie przejęła się obecnością Reinhardta, nie poświęcając mu uwagi, lecz po prostu opuszczając fortecę. Pełna satysfakcji, że sytuacja została opanowana.

Czy popełniła błąd?

W zamku zapanował śmiertelny spokój.

Cotton opuścił komnatę od frontu i wrócił do wielkiej sali. W jej ścianach i posadzce ziały dziury po pociskach, a ofiary leżały w kałużach krwi. Podeszedł do ciała Oliviera: twarz tamtego była woskową maską, oczy zamknięte, lecz opuchnięte. Malone przeszukał jego kieszenie, ale znalazł tylko mały odłamek żółto-białego kryształu. Dziwne. Po co ktoś taki jak Jonty miałby nosić taki przedmiot? Jakie to mogło mieć znaczenie? Zabrał kryształ i przypomniał sobie, że Olivier pytał wcześniej o współnika imieniem Vic. Cotton uznał, że najlepiej będzie poszukać na piętrze. Odnalazł schody i wszedł na górę, mijając dwóch martwych Rosjan, a potem przeszukał pokoje, aż znalazł komnatę sypialną, w której urządzono centrum dowodzenia. Na podłodze leżały jeszcze jedne podziurawione kulami zwłoki. Już miał je przeszukać, kiedy dostrzegł prawą kieszeń spodni.

Wywróconą na lewą stronę.

Tak jakby ktoś już sprawdził jej zawartość.

I tak zajrzał do kieszeni i znalazł w niej kluczyki do samochodu, telefon komórkowy oraz portfel, a w nim brytyjskie prawo jazdy na nazwisko Victor DiGenti. Vic. Kamery wciąż działały, a monitory wyświetlały obraz widziany z murów zamku: widniał na nich las, lecz także droga w pobliżu głównej bramy. Wszędzie panował spokój. Jeden z podzielonych na części ekranów pokazywał także samochód zaparkowany wewnątrz murów, prawdopodobnie w jednej z alejek, które zauważył, wysiadając wcześniej z czarnego mercedesa. Olivier wspomniał o tym aucie. Gotowe do odjazdu, z zapakowanymi relikwiami *arma Christi*.

Zauważył laptopa podłączonego kablem do gniazdka w ścianie. To zapewne w ten sposób zwycięzca aukcji miał dokonać przelewu, a Jonty – zweryfikować go. Malone zakładał, że Reinhardt zaczął od zabicia Vica, żeby otworzyć drogę do zamku swoim współkonspiratorom. Całą służbę najwyraźniej oddalono, wystawiając to miejsce na atak. Było to zaledwie jedno głupie posunięcie Oliviera z całej listy lekkomyślnych zaniedbań.

Cotton zastanawiał się, czy Reinhardt nie znalazł tu już wcześniej istotnej wskazówki. Olivier powiedział co prawda, że tylko on zna lokalizację dokumentów, ale podczas licytacji ogłosił także, że DiGenti może doprowadzić jej zwycięzcę do miejsca ich ukrycia. To miało sens. Ktoś taki jak Jonty nie wydawał się skłonny do noszenia ciężkich przedmiotów, co to, to nie. Zapłaciliby raczej za taką usługę – a kto nadawałby się do jej wykonania lepiej niż ten, o kim Olivier wspomniał w rozmowie z Reinhardtem?

Czy ten facet, Vic DiGenti, również znał miejsce ukrycia dokumentów?

Oczywiście Malone rozważał to wszystko czysto teoretycznie, z prawniczego nawyku.

Mimo to hipoteza wydawała się rozsądna.

Wziął w dłoń komórkę Vica, ale żeby ją odblokować, musiałby znać hasło, więc rzucił ją z powrotem na ciało i ruszył na poszukiwania w pozostałej części zamku. Znalazł sypialnię Oliviera w tym samym korytarzu. Była elegancko umeblowana: ciężki drewniany stół, łóżko z baldachimem, rzeźbiona skrzynia i szafa z ciemnego drewna, wypełniona ubraniami pasującymi rozmiarem do Jonty'ego. Wszystko tu pachniało politurą, mydłem i świeżymi kwiatami. Popołudniowe słońce rozświetlało wnętrze czerwonym blaskiem, ujawniając warstewkę kurzu na meblach. Poza przyborami toaletowymi i kilkoma powieściami nie było tu nic więcej. Cotton wyszedł z komnaty i wrócił na dół. Po chwili odkrył tam pomieszczenie, gdzie niegdyś mieściła się zamkowa biblioteka.

Teraz jednak na półkach brakowało książek. W jednym rogu stał spory fortepian, na ścianach wisiało kilka litografii, a na posadzce leżał dywan. Przeszkłone drzwi prowadziły na kamienny taras. Malone szukał czegokolwiek, co mogłoby mu zdradzić lokalizację dokumentów. Interesujące: na małym stoliku zobaczył małe urządzenie do pakowania próżniowego, jakie stosuje się do przechowywania żywności. Na wiktoriańskim biurku leżały ponadto trzy telefony komórkowe, wszystkie zabezpieczone hasłami. Nie był w stanie szybko rozpracować tych kodów, więc wrócił do wielkiej sali.

Ile jeszcze czasu minie, zanim rządy, których delegatów tu zabito, dowiedzą się o tym, co tu zaszło? Niewiele. To zapewne kwestia godzin. Jaka będzie reakcja tych krajów? To pozostawało zagadką, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę nielegalny charakter całego przedsięwzięcia.

Podszedł do telebimu, w pobliżu którego leżały zwłoki Oliviera. Przypomniał sobie dokumenty wyświetlone na wielkim ekranie i zajrzał za niego. Stał tam podłączony do telebimu laptop. Przewinął pięć obrazów



wyświetlonych po lewej, które Jonty pokazał wcześniej zgromadzonym. Na twardym dysku nie było nic więcej.

Wtedy jednak zauważył coś jeszcze.

Pod komputerem, na drewnianej półce, leżała duża żółta koperta, taka jak te, które przygotowano dla uczestników aukcji. Wysunął ją i zważył w dłoni. Była dość ciężka. Oddarł brzeg, a wewnątrz znalazł spory album.

*Miasto w soli: The City in Salt.*

Na okładce widniał podwójny, polsko-angielski tytuł. Wewnątrz zastosowano podobne rozwiązanie: tekst w obu językach opisywał, co znajdowało się na lśniących kolorowych zdjęciach podziemnej kopalni soli w Wieliczce. Cotton przekartkował księgę, podziwiając niezwykle obrazy.

Na ostatniej stronie widniał odręczny napis.

Niebieskim atramentem.

### „9 BOBOLA”

Malone jeszcze raz przejrzał album, żeby sprawdzić, czy nie ma w nim więcej zapisków, ale nic nie znalazł. W pewnej chwili jego wzrok przyciągnęła fotografia na całą stronę. Żółto-białe kryształy rosnące w szczelinie, która otwierała się w ścianie sztolni. Pod zdjęciem nie było podpisu, ale znalazł legendę na końcu. Autor opisał fotografię następująco: „Dolna część poziomu IX. Fragment ściany pokryty dużymi kryształami halitu”. Cotton wyłowił z kieszeni odłamek skały, który nosił wcześniej Olivier, i porównał go ze zdjęciem.

Identyczny.

Uniósł kryształ do ust i ostrożnie dotknął go końcem języka.

Słony.

W umyśle Malone’a zaczął formować się pewien wzór, aczkolwiek jeszcze niezbyt wyraźny.

Tym razem dwa plus dwa musiało się równać cztery.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Eli był zadowolony, że udało mu się dobić interesu z rosyjskim agentem. On i Munoz pojechali wraz z Iwanem na północ, z powrotem do Polski, przez całą drogę milcząc jak zakłęci. Układ zadziałał idealnie: Rosjanie zapłacili mu pięć milionów euro, by dostał się na licytację, zdradził im jej miejsce, a potem ułatwił eliminację uczestników. Chcieli zabić wszystkich wysłanników, ale zachować przy życiu Oliviera. To się nie udało, ponieważ w sprawę wmieszali się Polacy. Malone przeżył. Na szczęście Iwan nie miał Reinhardtowi za złe żadnej z tych okoliczności.

Rosjanin wysadził ich w pobliżu Rynku Głównego w Krakowie, a potem zapewne pojechał do pobliskiego rosyjskiego konsulatu, gdzie mógł poczuć się jak w domu. Eli zastanawiał się, kiedy masakra na zamku Szturniej wyjdzie na jaw. Obsługa z pewnością już wróciła. Być może jednak Polacy uprzątnęli bałagan i pozbyli się ciał. To miałoby większy sens. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyli, było przyciągnięcie uwagi opinii publicznej.

Powoli dochodziła 15.00, a Reinhardt czuł głód.

Potrzebował jeszcze jednej informacji.

Wiedział, że Jonty odwiedził pobliską Kopalnię Soli w Wieliczce dwukrotnie w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Raz po to, by odnaleźć Spizarnię, ale poprzednią wizytę odbył na własny rachunek. Munoz opowiedział Eliowi o rażeniu prądem za pomocą kabla umieszczonego w gardle i o tym, jak w końcu wyciśnięto z niego nazwisko. Reinhardta normalnie wkurzyłaby taka słabość, ale dzięki relacji Munoz odkrył, że Jonty wrócił do kopalni już po tym, jak dowiedział się, że obserwuje go konkurent.

Czy próbował zabezpieczyć swoje interesy?

Zapewne tak.

A Vic DiGenti zapewne pojechałby tam razem z szefem.

Eli wydobył z kieszeni kartkę zabraną z kieszeni Vica.

## 9 BOBOLA

Co to miało oznaczać? Czy była to istotna informacja? Czy też nie miała nic wspólnego z całą sprawą?

Uwierzył Olivierowi, kiedy tamten wspomniał, że na zamku nie ma żadnych dokumentów. To byłoby mądre rozwiązanie, podyktowane ostrożnością. Eli sam by tak zrobił. Czy to możliwe, by Jonty uznał kopalnię soli za idealną lokalizację do ukrycia swojego towaru? W sumie dlaczego nie? W takim miejscu, odizolowanym od reszty świata, na pewno znajdowało się wiele zakamarków, w których dało się coś schować. Powinien przynajmniej sprawdzić tę hipotezę, zanim całkowicie ją odrzuci.

Reinhardt znał trochę Kraków. Odwiedził to miasto już wiele razy, a najchętniej jadał w restauracji Pod Aniołami. Mieściła się ona w pół drogi pomiędzy Rynkiem Głównym a wzgórzem wawelskim, przy bocznej uliczce odchodzącej od ruchliwego deptaka. Serwowano tam dania tradycyjnej polskiej kuchni, przygotowywane – na podstawie starych przepisów – na grillu opalanym węglem z bukowego drewna. Panowała tam

przemiała atmosfera. Wnętrze lokalu przypominało mu wystrojem prywatne wiejskie domy z ozdóbkami na półkach.

Poprowadził Munoz do restauracji. Zajęli stolik w piwnicy, w sali o kamiennych ścianach i średniowiecznym sklepieniu. Poza nimi nikt nie zdecydował się na późny lunch, więc mieli trochę prywatności w słabo oświetlonym wnętrzu.

– Chcę, żebyś odnalazł człowieka, który pracuje w Kopalni Soli w Wieliczce – wyszeptał Eli do współlnika. – To przewodnik, nazywa się Dawid Konrad. Poznałem go wczoraj wieczorem. Jedź tam, popytaj i znajdź go. Muszę z nim natychmiast pogadać.

Munoz pracował już wcześniej dla Reinhardta, który wiedział, że można na nim polegać. Oczywiście pojmanie przez Oliviera dowodziło czegoś wprost przeciwnego, ale w ostatecznym rozrachunku bardzo się przydało. Eli chlubił się swoją umiejętnością przystosowania do niemal każdej sytuacji. To, że znajdował się teraz w tym miejscu, najlepiej dowodziło jego skuteczności. Zdołał wyeliminować konkurenta i dowiedzieć się, jak bez przeszkód trafić do dokumentów, które mogły okazać się całkiem wartościowe. Nie popełni jednak tej samej pomyłki co Jonty: jeżeli je znajdzie, sprzeda tę informację bezpośrednio Rosjanom za uczciwą cenę i potraktuje dochód z tej transakcji jako lukier na pięciomilionowym torcie, który już dostał. Oczywiście Polacy mogliby zapłacić więcej, ale w każdym razie dokumenty pozostaną utajnione i nikt nie rozmieści żadnych rakiet.

A teraz chciał coś zjeść.

Przedyskutowali z Munozem jeszcze kilka szczegółów, po czym jego współlnik wstał i opuścił restaurację po stromych schodach.

Po raz pierwszy od kilku dni Eli się odprężył.

Już nikt nie pokrzyżuje mu szyków. Wszyscy uczestnicy aukcji albo zostali zabici, albo dostali to, czego chcieli.

Jeszcze raz rozłożył papier z napisem:

### 9 BOBOLA

Musiał się dowiedzieć, czy ta informacja jest istotna, i to jeszcze przed rozmową z Konradem. Wciąż dysponował Spizarnią, której zawartość mógł teraz sprzedać sam, lecz tym, czego naprawdę pożądał, były dokumenty dotyczące Janusza Czajkowskiego. Los Oliviera pozwalał domyślić się, jaka katastrofa spotyka tych, którzy zawężali sobie możliwości. Eli chciał działać swobodniej, bardziej elastycznie. Pragnął za wszelką cenę zagwarantować sobie możliwość zawrócenia ze ścieżki, którą właśnie obrał w życiu. Tak naprawdę powinien teraz odejść, porzucić tę sprawę. Już dość na niej zarobił. Nie leżało to jednak w jego naturze handlarza, codziennie kupującego i sprzedającego informacje, podejmującego ryzyko. A gdzieś tam, właśnie teraz, czekały na odnalezienie dokumenty o wielkiej wartości.

Tu nie chodziło tylko o pieniądze.

W grę wchodziła także jego reputacja brokera.

Dobrze, w takim razie spróbuje.

Wyjął smartfon i wpisał w wyszukiwarkę „Bobola”.

Wyniki zaskoczyły go i zaintrygowały.

\* \* \*

Cotton podszedł do jasnego bmw, które wcześniej dostrzegł na monitorze w sypialni, gdzie zginął Vic DiGenti. Wyjął znalezione przy jego zwłokach kluczyki i ucieszył się: pilot faktycznie otworzył drzwi samochodu.

Na tylnym siedzeniu leżały pojemniki zawierające relikwie *arma Christi*. Zauważył, że jest ich sześć. Kiedy dodało się do nich włącznię,

którą zabrała Iwona, wychodziło siedem. Skąd wziął się siódmy artefakt?  
W zamku na stole brakowało jednego z nich.

Jeszcze jedna zagadka.

W każdym razie miał teraz relikwie. Był pewien, że kościoły, z których je skradziono, będą ponad wszelką miarę wdzięczne za ich zwrot. Dla Stephanie będzie to jeszcze jeden powód do chwały. Musiał do niej zadzwonić, ale w tej chwili nie miał jak. Ta rozmowa musiała poczekać do jego powrotu do Polski. Teraz chciał tylko znaleźć się jak najdalej od zamku, zanim wieści rozejdą się po świecie.

Wciąż podejmował decyzje, kierując się instynktem.

Wiedział, że Stephanie by tego chciała.

Chociaż nie miał w tym już żadnego interesu, zamierzał sprawdzić, czy dokumenty dotyczące Czajkowskiego nadal da się gdzieś odnaleźć.

Czy groźba ich ujawnienia pozostawała realna?

Ciszę wokół niego przeszyło krakanie kruka.

Czy to omen?

Miał nadzieję, że nie.

Zawdzięczał życie interwencji Iwony, która mogła jednak w każdej chwili uznać, że jego dalsze poszukiwania stanowią problem.

Chciała po prostu zakończyć tę sprawę.

Ale coś mu mówiło, że do końca jeszcze daleko.

# ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Czajkowski chciał, żeby ten dzień już się skończył. Przeżył niejedną trudną sytuację, ale dawno nie miał tak zszarganych nerwów. Rozmowa z żoną przywołała wspomnienia, do których wolał nie wracać.

Tamtego wieczoru, 12 grudnia 1981 roku, wszystko działo się tak szybko.

To wtedy polskie wojsko wkroczyło na ulice po wprowadzeniu stanu wojennego.

Większość przywódców Solidarności, ponad czterdzieści tysięcy ludzi, złapano i zamknięto w centrach internowania, marznących, na łasce brutalnych strażników. Ani Janusz, ani Staszek Orlik nie zostali zatrzymani. Orlik dlatego, że zawsze starał się pozostawać w cieniu, a Czajkowski – dlatego że był nikim.

To było potworne.

Ludzie przez wiele lat dyskutowali, czy Polska przetrwałaby tę zimę, gdyby nie wprowadzono stanu wojennego.

Powszechna klęska głodu wydawała się nieuchronna. System opieki zdrowotnej był na skraju załamania. Gospodarka praktycznie nie istniała. W powietrzu wisiała anarchia i ani rząd, ani Solidarność nie potrafiły

wypracować działających rozwiązań. Władza oznacza odpowiedzialność: przywódcy musieli się jakoś pogodzić, odkładając mniej istotne różnice na bok i unikając konfliktów z banalnych powodów. Solidarność stale miała problemy z zachowaniem jednolitego frontu. Jej liderzy pragnęli kompromisu, ale czerwona burżuazja, która musiałaby zrezygnować z wielu przywilejów, nie chciała ustąpić.

Żadnych układów.

Ludzie, którzy pozostali wówczas w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, byli zadufani w sobie, niekompetentni, skorumpowani i źli. Co prawda polscy żołnierze odmówili strzelania do polskich robotników, ale milicja, SB i służby specjalne nie miały takich oporów i zajęły się brudną robotą, likwidując pojedynczo przeciwników.

Przypomniawszy sobie poczucie klęski wiszące w powietrzu tamtej zimy.

Ludzie mieli świadomość, że zawsze przegrywają.

Podobnie działo się przez wieki: Polacy nigdy nie potrafili skutecznie zarządzać swoim państwem. Taki los zafundowały im geografia i ideologia. Stan wojenny wprowadzono po to, żeby wyizolować i zneutralizować wszystkie grupy niechętne współpracy, a także pozbawić ludzi dostępu do innego przekazu niż kontrolowany przez władzę. Przez lata Solidarność istniała oficjalnie, przekazując ludziom prawdę... a teraz zniknęła, zdelegalizowana i osłabiona. Przepadły alternatywne sieci informacyjne. Odcięto linie telefoniczne i wyłączono telewizję. Na wszystko trzeba było mieć pozwolenie. Należało rejestrować nawet maszyny do pisania.

Dlatego tak łatwo udało się wprowadzić w życie protokół warszawski.

Dostarczanie Służbie Bezpieczeństwa fałszywych informacji było proste. Szczucie jednych na drugich i wystawianie zdrajców – jeszcze prostsze.

Ich śmierć wydawała się niską ceną.



Kto pozostał na posterunku ostatni?

Dwa tysiące górników na Śląsku, zabarykadowanych w proteście pod ziemią, stłoczonych w niskich, ciemnych, oślizgłych sztolniach, pełnych wilgoci, jak to w zimie. Bez wentylacji i światła. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem. Żeby ich stamtąd wykurzyć, władze wdrożyły własną wersję protokołu warszawskiego, posyłając górnikom fałszywe informacje na temat chorych bliskich czy rodzących żon. Odpowiednio dobrane agentki udawały ich krewne, błagając, żeby się poddali. Próbowano wszystkiego, żeby złamać ich opór, ale górnicy wiedzieli, jak rozpoznać kłamstwo. Ci twardzi, honorowi ludzie stanowili arystokrację polskiej klasy robotniczej. Nie przyłączyli się do wcześniejszych akcji strajkowych i byli wśród ostatnich, którzy zastrajkowali.

A jednak w końcu się na to zdecydowali.

To doprowadziło do kolejnego pata.

Jedynym wyjściem była zmiana zasad.

I właśnie tego dokonał protokół warszawski.

Zaatakował SB u jej podstaw.

Prezydencka limuzyna się zatrzymała. Czajkowski właśnie dojechał do Wadowic, miasteczka leżącego o kilkadziesiąt kilometrów na południowy zachód od Krakowa. Wadowice liczyły sobie dwadzieścia tysięcy mieszkańców i niczym się nie wyróżniały, poza tym, że to tu 18 maja 1920 roku urodził się przyszły papież Jan Paweł II. Dzięki temu senna miejscina stała się celem pielgrzymek, pełnym tandetnych turystycznych atrakcji. Zainteresowanie zwiedzających koncentrowało się wokół centralnego placu, któremu nadano – jakże stosownie – imię Jana Pawła II. Główną atrakcją był dom rodzinny Wojtyłów. Na dwustu metrach kwadratowych urządzono zajmującą cztery piętra wystawę prezentującą życie wielkiego

człowieka: rodzinne zdjęcia i pamiątki, rękopisy, a nawet pistolet, użyty w 1981 roku podczas zamachu na życie papieża.

Właśnie ukończono remont tego domu, toteż Czajkowski przyjechał tu, żeby zobaczyć efekt i udzielić prezydenckiego błogosławieństwa. Wycieczkę tę zaplanowano wczoraj jako kamuflaż: skoro głowa państwa znajduje się w pobliżu, dlaczego nie miałyby wpaść z szybką wizytą?

Iwona zadzwoniła dwie godziny wcześniej z informacją, że wraca ze Słowacji. Zawiadomił ją o wysłaniu oddziału agentów BOR-u, a ona opowiedziała mu, co zaszło na zamku. Zgodzili się, że agenci powinni wyczyścić ten obiekt i pozbyć się ciał, a także usunąć i zniszczyć wszystkie drukowane materiały rozdane uczestnikom licytacji oraz wszystkie komputery. Michał Zima miał nadzorować całość operacji. Iwona liczyła, że tylko oni, Rosjanie i Eli Reinhardt wiedzieli, co się tam stało.

No i był jeszcze Cotton Malone.

Prezydent wątpił, by Amerykanie chcieli sprawić jakiegokolwiek kłopoty. Gdyby tego spróbowali, musieliby wyjaśnić, jak jeden z ich ludzi wydostał się nietknięty z zamku. Mało prawdopodobne, żeby Chiny, Iran lub Korea Północna przyjęły jakiegokolwiek wyjaśnienie, nie wspominając już o Francji, domniemanym sojuszniku USA. Władze tych państw założyłyby raczej, że Stany Zjednoczone położyły łapę na licytowanych dokumentach, a protesty Waszyngtonu nie zostałyby uwzględnione.

Czajkowski spojrział na zegarek: była 15.20.

Wysiadł z samochodu w promieniach słońca, które zasłaniały właśnie szybko nadciągające chmury. Kilku lokalnych polityków czekało, by go powitać, więc poświęcił chwilę na uściśnięcie im dłoni i pogawędkę, uśmiechając się życzliwie, po ojcowsku. Po swojej prawej zauważył Iwonę z czarnym pudłem w dłoniach i zwrócił na nią uwagę dowódcy ochrony. Kurator wystawy powitał prezydenta, wymienili parę grzecznościowych

uwag, po czym Czajkowski poprosił o udostępnienie na chwilę ustronnego pokoju. Gospodarz poprowadził go do swojego biura i się wycofał. Po chwili ktoś zapukał cicho do drzwi: Iwona położyła pudło na biurku, a Czajkowski chwycił ją w ramiona i mocno objął.

– A to z jakiego powodu? – zapytała.

– Czy potrzebuję powodu?

Uśmiechnęła się.

– Nie. Chyba nie.

Z ulgą zauważył, że nic jej nie jest.

– Przekazano mi, że miejsce zostało oczyszczone. Nie pozostał ani ślad tej masakry, może poza kilkoma dziurami po pociskach w podłodze. Wszystko, co tam znaleziono, zostało spalone.

– Miejsce ukrycia dokumentów znali tylko Jonty i jego człowiek, DiGenti – powiedziała. – Upewniłam się co do tego, zanim go zabiłam. Miał zamiar użyć tej wiedzy jako karty przetargowej. Rosjanie z pewnością woleliby go żywego.

– Jeżeli te dokumenty gdzieś się znajdują, wciąż istnieje ryzyko...

– Nie mogliśmy pozwolić, żeby Olivier wyszedł stamtąd żywy.

– Mimo to pozwoliliśmy na to Malone'owi.

– Nie miałam powodu, żeby zabijać Cottona – wyjaśniła. – Został w to wciągnięty wbrew własnej woli. Nie wie, gdzie ukryto informacje, więc nie stanowi zagrożenia. To i tak wystarczająco źle, że wszyscy pozostali musieli umrzeć. I Olivier. Pamiętaj, jestem agentką wywiadu, a nie płątną morderczynią.

Usłyszał w jej głosie ostrą nutę.

– Rozumiem. Zrobiłaś, co musiałaś, a ja to doceniam.

Wcześniej wyczerpująco omówili tę kwestię. Nigdy nie prosił jej ani nie rozkazywał, by zabiła Oliviera, mimo to doskonale wiedziała, do czego

może być zmuszona.

Wskazała na pudło.

– Zwrócę włącznie do muzeum na zamku.

– Tak, koniecznie. Upewnijmy się, że nie znajdzie się tam nikt gadatliwy.

W tym momencie ich rozmowę przerwało ciche bzyczenie.

Jego telefon. Czajkowski spojrzał na ekran. Dzwonił szef jego gabinetu, z Warszawy.

Odebrał połączenie, słuchał chwilę, po czym powiedział:

– Tak, poproszę.

Iwona spojrzała na niego.

– Chce ze mną rozmawiać prezydent Stanów Zjednoczonych. Właśnie teraz, w tej chwili.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Cotton przypomniał sobie opowieść, którą słyszał, dorastając pośród zagonów cebuli na farmie dziadka w środkowej Georgii: jeden z mieszkańców kandydował w lokalnych wyborach na szeryfa i zdobył tylko siedemnaście głosów. Następnego dnia zjawił się w mieście z rewolwerem u boku. Ktoś zapytał go, po co ta broń, a wtedy gość odparł: „Najwyraźniej mam tak niewielu przyjaciół, że przyda mi się splota”.

Dokładnie tak czuł się teraz Malone.

Szedł ulicami Krakowa prosto do amerykańskiego konsulatu, mijając setki nieznanymi przechodniów. Słońce przeświecało przez postrzępione grafitowe chmury. Nie miał pojęcia, gdzie jest Stephanie, ale uznał, że może zacząć poszukiwania od konsulatu. Dochodziła 16.00, w sklepach, barach i restauracjach zaczynał się popołudniowy szczyt. W drzwiach zatrzymali go umundurowani marines – najwyraźniej tym razem go nie oczekiwano. Zapytał, czy zastał Stephanie Nelle, i po chwili wpuścili go do środka. Stephanie siedziała w pokoju na pierwszym piętrze, z oczami napuchniętymi i zaczerwienionymi ze zmęczenia. Cotton złożył jej raport, nie pomijając śmierci Buncha.

– Gdzie samochód? – zapytała.

– Zaparkowany nieco dalej na ulicy. Z sześcioma najcenniejszymi relikwiami chrześcijańskimi w środku, dobrze zamknięty. – Zamilkł na chwilę. – Wszystkie są twoje.

– Doceniam prezent, ale wątpię, czy relikwie podniosą moje notowania u Foxa. Ten facet chce tu mieć rakiety i nic go nie powstrzyma.

– Nie zawsze można dostać wszystko, czego się chce.

– Czego mi nie mówisz?

– Masz może służbowego laptopa z Magellan Billet?

Skinęła głową.

Cotton poczuł się nagle odrętwiały, zdezorientowany i oszołomiony ostatnimi wydarzeniami. Potrzebował chwili, żeby połapać się w sytuacji i poukładać wszystkie elementy tej łamigłówki. – Mogę z niego skorzystać?

– Chodzi o album?

Wskazała palcem na książkę.

Tę, którą przywiózł z zamku Szturniej. *Miasto w soli: The City in Salt. Kopalnia Soli w Wieliczce.*

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć.

Wręczyła mu komputer, a on otworzył przeglądarkę. Wpisał słowo „Bobola” i znalazł odnośnik.

16 maja 1657 roku Kozacy zaskoczyli w Pińsku polskiego jezuitę. Ojciec Andrzej Bobola, mający wówczas sześćdziesiąt pięć lat, upadł na kolana, wniósł dłonie do nieba i wykrzyknął: „Bądź wola twoja, Panie”. Kozacy zdarli z niego habit, przywiązali do drzewa, umieścili na głowie koronę z gałązek, a potem wychłostali go, wyłupili oko i przypalali pochodniami. Jeden z łotrów wyciął mu sztyletem tonsurę na głowie i ornat na plecach, aż w końcu zerwano mu całą skórę z ciała. Podczas tych nieopisanych tortur ksiądz modlił się za swoich oprawców, aż wyrwali mu język i zmiażdżyli czaszkę. Ojciec Andrzej Bobola został ogłoszony

błogosławionym 30 października 1853 roku, a w roku 1938 papież Pius IX go kanonizował.

Teraz przynajmniej Malone miał jakiś polski trop dotyczący tego nazwiska.

Jeszcze jedno wyszukiwanie.

Wpisał w okienku „Bobola” oraz „Kopalnia Soli w Wieliczce” i pojawiło się kilka trafień, w tym jeden link, pod którym kryło się wyjaśnienie tego związku.

Głęboka wiara wielickich górników jest efektem ich katolickiego wychowania, a także trudnych warunków pracy w kopalni. Zagroził im ogień, przecieki podziemnych wód i zawały korytarzy, toteż ludzie prosili o ochronę przed tymi niebezpieczeństwami nadprzyrodzone moce. Przez wieki górnicy czcili ze szczególnym oddaniem kilku świętych, wierząc w ich szczególne wstawiennictwo. Wielu patronów uhonorowano rzeźbami z soli, wykutymi przez samych górników.

Jeden z solnych posągów przedstawiał ojca Andrzeja Bobolę.

Malone znalazł zdjęcie tej rzeźby, powstałej w 1874 roku i wciąż znajdującej się na swoim miejscu w kopalni. Nieco surowa i zerodowana przez czas i wodę rzeźba stała w kwadratowej niszy. Podpis objaśniał, że kiedyś była pomalowana na biało, czerwono i czarno, tymi samymi farbami, których używano dawniej do oznaczania miejsc, skąd wydobywano sól. Posąg w wolnym czasie wyrzeźbił anonimowy górnik.

Wizerunek świętego znajdował się na poziomie IX.

Cotton pokazał Stephanie odłamek solnego kryształu.

– Znalazłem to przy zwłokach Oliviera – powiedział. – Miał też tę książkę, schowaną w sporej kopercie. Wszystko się zgadza. „Dziewięć Bobola”. Informację ukryto w kopalni, tam, gdzie stoi posąg, na poziomie dziewiątym.

Przekartkował album, aż znalazł plan kopalni ze schematem poziomów, niezbyt dokładny, ale wystarczający, by zorientować się w rozmiarach podziemnego kompleksu.

– Myślę, że Eli Reinhardt również o tym wie – podsumował Malone swoje wywody.

– Czy będzie chciał dotrzeć do dokumentów?

– Ty mi powiedz. Znasz go?

Przytaknęła.

– Handluje informacjami, tak jak Olivier, ale nie ma tak dobrej reputacji. Konkurował z Jontym, a informacje o Czajkowskim wciąż są wiele warte. Tak, sądzę, że gdyby tylko mógł, chciałby je odnaleźć.

– W takim razie zapewne jest już w drodze do kopalni i spróbuje dostać się do środka.

Siedzieli w tym samym biurze co poprzedniego dnia, za zamkniętymi drzwiami. Popołudniowe słońce przebijało się przez chmury, a jego promienie wpadały skośnymi smugami przez szpary w żaluzjach.

– Powinniśmy być tam przed nim – powiedział.

Ta możliwość wyraźnie ją zaintrygowała.

– I co zrobimy, jeżeli to prawda z tymi dokumentami? – zapytała.

– Podejmiemy decyzję, kiedy się upewnimy, że rzeczywiście tam są.

Czuli się w tej sytuacji niezręcznie: Stephanie przeciwstawiała się swojemu pracodawcy, a Malone narażał się Iwonie, lecz oboje brało obrzydzenie na myśl, że informacja mogłaby wpaść w łapy Reinhardta. Trudno było przewidzieć, co by się wówczas stało.

– Myślisz, że Iwan o tym wie? – zapytała.

Pokręcił przecząco głową.

– Wydawał się autentycznie wkurzony, kiedy Iwona zastrzeliła Oliviera. Zadzwoił telefon na biurku.



Stephanie odebrała, posłuchała chwilę, a potem włączyła głośnik i odłożyła słuchawkę.

– Panie Malone, tu Warner Fox.

Cotton wyprostował się na brzegu krzesła.

– Co się tam stało? – zapytał prezydent.

– Dokładnie to, co powinien pan przewidzieć. Rosjanie wszystkich pozabijali.

– Toma również?

– Nie ma go tu przecież, prawda?

– Próbuje mi pan powiedzieć, że wszyscy nie żyją? W tym Olivier? Ale pan jakoś przeżył?

– Tak, to właśnie panu mówię. I zanim pan spyta: przeżyłem tylko dzięki szczęściu. Polacy współpracowali z Rosjanami. Zarówno jedni, jak i drudzy przez cały czas byli o krok przed panem. Pana kłamstwa tylko rozwścieczyły Warszawę i Moskwę.

– Zrobiłem to, co uważałem za konieczne.

– Nie ma pan pojęcia, co pan robi. Przez pana zabito wiele osób.

– Nie ma pan ani krztyny szacunku dla tego urzędu, prawda?

– Głęboko szanuję urząd prezydenta, ale faktycznie: nie mam ani krztyny szacunku dla pana.

– Stephanie, co z dokumentami na temat Czajkowskiego? – spytał Fox, ignorując kąśliwy komentarz. – Jakikolwiek pomysł, gdzie mogą być?

Spojrzała na Malone'a, który wzruszył ramionami na znak, że to jej sprawa, ile zdradzi prezydentowi.

– W tej chwili nie mamy pojęcia – zełgała.

– Zaraz będę rozmawiał z prezydentem Polski – oznajmił Fox.

– ...który wie, że pan skłamał – uzupełnił Cotton.

– Czy w tej sytuacji da się cokolwiek ocalić?

– Może resztki honoru, jeżeli przeprosi pan Czajkowskiego – wtrącił Malone.

– Pańska impertynencja nie zna granic – wymamrotał prezydent.

– Czy Tom Bunch miał rodzinę?

– Żonę i dwoje dzieci.

– Proszę im przekazać sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Cotton mówił serio. Bunch był głupcem, ale jego żona i dzieci w niczym nie zawiniły.

– Stephanie, odpowiedz proszę na moje pytanie – polecił Fox.

– Nie mam pojęcia, co można by uratować. To koniec.

– W takim razie wyjaśnij mi, dlaczego Rosjanie uważają inaczej.

Cholera. Fox zastosował się do starego powiedzenia, znanego każdemu dobremu prawnikowi: nie zadawaj pytania, na które nie znasz odpowiedzi, chyba że nie interesuje cię, jak zabrzmiała ta odpowiedź.

Prezydenta najwyraźniej to interesowało.

I w ten sposób złapał ją na kłamstwie.

– NSA przechwyciła wiadomość od agenta SWZ, rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego, Iwana Fiodorowa, obecnie przebywającego w Krakowie, w której agent ten potwierdza, że dokumenty nadal są do zdobycia.

Stephanie i Cotton milczeli.

– Zakładam, że oboje wiecie więcej, niż chcecie ujawnić – oznajmił Fox. – No i dobrze, to już bez znaczenia. Odsuwam was od tej operacji. Zajmą się nią inni ludzie, którzy są w drodze do Krakowa.

Stephanie pokręciła głową.

Malone wiedział, co teraz nastąpi.

– Stephanie, zwalniam cię z pełnienia obowiązków do czasu oficjalnego zakończenia służby. Ostateczną decyzję w twojej sprawie podejmie

prokurator generalny.

– Tak jakby ktoś miał wątpliwości, jaka to będzie decyzja! – zakpiła.

– Nie, nikt nie ma wątpliwości. Inaczej niż ty, prokurator rozumie, co znaczy lojalność.

– Prokurator jest idiotą.

– Nie będę za tobą tęsknił – skwitował Fox.

– Ani ja za panem.

I przerwała połączenie.

# ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Czajkowski pozwolił, żeby telefon dzwonił przez dłuższą chwilę. Iwona zareagowała uśmiechem na tę impertynencję wobec prezydenta USA.

W końcu jednak odebrał.

– Co mogę dla pana zrobić, panie prezydencie? – zapytał Czajkowski, włączając tryb głośnomówiący.

– Nie wygracie! – oznajmił Fox.

– Nie wygramy czego? Nie wiedziałem, że bierzemy udział w jakiejś konkurencji.

– Tom Bunch nie żyje. Został zamordowany z zimną krwią.

– Przykro mi to słyszeć. Co za potworna tragedia! Ale z jakiego powodu mnie pan o tym informuje, panie prezydencie?

– Nie ujdzie wam to na sucho!

– Teraz się pogubiłem. Co ma pan na myśli?

– To, co rozkazał pan zrobić lub na co pan pozwolił. Malone doniósł mi, że wszyscy zostali zabici i że współpracowaliście z Rosjanami.

– W tej sprawie nasze interesy rzeczywiście były zbieżne.

– W takim razie cofnę całą pomoc finansową dla Polski, co do centa!

Czajkowski się roześmiał.

– Naprawdę? Całe dziesięć milionów euro? Proszę bardzo, nie będziemy specjalnie żałować.

Stany Zjednoczone nigdy nie okazywały Polsce szczodrości w ramach pomocy międzynarodowej. To prawda, że uznawały strategiczne znaczenie tego kraju i chętnie współpracowały militarnie, ale zawsze wiązało się to z uszczerbkiem na honorze Polaków lub bardziej wymiernymi stratami. Poprzednie władze Polski chcąc nie chcąc akceptowały takie warunki ze względu na stałe zagrożenie ze strony Rosji, ale Czajkowski nie miał zamiaru się na to zgadzać.

– Chodzi mi o sprzedaż sprzętu wojskowego o wartości stu pięćdziesięciu milionów dolarów! – zagroził tamten.

Inni europejscy przywódcy zdążyli ostrzec polskiego prezydenta przed Foxem. Mieli do czynienia z Amerykaninem już wcześniej i ocenili go odpowiednio: prymitywny, pedantyczny, arogancki, ostentacyjnie ignorujący informacje, do tego szybko się wścieka, zwłaszcza kiedy go podpuścić. I lubi rzucać groźby, tak jak teraz.

– A mogę zapytać, na jakiej podstawie cofnie pan zgodę na sprzedaż tego sprzętu?

– Z powodu odmowy współpracy z sojusznikiem. Jeżeli nasze rakiety wam się nie podobają, to reszta wojskowego sprzętu też powinna być traktowana w ten sposób.

– To byłoby wysoce niefortunne – odparł Czajkowski. – W takim razie po prostu kupimy to uzbrojenie gdzie indziej. Chińczykom albo Francuzom z pewnością spodoba się ten pomysł.

– Obaj wiemy, że to nie to samo co broń z Ameryki, najlepsza na świecie!

Jeszcze jedna cecha, o której go uprzedzano: irracjonalna wiara Focha w to, że amerykańskie produkty nie mają sobie równych.

– Jestem przekonany, że Chińczycy czy Francuzi nie zgodziliby się z pana oceną. To jednak bez znaczenia: ani pan, ani nikt inny nie będzie mnie do niczego zmuszał. Nie zgodzimy się na rozmieszczenie rakiet na polskiej ziemi. Żadnych rakiet. Naraziłoby to nasz kraj na poważne ryzyko, a na to nie możemy pozwolić.

– A ja nie będę dłużej znosił tych obelg ani odmów ze strony drugorzędnego kraiku, niewiele różniącego się od państw Trzeciego Świata. Gdyby nie my, wszyscy mówilibyście po niemiecku!

Czajkowski popatrzył na Iwonę. Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, wyraźnie każąc mu trzymać temperament na wodzy.

„Rozegraj to po swojemu”.

„Na spokojnie”.

Skinął jej głową, po czym powiedział:

– Jeżeli dobrze pamiętam, panie prezydencie, to wyzwolili nas Sowieci, a potem pański kraj i Wielka Brytania pozwoliły, żeby Stalin ukradł nam państwo i przez czterdzieści pięć lat je okupował.

– Niewdzięcznik! Tym właśnie jesteś, Czajkowski. Niewdzięcznikiem. Ty i wszyscy Europejczycy. Ocaliliśmy wam tyłki i w zamian prosimy tylko o minimum lojalności. Mamy poważną sytuację: reprezentanci kilku suwerennych państw zostali dzisiaj zamordowani...

– ...podczas próby zakupu dokumentów, którymi mogliby mnie szantażować, oni albo pan.

– Nie przerywaj mi!

– Kiedy ostatnio sprawdzałem, panie prezydencie, byłem legalnie wybraną głową suwerennego państwa. Możemy rozmawiać jak równy z równym.

– Absolutnie nie. Tom Bunch został zastrzelony. Nie pozostawimy tej zbrodni bez odpowiedzi.

– Byłam tam – odezwała się Iwona.

– A to kto? – zdziwił się Fox.

– Osoba, która zabiła Jonty’ego Oliviera – wyjaśniła. – Resztę zastrzelili Rosjanie. Życzę szczęścia, kiedy będzie im pan odpowiadał na tę obelgę. Przygotowuje się pan może do wywołania trzeciej wojny światowej?

– Zabiłaś Oliviera? To głupie posunięcie – stwierdził Fox.

– Nie, to próba szantażu wobec prezydenta Polski była głupia. My tylko ją powstrzymaliśmy.

– Moi agenci są już w drodze – obwieścił amerykański przywódca. – Ta sprawa zostanie zakończona, i to zdecydowanie.

Czajkowski miał dość.

– Jeżeli ci agenci złamią jakiegokolwiek prawo mojego kraju, zostaną zatrzymani i uwięzieni.

– Słowacy z pewnością ucieszą się na wieść o tym, co wydarzyło się na terenie znajdującym się pod ich jurysdykcją. Zaraz do nich zadzwonię.

Fox najwyraźniej nie ogarniał w pełni sytuacji: nie był świadomy, że zamek został oczyszczony. Janusz dostrzegł, że Iwona doszła do tego samego wniosku, bezgłośnie powiedziała: „Malone”. Skinął głową. To miało sens: Cotton złożył Foxowi sprawozdanie, ale nie mógł wiedzieć, co zdarzyło się na zamku po jego wyjeździe.

– Gorąco zachęcam, by postąpił pan w taki sposób, jaki uważa pan za właściwy – powiedział Czajkowski i dodał ironicznie: – Przecież jest pan prezydentem Stanów Zjednoczonych. Kimże jestem, żeby dyskutować z pana decyzjami? Tylko przywódcą drugorzędnej kraiku, niewiele różniącego się od państw Trzeciego Świata.

– Rozmieszczę te rakiety w Polsce, tak czy inaczej. Albo ty się na to zgodzisz, albo twój następca. Nie wiesz jeszcze wszystkiego.

Oboje czekali z zapartym tchem.

– Nie udało ci się. Rosjanie twierdzą, że dokumenty na twój temat są do odzyskania, i mają zamiar je dostać. Ale ja na to nie pozwolę.

Wzrok Czajkowskiego zrobił się niespokojny, ale w jego głosie brzmiało tylko pobłażanie.

– W tej sprawie również życzę szczęścia, panie prezydencie.

I zakończył rozmowę.

– Czy to możliwe? – zapytał Iwonę.

– Olivier powtórzył kilka razy, że tylko on zna miejsce ukrycia dokumentów. To miało sens. Dlaczego miałyby zaufać komuś innemu? Powiedział, że nawet jego wspólnik, Vic DiGenti, nie wie, gdzie je ukryto. Tyle że DiGenti nie żyje.

– A powiedział coś przed śmiercią?

– Nie mam pojęcia.

– Czyżby Rosjanie blefowali, żeby zmylić Foxa? Potrafiliby podrobić dokumenty. Robili już takie rzeczy.

Iwona myślała intensywnie.

– Muszę do kogoś zadzwonić – powiedziała w końcu. Wyciągnęła telefon, wybrała numer, rzuciła do słuchawki kilka słów, wysłuchała odpowiedzi i skończyła rozmowę. – Cotton i Stephanie Nelle wyszli razem z konsulatu amerykańskiego dwadzieścia minut temu. Codziennie obserwujemy budynek. Aha, i mały sukces: Malone używa samochodu, w którym na zamku znalazłam włącznię i inne relikwie. Po tym, jak odzyskałam włącznię, zostawiłam w aucie nadajnik. Pomyślałam sobie, że może będziemy chcieli wiedzieć, dokąd jadą pozostałe relikwie.

Jej telefon zawibrował.



Odebrała połączenie, a po chwili wyciszyła mikrofon.

– Samochód wyjeżdża z miasta na wschód, ku Wieliczce. Muszę ruszać za nimi.

Skinął głową.

Włączyła z powrotem mikrofon i kazała się informować na bieżąco. Potem ruszyła w kierunku drzwi.

– Czekaj – powiedział. – Jadę z tobą.

# ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Cotton prowadził samochód, a Stephanie siedziała obok. Solidaryzował się z jej nieprzejednanym stanowiskiem, ale co z tego, skoro wkrótce miała zostać bez pracy. Co prawda nie wiedział, ile dokładnie lat ma Stephanie, ale na pewno przekroczyła już wiek emerytalny, więc mogła przestać pracować, zacząć podróżować i dobrze się bawić. Częściej odwiedzać swojego syna, Marka, który mieszkał w południowej Francji. Zadbać o związek z Dannym Danielsem. Malone wiedział jednak, że nic podobnego się nie stanie. Stephanie była agentką do szpiku kości. Jej mąż zmarł dawno temu i praca w wywiadzie stała się jej drugim życiem. Czy to dobrze? Może i nie, ale tak wyglądały fakty, a ona wydawała się zadowolona ze swojego wyboru. W niezliczonych sytuacjach jej chłodny umysł i trudne decyzje miały znaczący wpływ na losy kraju i świata. Stany Zjednoczone miały wobec niej dług wdzięczności. Kurczę, została nawet postrzelona podczas pełnienia obowiązków. I co dostała w zamian?

Wypowiedzenie.

– Plusem tej sytuacji jest to, że ludzie Foxa nie mają pojęcia o jakimkolwiek związku między tymi dokumentami a kopalnią soli – stwierdził Cotton. – Minusem zaś to, że ktoś nas śledzi.

– Założyłam, że tak będzie – odparła ze wzrokiem utkwionym w przedniej szybie. – Fox chce się dowiedzieć, co zrobimy.

– W takim razie przejadę obok kopalni i zgubię ich po drugiej stronie miasta, a potem zawrócimy – zdecydował, po czym dodał: – Przykro mi, że to ci się przytrafiło.

– Zawsze się zastanawiałam, jak będzie wyglądać koniec mojej kariery. Nic nie trwa wiecznie. Bóg wie, że udało mi się mnóstwo rzeczy i żyłam dużo dłużej, niż powinnam. Może czas odejść? Zostawić to za sobą?

– Kogo chcesz oszukać?

Zamilkła i uśmiechnęła się, a on zerknął we wsteczne lusterko. Ten sam samochód, który zauważył w Krakowie, trzymał się o trzy auta za nimi. Założył, że to ktoś z ambasady. Może jeden z marines, na bezpośredni rozkaz z Białego Domu? Fox na pewno chciał, żeby obserwowano Cottona i Stephanie, ale jako nowicjusz w tych sprawach nie przypuszczał zapewne w swojej arogancji, że dwoje doświadczonych agentów wywiadu przewidzi to posunięcie i będzie miało gotową odpowiedź.

– Oszukuję sama siebie – oświadczyła w końcu. – Oboje to wiemy. Nie jestem jeszcze gotowa odejść.

Jej świat zawsze obracał się wokół tajemnic. Wszystko wydawało się grą pozorów. Każde słowo, każdy czyn były podejrzane. Tak wyglądało życie agentki wywiadu i trudno to zmienić.

On również tego doświadczył.

– To jeszcze nie koniec – powiedział. – Jeżeli znajdziemy te dokumenty, twoje akcje pójdą w górę.

Wjechał do Wieliczki. Miasteczko leżało w dolinie między dwoma pasmami wzgórz, na południowy wschód od Krakowa. Architektura starych budynków, zabytkowych kościołów, klasztoru i zabudowy rynku idealnie współgrała z zielenią parków i urokliwych alejek. Tytuł do sławy dawała

Wieliczce jednak leżąca pod ziemią kopalnia soli. Malone specjalnie ją ominął, przemykając przez centrum miasteczka na drugą stronę i wciąż zmierzając na południowy wschód.

Ruch uliczny stopniał.

Ich prześladowcy trzymali się jakieś pół kilometra z tyłu, a pomiędzy nimi nie pozostały już żadne inne samochody.

Dość zabawy w kotka i myszkę.

Na płaskim odcinku jezdni puścił gaz i pozwolił, by drugi pojazd się do nich zbliżył, od lewej i z tyłu. Cotton gwałtownie zjechał na przeciwny pas ruchu, jeszcze zwolnił i przez chwilę jechał obok tamtego auta.

W oknie pojawiła się lufa pistoletu.

Oboje natychmiast się pochylili.

– To raczej nie marines – powiedziała Stephanie.

Zgodził się z nią i zakręcił kierownicą, uderzając prawą stroną wozu w lewy bok tamtego i uniemożliwiając przeciwnikom oddanie strzału. Potem nacisnął hamulec i zahamował z piskiem opon. Tamci się oddalili, po czym gładko zawrócili i ruszyli z powrotem.

Malone nacisnął gaz i szarpnął kierownicę ostro w lewo. Rozległ się nagły ryk silnika, a tylne opony wpadły na chwilę w poślizg, aż wreszcie złapały przyczepność. Samochód się obrócił, a jego maska celowała teraz tam, skąd przyjechali. Cotton wyprostował tor jazdy i dodał więcej gazu. Przypomniał sobie ponieważ, że na tylnym siedzeniu leżą cenne relikwie, które przetaczały się teraz po całym wnętrzu.

– Jak jazda na kolejce górskiej – zauważyła Stephanie. – Dobrze wiedzieć, że nie zapomniawszy, jak się prowadzi.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Dopiero zaczynamy zabawę.

Na konsoli pomiędzy nimi leżał pistolet zabrany z zamku.

– Przygotuj się do strzału – polecił.

Chwyciła broń.

Zmierzali z powrotem do miasteczka, normalną jezdnią z jednym pasem asfaltu w każdą stronę. Ich prześladowca przekroczył podwójną ciągłą, próbując trafić na lukę w sznurze aut jadących z naprzeciwka, żeby ich dogonić.

Zawyły klaksony.

Samochód przemknął z powrotem na ich pas. Teraz znajdował się bezpośrednio za nimi. Cotton pędził niemal sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

Ale najwyraźniej kierowcy tamtego auta obcy był strach.

Podobnie jak zdrowy rozsądek.

Podjechał bliżej i stuknął ich w zderzak. Prawa stopa Malone'a nacisnęła hamulec, co spowodowało kolejne zderzenie, tym razem jednak Cotton przygotował się na nie: zakręcił kierownicą w lewo, zjechał na przeciwny pas i znów zahamował. Jechał teraz równolegle do drugiego samochodu. Stephanie opuściła szybę i strzeliła dwukrotnie: raz w okno od strony kierowcy, a drugi raz – w przednie lewe koło.

Opona eksplodowała.

Malone gwałtownie przyśpieszył, wiedząc, co się zaraz stanie. Drugie auto skręciło ostro w lewo i zjechało z szosy, między drzewa.

– Dobry strzał – pochwalił ją.

– Widać jeszcze nie zardzewiałam!

Miała rację.

Zostawili bmw na wybrukowanym parkingu przeznaczonym dla gości Kopalni Soli w Wieliczce, na miejscu, które pozwalało szybko stąd odjechać, przeszli przez ulicę i skierowali się ku Szybowi Daniłowicza. Jak wynikało z tablicy informacyjnej, przez budynek nadszybia prowadziła

jedyna droga na dół przeznaczona dla turystów. Kopalniany kompleks na powierzchni rozciągał się na wiele hektarów, a jego budynki stanowiły część miasta, rozbudowanego wieki temu dla górników i ich rodzin. Wcześniej opuścili konsulat w pośpiechu, nie rozmawiając z nikim, ale zanim wyszli, Stephanie zdążyła do kogoś zatelefonować.

Nie zwierzała się Cottonowi z tej rozmowy aż do teraz.

– Przed wyjściem zadzwoniłam do naszego ambasadora w Polsce – powiedziała. – To jeden z ludzi Danny’ego, którego Fox jeszcze nie zastąpił żadnym swoim popiecznikiem. Nie muszę dodawać, że nie jest wielbicielem naszego obecnego prezydenta. Poprosiłam, żeby skontaktował się z właściwymi osobami, tak żeby wpuszczono nas niepostrzeżenie do środka.

Dochodziła 17.00 i na wejście wciąż jeszcze czekał niewielki tłumek, może setka ludzi. Przy końcu kolejki po bilety stała niska, szczupła blondynka w kopalnianym kombinezonie. Najwyraźniej czekała właśnie na nich, bo podeszła i przedstawiła im się jako Patrycja.

– Powiedziano mi, że chcecie się dostać na poziom dziewiąty – dodała.

– Da się to zrobić? Jak najszybciej? – zapytała Stephanie.

– Mam zaprowadzić was, dokądkolwiek zechcecie. Przebierzcie się i zjedziemy na dół. Będziecie potrzebować wyposażenia. Ten poziom nie wygląda jak trasa turystyczna. To część trasy górniczej.

Malone nie zareagował na tę wiadomość entuzjastycznie. Ciasne przestrzenie nie należały do jego ulubionych miejsc. Stephanie wyczuła chyba jego lęk, bo się odezwała:

– Powiedziano mi, że korytarze są szerokie i dobrze wentylowane, to prawda?

Przewodniczka skinęła głową.

– Tam wcale nie jest ciasno.

Cottona to nie pocieszyło.

Słyszał takie zapewnienia już wcześniej.

Zresztą jego myśli krążyły teraz przede wszystkim wokół Elia Reinhardta i Rosjan. Być może oni również tam zmierzali, razem lub osobno. Facet, którego właśnie spotkali na szosie, musiał zostać wynajęty przez kogoś z nich.

Rozejrzał się, lecz nie dostrzegł niczego, co wzbudzało podejrzenia.

To jednak nie oznaczało, że nie czekały go kłopoty.

# ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Eli wysiadł z samochodu.

Wziął taksówkę z Krakowa do kopalni soli. Nie był to długi kurs, ale dość drogi: Eli Reinhardt zapłacił około stu euro. Nie oburzył się jednak na zbójcką cenę: kierowca był przedsiębiorcą, tak jak on sam. Jego biznes opierał się na wykorzystywaniu innych.

Stał przed tężnią, olbrzymią budowlą w kształcie zamku, wykonaną z gałęzi modrzewia i tarniny, po których solanka spływała dwadzieścia cztery godziny na dobę, tworząc specyficzny mikroklimat. Wielka drewniana struktura działała niczym naturalny inhalator: nasycone solą powietrze mogło wnikać w błonę śluzową układu oddechowego, co korzystnie działało na płuca, zatoki, jelita, a nawet mózg. Solne źródło działały tu od setek lat. Kopalnia wytwarzała duże ilości skoncentrowanej solanki, która musiała gdzieś się podziać. Pod koniec XIX wieku miejscowi zaczęli więc wypompowywać ją na powierzchnię i stworzyli spa.

Eli kupił bilet i wszedł nieśpiesznie do tężni. Ruszył chodnikiem wijącym się między wysokimi na dwadzieścia metrów ścianami. Zasada działania budowli wydawała się prosta: należało rozpuścić sól w wodzie, wypompować ją na szczyt ścian, żeby spływała po gałązkach, rozdzielając



się na coraz drobniejsze strużki, i gęstniała, częściowo parując, nasycając powietrze leczniczym solankowym aerozolem.

Wziął kilka głębokich oddechów.

To było przyjemne.

Powinien zadbać o siebie, zwłaszcza teraz, kiedy wzbogacił się o pięć milionów euro. Nieco wcześniej zadzwonił do niego Munoz i kazał mu przyjść tutaj, pod wieżę widokową, widoczną sprzed wejścia do kopalni. Przez szczeliny w zewnętrznych ścianach widział popołudniowy tłumek: ludzie zakończyli zwiedzanie i zmierzali do samochodów. Niewielu z nich zdecydowało się dzisiaj skorzystać z dobroczynnych efektów tężni, a Reinhardtowi bardzo to pasowało. Potrzebował prywatności.

Skręcił za róg i zobaczył przed sobą Munozą i Konrada.

– O co chodzi? – zapytał zdenerwowany przewodnik. – I skąd wiedzieliście, gdzie mieszkam?

– Zarabiam na życie wyszukiwaniem informacji.

– Gdzie jest DiGenti?

Eli wolał nie zdradzać Konradowi prawdy.

– Teraz my zajmujemy się tą sprawą.

– Pan Olivier postawił tę kwestię jasno: powinniśmy zachować to wszystko w sekrecie. Nie wspominał, żeby wtajemniczył pana w sprawę.

– Przecież przyjechałem tu wczoraj wieczorem, więc jestem jednym z wtajemniczonych – wyjaśnił Reinhardt, po czym zdecydował się uśmierzyć niepokój rozmówcy. – Potrzebuję twojej pomocy, za którą jestem skłonny zapłacić ci sto tysięcy euro.

Twarz Konrada zastygła w grymasie zaskoczenia.

– To dużo więcej, niż kiedykolwiek zapłacił mi DiGenti.

– Inaczej niż pan DiGenti, uważam, że ludzie powinni być odpowiednio wynagradzani za swoje usługi. Czy taka suma cię satysfakcjonuje?

Przewodnik skinął głową.

Eli nauczył się dawno temu, że każdy ma swoją cenę. Sztuka polegała na tym, żeby ją ustalić, a potem móc zapłacić. Na szczęście ani jedno, ani drugie nie było tu problemem.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał Konrad.

– Zabierz nas do posągu świętego Andrzeja Boboli na poziomie dziewiątym.

Reinhardt dowiedział się z Internetu o związku pomiędzy świętym i kopalnią. Teraz patrzył, jak tamten rozważa prośbę.

– Chyba wiem, gdzie to jest – powiedział w końcu Konrad. – W pewnej małej kapliczce.

– Wspaniale. Jak szybko możesz nas tam zabrać?

– Za pół godziny, może szybciej. Jak szybko możecie zapłacić?

– Jak tylko znajdziemy posąg. Oczywiście konieczna będzie dyskrecja. Nie chcielibyśmy zwrócić niczyjej uwagi. Im mniej towarzystwa, tym lepiej.

– Mogę się o to postarać. DiGenti też chciał odwiedzać kopalnię w ten sposób.

– Płacę o wiele więcej niż on, więc oczekuję również więcej.

– Tak samo jak ja – dobiegł ich nowy głos.

Eli się odwrócił i zobaczył, że w ich kierunku zmierza Iwan. Rosjanin zbliżał się do nich, krępy i zwałisty niczym perszeron, z czarnymi, oleistymi oczami jak u kruka. Reinhardt poczuł, jak jego umysł ucieka po spirali ku innej rzeczywistości. Wolałby przebywać gdzie indziej, lecz niestety, nie mógł. Musiał zachować pozory pewności siebie, chociaż czuł, że kontrola nad sytuacją wymyka mu się z rąk.

– Konradzie, czy mógłbyś już zacząć załatwiać ten wstęp? – zapytał. – Pan Munoz pójdzie z tobą. Art, wróć, proszę, po mnie, kiedy wszystko

będzie gotowe.

Munoz i Konrad ruszyli do wyjścia.

– Dolicz jeszcze jedną osobę – powiedział Iwan.

Przewodnik się zatrzymał.

Eli zdał sobie sprawę, że nie ma wyjścia.

– Tak zrób.

Konrad skinął głową i odszedł wraz z Munozem. Reinhardt zwrócił się do Rosjanina:

– Skąd wiedziałeś?

– Robię to od dawna. Czytanie ludzi to mój talent. A poza tym ci nie ufam. Więc pilnuję. – Iwan pokazał palcami na oczy. – Znalazłeś coś na zamku. Widziałem w twojej twarzy. Dlaczego, myślisz, pozwoliłem łatwo, żeby Malone odszedł? – zapytał. – Wiesz, co ja chcę też wiedzieć. Chcę dokumentów na Czajkowskiego.

– Miałem nadzieję, że ci je sprzedam.

Iwan zachichotał.

– Pewnie, miałeś. Mam lepszy układ: pozwolę ci żyć za informację.

Eli od początku wiedział, że na to się zanosi.

– Dlaczego w takim razie nie zjedziesz na dół beze mnie i nie znajdziesz jej sam? Skoro tu jesteś, nie muszę się tam wybierać.

– Nie zgadzam się. Ty najważniejszy. Jedziemy razem. Cotton Malone w drodze tutaj.

Wspaniale.

– Mój człowiek próbuje go wstrzymać.

– Koło tych dokumentów robi się prawdziwy tłok.

– Tak myślę również.

Reinhardt zdecydowanie miał problem. Wizyta w kopalni mogła okazać się wycieczką w jedną stronę. Eli jednak wątpił, że Rosjanin przyjechał tu

sam; zapewne miał odciętą drogę ucieczki. Nie. Zjedzie do kopalni i spróbuje poradzić sobie z tym na dole, gdzie ciemność i samotność mogą dać mu przewagę.

– Dobrze – zgodził się. – Pojedziemy razem.

Iwan wygiął usta w pogardliwym uśmiešku.

– Zapłaciliśmy dużo pieniędzy. Więcej niż dość za te informacje.

– Ta informacja jest warta dużo więcej niż pięć milionów euro.

– Nie dla ciebie. Cena za kłamstwo.

Po raz kolejny Reinhardt nie miał wyboru.

– Zakończymy więc interesy i rozstańmy się w pokoju.

– Możesz być wdzięczny, panie broker. Nie zabiję cię.

– Nie wiesz, gdzie ukryto te dokumenty.

– Co to pomogło Olivierowi? Niewiele. Nie przeginaj. Chcę informacji i chcę to zakończyć.

Eli nie wierzył w ani jedno słowo. Kłamstwa przychodziły Rosjanom z ogromną łatwością, tak jakby rodzili się z talentem do łgania. Musiał zjechać do kopalni z tym diabłem, co wydawało się dość łatwe.

Gorzej, że chciał również wrócić w jednym kawałku.

A to już będzie wymagało pewnego wysiłku.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Czajkowski czuł się wolny. Po raz pierwszy od pięciu lat nie miał przy sobie żadnych ludzi z BOR-u. Nie było również asystentów ani dziennikarzy, tylko Iwona. Co prawda ochroniarze prezydenta odpuścili dopiero na bezpośredni rozkaz dowódcy. Opieka Iwony pomogła w rozwianiu wątpliwości Zimy, który obawiał się, że gdyby coś poszło nie tak, zostałby kozłem ofiarnym. Szef BOR-u zapewnił jednak prezydenta, że jest gotowy ponieść każde konsekwencje. Czajkowski zrewidował swoją opinię o Zimie – teraz BOR-owiec wydawał się grać zespołowo, wyczuwać powagę delikatnej sytuacji i pojmować jej możliwe następstwa, a także dostrzegać, że stawką tej gry jest dosłownie wszystko.

Chwilę wcześniej Iwona odebrała telefon. Rozmówca doniósł jej, że samochód Cottona i Stephanie zaparkował na placu niedaleko Kopalni Soli w Wieliczce. To dość dziwny cel podróży, jak na dwójkę agentów wywiadu. Nie byli przecież turystami. Prezydent odwiedził kopalnię kilka razy w ciągu swojej kadencji, przyjeżdżał tam na koncerty oraz rozmaite ceremonie. Pod ziemią panowała surrealistyczna atmosfera, niczym w głęboko zakopanym centrum handlowym. Trasa turystyczna stanowiła tylko niewielką część tego olbrzymiego kompleksu. Czajkowski

zastanawiał się czasem, czy na dole kryje się coś więcej niż tylko nowe pokłady soli.

– Dlaczego tam pojechali? – wymamrotał.

Iwona prowadziła samochód, ten sam, którego używała przez cały dzień. Janusz siedział w fotelu pasażera, bez krawata i marynarki, z rozpiętym kołnierzykiem białej koszuli i podwiniętymi rękawami.

– Nie wiem – odparła. – To faktycznie dziwne.

– To musi mieć związek z Rosjanami. Z tym, o czym mówił Fox. Dokumenty wciąż da się wydobyć, a Malone jakimś cudem wyprzedził rosyjskich agentów.

– A może tylko ich dogonił?

Iwona przyśpieszyła. Jechali autostradą w kierunku kopalni soli. Czajkowski wyobraził sobie, że już nie jest prezydentem: druga kadencja dobiegła końca, więc może czuć się zwolniony ze wszystkich politycznych i osobistych zobowiązań i wreszcie jest w stanie robić to, na co ma ochotę.

Chyba po raz pierwszy w życiu.

Cała jego kariera polegała na przyjmowaniu kolejnych zobowiązań, w miarę jak piął się w górę, ku największemu sukcesowi, jaki dało się osiągnąć w Polsce. Urząd prezydenta był pod wieloma względami wyłącznie ceremonialny, ale w pewnym zakresie Czajkowski miał jednak prawdziwą władzę. Na przykład jeżeli chodzi o podpisywanie traktatów z obcymi rządami.

Byłoby to o wiele trudniejsze, gdyby ostatnie słowo w tej sprawie miał Sejm. Ktoś chciałby skłonić posłów do zgody w dowolnej sprawie? Powodzenia. Niewiele zmieniło się w ciągu ostatnich trzech wieków, od czasów zniesienia *liberum veto*. To prawda, że ustaw nie uchwalało się już jednogłośnie, ale zebranie zwyczajnej większości głosów potrafiło być czasem równie trudne.

„Nie pozwalam!”

Polacy brali sobie tę deklarację do serca, tak samo teraz, jak w zamierzonych czasach.

Na szczęście decyzja o rozmieszczeniu rakiet na polskiej ziemi należała tylko i wyłącznie do prezydenta. Wielu posłów patrzyłoby przychylnym okiem na większą obecność Amerykanów w Polsce, co dało się zauważyć wiele lat temu, kiedy podejmowano pierwsze próby wprowadzenia systemu, jednak inni nie życzyli sobie żadnych zagranicznych wpływów. Podejrzał, że ci ostatni uzyskaliby większość, ale w takim głosowaniu przewaga byłaby niewielka. Rozmieszczenie rakiet odebrano by jako policzek wobec Moskwy, a wschodni sąsiad Polski nie przyjąłby tego obojętnie. Czajkowski wątpił, by ktokolwiek z Europy lub Ameryki zdecydował się na wojnę w obronie niepodległej Polski. NATO czy nie NATO, Polskę zawsze spisywano na straty.

I tak już pewnie zostanie.

– Wszystko w naszych rękach – wyszeptał niemal niedosłyszalnie. – Nie możemy pozwolić, żeby Rosjanie dostali te dokumenty.

– Ja się tym zajmę – zadeklarowała Iwona.

Jej telefon zawibrował. Odebrała połączenie, które trwało zaledwie kilka sekund.

– Idą do kopalni. Musimy ich powstrzymać, choćby na jakiś czas.

Prezydent wyciągnął komórkę i zadzwonił do Zimy, wyjaśniając, czego chce.

– Opóźnicie ich, ale nie zatrzymujcie. Potrzebujemy jeszcze piętnastu minut.

Nie zaskoczyło go, że Zima zgodził się tym zająć.

Zakończył połączenie i zapytał:

– Co robimy po przyjeździe?

– Spróbujemy trzymać się blisko nich, ale tak, żeby nas nie zauważyli.

Spojrzał na lewą dłoń i pierścień, wytarty od noszenia przez kilkadziesiąt lat, wykonany przez dawno zmarłego warszawskiego jubilera. Nie złoty: złoto było rzadkim luksusem w kontrolowanej przez Sowieców Polsce i pozostało nim przez wiele lat po odzyskaniu wolności. Żeby dać wyraz patriotyzmowi, wystarczył pośledniejszy kruszec.

\* \* \*

W X wieku Bolesław Chrobry jako pierwszy polski król użył symbolu jednogłowego białego orła i nazwał swoje państwo „Polona”, od nazwy miejscowego plemienia, zamieszkującego te ziemie przez setki lat. Wizerunek orła określała teraz precyzyjnie ustawa, do której odwoływała się polska konstytucja. Biały, na czerwonym polu. W koronie, ze złotym dziobem i szponami. Skrzydła rozpostarte, głowa zwrócona w prawo.

Czajkowski nosił sygnet z wizerunkiem orła codziennie przez ostatnie trzydzieści lat.

Pierścień ten przypominał prezydentowi o tym, czemu poświęcił życie.

Dzisiaj po raz pierwszy od bardzo dawna odczuwał strach. Nie czuł się tak bezradny od tamtego dnia w więzieniu mokotowskim. Lęk zniknął dopiero wówczas, gdy Janusz poznał Staszka Orlika i zdał sobie sprawę, że jednak ma wybór.

Teraz czuł się podobnie.

Mógł wybrać spośród kilku możliwości.

Żadna z nich nie wydawała się dobra.



# ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Cotton zapiął zamek zielonego kombinezonu, założonego na zwykłe ubranie. Stali razem ze Stephanie w szatni, w tym samym budynku, w którym znajdował się szyb windy obsługującej wyłącznie górników. Dźwig dla turystów działał gdzie indziej. Dalej znajdowały się pozostałe windy, dla zwiedzających trasę górniczą. Ich przewodniczka ominęła uczęszczane miejsca i poprowadziła ich tam, gdzie mogli przebywać tylko pracownicy. Malone wsadził znaleziony na zamku pistolet za pasek pod kombinezonem. Zakładał, że wnoszenie broni na teren kopalni jest zabronione, więc się z nią nie afiszował. Po tym, co zdarzyło się na drodze, nie miał jednak zamiaru zostawiać jej na powierzchni.

– Niekoniecznie modny strój – odezwał się do Stephanie – ale na pewno praktyczny.

Założyła kask z przyczepioną latarką.

– Wyglądamy jak bracia Mario.

Uśmiechnął się szeroko.

Tak rzeczywiście było.

Stephanie siadła na ławce i wciągnęła buciory, które udostępniła im przewodniczka. Cotton zasznurował już swoje. Pasowały jak ulał.

– Na czym stoimy? – zagała. – Mamy na parkingu samochód z bagażnikiem pełnym relikwii. Na dole, w kopalni, możemy znaleźć wyjątkowo szkodliwe dokumenty, za pomocą których ktoś chce zaszantażować prezydenta Polski. Ogromna większość osób, z którymi współpracowałam przez ostatnie kilka dekad, by wspólnie chronić nasz kraj, nigdy by nie pozwoliła, żebym znalazła się w takiej sytuacji. A mimo to, proszę, oto jestem.

– Musimy grać takimi kartami, jakie dostaniemy, wiesz o tym doskonale.

– I to właśnie jest problem, Cotton. Nie mam nawet pary dwójek.

– Jeżeli znajdziemy te dokumenty, będziesz miała królewskiego pokera.

– I co z nim zrobię?

– Może senator Danny Daniels zechce je wykorzystać przeciwko Foxowi? Jestem przekonany, że szantażowanie prezydenta innego państwa podpada pod „ciężkie przestępstwa albo przewinienia”. Danny pewnie mógłby skłonić Kongres do postawienia tego idioty w stan oskarżenia!

Stephanie pokręciła głową.

– To tylko pogorszy sytuację. Wszyscy uwielbiają krzyknąć „impeachment!”, ale to nie jest narzędzie unieważniające wybory. Ludzie wybrali Warnera Foxa i fakt, że facet może być niekompetentny, nie jest dla nich w gruncie rzeczy problemem. Już zdecydowali, że chcą, by ich prowadził.

– Widzę, że stałaś się fatalistką.

– Raczej realistką.

Musiał to powiedzieć:

– Zakładam, że nie będziesz chciała tu zaczekać, kiedy ja zjadę na dół?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Ty zawsze mnie pilnowałeś.

– Mógłbym powiedzieć to samo o tobie.

– Kiedy poznaliśmy się w więzieniu hrabstwa Duval – powiedziała – nie byłam pewna, czy jadąc tam, podjęłam właściwą decyzję. Raporty mówiły o tobie w superlatywach, ale w pierwszej chwili, kiedy dowiedziałam się, że zastrzeliłeś kobietę...

– ...która zamordowała swojego męża, a potem próbowała zabić również mnie.

– Wiem. W tamtej sytuacji postąpiłeś dobrze, tak samo jak podczas pierwszego zadania dla agencji. Wiedziałam, że postawiłam na właściwego człowieka – dodała i skończyła sznurować buty. – Tak dla przypomnienia, nie wystawiam Danny’ego, żeby załatwiał moje sprawy za mnie.

– Trudno ci będzie przekonać go, żeby tego nie robił.

– Wiem. Za to między innymi go kocham. Ale to mój problem.

– Fox od początku chciał cię zmusić do odejścia. Jedyna karta przetargowa, jaką możesz zyskać, czeka na dole w kopalni.

– To niewiele zmieni. Ta sprawa śmierdzi od samego początku.

Drzwi do szatni się otwarły i weszła ich przewodniczka.

– Wszystko uzgodniłam – oznajmiła. – Za parę minut możemy ruszać na dół. Przyniosłam plan poziomemu dziewiątego.

Rozłożyła wielką płachtę papieru, na której szczegółowo odwzorowano labirynt krętych korytarzy i komór.

– Posąg Boboli jest jednym z setek rozrzuconych po całej kopalni – wyjaśniła Patrycja. – Wyrzeźbiono go w dziewiętnastym wieku. Słyszałam, że nie jest w najlepszym stanie. To dziwne, że nagle stał się taki ważny.

Cotton zdał sobie sprawę, że muszą zapewnić sobie współpracę przewodniczki, jednocześnie zdradzając jej tak niewiele szczegółów, jak to tylko możliwe. Niestety, ich wyprawa mogła stać się niebezpieczna, zwłaszcza gdyby Rosjanie lub Eli Reinhardt również zdecydowali się

pojawić w kopalni. Nie chciał narażać Patrycji, więc miał tylko nadzieję, że zdołał ich wyprzedzić.

– Powiedzmy, że w pobliżu rzeźby znajduje się pewien ważny przedmiot – powiedział. – Musimy rzucić na niego okiem.

– Posąg stoi tutaj – powiedziała przewodniczka, wskazując punkt na planie, znajdujący się w małej komorze przy bocznej sztolni. Prowadziło do niej kilka korytarzy.

– To skrzyżowanie – wyjaśniła Patrycja. – Wiele kapliczek stawiano tam, gdzie łączyło się kilka tuneli.

– Jak Jonty Olivier ukrył tam dokumenty? – zapytała Stephanie. – Zakładam, że to nie jest miejsce, w którym można swobodnie spacerować.

Tamta kiwnęła głową.

– Mogą tam dotrzeć wyłącznie pracownicy kopalni – potwierdziła. Odpięła kieszonkę kombinezonu i wyciągnęła mały plastikowy breloczek. – Tylko takim identyfikatorem da się uruchomić windy na niższe poziomy. Codziennie nosi je około pięćdziesięciu przewodników i codziennie po pracy musimy je zwrócić.

Malone zerknął na Stephanie. To oznaczało, że Olivier umówił się z kimś na indywidualne zwiedzanie z kopalni. Gdyby Rosjanie chcieli zjechać na dół, musieliby zrobić to samo. To mogło zadziałać na korzyść dwojga Amerykanów i zapewnić im dość czasu.

– Pomyślimy o tym później – powiedział Cotton, wiedząc, że Stephanie przyszło do głowy to samo.

Skinęła głową.

– Ale wiesz, że w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku to miejsce jako jedno z pierwszych wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO?

Zrozumiał przytyk.

– Tak, spróbuję uważać.

Pomyślał o Iwonie. Czy orientowała się w rozwoju sytuacji? Agencja Wywiadu cieszyła się znakomitą opinią wśród podobnych instytucji. Jeżeli Warner Fox wiedział, że Rosjanie nadal są w grze, AW również miała tę informację. A Iwony nie powstrzymają zasady wstępu ani breloczki.

Musiał zachować czujność.

Jaki miał plan? Wejść i wyjść. Szybko i czysto.

Bez żadnych błędów.

# ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Czajkowski szedł razem z Iwoną.

Najpierw znaleźli samochód Malone'a; stał na publicznym parkingu, ale bez relikwii, które, jak powiedziała Iwona, jeszcze w Słowacji leżały na tylnym siedzeniu. Prezydenta to nie obchodziło – polski skarb narodowy został odzyskany, a pozostałe artefakty to już nie jego problem. Martwił się tylko, że zostanie rozpoznany. Tym razem nie założył swobodnego stroju, takiego jak na Jasnej Górze. Tyle dobrego, że większość osób w tłumie stanowili zagraniczni turyści, którzy nie mieli pojęcia, jak wygląda prezydent Polski.

Poczuł się lepiej, kiedy dostali się już do środka.

Po odnalezieniu pojazdu Cottona pojechali dalej w głąb królewskiego miasta Wieliczki, do Zamku Żupnego, to tam bowiem skierował ich Zima. Siedziba żupnika, czyli królewskiego zarządcy kopalni soli, który kiedyś tam mieszkał, została wzniesiona w XIII wieku, ale podobnie jak większość polskich zabytków, zniszczyły ją działania podczas drugiej wojny światowej. O dziwo, odbudowano ją podczas rządów komunistów. Malowniczy gotycki zamek z fortyfikacjami, wieżą i zabudowaniami

gospodarczymi służył jako miejsce wystaw, pozwalających gościom odkrywać historię Wieliczki – miasta i kopalni.

Czajkowski i Iwona nie przyszli tu jednak zwiedzać.

Zostawili auto na innym publicznym parkingu i przeszli obsadzoną drzewami, brukowaną ulicą ku wejściu do zamku. Czekał tam już na nich niski, krępy mężczyzna w garniturze, który przedstawił się jako dyrektor kopalni. Najwyraźniej Michał Zima miał doskonałe kontakty i dotarł od razu na sam szczyt, przekazując ściśle instrukcje, żeby zadbano o nieformalny charakter tej wizyty.

– Doceniam pańską pomoc – zwrócił się Czajkowski do dyrektora. – Musimy znać dokładne położenie dwójki ludzi przebywających na dole, w kopalni.

– Tak, wasi ochroniarze już mi to wyjaśnili. Cała kopalnia objęta jest monitoringiem wideo.

Prezydent nie był w nastroju do rozmowy.

– W takim razie proszę nas zaprowadzić do centrali monitoringu.

Centrala znajdowała się na zamku i wyglądała raczej jak centrum lotów kosmicznych. Na jednej ze ścian zawieszono ekrany o wysokiej rozdzielczości. Każdy z nich wyświetlał obraz innego fragmentu wnętrza i zewnątrz kopalni.

– Są trzy główne drogi na dół. Obserwujemy wszystkie – objaśnił dyrektor. Skinął na jednego z asystentów. – Zauważyliśmy ten samochód, kiedy tylko przyjechał.

Na jednym z monitorów pojawił się ostry obraz Malone’a i starszej kobiety wysiadających z auta, które przed chwilą widzieli na parkingu prezydent i Iwona. Cotton poświęcił chwilę na przeniesienie relikwii z tylnego siedzenia do bagażnika.

– To Stephanie Nelle – skomentowała Iwona. – Szefowa Magellan Billet.

Dwoje Amerykanów weszło na teren kopalni, a potem zaczęło koło budynku nadszybia, przez który prowadziło wejście do Szybu Daniłowicza. Po chwili podeszła do nich szczupła blondynka w oliwkowym kombinezonie i wszyscy oddalili się w innym kierunku.

– Dowiedziałem się, że amerykański ambasador w Polsce zadzwonił do naszego biura prasowego – objaśnił dyrektor. – Załatwił oprowadzenie dwójki gości przez Patrycję, przewodniczkę, którą przed chwilą widzieliście. Doprowadziła ich do wejścia dla górników, gdzie się przebrali i zjechali na dół, jakieś pięć minut temu. Opóźniałem ich tak długo, jak mogłem bez wzbudzania podejrzeń.

– Dokąd pojechali?

– Na poziom dziewiąty. Nie ma tam kamer, ale wszyscy przewodnicy noszą nadajniki, które możemy śledzić. Panie prezydencie, czy mogę zapytać, o co tu chodzi?

– Może pan. To kwestia bezpieczeństwa narodowego. Dwójka ludzi na poziomie dziewiątym pracuje dla amerykańskiego wywiadu. To wyjątkowo ważne, żeby cały czas mieć ich na oku, również za pomocą elektroniki. Musimy zjechać tam za nimi.

Iwona wyciągnęła go na korytarz.

– Jesteś tego pewien? – zapytała. Popatrzył na nią z zaskoczeniem. – Musimy? Załatwię to sama.

– Stawką jest moje życie.

– Jesteś prezydentem tego kraju, więc zachowuj się odpowiednio!

Co za zjadliwy ton!

Czajkowski nie pozostał jej dłużny, nie próbując nawet ukrywać frustracji.



– Powiedziałaś mi, że sprawa została zakończona, że sobie z tym poradziłaś... mimo że tak nie było.

– Nie mamy pojęcia, co się tam dzieje. Tak, to wymaga śledztwa, a potem decyzji podjętej na podstawie faktów. Teraz tylko przypuszczamy, a nawet gorzej: zgadujemy na ślepo. To, co teraz robisz, zakrawa na desperację.

– Bo jestem zdesperowany. Przez całe życie starałem się dotrzeć do tego punktu. Nie pozwolę, by odebrano mi to, na co zapracowałem. Nie poddam się bez walki.

Po raz pierwszy padły między nimi tak ostre słowa. Wydały mu się nieznośne, mimo to uważał je za konieczne. Pracował za długo i za ciężko, żeby teraz jego kariera zakończyła się tak nagle. Jeżeli w kopalni mógł znaleźć ratunek, to zjedzie tam i kropka.

Jej spojrzenie złagodniało.

– Jesteś pod moją opieką, a tam na dole na pewno zrobi się niebezpiecznie.

– Myślisz, że Malone może być zagrożeniem? Nie sądziłem, że to problem.

– Nie mamy pojęcia, kto tutaj jest. W pobliżu mogą węszyć również Rosjanie. Muszę zadbać o twoje bezpieczeństwo. Powinniśmy poinformować BOR.

– Niewiele tu działają.

Dotknęła jego ramienia.

– To jeszcze jeden powód, żeby postępować ostrożnie.

Popatrzył na nią. Zrozumieli się bez słów, tak jakby potrafiła czytać w jego myślach.

– No dobrze – powiedziała z rezygnacją. – Idziemy razem.

Odwróciła się ku drzwiom.

Złapał ją za ramię.

– Przepraszam, że zwałem na ciebie winę. Wiem, że zrobiłaś to, co uznałaś za konieczne. Zabicie Oliviera nie mogło być łatwe.

– Zrobiłam, co trzeba – odparła, po czym zamilkła na chwilę. – Gdybym mogła przewidzieć, że skończy się to tutaj i teraz, takim dylematem, pewnie postąpiłabym inaczej. Naprawdę sądziłam, że już po wszystkim.

– Wiem. Jeszcze raz przepraszam.

Wrócili do centrum monitoringu.

– Jesteśmy gotowi – powiedział Czajkowski do dyrektora. – Gdy będziemy już na dole, musimy mieć sposób, żeby odnaleźć tę przewodniczkę, Patrycję.

– Mamy ręczne monitory.

Iwona utkwiała wzrok w ekranach. Trudno powiedzieć, który z nich szczególnie przyciągnął jej uwagę.

– Co się dzieje? – zapytał prezydent.

– Popatrz tam. Na czwartym od góry, po prawej stronie.

Czajkowski zobaczył czterech mężczyzn w kombinezonach, którzy szli ku windzie. Wszyscy mieli na głowach kaski z latarkami.

– To Eli Reinhardt i jego człowiek, Munoz.

Znał te nazwiska.

– A ten gruby to Iwan.

To imię też znał. A więc słowa Foxa o Rosjanach nie były tylko cczą gadaniną. Wskazał na ekran i zapytał dyrektora:

– Gdzie to jest?

– Szyb Regis. Niedaleko stąd.

– Mogą się stamtąd dostać na poziom dziewiąty? – zapytała Iwona.

Dyrektor kiwnął głową.

– Oczywiście. Tyle że taki spacer chwilę potrwa.

Prezydent wskazał na ekran.

– Kto ich prowadzi?

Tamten spojrzał uważnie.

– Jeden z naszych przewodników. Dawid Konrad.

– Jego też chcemy namierzać – odezwała się Iwona.

Prezydent pomyślał, że to akurat nie powinien być najmniejszy problem.

Przecież wszyscy chcieli dostać się w to samo miejsce.

# ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Eli jechał w dół windą. Mechanizm mruczał miarowo, opuszczając ich jednostajnie do leżącego trzysta metrów niżej celu. Ze względu na towarzystwo Iwana cieszył się, że ma przy sobie Munoza. Obaj byli uzbrojeni w pistolety, te same, których użyli na zamku. I bardzo dobrze, ponieważ na powierzchni na pewno czekały rosyjskie posiłki. Reinhardt wątpił, żeby udało im się ujść cało z kopalni, gdyby sprzeciwili się Iwanowi, ale nie miał złudzeń: kiedy tylko znajdą dokumenty, zniknie ostatni argument za zachowaniem ich przy życiu. Wręcz przeciwnie: Rosjanie mieli wiele powodów, żeby ich zlikwidować. Iwan bez wahania zastrzelił dwóch własnych ludzi. Dlatego Eli uprzedził już wcześniej Munoza, żeby zachował czujność, a przy pierwszej okazji uciekną. Zgubią Iwana w zakamarkach kopalni i znajdą inną drogę na powierzchnię. Rosjanin mógł sobie wziąć te dokumenty za darmo, Reinhardt chciał tylko, żeby to wszystko już się skończyło. To, co na początku wydawało się zyskowną operacją, zmieniło się w katastrofę.

Zostanie mu przynajmniej pięć milionów euro i Spizarnia.

Rosjanie najwyraźniej nic o niej nie wiedzieli, a przynajmniej nikt nie wspominał o jej istnieniu.

Winda stanęła. Metalowe drzwi się otwarły, odsłaniając oświetlony kawałek korytarza i jego dalszą, ginącą w mroku część. Wyszli prosto w chłodne powietrze. Nieprzychylna ciemność połknęła Elia, gdy opuścili odcinek z lampami. Światło ich reflektorów na kaskach sięgało na jakieś dziesięć metrów naprzód.

– Jeżeli chcecie tam iść, to zanosi się na dłuższy spacer – ostrzegł Konrad.

– To ruszajmy – odparł Iwan. – Nie chodzę szybko.

Eli zawsze narzucał sobie surową dyscyplinę. Robił interesy z Izraelczykami, Amerykanami, Francuzami, Kongijczykami, Chińczykami, obywatelami RPA i innymi kupcami. Nie wykluczał nikogo z grona klientów. Nie miał oporów przed zabijaniem w razie potrzeby, inaczej niż Olivier, który czuł odrazę wobec takich czynów. Ale usunięcie Rosjanina miałyby poważne konsekwencje.

Iwan doskonale o tym wiedział.

Eli próbował odsunąć niepokojące myśli, które krążyły mu po głowie, ale nie potrafił. Spowalniały go, tak jak wysportowanego człowieka spowalnia warstwa tłuszczu. Z wysiłkiem skoncentrował się na rzeczywistości i poszedł szerokim tunelem za światłem z latarek.

– Zadziwiające – powiedział Iwan.

– Takie są efekty ciężkiej pracy czterdziestu pokoleń górników – zauważył Konrad. – Kopali wciąż w głąb, zarabiając pieniądze dla króla.

Eli wiedział co nieco o kopalniach soli. Chociaż zarówno w Polsce, jak i w Europie były większe i starsze wyrobiska, bladły one, gdy porównało się je z rozmiarami tego ciągnącego się przez setki kilometrów labiryntu, tak podobnego do legowiska Minotaura. Wszystko tu wydawało się monumentalne. Kopalnie zawsze fascynowały Augustusa Reinhardta, zwłaszcza te w Niemczech i Austrii, wykorzystane podczas ostatniej wojny

przez nazistów jako tajne skarbcce. Tutaj skarbem było coś dużo bardziej praktycznego.

Sól.

Co za minerał!

Twarda jak skała, lecz delikatna. Symbol, miara bogactwa, przyprawa i surowiec. Kiedyś handel nią utrzymywał całe królestwa.

Teraz już niekoniecznie.

Gdyby żył wiele wieków temu i pracował pod ziemią, chciałby być Skarbnikiem. Ten dobry duch panował w kopalni. Górnicy mówili o nim „On”, po prostu „On”, nie nadając mu żadnego imienia, a Skarbnik nagradzał ciężką pracę i karał leniwych. Potrafił wymierzyć mocny policzek górnikowi, który przeklinał. Ostrzegał przed niebezpieczeństwem, przemierzał chodniki, badał sufity i ściany i nie pozwalał górnikom chodzić tam, gdzie czyhały na nich kłopoty.

Tymczasem szli dalej naprzód.

Konrad prowadził, za nim szedł Iwan, potem Eli, a Munoz zamykał pochód. Reinhardt wolał mieć Rosjanina przed sobą, żeby widzieć każdy jego ruch... O ile to mogło w jakikolwiek sposób pomóc. Słyszał ciężki oddech otęłego mężczyzny. Iwan najwyraźniej nie nawykł do takiego zwawego tempa... A może za chwilę dostanie zawału?

Eli mógł tylko mieć taką nadzieję.

Nie zyskał renomy dzięki nieśmiałości ani tchórzostwu i nie miał zamiaru okazać teraz żadnej słabości.

„Bądź chytry i cierpliwy”, powiedział sobie.

Dotarli do rozgałęzienia.

Korytarz po prawej zagradał znak.

„Wstęp wzbroniony!”

Ciszę panującą w ciemności zablokowanej odnogi zakłócało tylko kapanie. Połączone promienie ich latarek wydobyły z zalegającego za linią mroku całkiem sporą kałużę wody sączącej się z sufitu. Nie był to jednak nowy przeciek. Na ścianach wokół niego dało się dostrzec skryształizowaną sól, białą niczym śnieg.

– Wszystko w porządku? – zapytał Eli.

– Takie rzeczy zdarzają się cały czas – odparł Konrad. – Wtedy schodzimy tu i dokonujemy napraw.

– A co by się stało, gdybyście tego nie zrobili?

– Woda stopniowo podmyłaby wszystko, jeden kryształek soli po drugim. Nie przejmuj się, to zajęłoby jakieś sto pięćdziesiąt lat. Wszystko w porządku.

– Jak daleko jeszcze? – spytał Eli.

– Jeszcze parę minut.

Reinhardt odwrócił się, żeby ruszyć dalej. W tym momencie kask ześlizgnął mu się z głowy i potoczył z głośnym stukotem po solnej posadzce. Promień światła zatańczył w ciemności.

– Najmocniej przepraszam – powiedział Eli, sięgając po kask.

Iwan stanął przed nim twarzą w twarz. Zapewne pod kombinezonem również miał pistolet. Prawdopodobnie ten sam, z którego zastrzelił dwóch własnych ludzi na zamku Szturniej. Zwykle to Eli kontrolował sytuację, prowadząc paradę, tu jednak był tylko widzem. Próbował nie myśleć o ciemności wokoło i o tym, co mogło się w niej kryć.

Jedną rzecz wiedział wszakże na pewno.

Rosjanin stanowił dla niego największe zagrożenie.

# ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Cotton podążał za Stephanie i przewodniczką korytarzem na poziomie IX. Wycieczka w głąb kopalni wymagała podróży dwiema windami, pierwszą na poziom III, a dopiero stąd inną na poziom IX. Patrycja użyła identyfikatora, żeby uruchomić obie windy: tak jak mówiła wcześniej, nie każdy mógł zjechać tak głęboko w czeluść. Nadmieniła także, że kopalnia prowadzi dokładny rejestr wszystkich gości, w tym również turystów, a pod koniec dnia podliczane są osoby wchodzące i wychodzące, tak żeby nikt nie został na dole. Ekipy sprzątające pracowały na wyższych poziomach w ciągu dnia, toteż na noc kopalnię w gruncie rzeczy zamykano. Ostatni gasili światło i wszystko pogrążało się w ciemności do następnego ranka.

Dochodziła właśnie 18.00. Do oficjalnego zamknięcia pozostało półtorej godziny. Musieli działać szybko, by wyprzedzić nie tylko turystów, ale także Rosjan, Polaków i innych amerykańskich agentów, którzy mogli się tu pojawić.

Malone poczuł na twarzy chłodny, słony powiew, zmniejszający poczucie klaustrofobii. To nie zamknięte przestrzenie doprowadzały go do szaleństwa – naprawdę nienawidził miejsc zamkniętych, a jednocześnie ciasnych. Cały czas powtarzał sobie w myślach, żeby nie przejmować się



trzystoma metrami skały nad głową. Patrycja opowiedziała im, że szukający drogi pod ziemią górnicy potrafią znaleźć ją, wyczuwając kierunek przepływu powietrza w korytarzach. Posadzka była tu wygładzona tylko z grubsza, a więc pełna nierówności i śliskich miejsc. Ciska zaciskała się wokół niego, jakby tunel się zapadał. Wyobraził sobie, jakie dźwięki rozbrzmiewały tu przed wiekami, kiedy ciężkie bloki soli były ciągnięte przez konie, których kopyta stukały na twardej powierzchni. Potem zastąpiono je elektryczną kolejką, a stukot kopyt ustąpił miejsca brzękowi metalu o metal.

– Znasz drogę przez te korytarze? – zapytała Stephanie.

– Codziennie prowadzę tu grupy, które kopią sól, tak jak górnicy dawno temu.

Ta część kopalni wydawała się całkiem zadbana. Po obu stronach korytarza pojawiały się regularnie wloty bocznych odnóg, prowadzących w jeszcze głębszą ciemność.

– Pewnie łatwo by się tu było zgubić – zauważył Cotton.

– Raczej pomylić kierunki – poprawiła go Patrycja. – W którymś momencie zawsze dotrzesz do schodów albo windy jadącej na górę. To wielka przestrzeń, ale ograniczona.

Zareagował uśmiechem na jej sarkastyczny ton.

– Aha, i uważaj na Białą Damę – dodała.

Czy dobrze usłyszał? *Dame Blanche*? Raczej nie chodziło o lody waniliowe w czekoladzie, więc zapytał przewodniczki, co miała na myśli.

– Górnicy mówią na nią Bieliczka. Ponoć to duch w postaci kobiety, przemierzającej korytarze w poszukiwaniu górnika, którego kiedyś kochała.

Dobrze wiedzieć.

Sztolnia miała w tym miejscu prawie dwa metry szerokości i około dwóch i pół metra wysokości. Stały podmuch do pewnego stopnia

uspokajał Malone'a. Ciemność wydawała mu się wszechmocna i nieprzenikniona, ale nie przerażająca. Nie zdarzały się tu wschody ani zachody słońca, trudno było powiedzieć, czy jest środek nocy, czy środek dnia. Górnikom sprzed stuleci, którzy pracowali tu przez całe tygodnie, namiastkę dziennego światła dawały tylko latarnie.

Rozmyślał teraz nad tymi ludźmi: to musiało być takie dziwne, gdy po raz pierwszy słyszeli w ciszy na dole własny oddech i bicie własnego serca. Cisza była jednak groźna, ponieważ usypiała czujność umysłu, dając mu fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Cotton musiał bezustannie sobie powtarzać, że powinien zachować czujność. Kłopoty mogły czaić się za każdym zakrętem... A może właśnie tam, skąd przyszli? Trudno było o jakąkolwiek pewność w tym względzie.

Gdyby Cassiopeia mogła go teraz widzieć!

Nie byłaby zadowolona.

Może jednak uda mu się zakończyć tę sprawę i wrócić do Kopenhagi jutro wieczorem. Spędzą razem wspaniały weekend: kolacja w Nyhavn, potem, w sobotę albo niedzielę, Tivoli. Oboje uwielbiali wesołe miasteczka. Cassiopeia zostanie do wtorku albo środy, a potem wróci do południowej Francji. Nadzorowana przez nią odbudowa zamku posuwała się naprzód i nic dziwnego. Była zdecydowaną kobietą – potrafiła osiągnąć to, co sobie postanowiła.

Skoncentrował się na myśleniu o niej, by zagłuszyć zdenerwowanie wywołane sytuacją, w jakiej się znalazł. Wspominał, jak smarowała chleb masłem, krótkimi, równymi pociągnięciami, pokrywając każdy centymetr kwadratowy kromki, aż nóż lśnił czystością. Zawsze sypała sól na otwartą dłoń, zanim posoliła nią potrawę. Nigdy nie jadła lodów w rożkach, bo nie lubiła presji czasu, każącej je zjeść, zanim się roztopią. Nienawidziła soku

jabłkowego, ale kochała jabłka, zwłaszcza zielone. I chipsy ziemniaczane, ale wyłącznie z ostrą musztardą.

Każdy miał swoje dziwactwa.

Malone również mógł się pochwalić całą ich listą.

Będzie musiał przyznać się do wszystkiego, co zdarzyło mu się w tym tygodniu, a Cassiopeia nie będzie zadowolona, że załatwił to bez niej, ale zrozumie, jak zawsze. Tak to już z nimi było. Oboje przyciągali kłopoty i zawsze próbowali rozwiązywać je samodzielnie. Gdyby któreś z nich wezwało pomoc, przyznałoby się w ten sposób do słabości.

Mimo to nikomu nie ufał tak jak jej.

Nigdy go nie zawiodła.

On też jej nie rozczarował.

Tymczasem chodnik rozszerzył się w komorę.

Kilka wielkich cieni wyłoniło się z mroku i przybrało w promieniach ich latarek wyraźniejszą formę. Dwie stare rzeźby, obecnie obraz nędzy i rozpacz, stały po bokach przejścia wykutego w soli na dalszym końcu pomieszczenia.

– Święty Piotr z Alkantary po lewej, Święty Kazimierz po prawej – objaśniła Patrycja. – W kiepskim stanie, jak widać. Zniszczone przez wilgoć i wycieki wody. Wszystko na tym poziomie trochę ucierpiało.

Cotton rozejrzał się po komorze, omiatając ściany światłem latarki.

– Te kaplice rozmieszczano strategicznie – opowiadała przewodniczka. – W pobliżu studni i szybów, tam, gdzie odkrywano nowe złoża soli, tak by można było się pomodlić. Stanowiły też charakterystyczne punkty. Płonęły w nich latarnie, będące źródłem światła dla górników, w takich miejscach mogli się bezpiecznie spotkać i zapalić własne lampki, gdy zgasły.

Stephanie milczała, a Malone dostrzegł na jej twarzy niepokój. Oto wędrowali podziemnymi korytarzami, z jednym pistoletem na dwoje. Czy byli tu sami? Jak dotąd chyba tak. Złowił jej wzrok i zapytał spojrzeniem: „Dlaczego tu nie zostaniesz? Pozwól mi to zakończyć”.

Pokręciła nieznacznie głową.

„To mój problem i ja go rozwiążę”.

– Droga do świętego Andrzeja Boboli prowadzi tędy – powiedziała Patrycja, wskazując na przejście po prawej.

Cotton uprzejmym gestem pokazał Stephanie, że ma iść pierwsza.

W tej chwili z dala dobiegł ich jakiś niesiony echem dźwięk.

Stukot.

Daleko od nich, niczym kamień spadający do głębokiej studni.

Włosy na karku stanęły mu dęba.

# ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Czajkowski założył kombinezon, podobnie jak Iwona. Dostarczony przez dyrektora kopalni strój pomagał zachować anonimowość. Wrócili do centrum monitoringu z ekranami na ścianach.

– Poinformowano mnie, że pan Malone i pani Nelle wraz z Rosjaninem, którego zidentyfikowaliście, i dwiema innymi osobami przebywają obecnie na poziomie dziewiątym – oświadczył dyrektor.

– Czy wiedzą o sobie nawzajem? – zapytała Iwona.

Jej rozmówca pokręcił przecząco głową.

– Mało prawdopodobne. Sygnał z nadajników pokazuje, że przewodnicy są daleko od siebie, ale zbiegają w tym samym kierunku.

– Musimy tam zjechać – powiedział prezydent.

Iwona się skrzywiła.

– Myślałam już o tym.

Popatrzył na nią z zaciekawieniem.

– Co sugerujesz?

– W którymś momencie muszą stamtąd wyjść – wyjaśniła. – W takim razie zatrzymajmy ich pod ziemią, ale niech przejdą na wyższe, dobrze oświetlone poziomy, gdzie są kamery i ludzie. Tam ich przechwycimy.

Czajkowski uznał to za rozsądny pomysł.

Iwona odwróciła się do dyrektora.

– Czy może pan wyłączyć windy, które kursują na sam dół, i zostawić tylko tę, która jedzie z poziomu dziewiątego na trzeci?

Zapytany kiwnął głową.

– W takim razie musimy tylko poczekać na poziomie trzecim – stwierdziła. – Przyjdą do nas sami.

Prezydent pragnął zjechać od razu na poziom IX, bez względu na to, co mogło się tam stać. Nic by jednak nie zyskali, ruszając w nieznaną, zwłaszcza jeśli nikt nie wiedział, że tu są.

Mieli przewagę.

Mogli poczekać.

Przytaknął więc koncepcji Iwony.

– Na dzisiaj zamykamy już trasę turystyczną – powiedział dyrektor. – Na niższych poziomach będzie coraz mniej ludzi, w miarę jak będą wyjeżdżać na powierzchnię. Większość osób będzie stała w kolejce, czekając na wolną windę na górę. O tej porze dnia kolejki są długie.

– Mógłby pan zamknąć trasę turystyczną wcześniej? – zapytał prezydent.

– To byłoby niecodzienne wydarzenie.

– Cała ta sprawa jest niecodzienna.

Teraz dyrektor zrozumiał.

– W takim razie tak zrobimy.

– A potem proszę nas niepostrzeżenie przeprowadzić na poziom trzeci – uzupełniła Iwona.

Zeszli drewnianymi schodami.

Solidnymi i mocnymi.

Zbudowanymi z wielkich bali, które mogły przetrwać całe lata.

Turyści mieli wybór, czy zejść na poziom I i II, czy zjechać tam windą. Większość zjeżdżała, ale Czajkowski i Iwona zdecydowali się pójść pieszo. Po drodze minęli kilka osób zmierzających w odwrotną stronę, nikt jednak poza nimi nie kierował się na dół. Co dziwne, po niemal czterystu stopniach prezydent nie czuł się zmęczony. Miał tylko nadzieję, że nie będzie musiał wracać schodami na powierzchnię. Dyrektor został w centrum monitoringu, by pilnować rozwoju wydarzeń na poziomie IX, lecz obiecał, że niedługo spotka się z nimi na dole.

Schody się skończyły, teraz wkroczyli na solną posadzkę. Przed sobą mieli nie zimne, ciemne i wilgotne tunele, ale dobrze oświetloną przestrzeń. Powietrze było tam suche, lecz nie zimne, a na twarzach czuli stały podmuch świeżego powietrza. Czajkowski domyślał się, że w kopalni utrzymywano niską wilgotność, żeby zapobiec rozpuszczaniu soli przez wodę. Dyrektor polecił im skierować się do leżącej niedaleko Komory Kopernika. Przeszli tam za znakami, mimo że mogli ich zauważyć ludzie czekający w kolejkach do windy na górę.

– Nie zatrzymujmy się – powiedziała Iwona.

Doszli korytarzem do przestronnej komory z olbrzymim pomnikiem słynnego astronoma. Drewniane rusztowania podtrzymywały kamienne bloki wzdłuż trzech ścian. Pnie stały na baczność jeden przy drugim, tworząc czwartą ścianę za posągiem. Prosta, niemal modernistyczna rzeźba przedstawiała postać z wyciągniętymi ramionami i dłońmi trzymającymi sferę niebieską. Wałęsało się tu jeszcze kilku turystów, robiących ostatnie zdjęcia przed wyjściem.

– Studiował w Krakowie, a mieszkał we Fromborku – powiedział Czajkowski, wskazując na solny posąg. – Jakże musiał być odważny, żeby twierdzić, że Ziemia nie jest centrum wszechświata. Ta prosta koncepcja zmieniła losy ludzkości już na zawsze.

– Podziwiasz go?

– Oczywiście. Był astronomem i doktorem prawa kanonicznego, a poza tym lekarzem samoukiem, poliglotą, tłumaczem, dyplomatą i ekonomistą. Porozumiewał się w pięciu językach. Został patronem rewolucji naukowej. A najważniejsze, że był Polakiem.

Tablica w pobliżu posągu głosiła, że w roku 1493 Kopernik, jeszcze jako student Akademii Krakowskiej, odwiedził to miejsce. Być może stał się w ten sposób pierwszym turystą w dziejach kopalni w Wieliczce? Posąg wyrzeźbiono w 1973 roku dla uczczenia pięćsetnej rocznicy urodzin geniusza.

– Nie lubię się czuć bezradny – wyszeptał.

– Nie jesteś. Kontrolujemy sytuację. Niech Malone i Rosjanie rozstrzygną to między sobą na niższym poziomie, a my poradzimy sobie z tym, kto stamtąd wyjedzie. Nie mają pojęcia, że tu jesteśmy, a to jedyna droga na zewnątrz.

Pozostali goście opuścili komorę.

Dyrektor pojawił się po przeciwnej stronie i szybko do nich podszedł.

– Sytuacja została opanowana. Wszystkie grupy turystyczne z niższych poziomów są już wyżej. Poziom dziewiąty jest pusty, nie licząc tych dwóch grup, które obserwujemy. Wszystkie wyjścia są strzeżone, a jedyna droga na górę prowadzi tędy.

– Zakładam, że możemy skądś obserwować windę?

Mężczyzna przytaknął.

– Jest takie miejsce, niedaleko stąd, trochę niżej na poziomie trzecim. Korytarze pozwalają na poruszanie się pomiędzy trzema poziomami. Będziemy stopniowo transportować ludzi na górę i tak jak pan prosił, wstrzymaliśmy sprzedaż biletów na dzisiaj. Wydałem wszystkim



przewodnikom polecenie, żeby zostali ze swoimi grupami w pobliżu wind, w kawiarni lub obok, w kantynie.

Czajkowski nigdy nie był skłonny do oddolnego rozwiązywania problemów. Inteligentni ludzie zaczynali od góry, a on zawsze uważał się za inteligentnego. Nigdy w życiu nie popełnił czynu zakazanego prawem ani niemoralnego. Protokół warszawski? Funkcjonował podczas wojny, kiedy wszystko podlegało innym regułom. Ale gdyby prezydent był zmuszony bronić się i ujawnić prawdę wbrew dokumentom, ilu Polaków by się z nim zgodziło?

Nie dość wielu.

Większość uznałaby go za komunistycznego szpiega, donoszącego na przyjaciół, rodzinę i znajomych. Uwierzyłaby, że sprzedał swój kraj. Nieliczni uznaliby protokół warszawski za prawdziwy, ale ci z kolei sądziliby, że jest mordercą. Klasyczna sytuacja bez wyjścia. Nie przeżyłby burzy, która rozpętałaby się po ujawnieniu dokumentów. Kandydaci na prezydenta przegrywali z mniej istotnych powodów: uznawano za nietakt ich zachowanie wobec weteranów wojennych, określano mianem narcyzów, zwolenników elit, ludzi, którzy chełpili się własnym wykształceniem, sugerowano, że są słabego zdrowia... ba, zarzucano im nawet, że podczas wywiadu zbyt długo wpatrują się w monitor. W kampanii wyborczej wszystkie chwytły były dozwolone. Istniało jednak jeszcze większe niebezpieczeństwo, którego, jak dowodziła historia, nie należało ignorować: możliwość głębokiego rozdarcia Polski na dwa zwalczające się obozy.

Coś podobnego już się zdarzyło.

Nie tu, lecz we Francji.

Doskonale pamiętał tamten incydent.

W 1894 roku odkryto, że we francuskiej armii działa zdrajca – szpieg przekazujący informacje Niemcom. Śledztwo ujawniło potencjalnego winowajcę: Alfred Dreyfus, kapitan francuskiej artylerii, oficer żydowskiego pochodzenia, został uznany za winnego i zesłany do kolonii karnej na Wyspie Diabelskiej. Dwa lata później odkryto, że prawdziwym szpiegiem był ktoś inny, osądzono go, lecz wówczas armia postawiła Dreyfusowi kolejne zarzuty na podstawie sfabrykowanych dowodów. Ponownie go skazano, ale potem ułaskawiono i uwolniono. Ostatecznie dowiedziono, że żadne oskarżenia przeciw niemu nie miały podstaw.

Cała ta sytuacja jednak głęboko podzieliła Francję.

Połowa obywateli odpierała wszystkie zarzuty. Prowojskowa grupa, w większości katolicka, przy każdej okazji hałaśliwie dowodziła swej absolutnej lojalności wobec państwa i narodu. Według niej Dreyfus był niegodnym zaufania Żydem. Musiał być szpiegiem. Druga połowa, antyklerykalna i prorepublikańska, żądała jednakowej sprawiedliwości dla wszystkich, niezależnie od religii.

Partie polityczne opowiedziały się po obu stronach. Podziały przebiegały również w poprzek rodzin, czasem dłużej niż przez jedno pokolenie. Debata trwała przez kolejne dekady i wraca się do niej nawet obecnie, kiedy nacjonalizm szermujący hasłem „Francja dla Francuzów” ściera się z globalną koncepcją rządów prawa i państwa dla wszystkich.

Niewiarygodne.

Jeden wyrok sądu podzielił ludzi, którzy do tej chwili nie wiedzieli, jak bardzo różnią się poglądami. Ujawnił również dwie z gruntu odmienne wizje Francji.

To samo wydarzyłoby się w Polsce.

Ujawnienie protokołu warszawskiego otwarłoby niezabliźnione rany. To, co działo się od 1945 do 1990 roku, wydawało się wielu Polakom

równie aktualne, jakby to było wczoraj.

Podziały już istniały.

Liczba ataków na cudzoziemców rosła.

Całkiem niedawno czternastoletnia Turczynka została pobita na ulicy przez napastników krzyczących „Polska dla Polaków!”. Podczas antysemitkich demonstracji palono wizerunki Żydów. Zaczęto tolerować żarty na temat Holocaustu. Profaszystowskie zgromadzenia zdarzały się co miesiąc. Rosła liczba przestępstw popełnianych z pobudek rasistowskich. Podczas zeszłorocznego święta niepodległości odbył się przemarsz wielkiej grupy neonazistów.

W tej sytuacji łatwo byłoby podzielić społeczeństwo również i pod tym względem.

Niektórzy, zwolennicy radykalnej taktyki, przyznaliby rację twórcom protokołu. Zdrajcom należała się kara. Solidarność robiła to, co musiała. Inni uznaliby te kłamstwa i zabójstwa za równie odrażające, co uczynki komunistów, a działacze Solidarności – za hipokrytów.

Dyskusja nie miałaby końca.

Nastąpiłyby polityczne przesunięcia, takie jak we Francji: podziały między bliskimi i przyjaciółmi, w poprzek klas społecznych, w tym i takie, które obaliłyby długoletnie sojusze.

Stare rany znów zaczęłyby krwawić.

Iwona patrzyła na niego, pozwalając mu myśleć. Chciałby porozmawiać z nią, wyjaśnić, poprosić o pomoc... lecz wolał tego nie robić. Lepiej zatrzymać takie myśli dla siebie.

Przynajmniej na razie.

Jedno z przekleństw związanych z jego urzędem.

Mimo to musiał uznać, że od tego, co się właśnie działo, zależy o wiele więcej niż tylko jego kariera polityczna.

# ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Cotton przesuwiał dłonią po ścianach korytarza. Część była gładka niczym szkło, a część – szorstka i ostra, tak że łatwo było skaleczyć sobie dłoń.

– Dlaczego są takie szare? – zapytał Patrycji.

– Ta sól ma korzystne domieszki magnezu i wapnia. Kiedyś osiągała wysoką cenę.

Szli dalej środkiem korytarza, po koleinach wyżłobionych dawno temu przez ciężkie wagoniki. Wokół nich zwisały stalaktyty i wznosiły się stalagmity o nieregularnych kształtach kryształów soli, narosłych wokół nacieków. Na jednej ze ścian widniało mnóstwo jaskrawobiałych form podobnych do kalafiorów.

– Czy dużo ludzi odwiedza kopalnię? – spytała Stephanie.

– O, tak. To ruchliwe miejsce. Pierwsze trasy turystyczne wytyczyli tu Austriacy, zarządzający kopalnią w osiemnastym wieku. Cena biletu zależała od światła, jakie zapewniano gościom. Podstawowa cena obejmowała pochodnie, lecz fajerwerki wychodziły o wiele drożej.

– Naprawdę detonowali tutaj ładunki pirotechniczne? – zapytał z niedowierzaniem.

– Brzmi to jak szaleństwo, ale tak właśnie było. Cena zależała również od koloru.

Nadal niepokoił go wcześniej usłyszany dźwięk, lecz Patrycja wyjaśniła mu, że najprawdopodobniej dobiegł od strony innej grupy zwiedzających. Wiele osób zjeżdżało codziennie na poziom IX, ale według niej wszyscy trzymali się blisko wind. Nikt nie zapuszczał się tak głęboko w korytarze.

Dotarli do kolejnej komory, większej niż te, na które się do tej pory natknęli, i o innej budowie, z pozostawionymi w wyrobisku filarami, sięgającymi od posadzki do sufitu. Naliczył ich osiem, dostrzegł także dwa wyjścia z komory.

– Czy to jakieś rozgałęzienie? – spytała Stephanie.

Patrycja skinęła głową.

– Górnicy rozpoczynali z tego miejsca, a potem dokopywali się do następnych złóż. To dlatego jest tu kapliczka.

Promień jej latarki wyłowił z ciemności oddzielne małe pomieszczenie – wyciętą w jednej ze ścian głęboką, kwadratową niszę. Wejście do niej obramowane było ze wszystkich stron solidnymi belkami, podpartymi grubym centralnym słupem. Nad otworem ktoś napisał białą kredą „Kapliczka św. Franciszka”.

Cotton wszedł do środka i w świetle swojego reflektora dostrzegł wykutą w ścianie płaskorzeźbę-krucyfiks. Poniżej, na dwóch wystających ze ściany drewnianych kołkach, spoczywała gruba solna półka. Półtora metra dalej, naprzeciwko ołtarza, stała zbita z desek ławka. W sąsiednich niszach znajdowały się prymitywne figury. Malone rozpoznał jedną z nich ze zdjęcia z książki znalezionej na zamku.

Święty Andrzej Bobola.

Stephanie i Patrycja podeszły do niego i oświetliły ją dodatkowo latarkami.

– To jest to – powiedział.

\* \* \*

Eli się zatrzymał.

Konrad i Iwan również stanęli, podobnie jak Munoz za nimi.

– Słyszałem jakieś głosy – wyszeptał Reinhardt.

– To pewnie inna grupa zwiedzających – zasugerował Konrad.

Możliwe, ale tego dnia musieli zachować najwyższą czujność.

– Zwolnijmy i upewnijmy się, czy nie mamy problemów – zaproponował Eli i zerknął na Iwana. – Mówiłeś, że Malone znajduje się w pobliżu...

– Nie mam oficjalnego raportu, co się stało – odszepnął Iwan. – Myślisz, że tu dotarł?

– Nie wiem, co myśleć, ale musimy być ostrożni.

Rosjanin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dobra rada, towarzyszu. Zgoda. Będziemy czujni.

– Daleko jeszcze? – zapytał Eli Konrada.

– Dwa zakręty i jesteśmy na miejscu.

– Prowadź – rozkazał Iwan. Przewodnik ruszył powoli w ciemność.

Rosjanin odpiął kombinezon, wyjął pistolet i trzymał go przy boku. Położył palec na spuście, ale trzymał broń przy udzie, tak że była niewidoczna.

Po czym poszedł za Konradem.

Eli odwrócił się do Munoz, który zrobił ze swoim pistoletem to samo co Iwan. Art skinął głową.

Był gotów.

\* \* \*

Cotton wszedł głębiej do kapliczki, prostej i ascetycznej. Wszystko pokrywał tu biały nalot soli. Tylną ścianę wzmocniono drewnianymi

belkami, całymi w napisach: pokolenia górników zostawiły tu rozmaite słowa i litery, inicjały, liczby i daty. Na podłodze leżała warstwa pokruszonej soli, wyglądającej jak piasek.

– O co chodzi z tymi napisami na drewnie? – zapytał.

– To dzieło górników. Nie usuwamy tego.

– Czego dokładnie szukamy? – spytała Stephanie.

– Stu czterdziestu siedmiu stron dokumentów. Mniej więcej takiego grubego pliku.

Pokazał kciukiem i palcem wskazującym dystans około dwóch centymetrów.

Podszedł do figury świętego Boboli i zobaczył, że podobnie jak krucyfiks, zniszczony posążek nie jest osobną rzeźbą. Postać, tak jak nisza, w której stała, zostały wyrzeźbione w ścianie. Ani za nią, ani pod nią nie dało się niczego ukryć. To samo dotyczyło innych figur.

Wszystko wskazywało jednak, że są we właściwym miejscu.

Ale gdzie ukryto dokumenty?

Myśl!

\* \* \*

Eli usłyszał głosy w tej samej chwili co wszyscy inni. Zatrzymali się. Na znak dany przez Iwana wyłączyli latarki. Konrad również połapał się, że dzieje się coś niedobrego, i zrobił to samo.

Stali w całkowitej ciemności.

– Czy cel jest przed nami? – wyszeptał Reinhardt.

– Za następnym zakrętem – odpowiedział niemal niesłyszalnie Polak.

– Ktoś tam już jest – mruknął Iwan.

Iwan i Munoz byli uzbrojeni, lecz w ciemności przewodnik nie dostrzegł ich broni. Eli wiedział, co trzeba teraz zrobić.

– Konrad, zostań tu – powiedział cicho w ciemność. – Musimy zbadać, co się tam dzieje.

– Idziemy z jednym światłem, prosto w podłogę – dodał Iwan.

– Zgoda.

\* \* \*

Cotton wyeliminował wszystkie inne możliwości. Została tylko jedna.

Drewniana ławka.

Jedyna rzecz w tej prymitywnej kapliczce, której nie wykuto w soli.

Prosta i surowa, wykonana z ledwie obrobionych i zbitych razem dech. Szeroka na niecałe półtora metra. Z siedziskiem i umieszczonym pod kątem pulpitem, na którym można było położyć psalterz lub oprzeć dłonie w przyklęku.

Podszedł bliżej i uniósł całą konstrukcję, stawiając ją na boku. Lita solna posadzka poniżej była nietknięta. Przejechał po niej butem, ale nie poddawała się pod naciskiem. Jak beton. Spojrzał na Stephanie, która kiwnęła głową. Myśleli o tym samym: nic tu nie zakopano.

Przewrócił ławkę do góry nogami.

Nic.

Jej podstawa składała się z szerokich desek, przyciętych w prostokąty. Jedna z nich znajdowała się z tyłu, pod siedziskiem ławki, a z pozostałych uformowano klęcznik, po czym zbito całość razem gwoździami bez główek.

– Pomiedzy tymi dwiema zostawiono pustą przestrzeń – zauważył.

Teraz tylko trzeba było się tam dostać.

Z całej siły wymierzył ławce dwa kopniaki. Cienkie drewno ustąpiło, pękło i wysunęło się z ramy. Wepchnął dłoń między odłamki i przekonał się, że miał rację. Między deskami rzeczywiście znajdował się schowek,



ale... był pusty. Przeniósł więc uwagę na drugą podstawę i również roztrzaskał znajdującą się tam deskę.

Wewnątrz znajdowała się zapakowana próżniowo paczka w plastikowym worku, przyklejonym taśmą do drewna. Teraz zrozumiał, czemu miała służyć maszyna, którą widział na zamku. Worek zawierał żółtą kopertę, podobną do tej, w której znalazł album o Wieliczce.

Nie bez trudu wyciągnął ją ze schowka.

– Mamy to!

W tej chwili padł strzał.

# ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Czajkowski siedział przy długim drewnianym stole w przestronnej sali, przyozdobionej solnymi żyrandolami. Komnatę tę wynajmowano na duże imprezy kulturalne i biznesowe. Kiedyś był tu na przepięknym koncercie wiolonczelowym: jeśli dobrze pamiętał, grał wtedy zespół Filharmonii Wrocławskiej. Miał wówczas rzadką okazję, by posłuchać muzyków sto dwadzieścia pięć metrów pod ziemią, w pomieszczeniu o niemal idealnej akustyce. Przy sali działała górnicza restauracja, wykuta w szarej soli, serwująca szeroki wybór dań kuchni polskiej. Dwa lata temu gościł tutaj podczas uroczystego obiadu uczestników europejskiego szczytu energetycznego. Wspominał zwłaszcza podany tamtego dnia tort czekoladowy. Pyszności! W tej chwili jednak w komnacie, kawiarni ani restauracji nie było żywej duszy. Interes zamknięto wcześniej dzięki interwencji dyrektora kopalni.

Niewiarygodne, ale telefony komórkowe miały tu zasięg. Sygnał docierał z powierzchni kablami i przez zainstalowane retransmitery. Dzięki temu żona prezydenta mogła się do niego dodzwonić.

– Właśnie wyjechałam z Jasnej Góry – relacjonowała mu. – Pogadaliśmy sobie miło z ojcem Orlikiem.

Wyobrażał sobie tę rozmowę.

– Wciąż odmawia współpracy?

– Gdy tylko się dowiedział, że znam prawdę, strasznie się wściekł. Oczywiście oskarżył cię, że mi o tym powiedziałaś, i wszystkiego się wyparł. Nie wiedział jednak, że kazałam BOR-owcom podczas tej rozmowy przeszukać jego pokój.

Czajkowski się uśmiechnął. Jego żona nie posługiwała się szczególnie subtelnymi metodami.

– Znaleźli coś?

– Tak, grubą teczkę.

To nim nieco wstrząsnęło.

– Masz ją?

– Oczywiście. A przy okazji: jesteście do siebie bardzo podobni. Zakładam, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Tak, zrozumiał to dawno temu. Był zapewne jednym z niewielu ludzi w Polsce, którzy mogli nazwać Sowę przyjacielem, ale dla tamtego najwyraźniej się to nie liczyło.

Zdecydował się nie mówić jej, co dzieje się w kopalni. Nie mogła mu w niczym pomóc. Gdyby jednak sprawy potoczyły się w niewłaściwym kierunku, kronika protokołu warszawskiego mogła okazać się pomocna.

– Doskonale sobie poradziłaś – powiedział. – Bardzo to doceniam.

– Robię tylko, co do mnie należy.

Rozłączyła się.

Czajkowski rozejrzał się po komnacie, ogarniając wzrokiem również jej dalszy koniec. Zdziwiający miejsce! Olbrzymia pieczara, w całości wykuta w soli. Dziura w ziemi, która przypominała mu o Bolesławie Chrobrym i legendzie o śpiących królach. Każde dziecko ją znało. Raz do roku, o północy w Wigilię, dźwięk potężnego dzwonu Zygmunta budził polskich

królów z wiecznego snu, a wówczas zbierali się w olbrzymiej podziemnej sali, rozświetlonej niczym katedra. Niektórzy bajaranze twierdzili, że znajduje się ona pod Zamkiem Królewskim na Wawelu, a inni – że dalej na południe, w Tatrach. A może to było właśnie tu, w Wieliczce?

Kto wie?

Królowie przybywali w szatach koronacyjnych, siadali przy okrągłym stole i omawiali losy kraju. Zebraniu przewodniczył sam Bolesław, trzymający słynny Szczerbiec, koronacyjny miecz królów.

Cóż to byłby za widok!

Ale w tę noc budzili się nie tylko królowie.

W Wigilię wstawali także śpiący rycerze spod Tatr, wyjeżdżali z gór na białych koniach i ruszali na poszukiwanie królów. Kiedy ich znaleźli, w sali rozbrzmiewało gromkie pukanie do drzwi. Potem kolejne i jeszcze raz. Zawsze trzy razy. Królowie milkli, a Bolesław otwierał rycerzom i ogłaszał: „Nie, jeszcze nie nadszedł czas”.

Dramatyzm tej sytuacji sprawił, że prezydent się uśmiechnął.

Kryła się w tym także ironia.

Mężczyźni gotowi, by służyć Polsce. By walczyć.

Ale nie. „Czas jeszcze nie nadszedł”.

Zanim królowie wrócili do radzenia nad losami kraju, słuchali cichnącego tętentu kopyt, gdy rycerze odjeżdżali do lodowych jaskiń. Kiedy tam wrócili, karmili konie, po czym znów zapadali w sen, z głową na siodle, gotowi się przebudzić i działać.

„Kiedy nadejdzie czas”.

Co za wspaniała opowieść.

Jego telefon zawibrował.

Esemes.

Od prywatnego sekretarza.

Wcześniej Czajkowski kazał swoim ochroniarzom z BOR-u wrócić do krakowskiego Sheratona i udawać, że prezydent jest w tamtejszym apartamencie. Zadzwoił również do sekretarza i powiedział mu, że ma zamiar odpoczywać przez kilka godzin i nie życzy sobie, by mu przeszkadzano.

Chyba że będzie to wyjątkowo ważna sprawa.

Przeczytał wiadomość:

„Stany Zjednoczone wydały oświadczenie: zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego Thomas Bunch zaginął gdzieś w Polsce. Przebywał tam w oficjalnej misji, objętej immunitetem dyplomatycznym. Władze amerykańskie zadzwoniły do Warszawy z żądaniem natychmiastowego działania i potwierdzenia miejsca pobytu pana Buncha. Ministerstwo Spraw Zagranicznych chce wiedzieć, jak ma brzmieć odpowiedź”.

A więc Fox wystrzelił pierwszą salwę, oświetlając pole walki. Ale oświadczenie pozostawiało Czajkowskiemu pewne pole manewru.

Odpisał więc sekretarzowi:

„Odpowiedz Amerykanom, że jesteśmy pełni współczucia i przeprowadzimy dochodzenie. Każ również ministrowi spraw zagranicznych zapytać o szczegóły tej »oficjalnej misji«, w którą był zaangażowany zastępca doradcy. Potrzebujemy ich, by sprawniej poprowadzić śledztwo”.

Uśmiechnął się.

To powinno spowolnić Foxa.

Wystarczająco, by wydarzenia, które miały niedługo nadejść...

...mogły rozegrać się do końca.

# ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Cottonem wstrząsnął nagły huk, który odbił się echem od solnych ścian, uderzając w jego bębunki.

Aż zaboląo.

Ten dźwięk go zaskoczył. Nie pasował do kopalni, miejsca, gdzie panowała wieczna cisza. Patrycja wrzasnęła, a Malone błyskawicznie spojrział ku wejściu – w ciemności majaczyła wielka postać, która wychylała się zza jednego z filarów. W tej ograniczonej przestrzeni stanowili świetny cel, a światła reflektorów na kaskach wskazywały strzelcowi, gdzie się znajdują. Sięgnął więc do zasobnika z bateriami przy pasku i wyłączył zasilanie. Stephanie zrobiła podobnie, ale Patrycja na to nie wpadła. Rzucił się w jej kierunku i ściągnął ją na podłogę, wyłączając także i jej latarkę.

Teraz ogarnęła ich ciemność.

Słyszał czyjeś poruszenia w zewnętrznej komorze, szuranie stóp po sypkiej soli. Sięgnął po przewróconą ławkę, chcąc wykorzystać ją jako prowizoryczną osłonę. Napastnicy również mieli wyłączone latarki, ale gdyby chcieli, mogli zasypać wnętrze kapliczki pociskami na ślepo, toteż jakakolwiek tarcza była lepsza niż żadna.

– Nie masz dokąd uciec, Malone – odezwał się głos z ciemności.

Iwan.

Trudno było powiedzieć, gdzie stał. Brak punktów odniesienia, echo i atramentowoczarna ciemność kompletnie dezorientowały zmysły.

– Przesuńcie się tutaj – wyszeptał Cotton do Stephanie i Patrycji. – Ale ostrożnie.

Wyciągnął dłoń w ciemność, pomagając kobietom schować się za ławkę.

– Znów się spotykamy, panie Malone – powiedział ktoś inny, starszy.

Reinhardt.

– Wiesz, co chcę – podjął znów Iwan. – Widziałem, co znalazłeś.

Cotton nie był jednak skłonny ustąpić tak od razu. Ciemność działała na ich korzyść i niekorzyść zarazem, ale gdyby chcieli uciec z kapliczki, a potem większej komory, mieliby do przebycia spory dystans. Gdyby zaś do tego napastnicy włączyli latarki, Stephanie, Patrycja i Malone ukazałoby się im niczym sarny na drodze w samochodowych światłach.

– Mogę zabić was wszystkich i iść po dokumenty – powiedział Iwan. – Malone, bądź rozsądny. Nie chcę cię strzelać.

Akurat, już mu wierzył. Iwan był gotów zrobić wszystko, żeby dostać to, czego chciał. Dowodziła tego choćby liczba trupów na słowackim zamku. Cotton i Stephanie byli zawodowcami i znali ryzyko, ale Patrycja to co innego. Malone musiał zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Dobra, Iwan. Masz swoje dokumenty.

Cotton rzucił pakunek w kierunku wejścia do kapliczki (a przynajmniej tak mu się wydawało).

Zapaliło się światło.

Oślonił oczy i zobaczył, jak schowana za reflektorem ciemna postać podnosi kopertę. W jednym ręku trzymała pistolet. Mignęła mu twarz

tamtego: Munoz, człowiek Reinhardta. Za nim poruszały się w ciemności inne kształty, trudne do rozróżnienia.

– Teraz idziemy, Malone – oznajmił Iwan. – Zostańcie na miejscu.

Najwyraźniej do tego miejsca prowadziła również inna droga przez poziom IX: przecież po drodze nikogo nie spotkali. Cotton zakładał, że Iwan i jego grupa wrócą stąd tak, jak przyszli.

Dlatego był zaskoczony, kiedy cztery światła najpierw pojawiły się w pewnej odległości, a potem zniknęły w korytarzu, którym przyprowadziła ich tu Patrycja.

– Dlaczego wracają tą drogą? – zapytał.

– Szybciej dostaną się do windy. Prawdopodobnie przyszli tu od strony szybu Regis, który jest kilometr dalej.

Siedzieli dalej w ciemności.

– Ruszam za nimi – oznajmił w końcu Malone. – Stephanie, Patrycja, wracajcie na górę inną drogą.

– Akurat! – powiedziała jego była szefowa.

– Właśnie! – dodała przewodniczka.

Mógł zrozumieć Stephanie, ale ze strony młodej Polki to była głupota.

– Patrycjjo, za chwilę zrobi się tu niezły bałagan.

– A ty beze mnie nie będziesz miał pojęcia, dokąd iść. Widziałam twarz jednego z tych facetów: to górnik, który pracuje jako przewodnik. Mają pomocnika, więc ty też mnie potrzebujesz.

Miała rację, a on podziwiał jej odwagę.

– Dobrze, chodźmy, ale włączamy tylko jedną latarkę. Moją.

To jego pierwszego wezmą na cel.

– Powinni być już dość daleko, żebyśmy mogli za nimi ruszyć. Nie znasz przypadkiem innej drogi powrotnej do tej windy, która nie wymagałaby od nas pójścia tym samym korytarzem co tamci?



– Przypadkiem znam.

\* \* \*

Eli szedł za Iwanem.

Na szczęście Rosjanin nie miał nic przeciwko tej kolejności. Otyły mężczyzna trzymał w jednej ręce pistolet, a w drugiej zapakowaną próżniowo kopertę. Munoz przekazał mu ją jeszcze w komorze.

Reinhardt zastanawiał się, czy nie zabić grubego agenta i nie spróbować szczęścia z tymi, którzy zapewne czekali na górze. Rosyjska Służba Wywiadu Zagranicznego była jednak równie bezlitosna, jak jej poprzedniczka KGB. Miała nieograniczone środki i niezliczone rzesze współpracowników. Nie dało się przed nimi ukryć. Nie wspominając już o Amerykanach, Francuzach, Irańczykach, Chińczykach i Koreańczykach z Północy, którzy również chcieliby zemsty za masakrę swoich przedstawicieli. W tej chwili jedyne rozsądne wyjście polegało na tym, żeby ustąpić Iwanowi, opuścić kopalnię i zniknąć ze swoimi pięcioma milionami euro. Poziom niżej wciąż znajdowała się Spizarnia, którą mógł sprzedać Polakom.

Gdyby to Eli miał wybierać, zabiłby Malone'a i pozostałych w tamtej kapliczce, ale Iwan wyraźnie zaznaczył, że nie ma zamiaru tego robić. Rosjanin nie chciał jeszcze bardziej rozwścieczać Amerykanów, tworząc kolejnego męczennika i zwiększając prawdopodobieństwo odwetu. Lepiej, żeby Malone i Stephanie Nelle musieli się tłumaczyć przed zwierzchnikami z porażki.

Szli dalej za Konradem ciemnym korytarzem, oświetlanym tylko przez latarki przy kaskach. Chłodny powiew przyjemnie muskał im twarze i przypominał o tym, że są coraz bliżej świeżego powietrza na powierzchni.

Jeszcze dwa zakręty i dotarli do windy.

Konrad zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami.

– To kiedy mi zapłacicie?

– Nie mój problem – odparł Iwan.

Przewodnik wskazał na Elia.

– Nie, to jego problem. Sto tysięcy euro... I nikt nie wspominał o pistoletach i strzelaniu. Tu nie wolno wnosić broni. Wszyscy moglibyśmy mieć kłopoty, gdyby ktoś usłyszał strzał.

– Najwyraźniej nikt go nie usłyszał – skomentował Reinhardt.

– Powiedziałeś, że zapłacisz mi, jak tylko doprowadzę cię do posągu. Zrobiłem to. Gdzie moje pieniądze?

Iwan uniósł broń i strzelił.

\* \* \*

Cotton usłyszał wystrzał.

Huk rozbrzmiał echem gdzieś w ciemności.

– Jak daleko do wind? – zapytał Patrycji.

– Są tuż przed nami.

\* \* \*

Eli pstryknął palcami i Munoz odciągnął ciało Konrada do jednej z odnóg, które przed chwilą mijali.

– Czy to było konieczne? – zapytał Iwana.

– Nie możemy sobie pozwolić na świadków.

Reinhardt potrzebował jednak Konrada, żeby wrócić do Spizarni. Teraz musiał wymyślić inny sposób.

Cholerni Rosjanie!

– A możesz sobie pozwolić, żeby zostawić przy życiu mnie?

Iwan się zaśmiał.

– Kazali mi, żebyś żył. Masz przyjaciół na Kremlu, którzy lubią interesy z tobą. Nie martwisz się! – Uniósł w jego kierunku pakiet. – Mamy, co chcemy.

To było pewne pocieszenie, chociaż nieznaczne, ponieważ Rosjanie kłamali.

Art Munoz wrócił do nich.

Eli zastanawiał się, ile czasu minie, zanim ktoś odkryje ciało. Kilka godzin? Nieprawdopodobne. Parę dni? Możliwe. W takim razie w porządku. Przemyślał to już gruntownie. Munoz dopilnował wszystkiego: właśnie podawał mu aktywujący windę identyfikator Konrada.

– Wjedziemy na poziom trzeci i wmieszamy się w tłum turystów kończących zwiedzanie. W ten sposób – machnął breloczkiem – użycie identyfikatora do powrotu zostanie zarejestrowane przez system. Potem zdejmujemy kombinezony i wyjdziemy z resztą turystów. Nikt się nie zorientuje.

Iwan uśmiechnął się, a potem ścisnął prawe ramię Elia.

– Dobry plan.

# ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Czajkowski wciąż siedział przy stole w sali konferencyjnej. Kilku ludzi weszło i wyszło, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Dzięki kombinezonowi brali go za jednego z tutejszych pracowników. Iwona wraz z dyrektorem kopalni monitorowała sytuację i ustalała dalsze postępowanie. Uważała, że będzie najlepiej, jeżeli prezydent zostanie tutaj, co dało mu czas, żeby porozmawiać z żoną.

To ciekawe – jego los spoczywał w rękach dwóch kobiet: żony, którą kiedyś kochał, i kobiety, którą kochał obecnie. Obie działały z tym samym zamysłem, miały ten sam cel.

Ocalić mu tyłek.

Niektórzy mężczyźni mogliby uważać, że to jak kastracja, ale nie on.

Przez całe życie usiłował postępować właściwie, lecz ustalenie, co to znaczy, okazywało się skomplikowane. Z komunistami należało postępować niezwykle ostrożnie, zarówno gdy się ich atakowało, jak i wtedy, gdy się przed nimi broniło. W tamtych czasach wrzucali to wszystko do szufladki z napisem „ruch oporu”. Łatwe do opisanego, trudne do zrozumienia, ponieważ działania te przybierały rozmaite formy. W końcu nauczył się rozróżniać pomiędzy oporem a rewolucją: rewolucja

patrzyła w przyszłość, podczas gdy opór śnił o przeszłości i odtworzeniu tego, co było kiedyś. Za realizację obu tych idei płaciło się jednak tym samym: wygnaniem, więzieniem, torturami i śmiercią. On i miliony innych opierali się komunistom, chcąc tylko tego, żeby wróciła wolna Polska.

To była wojna.

Właśnie tak opisywały ten stan komunistyczne władze, deklarując, że „nie ma odwrotu od socjalizmu”. Wsparły tę deklarację pięćdziesięciotysięcznymi siłami SB, rozmieszczonymi w całym kraju. Esbecy przerywali strajki, zmuszali ludzi do posłuszeństwa i grozili im przemocą oraz śmiercią. Po obu stronach ważną rolę odgrywali szpiecy.

To naprawdę była wojna.

I jak to na wojnie, zdarzały się ofiary.

Po obu stronach.

Siedział teraz, ponad trzy dekady później, w kokonie podziemnej sali i wydawało mu się, jakby to wszystko działo się wczoraj. To pewnie dlatego, że ostatnio często przywoływał wspomnienia z dalekiej przeszłości. Władze postępowały tak nierozsądnie, ba, tak głupio. Trzymały się metod stalinowskich. „Nieważne, kto głosuje, ważne, kto liczy głosy”.

W ostatecznym rozrachunku przyniosło im to klęskę.

Nie mógł powtórzyć tej pomyłki ani pozwolić na to innym.

Prawdę mówiąc, jako prezydent nie był niezastąpiony. W każdej chwili mógł paść ofiarą zamachu: ktoś postrzeliłby go śmiertelnie w tłumie, a policjanci kazaliby zmyć jego krew z chodnika i przywrócić ruch jeszcze przed zapadnięciem zmroku.

To smutne.

Ale niestety prawdziwe.

W Polsce nikt nie kontrolował niczego w stu procentach.

Wszystko było kwestią konsensusu.

Z ujawnienia protokołu warszawskiego nie wynikłoby nic dobrego. Jakakolwiek próba obrony zostałaby pogrążona przez wrzaski opozycji. W latach osiemdziesiątych nie było Internetu, mediów społecznościowych i Twittera, toteż przepływ informacji dało się zablokować. Obecnie nie sposób uciszyć głosów sprzeciwu. Większość polskich partii politycznych, które nie mogły się zgodzić co do najprostszych kwestii, zjednoczyłaby się pod wspólnym hasłem: „Usunąć Czajkowskiego z urzędu!”.

I to by im się udało.

Cała koalicja rządząca bazowała na tym, że przeciwnicy byli rozproszeni, ponieważ jedność w Polsce niestety osiągało się najłatwiej, znajdując wspólnego wroga.

Tym razem istniała spora szansa, że to on nim zostanie.

Pokręcił głową.

Co za dylemat.

Co gorsza, pośpiesznie planowane operacje niemal zawsze rodziły problemy. Prezydent miał złe przeczucie, że jakiś szczegół, który teraz mógł wydawać mu się nieistotny, okaże się później śmiertelnie ważny. Coś wymknie się spod kontroli. Zdawał sobie jednak sprawę, że odpowiedzialności zawsze towarzyszą wątpliwości, więc odetchnął kilka razy głęboko i przygotował się wewnątrz na nadchodzące wydarzenia.

Iwona pojawiła się w drzwiach i podeszła do niego.

– Jedzie winda z poziomu dziewiątego.

Wstał.

– Nie chcę tu czekać. Nie każ mi tego robić.

– Nie planowałam tego.

– Domyślasz się, kto jest w środku?

Pokręciła głową.

– Miejmy nadzieję, że kimkolwiek są, mają to, po co tu przyszli.

– A jeżeli nie?

– To zjedziemy tam i to znajdziemy.

Kochał jej determinację. Nigdy nie okazywała pesymizmu.

– Chyba się rozwiodę.

Uśmiechnęła się.

– Teraz przemawia przez ciebie niepokój.

– Nie, mówi to mężczyzna, który cię kocha. Dlaczego ja też nie mogę być szczęśliwy?

– Ponieważ jesteś prezydentem Polski. Ten kraj nie zniesie przywódcy, który rozwiódł się podczas swojej kadencji. Wiesz o tym doskonale.

– Jestem zmęczony życiem w kłamstwie.

– Zdaje się, że żyjesz tak od dłuższego czasu.

Nie wiedziała nic o protokole, mogła co najwyżej usłyszeć jakieś strzępki wiadomości tu czy tam. Musiał jej powiedzieć, ale nie w tej chwili. Zamiast tego rzucił więc tylko:

– Jest trochę inaczej, niż się wydaje...

– Zawsze tak jest.

– Porozmawiamy, kiedy to się skończy.

– Janusz, nie obchodzi mnie to. Jestem pewna, że cokolwiek to było, zrobiłeś to z konieczności. Miałam dziesięć lat, kiedy rozpadł się Związek Radziecki. Czasy były ciężkie. Ludzie robili, co musieli, żeby przeżyć. Ty, ja, nikt nie może ich sądzić według obecnych norm. – Umilkła na chwilę. – Kimże jestem, żeby kogokolwiek osądzać? Zastrzeliłam dzisiaj z zimną krwią człowieka. Nie po raz pierwszy. Dlatego ni cholery nie obchodzi mnie, co zrobiłeś.

Uśmiechnął się.

Była również bardzo praktyczną kobietą.

– Chodź ze mną – poleciła. – Znalazłam miejsce, z którego możemy obserwować windę.

Wyszedł za nią z sali.



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Cotton stanął przed zakrętem korytarza. Za rogiem widać było nikłą poświatę od lamp, sygnalizującą, że znajduje się tam odcinek korytarza prowadzący do wyjścia. Pamiętał, że kiedy pojawili się w kopalni, ten fragment był dobrze oświetlony. Teraz usłyszał tylko stłumione wycie wznoszącej się windy. Zaryzykował szybkie zerknięcie za róg i zobaczył leżące na podłodze trzy kombinezony wraz z trzema kaskami.

– Pojechali – powiedział.

Stephanie i Patrycja wyłoniły się z ciemności.

Z jazdy w dół pamiętał, że tą windą można się dostać tylko na poziom III. Wcześniej przesiedli się na nią z innej, która wywoziła ludzi na powierzchnię. Wskazał na ubrania.

– Chcą się wmieszać w tłum na trasie turystycznej i wyjść z kopalni razem z odwiedzającymi.

Pozostawała jeszcze kwestia strzału.

Wyszedł z za rogu i zatrzymał się przy stosie ubrań i kasków. Przyjrzał się podłodze i zauważył na cienkiej powłoce soli ślady prowadzące do tunelu po prawej. Podążył za nimi w ciemność i jakieś sześć metrów za odgałęzieniem znalazł zwłoki mężczyzny w kombinezonie takiego samego

koloru jak strój Patrycji. Z pewnością był to inny przewodnik, którego współpracę zapewniono sobie siłą albo przekupstwem – a potem zastrzelono. Iwan nie zostawiał świadków.

Wrócił do windy.

– Jest tam ciało – powiedział. – Na kombinezonie ma naszywkę z nazwiskiem „Konrad”.

Patrycję to zaszokowało.

– Dawid Konrad! Znam go... – Urwała, po czym się poprawiła: – Znałam go.

Do tej pory ta ładna dziewczyna zachowywała się w pełni profesjonalnie, nie zadając zbyt wielu pytań. Nawet gdy w kaplicy padł strzał, wpadła w panikę tylko na chwilę, a potem szybko się opanowała. Teraz jednak chodziło o morderstwo... To mogło być dla niej za dużo. Malone wolał, żeby myślała trzeźwo.

– Wezwij windę z powrotem – polecił.

Podeszła do panelu kontrolnego i użyła identyfikatora, żeby aktywować przycisk „Do góry”. Zaświecił się, potwierdzając wezwanie.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała Stephanie.

– Dorwać ich.

– A nie powinniśmy wezwać na dół posiłków? Kopalnia na pewno ma ochronę.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie możemy ryzykować utraty tych dokumentów. Jesteśmy za to odpowiedzialni.

Zgodziła się z nim.

Winda wróciła na dół.

Cotton rozpiął kombinezon.

– My też musimy wtopić się w tłum.

\* \* \*

Czajkowski stał na solidnych drewnianych stopniach prowadzących z poziomu III na II. Dyrekcja kopalni zamknęła tę drogę i przeznaczyła ją do własnego użytku. Z pierwszego podestu mógł swobodnie obserwować windy na niższe i wyższe poziomy, samemu pozostając w ukryciu. Cała komora była wysoka, przestronna i dobrze oświetlona, o wypolerowanej solnej posadzce i dwóch imponujących kasztach z białych pni pod ścianami. Za linami uformowały się hałaśliwe kolejki stłoczonych ludzi, którzy skończyli już zwiedzać i chcieli wydostać się na powierzchnię. Iwona stała za prezydentem. Czekali, aż otworzą się drzwi windy z niższego poziomu. Wybrali kryjówkę tak, że nie widział ich nikt z oczekującego tłumu.

– Minie trochę czasu, zanim ci wszyscy ludzie stąd wyjadą – ocenił.

– Im mniej uwagi przyciągniemy, tym lepiej.

Miała przy sobie krótkofalówkę, za pomocą której łączyła się z pomocniczym centrum ochrony na poziomie I. Janusz już wcześniej zauważył kamery, zawieszane wysoko na ścianach i wycelowane w windy.

– Monitorują to miejsce? – zapytał.

Skinęła głową.

– Tak, to dla nas duży plus. Żaden z nich się nie ukryje.

– Chcę, żeby wyłączono te kamery.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie możemy pozwolić, żeby to nagrano. Na pewno to rozumiesz.

Faktycznie, zrozumiała.

Przez radio kazała dyrektorowi wyłączyć wszystkie kamery, na osobisty rozkaz prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Drzwi windy się otworzyły i wyszło z niej trzech mężczyzn.

– Ten starszy to Reinhardt – powiedziała. – Młodszy to jego pomocnik, Munoz, a ten gruby to Iwan. Rosjanin.

– Zakładam, że interesuje nas plastikowy pakiet, który trzyma? – zapytał.

– To musi być to. Zabezpieczony próżniowo.

Obserwowali, jak trójka mężczyzn swobodnie skręca w prawo, z dala od schodów, przekracza linę i wtapia się w tłum oczekujący na windy, które zabierały ludzi na powierzchnię.

– Odważne posunięcie – skomentował prezydent.

– Nie mają pojęcia, że ich widzimy.

– Pozwolimy, żeby wjechali na górę? Czy załatwimy wszystko tutaj?

Nie odpowiedziała od razu, zapewne rozważając w myślach ryzyko.

– Iwan to zabójca – odpowiedziała w końcu. – Zrobi wszystko, żeby się stąd wydostać. Lepiej go nie drażnić. Niech wyjedzie na górę. Możemy tam czekać, kiedy przyjedzie winda.

To brzmiało rozsądnie.

– Pooglądamy sobie ich jeszcze trochę – powiedziała. – Żeby się upewnić, że tu pozostaną.

Złapał jej dłoń i mocno ścisnął, a ona z uśmiechem odwzajemniła ten gest. Po raz pierwszy uwierzył, że uda im się opanować sytuację.

Tymczasem drzwi windy z niższych poziomów znów się otwały.

Wyszli z nich Cotton Malone, Stephanie Nelle i jeszcze jedna, młodsza kobieta w kombinezonie przewodniczki. Malone objął wzrokiem tłum za liną.

Iwan błyskawicznie wyjął pistolet.

Padł strzał.

# ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Eli dostrzegł Malone'a w tej samej chwili co Iwan. W tej sytuacji strzał w sufit był świetnym pomysłem.

A na pewno wywarł pożądany efekt.

Turyści rozpiezchli się we wszystkich kierunkach, nie przejmując się linami oddzielającymi ich od wind. Jak spłoszone stado bydła natarli ławą na Malone'a, pozwalając Reinhardtowi, Munozowi i Iwanowi dołączyć do tłumu uciekającego w przeciwnym kierunku.

Trzech mężczyzn biegło teraz szerokim, dobrze oświetlonym korytarzem, raz po soli, raz po drewnianych chodnikach. Te okolice wyglądały zupełnie inaczej niż tunele wiele poziomów niżej: ściany były tu gładko wypolerowane, a podłogi jeszcze gładsze, wszystko zaś oświetlały liczne lampy. Trasa prowadziła do niedużej komory z wystawą używanych dawno temu w górnictwie drewnianych skrzyń, wózków na żelaznych kołach i wiader. Turyści śpiesznie opuszczali ją drugim wyjściem, które prowadziło do następnego korytarza.

Iwan jednak się zatrzymał.

Po czym schował się z pistoletem w ręku za jednym z wagoników.

– Tutaj rozprawimy się z Malone’em.

Wskazał miejsce Munozowi, który klęknął za innym wózkiem, również z bronią w pogotowiu. Eli rozglądał się za jakąś osłoną, kiedy Iwan odezwał się do niego:

– Zostań tam.

Na środku przejścia?

To oznaczało, że będzie przynętą w pułapce.

\* \* \*

Cotton ruszył za uciekającym Iwanem i jego dwoma kompanami. Wszyscy turyści już się rozproszyli, toteż wyłożony drewnianymi stemplami korytarz świecił pustką. Malone trzymał pistolet w dłoni. Stephanie i Patrycja czekały w pobliżu wind. Trasa przez kilkanaście metrów biegła prosto, a potem kończyła się otwartym przejściem, za którym panowała ciemność.

Podszedł do niego i zdecydował, podobnie jak w Brugii, że bieg na ślepo byłby głupotą. Zamiast tego przytulił się do solnej ściany po lewej stronie portalu i zaryzykował zerknięcie do środka.

Reinhardt stał na środku słabo oświetlonej komory.

Nigdzie jednak nie było śladu Iwana ani Munoz.

\* \* \*

Czajkowski obserwował panikę, która wybuchła po strzale w sufit. Iwona natychmiast połączyła się przez radio z dyrektorem i kazała mu zatrzymać wszystkie windy jadące do góry. Zapanowało zbyt wielkie zamieszanie, żeby ryzykować ucieczkę ich zwierzyny. W ten sposób Iwan, Eli i Munoz zostali pod ziemią wraz ze wszystkimi innymi.

Malone ruszył w pogoń.

Iwona nie nalegała, by iść za nim.

Prezydent rozumiał dlaczego.

Do tej pory nikt nie odkrył ich obecności i najlepiej, żeby tak pozostało, ale Czajkowski nie chciał, żeby ktokolwiek ucierpiał. Już dość krwi przelano do tej pory.

Szybko weszli schodami na poziom II i kierowani przez dyrektora, przedostali się tam, gdzie korytarze zaczynały powoli opadać z powrotem w kierunku poziomu III, prawdopodobnie po przeciwnej stronie miejsca, w którym zniknął Iwan.

Przy odrobinie szczęścia zwierzyna wyjdzie prosto na nich.

\* \* \*

Eli zamarł.

Zobaczył zbliżający się jasno oświetlonym korytarzem cień, który raptownie się zatrzymał. Następnie zza wejścia wysunęła się głowa i Malone zajrzał do środka. Munoz i Iwan czekali w gotowości, z bronią w ręku.

Cotton najwyraźniej zachowywał ostrożność.

Reinhardt złowił spojrzenie Munozą i pokazał mu gestem, żeby zmienił pozycję na bliższą wejścia, po tej samej stronie.

– Tu jestem, Malone! – zawołał Eli. – Może porozmawiamy?

\* \* \*

Cotton wyniuchał zasadzkę, ale nie chciał budzić podejrzeń Reinhardta.

– Dobrze, pogadajmy. Podejdź!

Zaczekał chwilę.

Eli wyłonił się z ciemności.

Malone został po swojej stronie wejścia, tak żeby ktoś celujący z drugiej strony nie miał czystego strzału. Jeżeli chcieli go dorwać, musieli po niego przyjść.

– Twój widok tutaj trochę mnie zaskoczył – zagaił Reinhardt. – Skąd wiedziałeś?

– Łut szczęścia.

Eli się uśmiechnął.

– Ale z ciebie dowcipniś. A sytuacja jest dość poważna. Naprawdę sądzisz, że to czas na żarty?

Cotton wzruszył ramionami.

– Poważna tylko dla ciebie, ja jestem po stronie prawych i potężnych.

– Daj spokój, Malone. Nie możemy pogadać rozsądnie?

– Gdzie jest Iwan?

– Robi to, co Rosjanom wychodzi najlepiej – odparł Reinhardt i uśmiechnął się przebiegle.

Po czym błyskawicznie padł na posadzkę.

Z wnętrza komory rozległy się strzały.

Pociski minęły Cottona o włos, uderzając w sól oraz belki korytarza i rykoszetując. Miał nadzieję, że Stephanie i Patrycja pozostały za osłoną. Sam przywarł do ściany korytarza tuż za przejściem.

Reinhardt wczołgał się z powrotem do komory.

Malone usłyszał poruszenie w panującej w komorze ciemności. Zaryzykował szybkie zerknięcie i stwierdził, że jest pusta.

– Stephanie! – zawołał.

– Tu jesteśmy.

– Idę za nimi.

– Windy stanęły – poinformowała go przewodniczka. – Wyłączono je z góry.

Co oznaczało, że zadziałał tu jeszcze ktoś inny.

Stephanie i Patrycja podbiegły do niego.

– Dokąd dojdę tą trasą? – zapytał.



– Biegnie wokół głównych atrakcji i koło jezior – odparła przewodniczka. – A potem do schodów.

– Ruszajcie na górę, dowolną drogą. Zatrzymajcie skurwieli tu na dole. Nie dajcie im wyjść.

Stephanie kiwnęła głową, po czym wycofała się wraz z Patrycją ku windom.

Cotton poszedł w przeciwnym kierunku.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Czajkowski stał w komorze wypełnionej podświetlanymi gablotami, w których prezentowano kryształy soli we wszystkich kolorach, kształtach i rozmiarach. Ukrył się tu, kiedy Iwona usiłowała zorientować się w nowej, nieoczekiwanej sytuacji. Chciał przejąć dowodzenie, jak zwykle – był przecież prezydentem – ale zdał sobie sprawę, że musi pozostać w kryjówce. Pragnął powstrzymać zagrożenie, lecz nie mógł się wystawić na niebezpieczeństwo. Wystarczyło, że o jego obecności wiedział dyrektor kopalni i że Czajkowski nadużył stanowiska, nakazując wyłączenie kamer. Im mniej ludzi orientowało się w sytuacji, tym lepiej.

– Niżej znów słychać strzały – powiedziała Iwona, wpadając do komory. – Zwiedzający się rozproszyli, a obsługa próbuje przeprowadzić ich wszystkich na poziomy pierwszy i drugi. Dyrektor kopalni mówi, że nie może już dłużej trzymać tej sytuacji w sekrecie. To kwestia bezpieczeństwa, a ochroniarze na niego naciskają.

Dotarło do niego, co chce mu przekazać. „To się musi skończyć. I to już”.

– Musimy tam zejść – powiedział.

– Janusz...

Uwielbiał, kiedy wypowiadała jego imię. Rzadko się to zdarzało.

– Nie mogę pozwolić, żeby cokolwiek ci się stało – wyjaśniła. – Nie stawiaj mnie w takiej sytuacji. Muszę tam zejść sama. Zaczekasz tu na mnie?

– Jestem prezydentem tego kraju i twoim szefem. To nie podlega dyskusji.

Rzuciła mu ironiczne spojrzenie.

– Naprawdę? Nadużyjesz władzy i pójdziesz tam ze mną?

– Tak.

– Co za niespodzianka.

Pokręciła głową, a potem rozpięła jedną z kieszeni kombinezonu i wyjęła półautomatyczny pistolet.

Wręczyła mu go.

– Zakładam, że wiesz, jak tego użyć.

– Oczywiście.

\* \* \*

Eli podążał za Iwanem i Munozem.

Otworzyli ogień, próbując trafić Malone'a, ale im się nie udało. Pociski pozwoliły im jednak uciec bez szwanku. Teraz szli długim korytarzem, który prowadził do kolejnej niskiej komory z wystawą zabytkowego sprzętu górniczego. Maszerowali naprzód, nie wiedząc za bardzo, dokąd idą, pewni tylko jednego: muszą wydostać się na powierzchnię. Ale jak? Malone zachodził ich z flanki i żaden z nich nie wiedział, co ich czeka.

Iwan dreptał ciężko, ale żwawo jak na grubasa, z pistoletem w jednej ręce i plastikowym pakunkiem w drugiej. Dobrze, że Jonty pomyślał i prawidłowo zapakował dokumenty. Malone musiał poruszać się powoli i ostrożnie – również nie miał pojęcia, co go czeka.

Weszli w dłuższy, prosty korytarz o długości około dwudziestu metrów, biegnący nieco pod górę. Po prawej wyrastała wysoka solna ściana, po lewej drewniana barierka oddzielała ich od niewielkiego jeziora.

Tak głęboko pod ziemią? Dziwny widok.

Czysta woda stała nieruchomo, niczym szkło, podświetlona od spodu reflektorami, które rzucały upiorny, szmaragdowy blask. To oczywiście, że cała wilgoć przesączająca się na dół musiała się gdzieś podziać. Podziemny zbiornik wyglądał na rozsądne rozwiązanie tego problemu.

Iwan się zatrzymał.

– Nie możemy biec dalej.

– Co sugerujesz?

Gruby mężczyzna wskazał na wodę i krótkie schody wiodące do miniaturowej przystani, przy której przywiązano dwie łódki. Eli obejrzał jezioro i dostrzegł, że woda wypływa z niego przez kilka czarnych gardzieli – być może w ten sposób dało się stąd umknąć.

– Myślisz, że w ten sposób uciekniemy Malone'owi? – zapytał.

Iwan kiwnął głową.

– Nie my. Ja. Musimy rozdzielić się. Niech ma wybór. Ja do łódki. Wy oba dalej naprzód.

– I co niby mamy zrobić?

– Znaleźć wyjście. Uciec. Zniknąć. Wydać pieniądze. Nasz interes skończony.

To była mądra strategia, zwłaszcza z punktu widzenia Reinhardta. Malone chciał dostać dokumenty, ale nie wiedział, kto je ma. A gdyby miał zgadywać? No przecież nie broker, raczej Rosjanin. Ten, który wystrzelił.

A do tego Eli nikogo nie zabił.

Tamten pocisk pochodził z broni Iwana. Pistolet Reinhardta tkwił wciąż za paskiem, pod kombinezonem.

– *Daswidan'ja* – powiedział Iwan, machając na pożegnanie pistoletem.  
„Tobie też do widzenia”.

Gruby agent przekroczył niską bramkę zamontowaną w balustradzie, zszedł po schodkach, a potem wszedł do jednej z łódek. Na jej rufie wisiał elektryczny silnik, który Rosjanin uruchomił i popłynął ku tunelom.

– Co robimy? – spytał Munoz.

– To, co powiedział. Wynosimy się stąd.

Ruszyli dalej korytarzem.

\* \* \*

Cotton przedostał się przez komorę aż do jej przeciwnego końca, ostrożnie przeskakując nad starym sprzętem górniczym. Sprzed wyjścia zobaczył Reinhardta i Munozę: byli kilkanaście metrów przed nim i biegli korytarzem, aż zniknęli w ciemności, przechodząc do kolejnej komory. Odwrócił się ku oświetlonej wodzie jeziora i zobaczył, jak Iwan powoli odpływa w małej łódce prosto w czarny tunel.

A więc się rozdzielili.

Mógł się założyć, że to Rosjanin ma przy sobie dokumenty, których wszyscy szukają.

Dostrzegł zamkniętą na kłódkę bramkę, za nią schodki i unoszącą się na nieruchomej wodzie drugą łódź. Przeskoczył nad barierką, zbiegł po schodach i wskoczył do łódki.

Za Iwanem!

\* \* \*

Czajkowski potrafił posługiwać się pistoletem, ale od dawna nie miał żadnego w dłoni. Solidarność odzęgnywała się od przemocy, broń była w niej zakazana, podobnie jak alkohol. Surowo zabraniano oficjalnych wystąpień w stanie wskazującym na spożycie. Podczas demonstracji nie można było mieć noży ani broni palnej. Nie żeby takie incydenty się nie

przytrafiąły, ale nie zdarzyło się, by ktokolwiek z władz związku zgodził się na ich obecność.

Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie.

Dla Solidarności ważny był wizerunek związku. To, co mówili i robili jej członkowie, było oczywiście istotne, ale jeszcze większą wagę miało to, jakie sprawiali wrażenie. Próbowali przekonać świat do swojej sprawy, a nie istniał lepszy sposób niż protesty bez użycia przemocy. Nie zawsze się to udawało, ale najczęściej tak. Solidarność była wówczas (i teraz) postrzegana jako „dobra”, a władze – jako „złe”.

Jak wyglądałby wizerunek związku po ujawnieniu protokołu warszawskiego?

Trudno powiedzieć.

Na pewno nie lepiej.

Milcząc, zszedł za Iwoną po mocnych i stabilnych drewnianych stopniach. Zmierzali na poziom III. Dyrektor kopalni starał się ewakuować na powierzchnię wszystkich ludzi z poziomów I i II. Kiedy Czajkowski ostatnio widział Malone'a, ten ruszał w pościg za Reinhardtem i jego współnikiem Munozem, którzy wraz z Iwanem na pewno przebywali jeszcze na poziomie III. Dyrektor wyposażył Iwonę w mapę, ale być może nie musiała jej używać. Kiedy skręcili na jednym z podestów, by zbiec z ostatniego ciągu schodów, dostrzegli Elia Reinhardta około trzydziestu metrów przed sobą. Właśnie opuszczał jasno oświetloną komorę, gdzie kończyły się schody, i wchodził do kolejnego ciemnego korytarza.

Ruszyli w tym samym kierunku.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Cotton sterował łódką po jeziorze, zmierzając ku tunelowi, w którym zniknął Iwan. Pozostawił za sobą jasną, podświetloną powierzchnię i wpłynął na czarny przestwór. Gdyby kilkanaście metrów dalej nie znajdowało się kolejne jezioro zalane blaskiem reflektorów, widoczność spadłaby do zera. Skały były zbyt blisko i Malone czuł się nieswojo, tym bardziej że sufit miał kilkanaście centymetrów nad głową. Mały elektryczny silniczek nie był w stanie rozpędzić łódki do sensownej prędkości, więc Cotton włókł się naprzód w ślimaczym tempie.

Przepłynął na kolejne jezioro, mniejsze niż pierwsze. Solne ściany u brzegów wznosiły się na kilkanaście metrów. Z jednej strony obramowywały je drewniane barierki, które oddzielały je od innego chodnika, prowadzącego wzdłuż wody. Na jego przeciwnym krańcu otwierał się tylko jeden tunel, więc Malone popłynął dalej, w kolejną czarną czeluść. Tu było ciasniej, sufit znajdował się o kilka centymetrów nad głową siedzącego w łódce człowieka. Kierował łodzią z jedną dłonią na silniku, w drugiej zaś trzymał pistolet. Jak na faceta, który nienawidził zamkniętych przestrzeni, ostatnio znajdował się w takich miejscach dużo

częściej, niżby chciał. Te tunele były jednak znośne, ponieważ działała tu wentylacja, a na drugim końcu Cotton widział światła.

Dostrzegł również cienie na wodzie.

Jakieś poruszenie.

Wyłączył silnik i pozwolił, by łódka sunęła ku wylotowi tunelu tylko siłą rozpędu. Nie miał pojęcia, co czeka na niego na drugim końcu, więc położył się płasko na plecach i ukrył się na dnie. Jedną ręką wciąż kierował, w drugiej miał pistolet. Łódź wypłynęła na następne podświetlone jezioro, otoczone z trzech stron stromymi ścianami, z taką samą drewnianą barierką.

Dostrzegł drugą łódź w tej samej chwili, gdy Iwan strzelił w jego kierunku.

Pocisk przemknął mu nad głową.

Cotton był dość daleko i dość nisko, że tamten zyskałby dobrą pozycję do strzału, tylko gdyby wstał. Gruby Rosjanin natychmiast to zrozumiał.

Malone włączył silnik i posłał swoją łódkę prosto ku jednostce Iwana, który balansował niepewnie na kołyszącej się podstawie. Uderzył dziobem w burtę łodzi Rosjanina, tak że tamten stracił równowagę. Jego łódka zakołysała się mocno, lecz się nie wywróciła. Iwan wypuścił jednak broń, która upadła na dno i wystrzeliła. Łódź Cottona dowiodła słuszności trzeciej zasady dynamiki Newtona, głoszącej, że każdej akcji odpowiada reakcja równa co do wartości i kierunku, lecz o przeciwnym zwrocie, i odbiła się z powrotem, sunąc po nieruchomej powierzchni jeziora.

Cotton podniósł się i z powrotem usiadł na ławeczce.

Iwan starał się odzyskać kontrolę nad własnym ciałem i łódką.

Malone zaczekał chwilę.

A potem wycelował.

\* \* \*



Eli przechodził z jednej komory do drugiej. Wszystkie pełne były eksponatów z czasów, kiedy na tych poziomach wydobywano jeszcze sól. Nie spotkał innych zwiedzających, co wydawało mu się dziwne.

Gdzie oni wszyscy się podzieli?

Wszedł do kolejnego pomieszczenia na skrzyżowaniu szlaków, pełnego pobielonych stempli, które podtrzymywały wysokie ściany. Pod jedną z nich widać było schody prowadzące na wyższy poziom, a tuż za klatką schodową dalsze przejście zamykały metalowe drzwi, co wyjaśniało, gdzie są wszyscy turyści.

Na górze.

Powinien iść za nimi i zniknąć w tłumie, ale coś mu mówiło, że na wyższych poziomach może być niebezpiecznie. Mogli tam czekać ochroniarze. Za późno, żeby skorzystać z tej drogi ucieczki. Lata handlu informacjami nauczyły go mnóstwa przydatnych rzeczy o ludziach. Dzięki temu zdołał przekonać Jonty'ego, by ten dopuścił go do interesu. Zasady były proste: dowiedzieć się, czego chce druga osoba, uzyskać nad tym kontrolę, a potem zacząć się targować. Postępując w ten sposób, zyskał fortunę. Znalazł się tutaj tylko dlatego, że miał nadzieję osiągnąć cel po raz kolejny. Nie podejrzewał jednak, że Amerykanie lub Rosjanie również się domyślą, gdzie Olivier schował dokumenty. Gdyby tylko przypuszczał, że mogą mieć jakiegokolwiek pojęcie na ten temat, nie zbliżyłby się do tej kopalni choćby na krok. Nic nie było warte takiego ryzyka.

Ominęli z Munozem schody i poszli do metalowych drzwi, zamkniętych, ale nie na klucz. To miało sens. Tras nigdy nie zamykano, nie odcinano do nich dostępu i nie ograniczano poruszania się ludzi.

Chyba żeby wybuchł pożar.

Ale nie w tym przypadku.

Usłyszał coś, co zabrzmiało jak odgłos strzału.

Zza tych drzwi.

Iwan?

Otworzył jedno skrzydło.

Wślizgnęli się w ciemność po drugiej stronie.

\* \* \*

Czajkowski i Iwona deptali po piętach Reinhardtowi i Munozowi. Ich zwierzyzna nie miała pojęcia, że jest śledzona.

Weszli do komory, z której szeroki szyb biegł pod górę, na następne poziomy, wypełnionej podtrzymującymi ściany i sufit kasztami z grubych pni pobielonych wapnem. Pomiędzy sągami drewna wznosiła się klatka schodowa.

– Czy przeszli na wyższy poziom? – zapytał bezgłośnie.

Wzruszyła ramionami i kazała mu poczekać.

Patrzył, jak biegnie bezszelestnie na górę, przeskakując po dwa stopnie. Na podeście, gdzie schody zakręcały pod kątem prostym, zatrzymała się i nasłuchiwała przez chwilę, patrząc czujnie w górę szybu, tam, gdzie prowadziły schody.

A potem przemknęła znów na dół.

– Na górze nikogo nie ma – szepnęła.

Gestem pokazała, żeby szedł za nią, po czym ruszyli ku metalowym drzwiom.

\* \* \*

Cotton patrzył, jak Iwan łapie równowagę i z powrotem siada. Pistolet tamtego wypalił, ale kula nikogo nie trafiła. Zakładał, że pakiet znajduje się w łódce Rosjanina.

– Nie wydostaniesz się stąd – powiedział.

Iwan znów uniósł pistolet.

Malone pokazał mu w odpowiedzi swoją broń. Rosjanin się zaśmiał.

- Żaden z nas nie ucieknie. Prawie mnie miałeś. Nie umiem pływania.
- To bez znaczenia. Tutaj nic nie tonie, jezioro jest pełne solanki.

Mógłbyś chodzić po powierzchni.

- Wielkie pocieszenie. Ale ciągle nie lubię wody.
- A mimo to jesteś tutaj, na jeziorze?

Iwan wzruszył ramionami.

– Robię, co muszę.

– Chcę ten pakiet.

– Malone, bądźmy rozsądni. Twój prezydent nierozsądny. Ty nie on.

Użyjemy tych papierów, żeby zrobić to samo, co chce Polska. Żadnych rakiet. Gdzie tu krzywda?

– Zabiłeś sporo ludzi, żeby położyć łapy na tym pakiecie.

– Robota, Malone. Wszyscy robimy swoją.

– Ale ja nie popełniam przy tym masowo morderstw.

– Czujesz się przykro za tych ludzi? Oni nie twoi przyjaciele. Ani Ameryki, ani Rosji.

Cotton zastanawiał się, czy Rosjanin specjalnie zwleka, czy też nie jest pewny, co dalej robić. Miał z nim przedtem do czynienia tylko raz, ale nie znał żadnego oficera rosyjskiego wywiadu, który byłby głupi albo tchórzliwy. Jeśli ktoś miał tyle lat i kilogramów, co Iwan, z pewnością rozpoczął karierę w KGB, a po upadku Związku Radzieckiego przeszedł do SWZ. Facet w najlepszym razie postępował niemoralnie, ale bardziej prawdopodobne, że moralność w ogóle była mu obca, co tylko zwiększało zagrożenie.

A stawka była spora.

Iwan powiedział mu już w Brugii, że Moskwa nie ma ochoty wydawać miliardów rubli na rozmieszczanie własnych pocisków tylko po to, by skontrolować posunięcie Amerykanów. Na pewno nie, skoro rosyjscy agenci

mogli rozwiązać ten problem szybko i po cichu, zyskując materiały, które dało się wykorzystać do starego, dobrego szantażu.

Teraz to wszystko się posypało.

\* \* \*

Eli usłyszał dobiegający z tyłu hałas.

Ciche skrzypienie otwieranych metalowych drzwi.

Stał w komorze, gdzie umieszczono wystawę solnych rzeźb. Podświetlające je reflektory rzucały upiorny blask.

Czy to jakiś przerażony turysta?

– Musimy się dowiedzieć, kto idzie – szepnął do Munoza.

Wówczas usłyszał głosy.

Z przeciwnej strony.

Przed nimi.

Czyżby i tam czały się kłopoty?

– Zobacz, kto to – wyszeptał do Munoza, wyciągając broń spod kombinezonu. – A ja sprawdzę, co dzieje się za nami.

Tamten ruszył naprzód.

Eli zaczął się wśród cieni, z pistoletem w dłoni.

I czekał.

# ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Czajkowski poczuł falę ekscytacji, ale nie strachu. Nie po raz pierwszy znalazł się w niebezpieczeństwie. Przez całe lata osiemdziesiąte balansował na cienkiej linii – władze mogły go dorwać w każdej chwili. Osoby o słabych nerwach nie potrafiły prowadzić gry na dwa fronty, nauczył się więc radzić sobie ze skrajną presją. Tutaj, w kopalni, stawką było ni mniej, ni więcej, tylko całe jego życie.

Był cholernie dobrym prezydentem Polski i w ciągu następnych pięciu lat chciał skończyć to, co zaczął. To i tak byłaby jego ostatnia kadencja. Po niej przeszedłby na emeryturę, zasilając szeregi nieważnych polityków, którzy wygłaszają pozbawione znaczenia mowy i nie osiągają żadnych sukcesów. Zanim do tego dojdzie, chciał jednak pozostawić ojczyźnie coś po sobie, zmienić w niej sytuację na lepsze: zbliżyć Polskę do Zachodu i sprawić, by miała się na baczności przed Wschodem.

Na szczęście system władzy w Polsce zdążył dojrzeć. Peryferyjne grupy, takie jak Polska Partia Przyjaciół Piwa, nie odnosiły już większych sukcesów. Czas szyderstw dawno już minął. Na szczęście gospodarka

wydawała się silna. Czajkowski miał fart, bo został wybrany w okresie wzrostu gospodarczego, a ludzie byli o wiele bardziej pobłażliwi, kiedy w portfelach zostawało im więcej pieniędzy. Skorzystał więc z dobrej koniunktury i wprowadził nowe, szczodre dodatki rodzinne, które pomogły uboższym obywatelom. Takie pomysły były do tej pory obce polskim politykom, mimo to koncepcja została zaakceptowana. Prezydent ciężko pracował na pozycję Polski jako regionalnego lidera rozwoju politycznego, społecznego i ekonomicznego, ważnego członka Unii Europejskiej i NATO. Wielu innych polityków skłaniało się jednak ku postawom nacjonalistycznym i chciało wrócić do izolacjonizmu, szermując hasłem „Polska dla Polaków!”. Czajkowski po części się z tym zgadzał – na przykład w kwestii powstrzymania Amerykanów przed rozmieszczeniem na polskiej ziemi wycelowanych ponoć w Iran pocisków, które łatwo można by skierować przeciwko Rosji. Rakiet, które narażały wszystkich obywateli.

Szaleństwo.

To tak, jakby ktoś próbował drażnić niedźwiedzia.

Czajkowski i Iwona przeszli przez metalowe drzwi do następnej dobrze oświetlonej komory, zmierzając ku wyjściu po drugiej stronie. Prezydent cieszył się z chłodnych podmuchów, bo na jego czole perlił się pot.

Nerwy?

Oczywiście.

Pistolet od Iwony miał w kieszeni na udzie kombinezonu. Lepiej, żeby tam został, aż będzie rzeczywiście potrzebny. A może do tego nie dojdzie? Zdjęcia uzbrojonego prezydenta Polski w miejscu dziedzictwa kulturowego nie wyglądałyby dobrze w mediach.

Iwona miała broń.

Wydawało mu się, że to dostateczna ochrona.

\* \* \*

Eli stał pod chropowatą ścianą, z dala od światła kilku reflektorów rozjaśniających resztę komory. Akurat w tej nie było żadnych artefaktów, tylko kolejna kaplica z ołtarzem i figurami, w o wiele lepszym stanie niż te na niższych poziomach. Stał w ciemności, obserwując wlot korytarza, którym sam tu przyszedł.

Pojawiła się w nim kobieta.

Iwona Nowak.

Uzbrojona.

Za nią wszedł do komory mężczyzna.

Nie, nie pierwszy lepszy mężczyzna.

Janusz Czajkowski.

W końcu!

Opatrzność zlitowała się nad Eliem.

\* \* \*

Cotton spojrzał na Iwana.

– Słyszałeś o psie, który wysysa kurze jaja?

– Brzmi jak typowa amerykańska historyjka.

– Wcale nie. Takie psy zdarzają się wszędzie, nawet w Rosji. Co jakiś czas zdarza się, że wiejskiemu psu przypadną do gustu świeże jajka, do tego stopnia, że zabija kury, byle się dostać do jaj. Tak naprawdę ich nie wysysa, raczej zjada je w całości. Ale jak już nabierze ochoty na jajka, nie da mu się tego wyperswadować.

– Jakiś chciwy pies?

– Opętany. Zaczarowany. Od tej chwili taki pies żyje tylko po to, by włamywać się do kurników gospodarzy. Nic go nie powstrzyma... – Umilkł na chwilę. – Chyba że kula w łeb.

Iwan się roześmiał.

– Wasz prezydent jak pies wysysający jajka!

Malone wzruszył ramionami.

– Może i tak, ale w tej chwili to ty jesteś takim psem, z którym muszę się rozprawić. Jesteś w moim kurniku i „jeśli dalej chcesz wyżerać mi jajka, to choć poczciwy ze mnie gość, wezmę strzelbę i wyślę cię do nieba, bo kradzieży z kurnika mam dość!”.

Ostatnie słowa wyśpiewał na melodię smutnego walczyka, którą zapamiętał wiele lat wcześniej.

– To piosenka Johnny’ego Casha – wyjaśnił Iwanowi. – Mój dziadek nucił ją sobie podczas pracy.

– Malone, grasz na czas?

– Tak.

– Masz nadzieję, że pomoc przyjdzie.

– Taki jest plan.

– Może ja też mam pomoc.

– Widziałem, jak Reinhardt i Munoz idą dalej. Pewnie potrafiliby tu wrócić.

Cotton cały czas trzymał pistolet w dłoni, z palcem na spuście, a oczy miał utkwione w postaci Iwana, czujnie obserwując każdy jego ruch.

– Mówisz, że ta woda gęsta od soli? – zapytał Rosjanin.

– Czysta solanka, ale muszę jej oddać, że przejrzysta i piękna. Gromadzą ją tutaj, a potem pompują na powierzchnię i odparowują, aż zostanie sól.

Iwan sięgnął wolną dłonią i delikatnie musnął powierzchnię jeziora.

– Zimna jak Ocean Arktyczny.

Wydawało się to kompletnym wariactwem: Malone unosił się o kilka metrów od przeciwnika, prowadząc bezsensowną rozmowę. Obaj byli uzbrojeni i czekali, aż ten drugi coś zrobi. Cotton miał jednak zamiar



zaatakować przeciwnika dopiero wtedy, kiedy będzie pewien wyniku, który tymczasem wydawał się wątpliwy.

Tak jak wszystko inne.

Wolał więc cierpliwie czekać.

\* \* \*

Eli odczekał w całkowitej ciszy, aż Iwona i Czajkowski wejdą do komory i znajdą się przed nim, w pobliżu kaplicy po przeciwnej stronie. Dopiero wówczas wyłonił się z mroku i przyłożył lufę pistoletu do potylicy prezydenta.

Ten zamarł.

– Nie ruszaj się! – ostrzegł go Reinhardt.

Iwona błyskawicznie się odwróciła, unosząc broń.

– Rzuć to! – zakomenderował Eli.

Odciągnął kurek, by podkreślić wagę swoich słów. Patrzyła na niego, prawdopodobnie zastanawiając się, czy zdoła strzelić, zanim napastnik pociągnie za spust.

– Zapewniam cię, że nie zdążysz – stwierdził.

Najwyraźniej się z nim zgadzała, bo opuściła pistolet.

– Rzuć go na ziemię i kopnij na bok! – rozkazał.

Kiedy tak zrobiła, polecił:

– Trzymaj ręce na widoku.

# ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Cotton dzielił uwagę między Iwana i otoczenie. Unosili się na wodzie, każdy we własnej łódce, o kilkanaście metrów od siebie, na szmaragdowozielonym jeziorze o wodzie tak przejrzystej, że wydawało się, jakby dryfowali w powietrzu. Wokół ogromnego filaru owijał się oddzielony barierką chodnik, a wzdłuż górnej części ściany biegła drewniana galeria. Iwan miał rację: Malone zwlekał, mając nadzieję, że Stephanie przekona do pomocy miejscową ochronę. Jeżeli komuś mogło się to udać, to właśnie jej. Pozostawała ciągle jeszcze kwestia Reinhardta i Munozy, którzy swobodnie poruszali się po tym samym poziomie.

– To co robimy? – odezwał się Iwan.

Dobre pytanie.

Odzyskanie pakietu oznaczałoby olbrzymi krok na drodze do rozwiązania konfliktu Stephanie z Białym Domem. Owszem, Cotton nie zgadzał się z taktyką, stosowaną w tym przypadku przez Foxa, ale zamierzał rozwiązać ten dylemat później. Teraz nie mógł pozwolić Iwanowi na opuszczenie kopalni z dokumentami. Oczywiście że Moskwa nie życzyła sobie rakiet, podobnie jednak jak w przypadku Foxa, trudno było powiedzieć, czego jeszcze zażąda od Warszawy. W przypadku takiego

szantażu, kiedy kilka krajów mogło zapłacić olbrzymie kwoty za kompromitujące materiały, wszystko wydawało się możliwe.

– Mógłbyś oddać mi ten pakiet – zaproponował – i w ten sposób zakończymy całą sprawę.

Iwan zarechotał.

– A może zrobisz to ze swoim pistoletem?

Jezioro zostało podświetlone tylko w niektórych miejscach. Pomiędzy tymi skrajnościami mieściły się połacie płynnie przechodzące z jasności w ciemność. Płaska powierzchnia odbijała tam światło niczym zwierciadło. Na jednym z takich fragmentów, na prawo od łodzi Iwana, Malone dostrzegł odbicie drewnianej barierki, która biegła przy jednym z brzegów.

Oraz Munoz.

Wspólnik Reinhardta krył się powyżej miejsca, gdzie dryfowały obie łódki, na biegnącej wzdłuż jednego z brzegów jeziora ścieżce stanowiącej część chodników i korytarzy, z których zwiedzający mogli podziwiać podziemne zbiorniki. Najwyraźniej sojusznicy Iwana znaleźli drogę nad jezioro szybciej niż przyjaciele Cottona. Munoz przycisnął się za jednym z kamiennych występów pomiędzy drewnianymi barierkami. Malone zakładał, że tamten jest uzbrojony, ale żeby wykonać jakieś posunięcie, musiałby wstać i się ujawnić.

Pozostawała jednak kwestia Iwana.

Rosjanin mógł zaatakować w każdej chwili.

\* \* \*

Eli przycisnął lufę do głowy Czajkowskiego.

– Gdzie jest Iwan? – zapytała Iwona.

– W pobliżu.

Musiał zdekoncentrować tę kobietę. Była trudną, niebezpieczną przeciwniczką – bez wahania zastrzeliła Jonty'ego. A teraz wiedziała, że

Reinhardt współpracuje z Rosjanami, co oznaczało, że ktoś może przyjść mu z pomocą.

- Wynoszę się stąd – oświadczył.
- Proszę bardzo – zgodziła się Iwona.
- To nie takie proste.

Eli bardzo tego żałował.

Co, u licha, działo się z Munozem?

Gdzie się ten facet podziewał?

\* \* \*

Czajkowski przypomniał sobie profesora matematyki, bitego i kopanego na brudnej podłodze więzienia mokotowskiego. Zawsze sięgał po to wspomnienie, kiedy potrzebował zaczerpnąć nowych sił. Tamten człowiek okazał męstwo w obliczu śmierci.

Prezydent miał zamiar zrobić to samo.

- Jesteś skończony – oznajmił.
- Odważne słowa jak na kogoś z lufą przy skroni.
- Przeżyłem w ten sposób wiele lat.
- Nie wkurzaj go – ostrzegła Iwona.

Tymczasem Czajkowski miał właśnie taki zamiar.

\* \* \*

Cotton siedział nieruchomo w łódce, nie zdradzając słowem ani gestem, że wie o towarzystwie na brzegu. Iwan usilnie próbował nie zerkać ku barierce, ale najwyraźniej również był świadomy obecności Munoz.

Interesująca sytuacja: Malone unosił się na lodowatym jeziorze czystej solanki, setki metrów pod ziemią, w całkowitej ciszy, a dwóch innych mężczyzn chciało go zastrzelić. Trzymał pistolet, obserwując w lustrzanej powierzchni jeziora, jak Munoz się przesuwa, próbując zyskać lepszą pozycję do strzału. Cotton musiał zdjąć dwóch przeciwników, tymczasem

siedział na niestabilnej łódce. Szczęście w nieszczęściu, że jeden z jego przeciwników również znajdował się na łodzi. Czas reakcji będzie dłuższy. To oznaczało, że facet na stałym lądzie jest większym zagrożeniem.

Malone musiał jakoś odwrócić ich uwagę.

Tak, by zyskać kilka cennych sekund.

\* \* \*

Eliowi pozostało teraz już tylko znaleźć Munozę i wyjść z kopalni.

Bezczyenne oczekiwanie było raczej złym pomysłem. Mimo że kontrolował sytuację, Iwona Nowak nadal stanowiła problem.

– Przejdź do drugiego wyjścia – rozkazał jej.

Zawahała się.

– Naprawdę chcesz spróbować szczęścia? – zapytał.

– Rób, jak mówi – polecił Czajkowski.

Głośno i wyraźnie.

– To ja mam pistolet przy głowie, nie ty – dodał prezydent. – Nie igraj z moim życiem. Pamiętaj, pracujesz dla mnie.

Widział, że nie spodobało jej się to upomnienie, ale miał rację: pracowała dla niego. Nie mogła sama podejmować takiego ryzyka.

– Kazesz mi zrobić to, co mówi ten facet? – upewniła się.

– Tak, dokładnie o to mi chodzi. Ruszaj się.

Eli dotknął lufą głowy prezydenta.

– A ty za nią.

\* \* \*

Czajkowski wydał rozkaz, jednocześnie puszczając oko do Iwony: „Udawajmy, że spełniamy jego polecenia”. Reinhardt w żaden sposób nie mógł wiedzieć, że są związani w inny sposób niż szef i pracownica. Oczywiście musiał się zastanawiać, dlaczego prezydent Polski we własnej osobie znalazł się w kopalni, ale to dało się łatwo wyjaśnić: musiał ratować

własny tyłek. Czajkowski dostrzegł niepokój w oczach Iwony, zanim wycofała się w kierunku wyjścia, zastanawiając się, co teraz zrobi prezydent.

Odpowiedź na pewno by się jej nie spodobała.

Zatrzymał się.

– No, dalej! – ponaglił Reinhardt.

– Nigdzie się nie wybieram.

Iwona również stanęła.

– I co zrobisz? – zapytał Elia Czajkowski. – Zastrzelisz prezydenta Polski? I jak sądzisz, daleko uciekniesz? Wątpię, czy wyjdiesz żywy z tego poziomu.

W oczach agentki dostrzegł nieme pytanie: „Co ty wyprawiasz?”.

Ręce trzymał opuszczone przy bokach. Prawa znajdowała się blisko bocznej kieszeni, w której spoczywał pistolet od Iwony. Kiedy wydał jej polecenie odwrotu, a Eli skupił na niej całą uwagę, zdołał rozpiąć tę kieszeń.

Teraz musiał tylko do niej sięgnąć.

Ale zbyt czytelny ruch mógł okazać się śmiertelną pomyłką.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Cotton dostrzegł, że Munoz w końcu znalazł dogodną pozycję. Co gorsza, łódka Amerykanina dryfowała ku temu miejscu, znajdującemu się około dwóch i pół metra nad powierzchnią wody. Jeszcze chwila i Malone znajdzie się w poważnych opałach.

– Odjeżdżam – oświadczył Iwan.

Cotton uniósł broń.

– Nie sądzę.

– Myślę inaczej – odparł Rosjanin i podniósł wolną rękę. Munoz wstał z wycelowanym pistoletem.

– On pilnuje, żebym odjechał.

Silnik łodzi Iwana znów zaczął pracować.

\* \* \*

Czajkowski spróbował szczęścia:

– Handlujesz informacjami. To pohandlujmy.

– Co oferujesz? – zapytał Reinhardt.

– Na początek bezpieczne wyjście z kopalni. Ile zapłacili ci Rosjanie?

– Pięć milionów euro.

– Dobra. Płacę pięć razy tyle za dostarczenie dokumentów, które chciał sprzedać Jonty Olivier. Masz je?

Znali już odpowiedź na to pytanie, więc miał nadzieję, że kiedy je zada, wzbudzi czujność Iwony i pozwoli jej się przygotować do działania. Jej pistolet leżał trzy metry dalej, na podłodze.

– Mam – potwierdził Reinhardt.

– Naprawdę? Rosjanin pozwolił ci je zatrzymać? – zdziwił się Czajkowski. – To wspaniałomyślnie z jego strony. Moskwa z rozkoszą użyłaby ich przeciwko mnie, zaczynając od sprawy amerykańskich rakiet w Polsce. Gdzie są?

– Mój wspólnik, Munoz, właśnie po nie poszedł.

Prezydent wątpił, by to była prawda, ale...

– To niech szybko wraca. Panie Munoz! Proszę tu przyjść! – zawołał.

\* \* \*

Cotton usłyszał, jak ktoś wykrzykuje nazwisko Munoz.

Bułgar również to usłyszał.

Odwrócił głowę na niecałą sekundę w kierunku, z którego dobiegał głos, ale to wystarczyło, by Malone uniósł broń i oddał jeden celny strzał.

Nie najgorzej jak na warunki: dystans – sześć metrów, dwa i pół metra wzwyż, przy kiepskim oświetleniu.

Natychmiast odwrócił się do Iwana, znikającego właśnie w ciemnym tunelu, którym woda przepływała do następnego zbiornika.

Za późno.

Cotton odpalił silnik swojej łodzi.

I ruszył za Rosjaninem.

\* \* \*

Czajkowski usłyszał strzał.



Wykorzystał tę chwilę, żeby złapać tkwiący nadal w kieszeni pistolet i namacać spust. Nie wyciągał jeszcze broni. Iwona widziała, co robił, ale Reinhardt niczego nie zauważył. Na szczęście kieszeń wszyto dość wysoko, żeby nie musiał nienaturalnie wyginać ramienia.

– Nie krzycz już więcej – przestrzegł Eli, dla podkreślenia tych słów przyciskając pistolet do głowy prezydenta.

– Nie przyjmuję od ciebie rozkazów – odparł Czajkowski.

Broń Reinhardta znów dotknęła jego głowy.

– Odważne słowa, panie prezydencie.

– Przede wszystkim prawdziwe.

Iwona bacznie mu się przyglądała, niepewna, co planuje. Jej błagalny wzrok mówił mu, żeby przestał, ale poza tym zachowywała kamienną twarz, nie zdradzając niczego napastnikowi.

– Czas podjąć decyzję – powiedział Czajkowski do Reinhardta, ze wzrokiem utkwionym w agentce. – Czas dokonać wyboru.

– Nie mam zamiaru czegokolwiek ci sprzedawać. A dwadzieścia pięć milionów euro to o wiele za mało jak na wartość tych dokumentów.

– A co, jeśli Munoz nie żyje? – zapytał prezydent. – Czyj strzał właśnie słyszeliśmy? Możliwe, że zostałeś sam. Masz zamiar zastrzelić nas oboje, a potem stąd wyjść? Zdajesz sobie chyba sprawę, że to niemożliwe. Utknąłeś na tym poziomie.

Czajkowski naciskał na przeciwnika. Grał z nim tak samo jak kiedyś z SB, wykorzystując przeciw Eliowi lęk i niepewność, pogłębiając paranoiczne myśli, sprawiając, że tamten zaczynał w siebie wątpić. W ten sposób najszybciej można było doprowadzić ofiarę do paraliżu decyzyjnego.

– Zamknij się! – warknął Reinhardt.

Prawa dłoń prezydenta pozostała na kolbie pistoletu, czego w panującym tu półmroku nikt nie zauważył. Eli skoncentrował się na Iwonie, uważając, że ze strony Czajkowskiego nic mu nie grozi.

– Odłóż pistolet – zaproponował prezydent. – Wycofaj się w porę, zanim sytuacja wymknie się spod twojej kontroli.

– Zamknij się, powiedziałem!

W ciemności przy wejściu coś się poruszyło.

Do komory wtoczył się bezwładnie mężczyzna. W jednej dłoni trzymał pistolet, drugą przyciskał do piersi. Poruszał się chwiejnie i z wysiłkiem. Po sekundzie z ciemności wyłoniła się twarz.

Munoz.

Iwona odwróciła się ku przybyszowi. Czajkowski wykorzystał chwilę nieuwagi przeciwnika, wyjął broń i chociaż nie mógł wycelować, wetknął lufę na ślepo w brzuch Reinhardta i błyskawicznie wypalił.

Poczuł wibracje pocisku rozdzierającego ciało przeciwnika.

Dla pewności nacisnął spust jeszcze raz.

Eli Reinhardt upadł.

Munoz próbował unieść pistolet, ale Iwona wytrąciła mu go celnym kopniakiem.

Dokończ to.

„Co nam obca przemoc wzięła, szablą odbierzemy”.

Wpakował trzeci pocisk prosto w Munoz.

\* \* \*

Cotton usłyszał strzały, odbijające się echem od ścian kopalni. Zastanawiał się, kto użył broni. Czy wreszcie nadeszła pomoc? Może. Nie potrafił ustalić, czy Munoz nie żyje, ale wiedział na pewno, że go trafił.

Teraz skupił się na Iwanie.

Płynął przez ciemny tunel, dłuższy od innych. Światło na drugim końcu wciąż znajdowało się co najmniej kilkanaście metrów od niego. Iwan zyskał nad nim wystarczającą przewagę, by się gdzieś na niego zacząć, więc Malone byłby głupcem, gdyby zakładał, że może ot tak wypłynąć z drugiej strony.

To, co opowiadał Rosjaninowi o solance, było całkowicie prawdziwe. Kiedyś, wiele lat temu, spróbował kąpieli w Morzu Martwym: bez najmniejszego problemu unosił się wówczas w gęstej wodzie. Zaraz potem musiał wziąć prysznic, żeby zmyć ze skóry warstwę soli; w przeciwnym wypadku narażał się na poparzenia w bliskowschodnim upale. Nad morzem ustawiono nawet znaki, które ostrzegały, by chronić twarz przed wodą i jej nie połykać.

Tutaj czyhały na niego te same niebezpieczeństwa plus przeraźliwie niska temperatura.

Iwan na pewno czekał, żeby zobaczyć, kto przyplynie łódką z elektrycznym napędem. Przyjaciel czy wróg? Cotton nie miał wyboru: ześlizgnął się z łódki prosto do lodowatej wody. Chłód owinał się wokół niego jak długi płaszcz. Mógł wytrzymać taką temperaturę najwyżej kilka minut, ale tyle mu wystarczyło. Wysoki jęk silnika nie uległ zmianie, gdy Malone przywarł do niskiej burty, płynąc w solance obok łodzi. Nie mógł się zanurzyć głębiej, nawet gdyby chciał. W prawej dłoni trzymał pistolet, który na szczęście pozostał suchy. Iwan zapewne będzie zaskoczony, kiedy zobaczy pustą łódź, i minie kilka sekund, zanim pojmie, że jego cel jest w wodzie.

Cotton musiał wykorzystać tę chwilę.

Łódź poruszała się naprzód, a dolna część ciała zaczynała mu już drętwieć z zimna. Wyłonił się z ciemności na następnym podświetlonym jeziorze. Rzeczywiście, łódź Rosjanina unosiła się po jednej stronie, tuż pod

kolejną drewnianą barierką, a on sam stał na dnie łódki z wycelowanym pistoletem.

Strzelił.

Malone zanurzył się pod swoją łodzią tak głęboko, jak mógł, aż lodowata solanka chlapnęła mu na twarz. Pocisk przeleciał tuż obok, lecz Amerykanin dalej sunął przez jezioro. Wyporność zadziałała na jego korzyść: nie opierał się już wypychającej go sile, rozluźnił chwyt na burcie, wyskoczył z wody niczym korek, wycelował i wypalił. Trafił grubego Rosjanina prosto w pierś.

Iwan się skrzywił.

Przytknął dłoń do rany.

Pistolet wypadł mu z ręki.

Stracił równowagę i z chłupotem wypadł z łódki, prosto w wodę, wywołując fale we wszystkich kierunkach.

Cotton rzucił broń na dno łodzi i wspiał się po burcie z powrotem do jej wnętrza. Nogi potwornie mu marzły, mimo to złapał za ster i popłynął w kierunku Iwana, który rzucał się spazmatycznie w solance. Malone opłynął go łukiem i zobaczył, że tamten przewrócił się na brzuch, twarzą w dół.

Po chwili Rosjanin przestał się poruszać.

Krew nadal wyciekała z rany, unosząc się w przeźroczystej wodzie czerwonymi chmurami. Ciało przekręciło się jeszcze raz. Teraz Iwan unosił się bezwładnie na plecach, z otwartymi oczami, dwiema czarnymi kulkami patrzącymi prosto w sufit.

Amerykanin wyłączył silnik i złapał za burtę drugiej łodzi.

Na jej dnie leżał pakiet w plastiku.

Cotton się odprężył i przekręcił głowę. Przed oczami wirowały mu plamy, odbijające się od siebie we wszystkich kierunkach. Mózg z zimna

zaczynał odmawiać mu posłuszeństwa, a nogi zeszywniały i zaczynały rwać, ale mógł nimi poruszać.

Iwan był martwy.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Czajkowski opuścił broń.

Iwona podbiegła do niego.

– Wszystko w porządku?

Kiwnął głową, mimo że wcale nie czuł się w porządku. Właśnie zabił dwóch ludzi. Dodał ich do listy tych, których zamordował wcześniej – nie bezpośrednio, ale równie skutecznie. Dzięki protokołowi warszawskiemu.

– Musiałeś to zrobić – powiedziała. – Nie miałeś wyboru.

Patrzył na nią, wciąż trzymając pistolet w pewnym uścisku.

– Chodź, poszukamy Iwana – powiedziała.

Zanim jednak zdążyli ruszyć w kierunku wyjścia, usłyszeli, że ktoś zbliża się tym samym korytarzem, którym nadszedł wcześniej Munoz. Iwona pokazała gestem, żeby się ukryć, przemknęli więc w cień i czekali.

Cotton Malone wszedł do komory i stanął. W jednej dłoni miał broń, w drugiej plastikowy pakiet. Jego ubranie ociekało wodą.

Wyszli z kryjówki.

– Usłyszałem strzały i wasze głosy – powiedział Amerykanin, wskazując zwłoki na posadzce. – Wygląda na to, że macie wszystko pod kontrolą.

– A Iwan? – zapytała Iwona.

Malone skinął głową.

– Pływa w solance. Tak na marginesie: człowiek czuje się po tym dość rześko.

Iwona się uśmiechnęła.

– Nieźle zmarzłeś.

– Najdelikatniej mówiąc.

Czajkowski pokazał pakiet, który trzymał Cotton.

– Czy to te dokumenty?

– Tak.

– Co ma pan zamiar z nimi zrobić?

– To pan ma do nich prawo, nieprawdaż? Od razu przeszedł pan do rzeczy, więc pewnie nie mam co liczyć na romantyczną kolację ze śniadaniem, a raczej na szybki numer.

– Nie mam czasu do stracenia.

– Nie, pewnie nie. Odpowiem jednak na pana pytanie: jeszcze nie podjąłem decyzji.

– A jakie możliwości pan rozważa?

– Zatrzymać te dokumenty i wykonać zadanie, czyli dostarczyć je dupkowi, który nazywa siebie prezydentem Stanów Zjednoczonych – wyjaśnił Malone i zamilkł na chwilę. – Albo tego nie robić.

– Moglibyśmy je panu odebrać.

– Moglibyście... spróbować.

Prezydent się uśmiechnął.

– Podoba mi się pan, Malone. Spodobał mi się pan już w chwili, kiedy dostrzegłem, jak nienawidzi pan Toma Buncha, który, jeśli już przy tym jesteśmy, był nikczemnym łgarzem.

Amerykanin wzruszył ramionami.

– Raczej kimś, kto nie rozumiał, w co się pakuje. Próbującym wyglądać na szychę amatorem grającym z zawodowcami. I to go zabiło.

– Teraz to operacja Agencji Wywiadu – włączyła się do rozmowy Iwona. – Weźmiemy na siebie wszystkie zabójstwa w kopalni, w tym Iwana.

– To miło z waszej strony, jeśli wziąć pod uwagę, że oboje mieliście udział w masakrze na Słowacji.

– To nie my! – zaproponowała. – Nie mieliśmy pojęcia, że planują coś takiego. Potrzebowaliśmy twojej pomocy, żeby w ogóle znaleźć drogę do zamku.

– Aha, więc ostrzeżenie przekazane w Brugii, żebyśmy trzymali się z daleka, było tylko cczą gadaniną? Wiedzieliście, co mają zamiar zrobić, może bez szczegółów, ale potrafiliście dodać dwa do dwóch – powiedział Malone, po czym zwrócił się bezpośrednio do Czajkowskiego: – Czy to pan rozkazał, żeby wyeliminować Oliviera?

– Nie zrobił tego! – zaprotestowała Iwona. – To ja podjęłam tę decyzję.

– A ja biorę za nią pełną odpowiedzialność – dodał prezydent.

Malone pokręcił głową.

– Nie powinien pan. Jedyнным odpowiedzialnym człowiekiem w tym przypadku jest prezydent Warner Fox. To on rozpoczął całą tę awanturę. Wy zrobiliście tylko to, co musieliście, żeby przeżyć. To, do czego zmusił was Fox. Właśnie zastrzeliłem dwóch mężczyzn, wszystko przez Foxa. Dzieci Toma Buncha zostały bez ojca przez idiotyczne pomysły prezydenta. Z tego samego powodu zginęli tutaj Reinhardt i Munoz. To też przez Foxa – powiedział i wskazał gestem ciała. – A przy okazji, kto stuknął tych dwóch?

– Ja – przyznała pośpiesznie Iwona.

– W takim razie dlaczego to prezydent trzyma broń?



– Bo to ja ich zastrzeliłem – sprostował Czajkowski.

Cotton machnął pistoletem.

– To trochę nie po prezydencku, nie uważa pan?

– Trudne sytuacje, panie Malone...

– Ano właśnie, jak już przy tym jesteśmy. Proszę bardzo.

Amerykanin wręczył polskiemu prezydentowi pakiet.

Ten wydawał się zaskoczony.

– Dlaczego pan to robi?

– USA nie powinny zmuszać kogokolwiek do czegokolwiek szantażem.

Albo ten ktoś tego chce, albo nie. Jeżeli nie, powinniśmy to uszanować. Tak się powinno postępować.

– Nie zaprzeczę – odparł Czajkowski.

– W raporcie napiszę, że Iwan niczego nie znalazł. Ani ja. Dokumenty przepadły. Prawdopodobnie paru amerykańskich agentów będzie chciało sprawdzić tę wersję, ale ponieważ nie ma tu nic do znalezienia, nie ma sprawy. Zakładam, że zawartość tego pakietu zostanie spalona.

Czajkowski skinął głową.

– Prezydent Fox nie będzie zadowolony.

– A to doprawdy wisienka na torcie. Warto się było dla niej chwilę pomęczyć.

Cotton westchnął z ulgą, czując euforię na myśl o tym, że sytuacja nareszcie się wyjaśniła. Spełnił zadanie i nie musiał już wykonywać czyichś rozkazów. Wrócił z martwych.

Jak Łazarz.

Teraz ta sprawa naprawdę się zakończyła.

– Wszystko, do czego tu doszło, zostanie zaklasyfikowane przez Agencję Wywiadu jako ściśle tajne – oświadczyła Iwona. – Wydobędziemy ciała z kopalni, jak tylko zostanie zamknięta na noc. Wyszorujemy

korytarze do czysta, tak jak zamek Szturniej, i zamkniemy sprawę na dobre. Rosjanom się powie, że miała tu miejsce strzelanina, podczas której Eli Reinhardt zabił ich człowieka, a ja potem zlikwidowałam Reinhardta i Munozę. W tej opowieści nie pojawi się nikt inny.

Czajkowski zdał sobie sprawę, że ostatnie zdanie dotyczy nie tylko Malone'a, ale i jego samego. Plan Iwony zakładał szybkie i skuteczne działanie – w końcu była doświadczoną agentką.

– Na poziomie dziewiątym znajdziecie jeszcze jednego trupa. Przewodnik, którego zabili Iwan albo Reinhardt.

– Przykro mi to słyszeć – odparł prezydent.

– Mogę się stąd wydostać po cichu? – zapytał Malone.

Iwona uśmiechnęła się szeroko.

– Owszem, możemy to załatwić... A także znaleźć kogoś, kto wysuszy ci ubranie.

– O, byłoby świetnie!

Czajkowski podszedł bliżej i wyciągnął dłoń, a Cotton mocno ją uściskał.

– Dziękuję. Za to, co pan zrobił, ale także za to, że postąpił pan honorowo.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie prezydencie.

\* \* \*

Cotton wyszedł prosto w słoneczny wieczór. W oczy uderzył go blask zachodzącego słońca. Potrzebował dłuższej chwili, zanim przyzwyczył się do nowego oświetlenia po półmroku kopalnianych korytarzy. Iwona dotrzymała obietnicy i kazała wysuszyć jego ubrania w tutejszej pralni. Trochę się przy tym pogniotyły, ale czuł się teraz o wiele lepiej niż tuż po wyjściu z lodowatej solanki. Na zewnątrz czekała na niego Stephanie.

– Z Patrycją wszystko w porządku?

– Tak, czuje się dobrze. Teraz rządzi tutaj ktoś inny. Próbowałam wezwać ochronę, ale nikt mnie nie słuchał. Po chwili Patrycja zniknęła, ja zaś wylądowałam w windzie, a zaraz potem za drzwiami. Powiedziano mi, że mam tu zaczekać.

Zdał jej relację z wydarzeń w kopalni, nie ukrywając niczego.

– To Iwona tutaj rządzi – wyjaśnił. – Jest tu też Czajkowski. Kiedy wyjeżdżałem z dołu, organizowała dla niego właśnie dyskretne wyjście z kopalni. Oddałem mu dokumenty.

– To dobrze. Gdybyś tego nie zrobił, ja bym mu je dała.

– To koniec twojej kariery.

– Wiem. Może już czas, żebym odeszła.

Współczuł jej bardzo, ale nie potrafił w żaden sposób pomóc, a Stephanie Nelle nie potrzebowała litości.

– Wracajmy do Krakowa – zaproponował.

– Cotton!

Odwrócił się na dźwięk swojego imienia.

Iwona właśnie wyszła z budynku nadszybia i szła teraz ku nim.

– Chciałam wam podziękować. Bardzo doceniam to, co zrobiłeś tam na dole. Wszystko, bez wyjątku.

Wcześniej, podczas rozmowy z prezydentem Polski, zauważył coś jeszcze.

– To twój nowy facet, no nie? Nowa miłość.

– Skąd wiesz?

– Tak na niego patrzyłaś. I byłaś gotowa wziąć na siebie odpowiedzialność.

Skinęła głową.

– Widujemy się już od pewnego czasu. Jego małżeństwo jest skończone. Nie wiem, dokąd to zmierza, ale jesteśmy razem.

– Ciesz się tym. Tylko tak dalej!

Uściskali się serdecznie.

Pocałowała go lekko w policzek.

– Tak jak mówiłam ci w Belgii, twoja dziewczyna to szczęściara.

Cotton nie miał jednak zamiaru przyjąć tej pochwały.

Ani wtedy, ani teraz.

– To raczej ja jestem szczęściarzem.

# ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

**Niedziela, 9 czerwca**

**Godz. 18.15**

Czajkowski patrzył w ogień.

Wrócił już do Warszawy, do pałacu prezydenckiego. Jego myśli wciąż obsesyjnie krążyły wokół wydarzeń, które rozegrały się w Wieliczce przed trzema dniami. Zdołał opuścić kopalnię niezauważony i pod osłoną ciemności wrócić do hotelu w Krakowie. Iwona nadzorowała sprzątanie całego bałaganu. Ponieważ tak wiele osób słyszało strzały, w mediach pojawiły się pojedyncze doniesienia na ten temat, ale zgodnie z relacjami nikt nie został ranny, a sprawców nie złapano.

Boże, błogosław Iwonę.

Nie zapominał jednak również o Annie. Udało jej się uzyskać to, co ukrywał przed nim ojciec Orlik. Dowody w sprawie protokołu warszawskiego. Już ich nie potrzebował, ale czuł się spokojniejszy, że będzie miał je pod ręką, podobnie jak dokumenty, które chciał zlicytować Jonty Olivier. Te ostatnie leżały teraz na stoliku, wyciągnięte z próżniowo

zapakowanej koperty. Przestudiował je wszystkie, rozpoznając swój charakter pisma, podpis i wstrętny pseudonim, który przydzielił mu Dylecki.

„Baran”.

Wiele z tych stron przypominało mu o różnych ludziach i miejscach, a także uczynkach i doniosłych decyzjach, których konsekwencje odczuwał do dzisiaj. Czy gdyby mógł coś zmienić, postąpiłby wtedy inaczej?

Nie, zrobiłby to samo.

Wszystko skończyło się tak, jak powinno.

Polska była wolna.

Siedział i patrzył w płomienie, ciesząc się smakiem whiskey. Ostatnio często dogadzał sobie w ten sposób.

Drzwi się otwały i do pokoju weszła Anna. Kazał obsłudze poprosić ją do siebie, jak tylko przyjedzie. Przez cały wczorajszy dzień wypełniała na południu Polski obowiązki pierwszej damy. Tak właśnie miała w zwyczaju: wykonywała swoją pracę z gracją i godnością. Prawdziwy narodowy skarb. Szkoda, że nie byli tak oddani sobie nawzajem.

Ale przynajmniej pozostali przyjaciółmi.

Weszła do środka i zamknęła drzwi. Na ramieniu miała miękką torbę z wyraźnie ciężką zawartością.

– To jest to? – zapytał.

Kiwnęła głową i wyjęła z torby grubą teczkę pełną papierów.

– Przejrzałam część tego archiwum. Mnóstwo nazwisk, dat i miejsc. Dowody płatności... i łapówek. Orlik najwyraźniej nieźle sobie pogrywał z komunistami. Na jednej z list są nazwiska ludzi, którzy pracowali bezpośrednio dla niego. Mnóstwo nazwisk. Również twoje, na samej górze. To byłby przekonujący dowód.

– Niestety, nikogo by to nie obeszło. Twierdzono by, że to fałszywki, spreparowane po to, żeby mnie chronić.

– Ależ żyje jeszcze mnóstwo osób, które również brały w tym udział. One mogłyby potwierdzić, co naprawdę robiłeś!

– Wątpię, by ktokolwiek z nich chciał o tym rozmawiać. Tak jak ja, wolą, żeby nie rozgrzebywać już przeszłości.

Wskazała na stos dokumentów na stoliku.

– Czy to właśnie chcieli sprzedać?

Kiwnął głową.

– A gdyby cokolwiek z tego było prawdą, zniszczyłoby mnie to.

Siadła na jednym z wysokich foteli. Poprzedniego dnia rozmawiali przez bezpieczną linię i wtedy opowiedział jej, co zdarzyło się w kopalni, pomijając jedynie informację, że zastrzelił dwóch ludzi.

Lepiej o tym nie mówić.

– Janusz, to, co wtedy, wiele lat temu, robiłeś, dowodzi nadzwyczajnej odwagi. Zdałam sobie z tego sprawę, kiedy rozmawiałam z Orlikiem. Mieliście do czynienia z potworną sytuacją: Wałęsa i inni liderzy Solidarności znajdowali się na świeczniku, byli twarzami tego ruchu, ale żeby tak mogło być, ty, Orlik i inni ludzie wymienieni w tej teczce musieliście wykonywać swoją robotę w cieniu. W tajemnicy. Robić to, co konieczne. Walczyć z nieubłaganym wrogiem.

Pociągnął łyczek whiskey.

– Razem zmieniliśmy świat, ale zabijaliśmy także ludzi.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, słuchając trzasków płonącego drewna, głęboko pogrążeni w myślach.

– Nieważne, jak to się skończy, zawsze będę cię kochała – powiedziała w końcu. – Może nie tak, jak żona powinna kochać męża, ale na pewno tak, jak kobieta, która szanuje i podziwia mężczyznę.

Uśmiechnął się.

– Dawno nie słyszałem od ciebie takiego komplementu. To bardzo miłe.

– Naprawdę tak myślę – odparła, po czym wskazała na ogień. – Nikt nie pytał, dlaczego w czerwcu chciałeś rozpalić w kominku?

– Patrzyli na mnie dziwnie, ale powiedziałem im, że to mnie uspokaja.

Znów zapadła cisza.

– Co z nami będzie, Janusz? Co teraz? – zapytała cicho.

– Będziemy się ubiegać o reelekcję. Jeżeli wygramy, będziemy dalej robić to samo, a gdy kadencja się skończy, za pięć lat, zakończymy to małżeństwo.

– Ale jesteś cyniczny.

Czajkowski pokrzepił się kolejnym łyżkiem whiskey.

– Może i tak, ale, jak mawiasz, gramy takimi kartami, jakie rozda nam życie.

– Cieszę się, że ona cię kocha.

Tego się nie spodziewał.

– Ocaliła nas.

– Podziękuj jej ode mnie.

Uśmiechnął się na ten przejaw życzliwości.

– Ty też znakomicie sobie poradziłaś. Zleciłaś przeszukanie celi ojca Orlika? Odważne posunięcie.

– Chyba się tego nie spodziewał. Ojczulek pewnie myślał, że status klasztoru zapewnia mu odpowiednią ochronę.

Prezydent w to wątpił. Po jego wizycie przebiegły Sowa na pewno się domyślił, że znów toczy się wywiadowcza gra, a jego cela to pierwsze miejsce, gdzie ktokolwiek będzie szukał kroniki. Mógł więc przenieść to, co być może tam ukrył, do bezpieczniejszej kryjówki. Ale nie, zostawił dokumenty na miejscu, tak żeby poszukiwacze od razu je znaleźli. Może



jego stary przyjaciel namyślił się po ich pierwszej rozmowie i wykorzystał odwiedzinę Anny, żeby pokazać, że zmienił zdanie?

Tego nie wiedział nikt.

– A rakiety? – zapytała. – Z tym też koniec?

– Wczoraj poinformowałem prezydenta Foxa, że pod żadnym pozorem nie zgodzę się na ich rozmieszczenie w Polsce. Przygotowałem również sejmowe wystąpienie, podczas którego przedstawię swoje stanowisko. Na tej odmowie oprę całą kampanię wyborczą, więc moi rywale będą musieli zwyciężyć ze mną przy urnach, żeby postawić na swoim. Doradcy twierdzą, że tę kwestię da się świetnie rozegrać przed opinią publiczną, a znacząca większość wyborców się ze mną zgodzi.

– Czas, by przywódcy wielkich mocarstw dowiedzieli się, że Polska nie jest ich piaskownicą.

Zgodził się z tym.

– Szkoda tylko, że ogłoszenie tego kosztowało życie tak wielu ludzi.

Nie zająknął się ani słowem o wydarzeniach na Słowacji. Miało to pozostać tajemnicą państwową, podobnie jak jeszcze coś, czego się dowiedzieli: najwyraźniej Eli Reinhardt i Jonty Olivier cztery dni wcześniej odwiedzili kopalnię soli razem i zjechali na najniższy, niemal niedostępny poziom. Dokąd poszli? Nikt tego nie wiedział. Może miało to coś wspólnego z ukryciem dokumentów, które sprzedawano na licytacji? Ale jeśli tak, to po co Olivier i DiGenti odwiedzili Wieliczkę dzień przed wizytą z Reinhardtem? Może na dole znajdowało się coś jeszcze? Sprawa została przekazana Agencji Wywiadu, a Iwona osobiście poprowadziła wyprawę poszukiwawczą, żeby sprawdzić, czy w kopalni pozostało cokolwiek cennego.

Zerknął na Annę. Była idealną żoną polityka, lecz jego serce należało teraz do kogoś innego. Dokończył whiskey i wstał.

– To co, zaczniemy?

Podniósł wyniesiony z kopalni plik obciążających dokumentów, a ona wzięła grubą teczkę przywiezioną z Częstochowy. Podeszli razem do kominka i zaczęli wrzucać papiery w płomienie. Stary papier zaczynał się tlić, brązował, a potem rozlatywał się w ogniu z fuknięciem.

Patrzyli, jak wszystkie kartki zamieniają się w popiół.

– Tak dobiegł końca protokół warszawski – podsumował prezydent.

\* \* \*

Cotton zasiadł z Cassiopeią przy stoliku blisko okna w Café Norden. W ten przepiękny niedzielny wieczór po bruku kopenhaskiego Højbro Plads przechadzały się prawdziwe tłumy.

Cassiopeia wyglądała jak zwykle przepięknie: jedwabna bluzka, dzinsy i czółenka, poza tym delikatny makijaż, a z biżuterii tylko bransoletka, którą kupił jej na Gwiazdkę u Cartiera – różowe złoto, w którym osadzono dziesięć brylantów, wyprofilowane w ciągły owal, tak by pasowało do nadgarstka. Dało się ją zdjąć tylko za pomocą specjalnego śrubokręta, również z różowego złota. A że można ją było nosić przez dłuższy czas bez zdejmowania, Cassiopeia nie zrobiła tego od grudnia.

Kawiarnia znajdowała się po przeciwnej stronie placu niż antykwariat Malone’a, który tego dnia był zamknięty. Cotton nigdy nie otwierał interesu w niedzielę, choć nie z powodów religijnych; po prostu uważał, że jego pracownicy zasługują na wolny dzień. Mieszkał nad antykwariatem, w apartamencie na trzecim piętrze, który od piątku dzielił z Cassiopeią. Zdążył wrócić do miasta na dwie godziny przed jej przylotem, ale nie był idiotą i nie próbował przed nią niczego ukrywać. Na szczęście jego nadobowiązkowa działalność nie zakłóciła im weekendu.

Ostatnie dni były doprawdy cudowne.

– Miałeś wieści od Stephanie? – zapytała.

– Wczoraj w nocy przysłała mi maila. Prokurator generalny powiadomił ją, że została zawieszona w obowiązkach, a wypowiedzenie jest w mocy. Foxa nie usatysfakcjonował wynik jej misji w Polsce i spełnił wcześniejszą groźbę. Tyle że Stephanie jest urzędniczką służby publicznej, więc pewnie zażyczy sobie publicznego wysłuchania. Ma do tego prawo.

Pozostawała również kwestia zwłok Toma Buncha. Fox chciał, żeby je odnaleziono, lecz Malone wątpił, czy to się uda. Polacy skrupulatnie oczyścili zamek Szturniej – wszystkie ciała zniknęły, zapewne spalone i pochowane w miejscu, gdzie nikt ich nigdy nie znajdzie.

– Postąpiliście słusznie, ty i Stephanie – oceniła Cassiopeia.

– To niewielkie pocieszenie, biorąc pod uwagę skutki tej misji. Gdyby Fox chciał, wyciągnąłby konsekwencje również wobec mnie. Ale co mógłby zrobić? Najwyżej nie dawać mi zleceń.

– To żadna strata – stwierdziła.

– Lubię pieniądze.

Skończyli już wcześniej kolację, a teraz rozkoszowali się wieczorem, czekając na deser. Kawiarnia zawsze kusila gości bogactwem słodczy. Okna na pierwszym piętrze otwarto, by mogło przez nie wpływać ciepłe wieczorne powietrze. Cassiopeia zamierzała zostać do wtorku, a potem wrócić do swojego domu na południu Francji. Następnym razem to Cotton miał wpaść z rewizytą.

– Mam tylko nadzieję – powiedział, patrząc przez okno na tłum poniżej – że Fox nie zrazi do mnie służb wywiadowczych innych państw, dla których od czasu do czasu pracuję.

– Wątpię, żeby mu się udało. Tamci przecież widzą, co się tu dzieje. Znają cię i wiedzą, że jesteś najlepszy.

Uśmiechnął się na ten komplement.

– Cotton! – powiedziała nagle tonem przykuwającym uwagę.

Złowił jej wzrok i dostrzegł, że patrzy na coś za nim.

Odwrócił się na krześle.

U szczytu schodów prowadzących na parter kawiarni stał Danny Daniels.

Ostatnia osoba, którą spodziewał się zobaczyć w Kopenhadze.

Były prezydent Stanów Zjednoczonych i obecny młodszy senator z Tennessee, wysoki, barczysty mężczyzna z gęstą, siwą czupryną miał na sobie swobodny, codzienny strój.

Podszedł do ich stolika.

Malone wstał.

– Czy chodzi o Stephanie?

Jego przyjaciel podniósł obie dłonie w geście kapitulacji.

– Wyraziła się jasno: ta sprawa to nie mój interes!

– W takim razie co robisz w Danii? – spytała Cassiopeia.

Senator spojrzał na nich z niepokojem.

– Potrzebuję waszej pomocy.

## NOTA OD AUTORA

**T**a powieść wymagała ode mnie kilku wyjątkowych podróży. Najpierw poleciałem do Brugii, imponującego żywego muzeum średniowiecznego życia. Następnie udałem się dwukrotnie do Polski: zwiedziłem Kraków i pobliską kopalnię soli w Wieliczce. I miasto, i kopalnia są bezcennymi zabytkami klasy światowej. Jeżeli jeszcze nie odwiedziliście żadnego z tych trzech miejsc, gorąco polecam – to niezapomniane doświadczenie!

Teraz nadeszła pora, by oddzielić fakty od fikcji.

W Warszawie faktycznie istnieje więzienie mokotowskie, które zarówno pod okupacją nazistowską, jak i dominacją sowiecką było sceną wielu potwornych wydarzeń (prolog oraz rozdział 16). Opis tortur w prologu oparty jest na relacji z autentycznego zdarzenia, jednego z niezliczonych „przesłuchań”, które przeprowadzono w tym więzieniu. Zmarło tam wielu ludzi, a ich śmierć upamiętniają teraz tablice na zewnętrznych murach (rozdział 16). Takie demonstracje okrucieństwa służyły czasem zastraszaniu i rekrutacji szpiegów.

Brugia to miasto zabytkowych domów, brukowanych placów i kanałów wprost z XVI wieku. W tej powieści wiernie opisałem wszystkie miejscowe atrakcje: targ rybny, rynek, kawiarnie i ulice (rozdziały 7, 9, 15), a także

kanały i stateczki wycieczkowe (rozdział 3). Jednej rzeczy wszakże nie byłem w stanie opisać w pełni – łabędzi. W rozdziale 10 znajduje się tylko krótka wzmianka na ich temat. Ptaki te są obecne na tamtejszych kanałach od 1488 roku. Dlaczego? Pod koniec XV wieku lud Brugii powstał przeciwko niepopularnemu cesarzowi Maksymilianowi Habsburgowi. Powstańcy zdołali go pochwycić i uwięzić, wraz z doradcą, Pieterem Lanckhalsem. Lanckhalsa skazano na śmierć przez ścięcie, a cesarza zmuszono do oglądania egzekucji. Oczywiście Maksymilian w końcu uciekł, a potem dokonał zemsty: odbił miasto i wydał dekret, by po wsze czasy Brugia utrzymywała na wszystkich kanałach i jeziorach łabędzie. Dlaczego właśnie te ptaki? Ponieważ mają długie szyje, a po niderlandzku „długa szyja” to „Lange hals” – określenie przypominające nazwisko Pietera Lanckhalsa.

Weźcie pod uwagę, że to tylko jedna z kilku wersji legendy, którą tam słyszałem.

Wszystkie wersje były niezwykle barwne.

W Brugii rzeczywiście znajduje się Bazylika Świętej Krwi. Jej wymyślne zewnętrzne ozdoby niewiele mówią o mrocznym wnętrzu. Codziennie odbywa się tam Adoracja Najświętszej Krwi Pana Jezusa, cicha uroczystość, wyglądająca tak, jak opisałem to w rozdziale 1, włącznie z opłatą wrzucaną do koszyka, zanim odwiedzającym bazylikę będzie wolno podejść do relikwii. Sam relikwiarz to bizantyjskie cudo, które od dawna spoczywa w tym kościele. Jest on jednym z najcenniejszych obiektów tego typu w Europie. Co roku w święto Wniebowstąpienia Pańskiego miejscowy biskup niesie fiolkę ulicami miasta w Procesji Świętej Krwi. Tradycja ta sięga 1291 roku i jest kultywowana do dziś.

Belgia to cudowny kraj. *Dame Blanche* (Biała Dama), o której opowiada Cotton w rozdziale 1, jest podstawą menu w niemal każdej

brugijskiej kawiarni. To nadzwyczajne lody, a ich smak poprawia jeszcze hojne wykorzystanie pysznej belgijskiej czekolady i autentycznej bitej śmietany. Każda lodziarnia sprzedaje własną wersję tego specjału; przyznam, że spróbowałem ich więcej niż kilka.

Relikwie mają niejasną, dyskusyjną przeszłość (rozdział 9). Wiara w nadprzyrodzoną istotę najwyższą, jak również nienasycone pragnienie, by przechowywać dowody naszej wiary, niezależnie od tego, czy są autentyczne, najwyraźniej od wieków należy do ważnych ludzkich potrzeb. Doskonałym przykładem może być napletek Jezusa, który po obrzezaniu został ponoć umieszczony w alabastrowym naczyniu wypełnionym olejem. Pojawia się po raz pierwszy w IX wieku, według legendy ofiarowany samemu Karolowi Wielkiemu przez anioła. Obecnie jest przechowywany w rzymskiej Bazylice Świętego Jana na Lateranie. Skradziona przez najeźdźców w 1527 roku, relikwia przez kolejne czterysta lat pojawiła się w dwudziestu różnych miejscach, a po raz ostatni skradziono ją w roku 1984. Czcili ją miliony, a kościoły wykorzystywały, by osiągać niepoliczalne zyski. Nic nie szkodzi, że towarzysząca jej legenda jest sprzeczna z doktryną, w myśl której Chrystus wstąpił do nieba nietknięty.

To samo dotyczy *arma Christi*, innej wielowiekowej tradycji chrześcijańskiej – to nie jedna, lecz cały szereg relikwii, które mają upamiętniać mękę Jezusa na krzyżu, wielokrotnie przedstawianych na niezliczonych religijnych malowidłach i w innych dziełach sztuki. Istnieje wspaniały traktat na ten temat, zatytułowany *The Arma Christi in Medieval and Early Modern Material Culture* (*Arma Christi w średniowiecznej i nowożytnej kulturze materialnej*), pod redakcją Lisy Cooper i Andrei Denny-Brown. Oczywiście nikt nie ma pojęcia, które z wielu artefaktów rozrzuconych po świecie są prawdziwymi relikwiami z czasów Chrystusa. Inaczej niż w powieści, w rzeczywistości nie istnieje oficjalna ich lista,

zatwierdzona przez Watykan. Wybrałem losowo (w rozdziale 9) siedem z wielu, które nadawały się na broń Chrystusa. Historia o cesarzowej Helenie i początku kultu relikwii, opowiedziana w rozdziale 9, jest prawdziwa.

Koncepcja amerykańskiego systemu obrony antybalistycznej została zaproponowana przez George'a W. Busha, a ostatecznie zrezygnował z niej Barack Obama. Polegała ona (jak opisałem w rozdziale 9) na tym, by rozmieścić pociski przechwytyjące na lądowych wyrzutniach i w ten sposób odstraszać Iran. Pomysł ten nie spodobał się Rosji, podobnie jak większości krajów europejskich i znacznej części Polaków. Wskreszenie go w tej powieści jest całkowitą fikcją.

W projekcie tym chciano zastosować system obrony przed pociskami balistycznymi AEGIS (rozdział 50), chociaż jego skuteczność bywa kwestionowana nawet dziś. Kontrowersje co do anulowania całego projektu pojawiły się zarówno w rzeczywistości, jak i w powieści (rozdział 50) – wielu polskich polityków uważało, że ich kraj znów sprzedano Moskwie. Ironia losu polegała na tym, że o zakończeniu projektu poinformowano 17 września 2009 roku, w dniu 70. rocznicy sowieckiej inwazji.

Agencja Wywiadu (rozdział 11), czyli AW, to polski wywiad zagraniczny. Biuro Ochrony Rządu, BOR (rozdział 5), ochrania na co dzień prezydenta Polski\*. Służba Bezpieczeństwa, SB, komunistyczna tajna policja (rozdział 12), przez dekady zagrażała Polakom, torturując, zabijając i rekrutując tajnych współpracowników, tak jak to opisałem w rozdziale 38. Na szczęście SB już nie istnieje. Afera Dreyfusa, o której wspomniałem w rozdziale 65, również przeszła do historii. Wymagania, które trzeba spełnić, by ubiegać się o urząd prezydenta Polski (rozdział 5), są autentyczne. Zwycięzca wyborów zostaje prezydentem na jedną kadencję z możliwością jednokrotnej reelekcji.



Kraków jest kolejnym miejscem przeniesionym prosto z przeszłości. Rynek Główny, olbrzymi centralny plac, jest doprawdy imponujący, podobnie jak Sukiennice. Związanego z legendą hejnału, wymienionego w rozdziale 20, po dziś dzień można wysłuchać z wieży kościoła Mariackiego aż do ostatniej, urwanej nuty.

Zamek Królewski na Wawelu, niegdyś centrum władzy politycznej w Polsce, dominuje nad Krakowem od wieków. W jego murach pochowano wielu królów i wiele królowych. Komnaty i topografia zamku zostały wiernie opisane w rozdziałach 28, 30 i 32; dotyczy to również szafy, w której ukrywał się Cotton, tylnego wejścia oraz zewnętrznej loggii na Wieży Duńskiej. Smocza Jama, jedna z najstarszych stale zamieszkałych jaskiń w Europie, również istnieje naprawdę i można ją zwiedzać, a legenda związana ze smokiem (rozdział 32) jest częścią krakowskiej mitologii.

Restauracja Pod Aniołami (rozdział 54) to wspaniałe miejsce, gdzie można smakować znakomite dania polskiej kuchni. Hotel Sheraton Grand Kraków stoi w cieniu Zamku Królewskiego na Wawelu, na który rozciąga się wspaniały widok z Apartamentu Królewskiego Wawel (rozdziały 27 i 34). Klasztor kamedułów położony jest na wzgórzu w pobliżu Krakowa. To unikalne miejsce; jeśli tylko możecie, odwiedźcie je, ale pamiętajcie, że mnisi są nieco konserwatywni (rozdział 22). Plotka głosi, że śpią w trumnach, co brzmi śmiesznie, rzeczywiście natomiast przechowują w swoich pustelniach czaszki poprzedników. Uwaga, kobietom wolno tu wejść tylko przez kilka dni w roku.

Włócznię Przeznaczenia otacza wiele wątpliwości. Na świecie jest wiele włóczni, których właściciele utrzymują, że tylko ich artefakt jest autentyczny; głównych pretendentów do tego miana opisałem w rozdziale 20. Krakowska relikwia, znana jako Włócznia Świętego Maurycego, wystawiana jest w Muzeum Archikatedralnym na szczycie wawelskiego

wzgórza. Inaczej niż w powieści, prawdziwe muzeum przeszło remont kilka lat temu. Wszystkie historie związane z włócznią (rozdział 20) są prawdziwe: o tym, jak władca Świętego Cesarstwa Rzymskiego obdarował nią króla Polski, jak przetrwała liczne najazdy i jak Niemcy ukradli ją, a potem zwrócili. Włócznia Świętego Maurycego pozostaje polskim skarbem narodowym, a także symbolem potęgi i jedności, podobnie jak biały orzeł (rozdział 60).

Lech Wałęsa naprawdę został oskarżony o współpracę z komunistycznymi służbami (rozdziały 27, 45). W tej sprawie wysunięto wiele oskarżeń i kontroskarżeń. Z początku Wałęsa określił całą sprawę jako mistyfikację, zaaranżowaną po to, żeby go zdyskredytować. Sąd rzeczywiście oczyścił go z jakichkolwiek zarzutów współpracy. Wiele lat później, znów poddany presji, przyznał się do podpisania pewnych dokumentów, które wydawały się wskazywać go jako informatora, ale zastrzegł przy tym, że zrobił to, by zyskać zaufanie władz i dowiedzieć się od nich, ile się dało. To przy tej okazji wpadłem na pomysł protokołu warszawskiego, chociaż w powieści jego wykonawcy posługiwali się skrajnymi metodami (rozdział 38). Papiery opisane w rozdziale 44 oparłem na prawdziwych dokumentach. Etykieta tajnego współpracownika była i jest w Polsce poważnym oskarżeniem, a do tego chyba najbardziej obraźliwym zarzutem, toteż obawy Janusza Czajkowskiego były całkowicie uzasadnione.

Pamięć o wydarzeniach z lat 1945–1990 pozostaje wciąż świeża. Instytut Pamięci Narodowej i Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (rozdział 12) dbają o to, by wspomnienia te nigdy nie zbladły. Obie instytucje utrzymują potężne archiwa dokumentów, zarówno z czasów okupacji nazistowskiej, jak i dominacji komunistów. Od czasu do czasu wciąż pojawiają się nowe papiery, często pochodzące od ludzi, którzy

przechowywali je przez całe dziesięciolecia. Tak jak w powieści, jedno z archiwów zostało rzeczywiście wystawione na sprzedaż przez wdowę po byłym funkcjonariuszu partyjnym. Spizarnia (rozdział 25) to mój własny pomysł, ale jej istnienie mieści się w granicach prawdopodobieństwa. A gdzież lepiej byłoby ukryć taką masę cennych starych akt, jeśli nie w kopalni soli?

Solidarność zmieniła Polskę. Założono ją w Stoczni Gdańskiej imienia Lenina 17 września 1980 roku jako pierwszy związek zawodowy w Europie Wschodniej niekontrolowany przez partię komunistyczną. Solidarność była, jak zauważyłem w rozdziale 16, organizacją młodych ludzi: większość jej przywódców nie miała nawet trzydziestu lat. W najgorętszym okresie wstąpiło do niej ponad dziesięć milionów osób – jedna trzecia obywateli Polski w wieku produkcyjnym. Związek ten walczył o polityczną zmianę z czerwoną burżuazją (rozdział 16), w końcu odnosząc sukces: w 1990 roku panowanie komunistów dobiegło końca. Inaczej niż w mojej fabule, protokół warszawski w rzeczywistości nie istniał – lub nie odnotowały tego żadne źródła historyczne.

Zamek Szturniej (rozdział 4) to fikcja łącząca cechy kilku autentycznych budowli znajdujących się w północnej Słowacji. Tortura stosowana przez Jonty'ego Oliviera w rozdziale 2, polegająca na umieszczeniu kabla w gardle ofiary, nie jest moim wymysłem. Koszyce na Słowacji i Zakopane w Polsce to prawdziwe miasta, podobnie jak Muzeum Tatrzańskie (rozdziały 23 i 37) czy też konsulat Stanów Zjednoczonych w Krakowie (rozdział 35). Można także zwiedzać muzeum w domu Wojtyłów w Wadowicach (rozdział 55).

Klasztor na Jasnej Górze (rozdziały 41, 43 i 45) to najświętsze z polskich miejsc kultu, a obraz Czarnej Madonny z Dzieciątkiem od wieków kojarzy się z cudownymi uzdrowieniami. Zakonnicy, którzy

oprowadzają gości, noszą białe habity, przypominające wyglądem strój papieża. Wszystkie miejsca wewnątrz klasztoru zostały tu wiernie opisane, w tym również wspaniała biblioteka. Model wiecznego pióra marki Montblanc, znany jako Edgar Allan Poe, a wspomniany w rozdziale 23, to prawdziwa gratka dla kolekcjonerów. Wiele lat temu otrzymałem takie pióro w prezencie.

Kopalnia soli w Wieliczce jest jednym z dwunastu miejsc wybranych w 1978 roku na listę światowego dziedzictwa UNESCO – i słusznie. To wyjątkowo efektowne miejsce. Przez siedemset lat wydobywania soli wykuto pod ziemią tysiące komór i ponad trzysta kilometrów chodników. Legenda o świętej Kindze i początkach kopalni również należy do lokalnej mitologii (rozdział 14). W kopalni istnieje tylko dziewięć poziomów, a ja dodałem do nich fikcyjny – dziesiąty (rozdział 31). Ci, którzy znają to miejsce, zorientują się, że topografia w powieści różni się od rzeczywistej, ale uznałem pewne zmiany za niezbędne.

Olbrzymia większość gości zwiedza tylko turystyczną trasę na poziomach I i II, dostając się do środka Szybem Daniłowicza i autentycznymi windami klatkowymi. Te poziomy są wspaniale oświetlone, a trasa – przepięknie zaprojektowana. Jest tu wszystko: restauracja, centrum konferencyjne, kioski z pamiątkami, wystawy, sklepy i nawet uzdrowisko dla astmatyków. Dla tych, którzy chcą przeżyć przygodę, przeznaczona jest trasa górnicza. Zjeżdża się do niej Szybem Regis, na dużo mniej zadbane (ale i młodsze) niższe poziomy. Tam goście mogą przekonać się na własnej skórze, jak żyli przed wiekami górnicy. Panuje tu martwa cisza, a jedyne światło pochodzi z latarki na hełmie turysty. Próbowałem oddać ten nastrój na kartach powieści, ale jeżeli ktoś z czytelników będzie miał okazję, niech osobiście odwiedzi trasę górniczą. Nie jestem wielbicielem ograniczonych przestrzeni, na dole w kopalni nie

miałem jednak najmniejszych problemów z klaustrofobią, dzięki temu, że wszystkie szyby są odpowiednio wentylowane. W powieści (rozdział 53) wspominam również o znakomitej książce na temat kopalni: *Miasto w soli. Kopalnia Soli w Wieliczce* Andrzeja Nowakowskiego.

Większość podziemnych komór nosi oryginalne nazwy, a w wielu z nich już dawno temu stosowano drewniane kaszty (rozdział 31). Solna ściana opisana w rozdziale 33 to przykład niezliczonych podobnych ścian znajdujących się w kopalni. Podczas wizyty widziałem jedną z nich, wzniesioną w XVIII wieku. Po wszystkich dziewięciu poziomach rozrzucone są kaplice: najwspanialsza z nich to kaplica Świętej Kingi (rozdział 29). Opisana przeze mnie kapliczka Świętego Franciszka (rozdział 66) składa się z elementów zauważonych przeze mnie w kilku takich miejscach. Rzeźby i posąжки w każdej z nich wyglądają podobnie, ponieważ wszystkie wykuli górnicy, ale wizerunek świętego Andrzeja Boboli, opisany w rozdziale 56, to mój autorski pomysł.

Obok kopalni stoi tężnia (rozdział 59), wykorzystująca pompowaną spod ziemi solankę. Gromadzi się ją najpierw w kilku podziemnych jeziorach (rozdziały 73–76), czystych, lodowatych i sztucznie podświetlonych. Stężenie soli jest tam tak wysokie, że nic w nich nie zatoni bez dodatkowego balastu. Kopalnię można było zwiedzać już wiele wieków temu, kiedy władcy zwozili królewskich gości na dół, by chełpić się bogactwem. Jedli i tańczyli w największych komorach, a potem wiosłowali przez podziemne laguny. Przewodnicy w kopalni opowiadają historię o tym, jak w XIX wieku jedna z łodzi się przewróciła, a jej pasażerowie zostali uwięzieni pod spodem. W związku z tym, że mocno zasolona woda wypychała ich do góry, żadne z nich nie mogło zanurkować i wypłynąć spod łodzi.

Wszyscy się podusili.

W istocie jest to powieść o Polsce i Polakach – narodzie uciskanym. Przez wieki kraj ten najeżdżali Szwedzi, Turcy, Kozacy, Rosjanie, Prusacy, Austriacy, Francuzi i Niemcy. W 1795 roku Polska jako państwo zniknęła z mapy, a jej ziemie podzielono pomiędzy Rosję, Prusy i Austrię, historię zaś przepisano na nowo tak, by całkowicie usunąć z pamięci wszystko, co polskie (rozdział 12). W końcu Polska pojawiła się na nowo (rozdział 16), by niedługo potem paść ofiarą nazistów. Po drugiej wojnie światowej alianci podali ją na tacy Stalinowi. W 1990 roku, po upadku komunizmu, naród zmartwychwstał. Jak głosi cytata w rozdziale 16, Polska faktycznie jest „Chrystusem narodów”.

W grudniu 1981 roku wprowadzono stan wojenny (rozdział 55). Dziesiątki tysięcy opozycjonistów zostały ujęte i uwięzione, a cały kraj poddano zakazom i nakazom. Ten niebywale opresyjny akt mógł jednak, jak zauważono w rozdziale 55, ocalić naród. Po pierwsze, Solidarność zyskała czas na przegrupowanie. Po drugie, dobitnie uświadomiło to ludziom potworność otaczającej ich rzeczywistości. W tamtych czasach życie w Polsce było wyjątkowo trudne (rozdział 22). Władze wykonały wówczas głupie posunięcie: zaczęły zaopatrywać sklepy w żywność i towary, sądząc, że w ten sposób zasłużą na wdzięczność ludności. Udowodniły jednak tym samym, że przez cały ten czas to rządzący odpowiadali za niedobory. Ostatecznie zdopingowało to cały świat do wywarcia jeszcze większej presji na komunistów (pisałem o tym w innej mojej powieści, zatytułowanej *Czternasta kolonia*).

Mimo to Polska ponosi częściową odpowiedzialność za swoją burzliwą przeszłość.

Kraj ten ma wyjątkowo trudną historię (rozdział 5). Absurdalna metoda wyboru króla (rozdział 34) doprowadziła do stuleci politycznego chaosu. Następnie władzę osłabiła zasada *liberum veto*, pozwalająca na

zdominowanie większości przez mniejszość. W takiej sytuacji najezdźcom łatwo było zatriumfować. Przez dłuższy czas Polska nie miała słabego rządu, ponieważ nie miała żadnego rządu. Ostatecznie przez to straciła wszystko.

Polska Partia Przyjaciół Piwa (rozdział 12) istniała naprawdę, a fakt ten stanowi znakomitą ilustrację absurdów polskiego życia politycznego. Polska nadal usiłuje znaleźć swoje miejsce we wspólnocie krajów Europy i świata. Niestety opisy obecnych sporów i przemocy w rozdziałach 65 i 74 oparte są na faktach. Ronald Reagan powiedział: „Polska nie jest ani na wschodzie, ani na zachodzie. Polska jest centrum cywilizacji europejskiej. Wniosła rzeczywiście wiele w kształtowanie się tej cywilizacji. Czyni to również dzisiaj w sposób znaczący, nie godząc się na uciemnienie”. Kilka wersów z hymnu narodowego mówi o Polsce wszystko:

Jeszcze Polska nie zginęła,  
Kiedy my żyjemy.  
Co nam obca przemoc wzięła,  
Szablą odbierzemy.

---

\* Obecnie zadanie to spełnia Służba Ochrony Państwa (SOP) [przyp. tłum.].

# Spis treści

Karta tytułowa

Podziękowania

Prolog

Współcześnie

Rozdział pierwszy.

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty.

Rozdział piąty.

Rozdział szósty.

Rozdział siódmy.

Rozdział ósmy.

Rozdział dziewiąty.

Rozdział dziesiąty.

Rozdział jedenasty.

Rozdział dwunasty.

Rozdział trzynasty.

Rozdział czternasty.

Rozdział piętnasty.

Rozdział szesnasty.

Rozdział siedemnasty.

Rozdział osiemnasty.

Rozdział dziewiętnasty.

Rozdział dwudziesty.

Rozdział dwudziesty\_pierwszy.

Rozdział dwudziesty\_drugi

Rozdział dwudziesty\_trzeci



[Rozdział dwudziesty czwarty.](#)  
[Rozdział dwudziesty piąty.](#)  
[Rozdział dwudziesty szósty.](#)  
[Rozdział dwudziesty siódmy.](#)  
[Rozdział dwudziesty ósmy.](#)  
[Rozdział dwudziesty dziewiąty.](#)  
[Rozdział trzydziesty.](#)  
[Rozdział trzydziesty pierwszy.](#)  
[Rozdział trzydziesty drugi.](#)  
[Rozdział trzydziesty trzeci.](#)  
[Rozdział trzydziesty czwarty.](#)  
[Rozdział trzydziesty piąty.](#)  
[Rozdział trzydziesty szósty.](#)  
[Rozdział trzydziesty siódmy.](#)  
[Rozdział trzydziesty ósmy.](#)  
[Rozdział trzydziesty dziewiąty.](#)  
[Rozdział czterdziesty.](#)  
[Rozdział czterdziesty pierwszy.](#)  
[Rozdział czterdziesty drugi.](#)  
[Rozdział czterdziesty trzeci.](#)  
[Rozdział czterdziesty czwarty.](#)  
[Rozdział czterdziesty piąty.](#)  
[Rozdział czterdziesty szósty.](#)  
[Rozdział czterdziesty siódmy.](#)  
[Rozdział czterdziesty ósmy.](#)  
[Rozdział czterdziesty dziewiąty.](#)  
[Rozdział pięćdziesiąty.](#)  
[Rozdział pięćdziesiąty pierwszy.](#)

[Rozdział pięćdziesiąty drugi](#)  
[Rozdział pięćdziesiąty trzeci](#)  
[Rozdział pięćdziesiąty czwarty](#)  
[Rozdział pięćdziesiąty piąty](#)  
[Rozdział pięćdziesiąty szósty](#)  
[Rozdział pięćdziesiąty siódmy](#)  
[Rozdział pięćdziesiąty ósmy](#)  
[Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty](#)  
[Rozdział sześćdziesiąty](#)  
[Rozdział sześćdziesiąty pierwszy](#)  
[Rozdział sześćdziesiąty drugi](#)  
[Rozdział sześćdziesiąty trzeci](#)  
[Rozdział sześćdziesiąty czwarty](#)  
[Rozdział sześćdziesiąty piąty](#)  
[Rozdział sześćdziesiąty szósty](#)  
[Rozdział sześćdziesiąty siódmy](#)  
[Rozdział sześćdziesiąty ósmy](#)  
[Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty](#)  
[Rozdział siedemdziesiąty](#)  
[Rozdział siedemdziesiąty pierwszy](#)  
[Rozdział siedemdziesiąty drugi](#)  
[Rozdział siedemdziesiąty trzeci](#)  
[Rozdział siedemdziesiąty czwarty](#)  
[Rozdział siedemdziesiąty piąty](#)  
[Rozdział siedemdziesiąty szósty](#)  
[Rozdział siedemdziesiąty siódmy](#)  
[Rozdział siedemdziesiąty ósmy](#)  
[Nota od autora](#)

## Karta redakcyjna

Tytuł oryginału

*The Warsaw Protocol*

Copyright © 2020 by Steve Berry. All rights reserved

Published by agreement with Writers House, USA and Book/lab

Literary Agency, Poland

Projekt okładki

Eliza Luty

Fotografia na okładce

Eva Darron/ Unsplash

Opieka redakcyjna

Karolina Pawlik

Opieka promocyjna

Karolina Domańska

Adiustacja

Adriana Krzymianowska-Grzelak

Korekta

Grażyna Rompel

Aneta Iwan

© Copyright for the translation by SIW Znak sp. z o.o., 2022

Copyright © for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2022

ISBN 978-83-240-7882-2

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Anna Jakubowska